

Eugeniusz Dębski

MOHERFUCKER

**RUNA
2010**

MOHERFUCKER

Eugeniusz Dębski, Warszawa 2010

Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2010

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Karolina Pawlik

Korekta: Maria Radziwińska

Wydanie I

Warszawa 2010

ISBN: 978-83-89595-69-0

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

email: runa@runa.pl

www.runa.pl

...Kobieta-motorniczy szarpnęła elektryczny hamulec, wagon osiadł z nosem przy ziemi, potem błyskawicznie podskoczył, z brzękiem i łoskotem posypały się z okien szyby. I wtedy w mózgu Berlioza ktoś rozpaczliwie krzyknął: „A jednak!”.

Raz jeszcze, ostatni raz, mignął księżyc, ale rozlatujący się na kawałki, potem zapanowała ciemność.

Tramwaj najechał na Berlioza i na bruk pod sztachety Patriarszej alei wypadł okrągły ciemny przedmiot. Przedmiot ten stoczył się na dół i podskoczył na kociach łbach jezdni.

Była to odcięta głowa Berlioza...

*Michał Bułhakow „Mistrz i Małgorzata”
przekł. Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski*

ROZDZIAŁ 1

– A ja chciałem sprawdzić, jak rysuje moja kamera w iPhone – tłumaczył Locha, dryblas z podrapanym nad prawym okiem czołem. – Wyszedłem na korytarz, bo tam było jaśniej, tak? W klubie ciemno jak w dupie po kaszance, no i zaczynam kręcić, a tu wypada dwóch i po ryjach się walą, i to tak bez czucia, na chama, do tego wybiegają jeszcze czterej. Napierdalanka jak w amerykańskim filmie, jucha wali po ścianach, tak? Zęby się sypią... – Strzyknął śliną przez szparę w zębach. – Chciałem uciekać, żeby mi kamery nie zarabali, tak? Ale już się nie dało, od drzwi wpadło jeszcze dwóch i walą tych z Pawłowki...

– Kurwa, no to w kiche! Im się należy od dawna, łażą do klubu, jakby był ich, a przecież... – wtrącił się głaszczący dotąd srebrnego irokeza puciołowaty chłopak.

– Te, zamknij się! – rzucił, przeciągając się, Arkasza Wazniecowa. – Niech Locha skończy, i tak nudno...

– Nudno? Ja tam w pory waliłem...

– Zawsze walisz... – Machnął ręką Arkasza. – Gadaj, no?

– No szyli tych z Pawłowki równo, kilka glanów i już był spokój, ale Pawłowka się dowiedziała i wpadli, i teraz ich było więcej. Dawaj malować ryje braciom Bieriezowym! Jaja jak cholera, ale ja nie mogę wyjść, bo przy drzwiach największy kocioł. I myślę: jak stoję, to już kręcę, pokażę chłopakom, tak? I nagle z dyski wypada jeden, nie znam go, ale ślepi na mnie i ryczy: „Ty, kurwo, będziesz na Youtubie filmy puszczał? A nas *mienty** skotłują? I, skurwysyn, wyciągnął pasek, a klamra półtora kilo, i na mnie. I by mnie zabił, ale taki karczek z Bieriezowki capnął go i jak nie przyjebie w zgryz! Tamtego zdmuchnęło pod ścianę, leży i maluje podłogę juchą, a ten byk ryczy do mnie: „Kręć, jebana twoja, i niech mi tylko ktoś kamerzystę, kurwa, ruszy!”. Tak? Kurwa, jaja na maksiora, ale nic – kręcę. I nagle jeden z podłogi, z Pawłowki, krzyczy: „Tak, nie ruszać, chuje, kamery! Dowiemy się potem, kto zaczął!”. – Pochylił się w spazmie śmiechu.

Towarzystwo ryknęło na cztery głosy.

– I jak? Oglądali?

– No jak!

Podrapany dryblas nie przyznał się, że byk, który uratował mu czerep, podszedł do niego

* *Mienty* (ros.) – gliny. Tu i dalej: wszystkie przypisy autora.

po bójce, gdy patrol *mientow* zbierał co bardziej cherlawych uczestników rzezi, i wyciągnąwszy rękę rzucił: „Karta!”. Wyjętą z aparatu kartę, która na jego dłoni wyglądała jak znaczek na kopercie, wrzucił do kieszeni, zapomniawszy natychmiast o jej poprzednim właścicielu.

– Ale, *blad*’, przerzuciłem koniec na wewnętrzną pamięć – powiedział mściwie podrapany Locha. Natychmiast uświadomił sobie, że tymi słowami jakby przyznał się, że zabrali mu ośmiogigową kartę. – Daj papierosa! – rzucił szybko do stojącego najbliżej Kolki.

Ten się skrzywił: „Jakbym miał?...” i nie odezwał się nawet. Przygnębienie...

Przygnębiające petersburskie podwórko – ogromna studnia obramowana dziesięcio i dwunastopiętrowymi blokami, z kępą obowiązkowych brzoź, chyba samosiejek, niezbędnymi ławeczkami, na których kobiety obgadywały niegdyś wszystko i wszystkich, ze stołami, na których nie tak dawno jeszcze, za Związku Radzieckiego, mężczyźni rżnęli w „kozła”, czyli w domino, z pistoletowym trzaskiem dostawiając triumfalnie ostatnią kostkę, gwóźdź do trumny przeciwnika.

Teraz wszystko to podupało, staruszki albo wymarły cichutko, albo boją się wyjść, nasłuchawszy się makabrycznych opowieści o morderstwach, popełnianych z reguły na ludziach starych, niedołącznych, słabych i wcale nie bogatych. „Lucjo Wasiliewna, słyszałaś? Zabili Fiedosiję, tę spod sto czternastki, zmiażdżyli czerep żelazkiem, prawie jak u Dostojewskiego! I za co? Osiemset rubli zabrali. Osiemset! Czy to nie koszarne?!”.

Stoły zmurszały. Wódki się już nie pije pod surówkę z ogórków i pomidorów, łaskawie wykonanej i podanej przez okno przez którąś z małżonek. Niektórzy nie piją, bo piją gdzie indziej, innych nie stać na częstowanie.

Tylko krzywe ławeczki trwają jako tako. Wykonane z „nadwyżek” posiadanego betonu i grubych prętów czy rur, opierają się kopniakom, podpaleniom, szczynom psim i ludzkim.

Z reguły dwie czy trzy osoby mogą na takim szkielecie w miarę wygodnie posiedzieć.

Na jednej z takich mumii siedziało pięciu, dwaj inni stali, opierając się butami o krawędzie ławki. Chwilę temu toczyła się tu zwyczajna młodzieżowa rozmówka, o dupeczkach, o tym, kto się kiedy upaprał do śmierci, o przewadze piwa klinckiego nad pierdoloną, przejętą przez Turków i spaskudzoną okrutnie Bałtiką. Skończyła się opowieść, kończyły się fajki, kilka sztuk miał jeszcze tylko Igor, pozostali usiłovali go przekonać, że powinien je zagospodarować teraz i tu, a potem jakoś się znajdzie nowe.

– *Nie pizdi, Igariok!* – rzucił najbardziej zgłodniały nikotyny Saszka. – *Szczas naszkaliajem! Dawaj, pasasiom!**.

Nagabnięty, niechętnie, ale zdając sobie sprawę, że przeciąganie doprowadzi do niezręcznej sytuacji, w której ci bez fajek stworzą przeciwko niemu koalicję, a to zaowocuje w przyszłości znaczącymi konsekwencjami, sięgnął do kieszeni i wyciągnąwszy jednego dla

* *Nie pizdi, Igariok!... Szczas naszkaliajem! Dawaj, pasasiom!* (ros.) – Nie pierdol, Igorku!... Zaraz się skołuje! Daj, pociągniemy!

siebie, paczkę z czterema ostatnimi rzucił Saszce. Zapalili.

– Kijowe te lighty... – powiedział jeden z pozostałych, który mimo krytyki zaciągał się dymem z wyraźną przyjemnością. – Nasze lepsze! O, na przykład...

– Cicho! – Saszka, przekręcił głowę i wsłuchał się w rozświetlony słabymi i rzadkimi lampami mrok. – Zaraz kupimy fajki!

Prowadząca przed blokiem asfaltowa droga przypominała wykonany dla dzieci model powierzchni księżycowej. Ostrożnie omijając dziury, kuśtykała po niej w zapadającym zmroku, z trudem trzymając się gładkiej powierzchni, przygarbiona staruszka. W chudej dłoni trzymała wiotką torbę z kwiecistego niegdyś plastiku, dno torby obciążała kostka masła, czy raczej margaryny, może jakieś herbatniki.

– *Staruszka nie spiesza, darożku pierieszła!* – zaśpiewał Saszka, oderwał się od towarzystwa i niedbałym krokiem ruszył na spotkanie staruszki. – Babciu, pożycz dyszkę, co?

– Zejdź mi z oczu, paskudo! – zachrypiała babusia. – Znam cię, Aleksander, od majtek obsranych cię znam, nicponiu. Matka tu je wieszała, gówniarzu! – dodała nagle z mocą. Wysunęła rękę, by usunąć z drogi młodzieńca. Koledzy z ławki zarechotali. Saszka ze złością zacisnął zęby.

– Pilnuj swoich majtek, stara! – warknął.

Szybko przeszukał wzrokiem babcię. Portmonetka mogła być w torbie, tak – nie masło czy serek, tylko staruszkowa portmonetka! Wyciągnął rękę, by wyszarpnąć torbę, ale ręka babci żwawo uskoczyła *Awos'ka*^{*} zniknęła za wypłowiałym prochowcem. Prawa piąstka staruszki dziwnie szybko wysunęła się do przodu i boleśnie wbiła się w dołek napastnika.

– Ach, *job!*

Saszka jęknął i pochylił się, przyciskając dłonie do splotu słonecznego.

Babunia raźnie obdreptała skulonego reketiera i pomaszrowała w kierunku najbliższej bramy. Ławka eksplodowała rechotem. Bezlitosne kółko młodzieżowe zawsze ochoczo wykpiwało potknięcia każdego z członków, nawet niewątpliwego przywódcy grupki. Saszka posiniał ze złości, podskoczył do babci i chwyciwszy ją za kołnierz, szarpnął z całej siły do tyłu. Scenariusz był prosty: babunia wali się na plecy, może nawet przytrzyma się ją w locie, żeby nie pogruchotała sobie wszystkich pieprzonych kurzych kosteczek, wyrywa jej się siatkę, a potem...

Potem wydarzenia potoczyły się kompletnie inaczej.

Babcia wyrzuciła ręce w górę, przekręciła się i z całej siły wbiła pięść pod pachę napastnika. Ten wrzasnął, sparaliżowana bólem ręka odleciała w bok, ale niedaleko: babcia chwyciła ją, zgięła w łokciu i zakręciła jak korbą maszyny do mięsa. Całe ciało chłopaka wyleciało w powietrze, ale nie nadażyło za okręcanym przedramieniem. Oderwana ręka, chlustając krwią, wypadła z rękawa i pofrunęła w krzaki, a lecące ku ziemi ryczące ciało zostało uchwycone za głowę. Potworne szarpnięcie z przekręceniem, chrzęst i chlupot, i

^{*} *Awos'ka* (ros.) – torba na zakupy, zapewne od słowa *awos'* – jakoś (to będzie).

urwany ryk bólu. Skamieniali koledzy Saszki patrzyli, jak okrutnie dekapitowane ciało wali się na plecy i trzępiąc kończynami o asfalt, przesuwa się w ich kierunku.

Głowa potoczyła się w bok, uderzyła w krawężnik i poruszywszy ustami, zatrzymała się, opierając nosem o kawałek cegły, znieruchomiełe oczy zapatrzyły się w zalany krwią grunt.

Ktoś wrzasnął z całej siły, chłopak z irokezem pierwszy odzyskał władzę w nogach, rzucił się do tyłu, potknął o resztkę betonowej urny na śmieci, przewalił przez nią i nie wstając, pognał na czworaka przed siebie, byle dalej.

– Gdzie ja to widziałem? Gdzie? Mamo! Nie chcę! – W głowie Arkaszy Wazniecowa kłębiły się myśli, ale żadna nie podpowiedziała, by wziął nogi za pas. Stał skamieniały i patrzył. – W szkole?... Tak, lektury! *Mistrz i Małgorzata*... aaa... nie chcę! Odcięta przez tramwaj głowa... tego... jak mu tam... Porfiry Iwanowicz? Nie, to ze *Zbrodni i kary*... Berliozow?... – zaczął przypominać sobie szczątki wiedzy z literatury ojczystej.

Koszmarna babunia, w tej chwili wcale niewyglądająca na potulną stetryczalą babcie, której kiedyś pomógł donieść nic nieważący chodniczek do trzepaka, dziwnie rozrosła się, zmieniła w jakąś niewyobrażalną modliszkę z kilkoma uzbrojonymi w cęgi czy nożyce ramionami, długie, zginające się do tyłu żucze nogi dwoma krokami przeniosły ją pod ławkę z wrzeszczącymi blokiersami.

Potworne uderzenie cisnęło Arkaszą niemal pięć metrów w powietrze. Przeleciał je szybciej niż sformułował w głowie imię i patronimik śledczego ze *Zbrodni i kary*. Uderzył twarzą w słup – osiem zębów przysło i wyłamało się z dziąseł, chrząstka nosa wbiła się w mózg. To niemal zabiło szczeniaka, niemal, bo wcześniej zachłysnął się krwią z rozbitej twarzy i zadławił gruzem z zębów... Nim jeszcze zmarł, czterech kolegów z podwórka zostało poszlachtowanych straszliwymi jataganami szponów, którymi wymachiwała potworna babunia.

Pogotowie na wieść, że do zgarnięcia będzie pięć czy sześć ciał (dzwoniący po karetkę milicjant wykrztusił, że podaje liczbę zabitych szacunkowo, po przybliżonej ilości głów sądząc, bo reszta, pokawałkowana, leży na powierzchni wielkości kortu tenisowego), przyjechało w sile trzech wozów, pozgarniało ciała, przy okazji stwierdzając, że owszem, krwawych fragmentów jest ponad tuzin, ale ciał tylko pięć. Ani trzech lekarze, ani żaden z piątki anatomopatologów dokonujących sekcji, nikt nie odważył się wysunąć jakiegokolwiek hipotezy, oznaczałoby to bowiem konieczność bronięcia swojej racji, a żadna z tych osób nie chciała wyjść na – co najmniej – dziwaka...

Stojąc na podwórku szpitala obok prosektorium, siedemdziesięciodwuletni, dorabiający do emerytury patolog bez słowa wyrwał z ręki kolegi paczkę golden gate'ów, wyszarpnął jednego, omal go nie łamiąc, zapalił z trudem, z powodu drżenia palców, i zaciągnął się.

– Wiesz, jak byłem na studiach, za Stalina oczywiście, rozpuściło się wśród społeczeństwa wiadomość, że w oczach zamordowanego zostaje odbita twarz mordercy. *Job ich mat!* I potem tyle ich, tych oczu wyrżniętych, widziałem, nie uwierzysz! Oni to łyknęli!

– Stiepanie Arkadiewiczu, po ci mi to mówicie? – jęknął młody kolega po fachu. – I tak wyrzygałem obiad, śniadanie, wczorajszą kolację i chyba nawet kotlet z zeszłego tygodnia!

– Mówię, Jura, żebyś wiedział, że nie chciałbym, żeby to była prawda, i że bym w oczach tych szczyli zobaczył to, co ich zabiło...

ROZDZIAŁ 2

Wrocław nie aspiruje do miana miasta magicznego, to zwyczajnie cudowny konglomerat. Raz – metropolii, ale bez jej paranoicznych problemów komunikacyjnych i rzeszy nadętych biurw i biurwisynów; dwa – miasta zabytkowego, z licznymi, ale nie obłędnie licznymi turystami; trzy – miasta młodego, bo odbudowanego z powojennej równiny ceglanej i nasyconego młodzieżą, i miasta z doświadczeniem i mnogimi różnojęzycznymi władcami i włodarzami.

Piękne miasto, które opuszczałem sporo lat temu z niechęcią i krwawiącym sercem. I potężnym kacem.

Ale i tu znajdzie się jakieś gówno, zwłaszcza za kierownicą.

Przyjechałem do piastowskiego grodu w czwartek wieczorem, powitał mnie neon (NeON!!!) „Dobry wieczór we Wrocławiu” przed Dworcem Głównym. Właściwie nie ucieszyło mnie to, mam na myśli przyjazd kolejną: trzy dni wcześniej przywoziłem tu większość swoich maneli, przeniosłem je do mieszkania przy Kwaśnej i ruszyłem do centrum. Zanim GPS złapał fix, zanim zorientowałem się, zanim przypomniałem sobie konfigurację – już pędziłem w przeciwną do centrum stronę. Zawróciłem dopiero na wysokości Hutmenu i rozeźlony pomknąłem do miasta.

Daleko nie dopomknąłem: z podporządkowanej uliczki przy stadionie wysunął bezczelny mitsubishiowaty pysek glacusz w wytwornym dresiwatym odzieniu. Mnie wybrał sobie na ofiarę! Bezczelnie uniósł lewą dłoń w geście protekcyjnego podziękowania, a tak naprawdę mówiącym: „Pierdol się, leszczu, państwo jedzie”, i zaczął włączać się do ruchu. Przymierzyłem dobrze i przypakowałem mu, piszcząc oponami, w słupek; wgiął się urodziwie, ładnie przygiął się dach i para drzwi, na deser wysypał się przedni reflektor. I już kompletnie bonusowo spadła antena CBRadia. Gdy wysiadłem i obszedłem przytulone do siebie wozy, nie omieszkałem przydepnąć magnesu podstawki, zgrzytnął pod podeszwą i pożegnał się z życiem. Rzuciłem, co prawda, palenie, ale jeszcze miałem w kieszeni czarne cienkie, wyjąłem jednego i zapaliłem spokojnie. Dresisyn wygramolił się z drugich drzwi, te swoje miał już na zawsze zaklinowane.

– Kurwa, człowiek, jak ty jedziesz, co? Nie widzisz, kurwa... – zaczął standardowo – ...że... – szybko oszacował mnie i nie powiedział „że wyjeżdżam, chuju”, tylko: – ...że jest

zweżenie i utrud...niony... wjazd? Tu się wjeżdża na zakładkę, kolego...

– Pies ci kolegą – powiedziałem, sięgając po komórkę. Cudem, naprawdę cudem dopadłem drogówkę od pierwszego połączenia. – Stłuczka, wymuszenie pierwszeństwa na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej i Oporowskiej... – Tabliczka z nazwą ulicy wpadła mi w oko chwilę temu, zresztą przypomniałem sobie: stadion, Oporowska, „Cała Polska w cieniu Śląska”... – Tak, jestem uczestnikiem, tym wymuszonym – meldowałem, patrząc w niebo.

– Szkurważ twoja... – syknął dupek, wyszarpnął swoje wypasione komórzysko z lisim chwostem, wielkości gomółki sera, i odwróciwszy się plecami do mnie, zaczął pośpiesznie meldować coś komuśpocoś.

– Dobrze, czekam.

Upuściłem papierosa, sięgnąłem po palmtopa (miał lepszy aparat niż komórka), wolno obszedłem naszą małą grupkę, metodycznie sfotografowałem swój wóz, potem mitsubishi, ostentacyjnie nie zauważając zaciśniętych warg dresiarza – sapał już mocno i nawet popluwał na chodnik. Potem wycelowałem w jego gębol i pstryknąłem mu fotę. Akurat ruszył na mnie, opuściłem rękę z Mio, gdy stanął przede mną z wysuniętym do przodu pyskiem. Ach, jak ja lubię takie numery!

– Co ty, kurwa, se pstrykasz?! – syknął, cuchnąc modną cynamonową gumą. Już za to powinien oberwać w klawiaturę. – Co ty se, kurwa, pytam, pstrykasz? Jedziesz jak chuj przed weselem z jednym okiem w dupie i jeszcze będziesz...

– Proszę się uspokoić – powiedziałem na użytek przyglądających się nam dwóch kobiet i jednego młodego okularnika. – Wymusił pan pierwszeństwo...

– Tu jest zweżenie i remont, palancie! Nie widzisz? Nie widzisz? Gały ci wysrało? Na zakładkę się jedzie, jeleniu, na zakładkę! Jak nie *umiesz*...

– Jeszcze raz powtarzam: wymuszenie to wymuszenie, nie mam obowiązku wpuszczania nikogo...

– Ty bucu warszawski! – ryknął i energicznie kiwnął łbem, oczekując, że przestraszę się jego pozorowanego, obliczonego na przestraszenie mnie, „Zidana”.

Miał pecha. Jestem miłośnikiem *Złego*, oglądałem sześć razy *Zawodowców* i po kilka razy wszystkie filmy z Charlesem Bronsonem. Znaczy – kocham samodzielnie wymierzać sprawiedliwość w okolicznościach pozbawiających mnie wątpliwości, czy tak czynić należy. Specjalnie przykładałem się do ćwiczeń z walk miejskich.

Tak więc, gdy to gówno na podeszwach adidasa strzeliło pozorowanym bykiem, cofnąłem się odrobinę i pochyliłem głowę. Dziabnął mnie w czoło swoim nosem, i to – muszę przyznać – mocno.

– Ach! – powiedziałem i cofnąłem się z wierzchem dłoni przyłożonym do czoła.

Cymbał jęknął, chwycił się za twarz i osunął na kolana. Chyba kiedyś trenował polski futbol, bo zjechał dokładnie „pod sędziego”; od strony tria widzów rozległ się radosny chichot studenta. Odwróciłem się do nich i podniosłem palmtopa, cały czas kręcił się klip,

zrobiłem kilka kroków, sięgając do kieszeni. Z daleka pokazałem im legitymację.

– Bardzo państwa proszę o swoje dane, do ewentualnego zaświadczenia o złamaniu przepisów i agresywnym zachowaniu sprawcy.

Kobiety zrobiły zrozpaczone miny, ale jedna pokazała dowód, student z radością podsunął legitymację. Zrobiłem foty dokumentów, podziękowałem, powiedziałem, że jeśli nie mają czasu, mogą nie czekać na policję. Kobiety chyżo czmychnęły, student pokręcił głową.

– Ja mam czas, w każdym razie chwilę mogę poczekać.

Poczęstowałem go papierosem, odmówił, ja zapaliłem. Kwasinos podniósł się z klęczek, sięgnął do kieszeni, ale mama nie nauczyła go nosić chusteczek, odwrócił się, liznąwszy mnie pełnym nienawiści spojrzeniem, ukrył za pokiereszowanym mitsubishi, skąd po chwili rozległ się odgłos przedmuchiwania złamanej przegrody, potem wyłonił się i zaczął wzywać odsiecz, płacząc się lekko w opisie sytuacji, w której przyjeżdżał skurwielowi z Warszawy i krwawi z własnego nosa. Nadjechała policja. Potraktowała nas sprawnie, zwłaszcza że klip wyraźnie pokazał, kto się rzucił na kogo. Odrzuciłem propozycję ugody, ustaliłem, że wpadnę na komendę po południu i przekręciłem kluczyk.

Szczęście mi sprzyjało, silnik zaskoczył i bez przeszkód dotarłem do siedziby ABW. Stamtąd odholowała mnie polecona firma, dwa dni później przekazano mi siedmioletnią toyotę na cywilnych blachach i rybą na klapie bagażnika. Maskowanie jak cholera.

* * *

Miesiąc wcześniej odbyłem mało miłą rozmowę z Tupojem. Nie w agencji, nie. Kazał mi się zaprosić na piwo do „Skrzata”. Skończyło się na czterech wściekłych psach i męskiej rozmowie.

– Słuchaj, Kamil, jest tak. Wiesz, że nie przepadam za tobą, jesteś wrzodem na mojej dupie. Ale gdybym miał wybierać: mieć kilka takich wrzodów albo spokój i gładki zadek, wybrałbym jednak to pierwsze. – Wziął pusty chwilowo kieliszek w palce i kręcił nim, co kilka stopni obrotu stukając o blat. – Tak, i wyniki miałbym chujowsze. Wiem. Mówię to, żebyś wiedział, że to nie ja się ciebie pozbywam. – Odchylił się, uderzył plecami o oparcie, kieliszek wykonał ryzykowny piruet, ale nie zwałił się.

Początek perory szefa wzburzył moje myśli i teraz kotłowały się malutkie, popiskując, podskakując i pokrzykując: „Kto mi to zrobił?”, „Dlaczego?”, „Za co?”, „Kiego chu?”...

– Prywatnie sędzę, że twoje nader przyjazne kontakty z Wielkim Bucem zza oceanu przynależą się komuś siedzącemu na znacznie wyższej grzędzie, a tu nagle taki Stochard zbiera ekstrabroń, gadzety Bonda, podziękowania, medale...

– Jeden, kurwa, medal. Nie zasłonę nim nawet dziurki od klucza! – warknąłem.

– Ale do emeryturki ci dosypie.

– Naprawdę sądzisz, że o tym myślałem, kiedy...

– Nie, nie sędę. Ale ktoś, na przykład, sądzi, że ma pięć dych na karku, i że taki medal za działania jego podwładnego bardzo by mu przypasiał, nie?

– Gównu mnie to obchodzi. Ze swojego kompostnika nie widzę, co się dzieje na dachu.

– I dobrze, bo tak to zostało wszystko w życiu po myślane. Najpełniej i najpiękniej wyraża to genialne zdanie: „Masy proletariackie spijają szampana ustami swoich przedstawicieli”. A ty nagle podskoczyłeś i chlepnąłeś nieprzynależnego ci szampana. – Przechwycił wzrokiem kelnerkę i gestem zamówił to samo razy dwa.

Odczekaliśmy, aż zamówienie zostanie zrealizowane i poprzednie kieliszki sprząnięte. W popielniczce samotnie wylegiwał się cienki niedopałek czarnego marlborasa. Dlaczego papieros o połowę cieńszy, z cieńszym o połowę filtrem, bibułką, opakowaniem, kosztuje tyle samo, co jego dwukrotnie droższy w produkcji grubas brat?

– Reasumując – ciągnął – przenosisz się na prowincję.

Sięgnąłem do cienkiej paczki i zapaliłem papierosa. Papieroska. Nie dlatego, że mi się chciało palić, ale żeby pokazać, że nie drżą mi palce.

– Za osobisty sukces i powód do twojej wdzięczności poczytuję sobie fakt, że nie wpierdolili cię do Gnojmiasta albo Srakowa, albo Piździenic. Jedziesz do Breslau. Wiesz, Krajewski, Dutkiewicz, Miodek, Gucwińscy... Studiowałeś tam, może masz jakieś dziuple... No, podziękuj i kończymy ten wieczór trzech ciuli...

Kurczę, mogło być rzeczywiście do dupy. Krakowa nie lubię, Gdańska nie znoszę, Katowice – ja pierdołę! Pokiwałem głową.

– Jeśli nie może być inaczej, to niech tak będzie. Doceniam twój wkład w moje miękkie lądowanie.

– No. Najlepszego. – Chwycił kieliszek i uniósł go lekko. – Tak prywatnie to radzę ci przycisnąć kogo możesz za Wielką wodą i niech cię zabiorą. Na szkolenie, rekultywację, beatyfikację, cokolwiek. I już. I niech się ten dziadziu, co się zaślinił, posra z zawiści. Albo zdechnie, to się drabinka ruszy. – Wlał w siebie zawartość kieliszka, powtórzyłem jego ruchy, tak samo chuchnąłem. – Może i mnie ruszy. Wtedy i ty sobie wrócisz.

– Naprawdę wierzysz w taki scenariusz? – mruknąłem, wskazując palcem kieliszki i miną pytającą, na co czekamy.

Skinął głową. Chodziło o kolejkę. Potem dodał drugie skinienie.

– Tak. Wierzę. – Podrapał się po brodzie. – Ty, Kamil, rzniesz cynika i Wielkiego Harry’ego Luja, ale jesteś miękki. Widzisz syf, wolisz jednak myśleć, że to poobiednia krostka. Siedzisz w firmie, bo się naoglądałeś filmów o walce Dobra ze Złem, i dobrze, bo jednak coś dobrego robimy. Moglibyśmy więcej. Gdyby sprzęt, procedury, przepisy, przełożeni... Dobra, robimy coś. I tak to lepsze niż nic. Ale warunki są takie, jakie są. A one są takie... – zająknął się. Po czterech wściekłych psach nie dziwota – ...jakie są. Ja w nie wierzę.

Kelnerka już czaiła się na moje spojrzenie, skinąłem głową. Tupolew cmoknął, splótl

palce i wygiął je w drugą stronę, strzeliły stawy. Tylko tak dalej, a przejdzie na rentę z powodu reumatyzmu czy innego ischiasu, a nie na ciepłą emeryturkę. Dostaliśmy swoje psy. Wypiliśmy bez toastu.

– Jak to powiedział Wokulski? *Farewell, miss Iza, farewell?* – parsknął krótkim śmieszkiem, który miał... właśnie – co? Zamaskować wzruszenie? Nie, no bez jaj!

– Dzięki – powiedziałem. – Przeniecę się.

– Nie pytasz, co będziesz robił?

– Archiwum X?

Zdębiał.

– Skąd wiesz?

– Przestań. To, co wiesz ty, wiedzą we Wrocławiu. Co mogą dać do roboty zesłanemu z niemilości facetowi? Będę robił gazetki ściennie, opiekował się witryną internetową?...

– Dlaczego witryną internetową akurat? – zdziwił się.

– Bo opiekowałem się naszą.

Rumieniec wypłynął mu na twarz. Milczał chwilę z opuszczonym żujem, potem zatrzasnął kłapaczkę i uśmiechnął się krzywo. On, szef i decydent, nie wiedział, jaki mam zakres obowiązków. Pogratulowałem sobie pomysłu i wymyślonej *ad hoc* funkcji.

– Dobra. To koniec – wskazał brodą kieliszki. – Nie będziemy sobie rozmiękczać pożegnania gównianą emulsją wódczanodżemową. Łykamy i znikamy. Ja płacę.

Nie sprzeczałem się z nim na ten temat. Mnie też już nie smakowała wódka słodzona i ostrzona. I musiałem zacząć się pakować.

* * *

Budynek ABW we Wrocławiu znajduje się nie opodal kultowego kina „Oskar”, do którego kiedyś, za moich studiów, ciągnęła snobująca się na inteligencką młodzież na filmy trudniejsze od tych serwowanych w odorze przetłuszczonego popcornu i wywołującej gremialne bekanie coli. Inna sprawa, że wcinały kukurydzę i popijały berbeluchą określone grupy widzów, umysłowo odstające nawet od przeciętnego konsumenta *filmenpappen*. Zawsze, gdy maszerowałem do kina, zastanawiała mnie nieprzystawalność tego dość ambitnego przybytku sztuki filmowej do otoczenia – sądy, areszty, komendy, prawomyślność, praworządność i jurysdykcja. Przynajmniej na oko. Przypomniałem sobie, że czytałem w jakichś michałkach o nadgorliwości urzędników, którzy uznali, że znana każdemu wrocławianinowi postać z wagą nad wejściem do sądu musi mieć, jak to Temida, przepaskę na oczach, no, żeby była ślepa i... sprawiedliwa. Dzięki czujności obywatelskiej media zwróciły uwagę na fakt, że nie jest to Temida, córka Uranosa i Gai, pierwsza żona Zeusa, jedyna z pierwszej generacji bogów pozostawiona na Olimpie, tylko Iustitia, personifikacja sprawiedliwości. Na dodatek rzeźba jest autorstwa von Gossena, co administracja sądowa

powinna wiedzieć, skoro kilka razy dziennie przemyka pod jej wagą i mieczem.

W ciemno uznałem, że kino musiało podupaść, jak wszystkie ambitniejsze, że Bergmana, Godarda i Chabrola nie ogląda się nawet tu, a może i w ogóle, ale i tak ucieszyłem się. Przewidując spore nudy w pracy, brak pracy w pracy, miałem nadzieję na podliftowanie swojej wiedzy filmowej właśnie w godzinach pracy bez pracy. Pion ochrony informacji niejawnych, jak żaden inny, pozwala na wykorzystanie go jako ślepego toru, na pogrzebanie delikwenta w tonach *bumagi*, spod której zwałów nie można się wygrzebać.

Myślałem bardzo szablonowo, sądząc, że wpakują mnie do piwniczki obok kotłowni, i tam, niczym polski Fox Mulder, będę sobie siedział i grzebał w informacjach powielanych po wielokroć, a może i ściąganych z Internetu, bo przecież tam ściąga się już wszystko oprócz majtek – taki żart! – będę więc grzebał, rozwiązywał jolki z przeceny, czyścił Gnata i tak dalej. Nie. Należy wystrzegać się szablonów. Przydzielono mi pokój, nie pokoik, na strychu, ale o charakterze piwnicy. To taka wrocławska *spécialité de la maison*: knajpa nazywa się „Strych”, a mieści w piwnicy, albo odwrotnie, jeszcze nie byłem. Pokój nie był przygotowany specjalnie dla mnie, ktoś tu już kiedyś kiblował. Standardowe wyposażenie, za oknem kilkaset metrów przestrzeni. Po trzech dniach zrozumiałem, co mi najbardziej w tej pracy doskwiera: konieczność przemierzania całego budynku w drodze do mojej mansardy. I, oczywiście, tej samej trasy przy wychodzeniu.

Przewertowałem swoje zasoby pamięci i notatniki, ale nie znalazłem żadnych adresów ani telefonów, które pomogłyby mi osadzić się na nowo w stolicy Dolnego Śląska; niektóre były nawet aktualne, ale... Co – na wódkę z kolegami ze studiów? Na kawę z dawnymi przyjaciółkami? Unikanie odpowiedzi, wykręcanie się od wizyt w domach z żonami i mężami, czekoladki dla latorośli... Oddałem się walce z ubezpieczycielem, co przyniosło niezłe wyniki, choćby w postaci naprawienia z ubezpieczenia chrypiącego od miesięcy odtwarzacza.

„Przecież miał pan płytę w środku i grało, prawda?” – zapytał właściciel warsztatu, w którym moje auto czekało na klepanie, lakierowanie i polerowanie.

Poza tym zapisałem się do biblioteki – ruch emeryta – a z własnych zasobów nabyłem drogą kupna dwa kartony książek, na których lekturę nie miałem wcześniej czasu.

I mordowałem go, raz skutecznie, drugi raz mniej, ale jakoś mordowałem.

Obskoczyłem koncert Cohena. Nie dość, że ze sceny wiało czymś rewelacyjnym, to jeszcze zobaczyłem Roberta, z którym przez dwa lata dzieliłem stancję na Reja. Wyglądał ponuro, kiepsko, sinawo. Jakby trawiony kacem albo chorobą – zgrabnie zszedłem mu z widoku. Poza tym w tłumie – załzawione oczy kobiet, romantyzm w oczach mężczyzn – nie było znajomych twarzy. Zrezygnowałem z zakupu płyt z powodu megakolejki, potem plułem sobie w brodę, wracając do domu, a jeszcze potem wygrzebałem swoje dwie płyty i uznałem, że mogę – jak to mawiał Bogdan – kręcić z radości pejsy: zaoszczędziłem kilkadziesiąt złotych, bo premierowych numerów nie usłyszałem. Niejako siłą rozpędu wybrałem się na

drugie wydarzenie koncertowe: Chick Corea i John McLaughlin. Tym razem miałem tylko przeżycia muzyczne, nie było znajomych, a powinni być, bo – jak podśledzałem w dymnym piekle palarni – z takimi Polakami mógłbym żyć: zero złotych łańcuchów, dresów, piercingów, byczych karków.

Tak, mnie też ta publika odpowiadała, ale przeciętna wieku nie skłaniała do optymizmu...

Następnego dnia po koncercie w Hali Stulecia zerknąłem do terminarza, dobrze pamiętałem: pięć miesięcy temu odbyłem rozmowę z Tupolewem, po czym zostałem wprowadzony przez Jerry'ego do tej odnogi naszego życia, o której wie tylko grubo poniżej tysiąca ludzi, a gdzie znalazłem, musiałem to przyznać, siebie nie oszukuję, kawałek celu do życia. Bo celu tego służba w ABWerze mi nie dostarczała. Dostarczała pewnych mocy, wykorzystałem je do sprawdzenia, jak się ma, a miałem nadzieję, że źle, pani mecenas Samolej. Niestety, płonna nadzieja, założyła firmę consultingową, cokolwiek to w jej rozumieniu znaczyło, zmontowała silną paczkę i powoli wysyłała na zieloną trawkę konkurencję w Gubinie. No trudno, nie co dzień w naszych ogródkach świeci słońce. Po tygodniu zdecydowałem się na szturm kina „Oskar”, i tu okazało się, że słońce dawno już zaszło, a kino zamknięte ponad rok temu. Tyle w temacie rozwijania własnej wrażliwości na obraz, dźwięk, słowo, ekran i projektor.

Rozpocząłem czwarty tydzień służby we Wrocławiu. Wezwanie do szefa nadeszło, jak zwykle, z zaskoczenia. Zadzwoiła Halinka, *pani* Halinka, i obojętnym, ani złośliwym, ani triumfującym, ani współczującym głosem powiadomiła, że szef, pułkownik Majski, ma chwilę czasu i chce wypróbować na mnie skuteczność działania własnych zwojów mózgowych. Dobra, dwie poprawki: w myślach nazywałem go już „Pierwomajski”, to mi się ładnie kojarzyło z Tupolewem, występowało coś na kształt ciągłości mojej podległości, po drugie, nie powiedziała nic o zwojach, tylko że pułkownik wzywa mnie do siebie. To, że poćwicz na mnie swój dowcip i inne składowe inteligencji, wywnioskowałem sam.

Zszedłem na pierwsze piętro. Zastukałem. Wszedłem.

– Pan pułkownik czeka.

Halinka, ognista jak pejsachówka brunetka z liftowanym za pomocą stanika *pushup* biustem, zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem, jakby sprawdzała, czy nie wnoszę na teren gabinetu granatu albo samogonu, potem wykreśliła spojrzeniem trasę do drzwi pułkownika i powiedziała:

– Proszę poczekać. – Pochyliła się nad komunikatorem i bąknęła: – Przyszedł porucznik Stochard, panie pułkowniku.

Nie usłyszałem odpowiedzi, ale Halinka tak, bo wskazała dłonią drzwi. Może zresztą milczenie było umówionym sygnałem?

Wszedłem, strzeliłem obcasami, nie za głośno, nie za cicho, w wyważony sposób.

– Proszę siadać. – Pułkownik Majski miał gęste jak Tym brwi, a może i gęstsze, i włosy na wysokości skroni wygolone, albo krótko przystrzyżone, na czubku głowy odpuszczone,

dzięki temu cała czaszka wydłużyła się nieco i to było dobre. Pułkownik był dość wysoki, ale gdyby nie dbał o siebie: pogrubione obcasy, wysmuklające marynarki, fryzura – uważano by go za pucołowatego. – Mam chwilę czasu, pan chyba też... Pogadamy...

Słyszałem już raz pułkownika. Miał dziwną, ekscentryczną i niezwykle rzadką wadę wymowy, potrafił mianowicie seplenić w sposób nieznany reszcie ludzkości. Seplenie, czyli sygmazym, jest wadą wymowy, polegającą na nieprawidłowej artykulacji spółgłosek dentalizowanych, tymczasem pułkownik Pierwomajski seplenił kiedy chciał, to znaczy jakby seplenił tam, gdzie normalny człowiek nie da rady. No, bo kto może powiedzieć „golden retriever” tak, by zabrzmiało to *sygmazymicznie*?! A pułkownik potrafił!

– Tak jest.

– Proszę siadać – powiedział, patrząc za moje plecy. Dotarł do mnie leciutki zapach perfum, dzięki temu nie musiałem wciągać głowy w ramiona. Nie dotarł natomiast szelest płachty plastiku... W jakim to filmie było? *Naga broń*? Facet stoi na folii, a po chwili dostaje kulkę w czerep, a folia, jak się okazuje, do tego celu była rozłożona. Kawa to nie folia... No, chyba że z cykuta. – Pan zdaje sobie sprawę?

Dziwne, ale to był koniec pytania. Dziwna wymowa, nietypowa składnia... Skinąłem głową.

– Tak, panie pułkowniku. Zdaję sobie sprawę. Otrzymał pan zrzut, do niczego panu niepotrzebny. Jeśli mogę tak powiedzieć, to zrzut też nie wie, co z tym począć. Rozważyłem odejście ze służby, ale na razie wstrzymam się z decyzją.

– Świadczenia emerytalne i tak dalej?

– Właśnie!

Uśmiechnął się.

– Gówno tam. Nie odejdzie pan, bo to by się komuś spodobało. A mnie się podoba, że panu się to nie podoba. Powiem tak – użył zniechęconego przeze mnie zwrotu, ale nie miał przecież o tym pojęcia – gdybym podejrzewał, że ma pan tyły z powodów merytorycznych, rozmawialibyśmy inaczej albo i nie rozmawiali w ogóle. Ponieważ jednak istnieją jakieś poboczne uwarunkowania, a istnieją? – Oczekałem chwilę, wzruszyłem lekko ramionami, potem dodałem miną, że chyba tak. – Skoro istnieją, to ja na razie nie muszę o nich wiedzieć więcej. To ja – powtórzył – nie biorę ich pod uwagę i nie biorę pod uwagę smrodu, jaki ktoś za panem ciągnie. U mnie jest pan czysty i jako taki służy. Co będzie potem – prychnął – zobaczymy.

Pani Halinka wniosła kawy: dla pułkownika w sporej filiżance, dla mnie w naparstku. Uznałem, że to bardzo eleganckie ustalenie, o wiele miłsze niż „no, to nie zatrzymuję pana”... Dziwne, słyszałem w sekretariacie łoskot zwiastujący uruchomienie ekspresu ciśnieniowego, ale w mojej filiżance był zwyczajny rozpuszczalny *kauflander*. Nie tknąłem jej.

– Czyli będę siedział tam, na podsufitce. Długo, panie pułkowniku? – zapytałem. Zmarszczył marsowe brwi.

– Niekoniecznie – oznajmił po chwili namysłu. – Tylko tyle, ile będę potrzebował do oszacowania, na co mi się pan i do czego przyda.

– I czy w ogóle się przydam, panie pułkowniku – odpowiedziałem w nadziei, że pofolguje sobie i przyzna, że tylko czeka na okazję, by mnie wywalić do Mszczonowa.

Jednakże w ABW nie awansują byle kogo. Nie tak jak w tym wojskowym, autentycznym jakoby dowcipie: „Przybyłem do was, żołnierze, z Szóstej Brygady, tam durni nie trzymają!”. Pułkownik Majski podrapał się po lewej brwi; na tę chwilę pierwszy paliczek palca wskazującego całkowicie zaginął we włosiu.

– Przyda się pan, przyda. Na pewno. Choćby jako wzorzec... – Nie dokończył, ale zrozumiałem, co miał na myśli: zawsze można postraszyć podwładnych, że jak się nie spiszą, wylądują na podsufitce, jak ten bęcwaldek z Warszawy. – No, dobrze. Miło się gada, ale obaj mamy jeszcze dziś coś do zrobienia... Jak się pan zaaklimatyzował we Wrocławiu? Nowe znajomości – stare znajomości?

– *Fiftyfifty* – powiedziałem.

– Jasssne... No to żegnam. Za jakiś czas pewnie się znowu zobaczymy. Jak tylko... – zadumał się na chwilę – ...nadejdzie czas.

Wstałem i ściągnąłem kopyta. Skłon głowy i wypad.

– Dziękuję za kawę – powiedziałem do pani Halinki. Spuściła głowę, zasromana. Dobrze to o niej świadczyło.

Udałem się do swojej dumnej samotni. Teczka z długą sygnaturą na okładce była cienka, jakby zawierała rozwałkowany opłatek, i nic ponadto. Ale powinienem był coś z tą zawartością zrobić. Zacząłem robić.

ROZDZIAŁ 3

Sukonin rzucił okiem na zegarek, wstał, przejrzał się w lustrze i ruszył do gabinetu generała. Sekretarka zerknęła na niego, nie przerywając podlewania paprotki.

– *Zdrastwujtie, Nino Fiodorowna* – powiedział uprzejmie Sukonin.

– *Dobryj dzień, Konstantinie Aleksandrowiczu. Gienierał was żdiot.*

Wszedł do gabinetu. GaBiNeTu. Ogromne pomieszczenie, osiemdziesiąt kilka metrów powierzchni, niemal pustej, przytłaczającej pustką: dwa ogromne fikusy między gigantycznymi oknami z nieśmiertelnymi radzieckimi draperiami, na przeciwległej ścianie dwa klubowe fotele warujące przy stoliku z politurowanym blatem i najważniejsze – dwunastometrowy bieżnik prowadzący do biurka, przed którym stały dwa krzesła. Służbowe. Też model radziecki: na siedzisku i oparciu wysokiej jakości kaliko mosiężne karbowane główki gwoździ, wyglądające trochę jak ustawione w pozycji bojowej czy godowej modliszki. Dziwnie wygodne. Sekret zawierał się chyba w proporcjach i kątach, bliskich prostym, ale nie prostym. Przy mającym kształt nerki biurku, z sześcioma oldskulowymi telefonami (żadnych dziwactw w stylu przenośnego panasonica!) i malachitowym kompletem biurowym (dwa pióra, długopis, dwa ołówki, kałamarz, bibularz i mała szkatułka nie wiadomo na co – stalówki?) siedział generał Grigorij Josifowicz Jarcew. Generał był drobnym mężczyzną, o małej głowie i odpowiednio małej ptasiej twarzy, może nawet twarzyczce, ale każdy, kto się z nim spotkał i wiedział, jakiego stopnia i stanowiska się dosłużył, myślał: „Musi być z niego kawał ogromnego skurwysyna, skoro przy tak nikczemnej posturze został komendantem milicji w Sankt Petersburgu”. Każdy, kto tak myślał, miał rację, z tym, że nie chodziło o pospolite skurwysyństwo, a generał nie knuł, nie kłamał, nie wkładał ostrego noska między spasioone pośladki wyżej usadowionych. Po prostu był organicznym przeciwnikiem przestępczości. Od dziecka. Jego wrogowie w firmie, i w ogóle w rosyjskich organach ścigania, mówili o nim (raczej cicho, prawdę mówiąc, szeptem) „pierdolony Batman, co się mści za zamordowanie rodziców”.

Był też człowiekiem nowoczesnym i elastycznym. Grubo po czterdzieście zamienił notesy i kałamarze na Windowsa i teraz oprócz malachitu i politory biurka uwagę przykuwały ogromny trzydziestodwucalowy monitor, którego ekranu petent zobaczyć nie mógł, oraz największy dostępny na rynku tablet, wpasowany w blat. Oczywiście odchylany, by nie

można było podejrzeć notatek, które natychmiast lądowały na dysku i ekranie monitora.

– *Zdarowja żelaju, towariszcz gienierał.*

Sukonin zatrzymał się zaraz za drzwiami, energicznie skinął głową, wyprostowany i gotowy do działania.

– Siadaj, Kostia – rzucił generał.

Żeby spełnić polecenie przełożonego, kapitan Sukonin musiał wykonać siedemnaście kroków. Usiadł, rozłożył na kolanach terminarz formatu A4.

– Co się dzieje w mieście?

– Nic szczególnego. Standardowe rozboje, grabieże na turystach, obrobione dwa małe banki. Nowy dowcip o glinach – zawiesił głos.

– No to zacznij od dowcipu. Dobry?

– Chyba tak. Gdzieś na wygonie, na peryferiach Petersburga, spotkanie bandytów. Merce, beemy i hummery. Nagle na plac wjeżdża zrypana milicyjna łada, wypakowuje się z niej gruby kapral w zaświnionym mundurze, poprawia portki na obwisłym brzuchu i sapiąc ciężko, lezie w kierunku zgrupowanych na środku placu zdziwionych bandziorów. Podnosi rękę do góry i drze się: „Co jest, kurna? Co się dzieje? Co to za zgromadzenie?”. Najbliżej stojący goryl pakuje mu do kieszeni bluzy zmiętą studolarówkę i powiada: „Spadaj stąd, szmulu!”. Kapral odwraca się, tupie do swojej łady i mruczy pod nosem: „Wiecznie jakieś sekrety...”

Generał reaguje odpowiednio. Śmieje się. Jest znanym miłośnikiem dowcipów o policjantach, milicjantach, glinach, łapsach, *mientach* i *musorach*^{*}.

– Prześlij – powiedział generał po chwili.

– Już wysłałem, towarzyszu generale.

– Dobrze. Dobry.

Na chwilę w gabinecie zapanowała cisza.

Generał pobębnił malutkimi paluszkami w blat biurka.

– A co poważnego?

Sukonin westchnął.

– Najpoważniejsze to podwójne morderstwo na ulicy Arsenalnej. Klasyka – zamordowano kochanka znanego poety i żonę tegoż, bo miał i jego, i ją. Ale mąż, ten poeta, w psychiatryku i nie śmierdzi groszem, a już na pewno nie takim, żeby zlecić morderstwo. Zwłaszcza że aktualnie jest wyznawcą, kapłanem i bogiem Aknasulem w jednej postaci. Lekarze wykluczają symulację. Najprawdopodobniejsza wersja: kobieta się komuś spodobała, bo ładna rzeczywiście, śledził ją i zabił kochanka. Potem zgwałcił, albo i nie, po czym zabił. Bo to, że przed śmiercią odbyła wielokrotnie...

– Pierdoliła się, krótko mówiąc. Dobra, prowadzicie intensywne dochodzenie?

– Oczywiście. Media strasznie gorąco podjęły temat. Posucha, więc wczepiły się w te

^{*} *Musory* (ros.) – gliny.

dwa trupy.

– Co jeszcze?

– W ostatnim czasie nic, towarzyszu generale.

– Nic, powiadasz. Wiesz, oczywiście, że Leninowi w ostatnich tygodniach życia drukowano inną niż dla wszystkich „Prawdę”? Żeby się nie denerwował?

Sukonin skinął głową i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– No więc nie szyj mi tu *innej prawdy*... Co mamy ciężkiego?

Sukonin otworzył usta, ale nie zdążył wydać żadnego dźwięku.

– Bo ja mam. Posłuchaj. Sześć miesięcy temu. Patrol milicji w Wyborgu rozszarpany na strzępy. Dwaj milicjanci i – jak sądzą operzy – przypadkowy przechodzień pochlastani na plasterki. Ale nie nożami i nie jebaną teksańską piłą mechaniczną! Lekarze mamrocą coś o szponach, pazurach... A prywatnie jeden mi zdradził, że najbardziej pasuje mu *Tyrannosaurus rex!* Potem, przed czterech miesięcy, z takich niecieężkich spraw mamy zaginięcia trzech staruszek i staruszka z tego samego podwórka. Znalaziono tylko torbę jednej z nich z cięciem, jakby brzytwą.

– Grigoriju Josifowiczu... Dwie babcie zostały odnalezione – wtrącił się z pewną urazą w głosie Sukonin, *że jak to*, znalaziono tylko torbę?!

– Owszem, setki kilometrów od Pitra, przy próbie zatrzymania wykazały się potworną siłą, pobiły milicjantów, uciekały, syczały i teraz są obie w psychusce, pod naszą obserwacją. W jednym przypadku, w Kazaniu, dyrektor psychuszki poradził sobie, sprowadzając dla niej pasy od zaprzyjaźnionego dyrektora cyrku. Pasy dla słoni z demobilu dla ważącej pięćdziesiąt dziewięć kilo staruszczeni. Dalej. Niemal jednocześnie, tyle że siedemnaście kilometrów od miejsca zaginięcia tego geropaku, ktoś wymordował całe schronisko dla zwierząt. Zwaliliśmy winę na młodych naćpanych sadystów z faszystowskim odchyleniem. Fajnie. Ale to nie oni. Zesraliby się na cztery kupki, jak mawiał mój ojciec, a nie daliby rady rozszarpać niemal sześćdziesięciu psów. Co ty na to?

– Moja babcia też tak mówiła – odważył się wtrącić Sukonin.

Pożałował natychmiast, ale już było za późno. Grigorij Josifowicz patrzył na niego uważnie, literat napisałby „badawczo”.

– Mam mówić dalej? – zapytał generał.

– Tydzień później znalaziono rękę, prawą i lewą stopę na brzegu Mojki w Nowej Holandii. Zaliczam do serii, bo obie kończyny na żywca oderwane od korpusu.

– Dobrze – pochwalił go generał. – Też mam tę sprawę w swoim wykazie. A masz horror spod hotelu Astoria?

Sukonin na sekundę wznosił oczy do sufitu.

– Dwa ataki serca i wylew. Troje staruszków: dwie babcie powalone na śmierć apopleksją, ich towarzysz – warzywny teraz – leży w szpitalu.

– *W tri pizdy kitajskowo boha duszu mat'!** – syknął Grigorij Josifowicz. – Znowu babcie i dziadkowie! Co to jest, a ? Powiedz mi, no, powiedz mi, Kostia, co to jest? Miasto dygoce, staruszkowie lżą nas i przeklinają, a oni mają, ci dziadkowie i babcie, swoich synów i wnuków, a oni, ta kochająca progenitura, ustosunkowana, bogata i bezczelna, wydzwania mi tu i łagodnie pyta, czy już nasze plemię seniorowe nie jest przez organa chronione?

Sukonin wystrzelił w generała spokojnym opanowanym spojrzeniem. Chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Sukonin przełknął ślinę i oblizał wargi.

– A jak się ma sprawa z kliniką Borody? – zapytał.

– A o co chodzi? – powiedział ostrożnie generał. – Przypomnij no mi – zażądał.

– Profesor Boroda, cztery lata temu otworzył nieopodal stacji metra Czornaja Rieczka ni to hospicjum, ni to umieralnię, ni to schronisko dla bezdomnych, biednych i samotnych. Dla zapomnianych przez Boga, znajomych i rodziny... To była druga jego „firma”, bo pierwsza, dla bogaczy, funkcjonowała świetnie od dziewięciu lat. Część zysków z tej firmy szła na utrzymanie hospicjum. Boroda przyjmował każdego, komu kostucha patrzyła w oczy z bliska. Z ulicy, z domów, ze szpitali... Wszyscy byli mu wdzięczni, nawet przedsiębiorcy pogrzebowi, bo mieli towar zgrupowany w jednym miejscu. – Sukonin zerknął na regał za plecami generała. – Czyta pan Pratcheta, prawda? – Generał skinął głową. – W którymś z nowszych jest taka rozmowa: „Co mówią o tym szpitalu? Że nie wszyscy tam umierają”. Czy jakoś tak. No więc ten zakład Borody miał stuprocentową umieralność. Nikt z niego nie wychodził. Jak się okazało, już po fakcie, zakład był na liście tematów komendy miejskiej, ale – wiadomo – inne priorytety, brak etatów i pieniędzy... No i fakt, że społeczność szkodli... tfu, przepraszam, szkodliwość społeczna jakby niewielka, prawda? Rodziny tych biedaków były szczęśliwe, że ich starzy z godnością i za darmo przecumowali na drugi brzeg. Oni sami – cóż, ich nikt nie pytał, ale generalnie wyglądało to dobrze. Jak ktoś ma umrzeć na ławce w parku, to lepiej w łóżku, choćby nawet pokrytym jednorazową pościelą.

– A gdzie tkwił haczyk? – zapytał lisim tonem generał.

– Cały numer polegał na tym, towarzyszu generale, że on na tym nieźle przycinał – powiedział Sukonin.

– Daj pomyśleć... – Generał opadł na oparcie fotela i zabębnił palcami po klapie marynarki. – Organy to pierwsze, co przychodzi mi do głowy, ale po chuj komu wątroba Marksa czy nerki dziurawe jak sieć rybacka?

– Oczywiście – odpowiedział Sukonin.

Wiedział, że generał jest w dobrym humorze, i że niemal podpuszcza go do gry w kosikosi łapci.

– Nie przejdzie, nie podpuszczaj mnie. Na ich oczy trzeba by założyć szkła jak dna słoików, żeby odróżnili butelkę wina od kartonu śmietany. Hm... Z drugiej strony, pamiętam,

* *W tri pizdy kitajskowo boha duszu mat'!* (ros.) – Coś jak *job twaju mat'* tylko rozbudowane: w trzy pizdy chińskiego boga.

jak byłem kiedyś na fermie strusi... Wiesz, że nic z nich nie wraca do ziemi? Skóra na cholewki butów, mięso wiadomo, pierze wiadomo, rzęsy... Rzęsy, wyobraź sobie, na pędzle dla malarzy, dziób i pazury – afrodyzjaki dla Chińczyków...

– Oni wszystko mają za afrodyzjaki – burknął Sukonin.

– Z dobrym, *job ich*, skutkiem, prawda? Miliard ludzi, cokolwiek by powiedzieć... Ale nie o to idzie. Ja wtedy pomyślałem, że człowiek to się tak... marnuje... Czuję, że Boroda też tak pomyślał i znalazł sposób na lepsze wykorzystanie zdychli. Tak?

– Ciepło, towarzyszu generale, bardzo ciepło – pokiwał głową Sukonin. – Nie organy, bo z tym za dużo zachodu – sterylizacja, specjaliści, badania na zgodność, przechowywanie, zbyt i transport... – Wzruszył ramionami. – To już dużo roboty. W każdym razie organy były na uboczu jego działalności.

– Nie mów! – syknął generał. – Krew? To geniusz szsz... Oż w mordę go! Pompował? Odpowiedziało mu skinienie głowy.

– Dużo? Drugie skinienie.

– Według naszych obliczeń w ciągu ostatniego roku niemal dwadzieścia hektolitrów.

– *Nie pizdi!**

– Po raz pierwszy od dłuższego czasu udało się komuś tak zadziwić generała, że szerzej otworzył oczy. – Przecież to stacja pomp wodnych?

– Bo to i był duży interes. Dwa trzy zgony w ciągu doby. Firma!

Generał zamyślił się, podrapał po brodzie, przebiegając szybko palcami.

– *Firma, blad', wienikow nie wiażet...** – mruknął do siebie. – No dobra, ale dlaczego dołączyłeś tę sprawę do poprzednich? I czy są inne, późniejsze?

– Dołączyłem, bo tu też staruszkowie – powiedział wolno Sukonin, gotów w każdej chwili migiem wycofać się, gdyby nie utrafił w myślenie generała. – I tam, i tu ofia...

– Co ty myślisz, że mam obsesję starości? – obruszył się generał. Sukonin uznał, że nie powinien pchać się z odpowiedzią, Jarcew sapnął chwilę. – Nie, to się nie łączy. Tam są morderstwa, a tu cyckanie, tam nie wiadomo jaki tyranozaur rozszarpuje geriatrię, a tu cwaniak wysysa z nich osocze. Tylko. – Rzucił okiem na ekran. – Masz coś jeszcze?

– Towarzyszu generale, żebym nie zanudzał pana różnymi niezwykłymi sprawami, w stylu ucieczka Zezowatego z Pitra, dwa burdele wysokiej klasy z nieletnimi, kradzież wycieczkowego statku, i tak dal...

– Jatki. Masz jeszcze jatki? Co tam, nasz tyranozaur wyniósł się do Moskwy? Nie pozwolimy! – Generał uniósł palec i pokiwał nim. – Moskwie nie oddamy nic!*

Konstantin Aleksandrowicz Sukonin, chrześniak i zięć generała Jarcewa, przygryzł dolną wargę.

* *Nie pizdi!* (ros.) – Nie pierdol!

* *Firma, blad', wienikow nie wiażet...* (ros.) – Firma, kurwa, nie wiąże mioteł (brzozowych); w domyśle: solidna firma.

* Antagonizm Moskwy i Petersburga ma niemal identyczne źródło historyczne i przebiega niemal identycznie jak w Polsce rywalizacja Warszawy i Krakowa. Żadna stolica nie może się pogodzić z istnieniem drugiej.

– Mamy jeszcze jedną rzeź, przedwczoraj... Pięciu gówniarzy na ulicy Thaelmanna. W biały dzień, stało się to w minutę, może dwie. Świadkowie, w tym matka jednej z ofiar, widzieli z okien i z ulicy, jak chłopcy siedzieli na ławce przed blokiem. Potem coś usłyszeli, matka i dwie sąsiadki wyjrzały – trupiarnia: kilkanaście litrów krwi, rozszarpane na kawałki ciała, pourywane głowy, ręce, nogi... – Odetchnął. – Fotografie...

– Mam – przerwał mu generał. – Mów, Kostia, mów.

– Nadal nic nie mamy. Grupka blokatorów zniknęła z oczu świadków dosłownie na dwie minuty i w tym czasie została rozszarpana. Pierwsza hipoteza: porachunki z innymi grupami blokatorów, powód – długi, podziały terytorialne, ale najpewniejsze... najprawdopodobniejsze to dilerka, chyba ktoś chce przejąć dzielnicę i albo natrafił na opór, albo po prostu postraszył. Zastanawia mnie również ta luka w obserwacjach świadków. Kilka osób widziało ich, a potem nagle przestali widzieć. Albo nie chcą widzieć, czyli świadczyć, bo wiedzą, czym to grozi, albo doświadczyliśmy jakiejś formy zbiorowej halucynacji, inaczej mówiąc: zbiorowego zaciemnienia...

– Ci gówniarze... mieli coś wspólnego z poważnymi interesami?

– Nie bardzo, niestety... W przeddzień rzezi jeden albo dwaj z pochlastanych uczestniczyli w bójkę w klubie „Onion”. Tłukła się Bieriezowka z Pawłową... – Generał lekko zmarszczył czoło, Sukonin szybko rzucił: – „Onion” to cebula, towarzyszu generale.

– Głupis. Bieriezowka to czyja, Baboczki*?

– Tak. A Pawłowa od zawsze była *pod kryszą Chamowitowo**.

– Czyli co?

– Czyli nie powinni się ciąć. Chyba że coś się zmieniło, a my jeszcze nie wiemy.

– Wykluczone! Co jak co, ale informacje mamy na bieżąco! – Generał płaśnął dłonią w biurko. Chwilę przesywał wzrokiem chrześniaka, nie widząc go. – Coś się dzieje niedobrego, Kostik, bardzo niedobrego... Czuję to. Ty nie?

Sukonin zastanawiał się chwilę.

– Naloty kruków – powiedział w końcu.

– Co? – Generał oderwał się od swoich grząskich myśli. – Co – kruki?

– O tej porze nie było ich u nas. A od dwóch tygodni mamy ich zatręśnienie, tak mówią ornitologowie.

– Coś ty, sfiksowałeś? – Jarcew chwycił stick tableta i szybko coś zanotował na ekranie. – Widzisz związek?

– Nie. Ale zastanawia mnie ta zbieżność.

– Zbieżność między czym a czym? – podchwytliwie zapytał generał. Zawisł nad ekranem tableta, wycelował ostrą bródkę w podwładnego. – Gadaj!

– Nagłe i niespodziewane nasilenie zbrodni związanych z ludźmi w podeszłym wieku –

* *Baboczka* (ros.) – motyl.

* *Pod kryszą Chamowitowo* (ros.) – pod dachem (pod opieką, patronatem) Chamowitego.

zarówno w roli ofiar, jak i... – zająknął się. – No, ofiar... Oraz nagle pojawiły się... równie nagle pojawiły się kruki. Mnie się to wiąże w jakiś czarny niemiły splot, ale nie potrafiłbym, towarzyszu generale, wyjaśnić, co mi się wiąże, jak i dlaczego. Może to mój perwersyjny umysł podsuwa mi równie zboczone myśli i skojarzenia?

– Czekasz, że zaprzeczę? Otóż nie, mój drogi! – Z plecami na oparciu fotela, generał końcem palca poprawił coś na ekranie. – Wiem, bo sam długo, uparcie i wytrwale pracowałem nad twoim umysłem, chcąc, by powstał geniusz sił prawa. To ja uczyłem cię kojarzenia, łączenia, segregowania i wyciągania wniosków i ufam ci teraz bardziej niż... temu tu! – Generał wskazał czubkiem brody gigantyczny monitor. – I skoro ty mówisz, że coś ci każe połączyć te dwa fakty, to ja chcę, żebyś natychmiast i w kompletnej ciszy uruchomił jakiegoś ornitoptera i niech on się zajmie krukami...

– Towarzyszu generale... – Sukonin podczas dotyczącej go przemowy siedział ze skromnie spuszczonej oczami, oczywiście, jego przełożony wiedział, że to komedia i Sukonin wiedział, że generał to wie, i umyślnie ją odgrywał. Teraz podniósł wzrok i ktoś, kto przez chwilę obserwowałby jego blaznowanie, zdziwiłby się szybkością przeistaczania totumfackiego generała. Teraz siedział przed przełożonym młody człowiek o spojrzeniu, którym można by kroić szkło, może nawet zbrojone albo hartowane. – ...ornitolodzy sami się rzucają na ten fenomen, jak sępy na ścierwo krowy. Wystarczy tylko sypnąć im jakiegoś grantu...

– Dobrze, sypnij. Co jeszcze?

Sukonin milczał chwilę. Potem oszczędnym ruchem podniósł rękę i potarł kącik prawego oka. Generał wiedział, że to oznacza pewne takie... zdenerwowanie podwładnego i przybranego syna.

– Towarzyszu generale... – zająknął się i zamilkł. – Grigoriju Josifowiczu... ja bym prosił o chwilę czasu. O dzień, może dwa... Chodzi mi po głowie pomysł, wierci się, przekłety, ale nie ujawnia się, a wiem, że jest... – Odetchnął głęboko i w końcu popatrzył w oczy generałowi. – Jeśli zacznę teraz mówić, to usłyszysz pan kupę bzdur, niepowiązanych ze sobą i mało sensownych, a za kilka godzin mam nadzieję na porządną konkluzję, na jakieś wątki, pomysły. Bo coś jest, jest coś w tym... – Wskazał palcem za okno.

Tym gestem jakby oddzielał generała od reszty świata kotłującego się za murami, jakby chciał powiedzieć, że nie musi się resztą przejmować, że świat dzieli się na życie generała i reszty, że on, jak ongi batuszka car, nie musi się przejmować resztą świata. Jarcew odruchowo popatrzył na okno.

Milczeli długą chwilę, potem generał westchnął i sięgnął do słuchawki interkomu.

– Nino, zrób nam dwie herbatki. – Odłożył słuchawkę i wygodnie rozsiadł się w fotelu. – Posiedzimy, napijemy się herbatki, jak Rosjanie w amerykańskim filmie: z kawałkami cukru między złotymi zębami, siorbiąc na kilometr, z bielomorami w kąciku ust. – Zapatrzył się w sufit. – Ale zasłużyliśmy na taką opinię... Choćby przez to, że sami pokazywaliśmy taki obraz

Rosji za granicą. Chyba nam się wydawało, że jak do krajów demokracji ludowej idzie komedia, w której sami kpimy ze złotozębnych szpanerów, to te kraje podziela naszą opinię i też dobrodusznie ich wyśmiejają. A te kraje, na ogół – tak przynajmniej twierdzą teraz – nieprzychylnie nam, chętnie przyswajały sobie te obrazy i tworzyły z nich stereotyp Ruskich: pijak, głupek, cham...

– Wiadomo, że odwaga staniała, teraz każdy pamięta, że walczył z czerwonymi, i że wywalczyłby więcej, gdyby go na czas powiadomiono, gdzie i kiedy zbierają się bojownicy – coś takiego wyczytałem w jakimś wystąpieniu polskie... – Znieruchomiał z otwartymi ustami, po chwili zamknął je, nadal bez dźwięku.

Generał nawet nie drgnął; znał takie stany swojego chrześniaka: teraz w mózgu Sukonina odbywała się histeryczna gorączkowa selekcja, że sita, cały system sit cedził informacje, oddzielał, przerzucał na boki, przesuwiał, znowu łączył i przesączał, by na końcu pokazać jedno zdanie, jedną myśl, wskazówkę. Siedzieli tak, nieruchomi, dobre pół minuty.

Potem drzwi cichutko skrzypnęły i po chodniku zaczęła maszerować Nina Fiodorowna z zastawioną tacą. Generał skierował na nią ostrzegawcze spojrzenie, kobieta zwolniła, ostatnie kroki stawiała naprawdę bezgłośnie, ale to wystarczyło, by Sukonin kaszlnął, zakrztusiwszy się śliną, odchrząknął.

– No... gdzieś... – powiedział trochę ni w pięć, ni w dziewięć.

– Dobra, teraz herbatka, potem będziesz myślał.

Nina Fiodorowna wiedziała, że herbatka oznacz dziewięć torebek earl greya na osiemset mililitrów wrzątku, świeżego, „żywego” – jak mawiał generał, udzielając jej lata temu lekcji parzenia herbaty – takiego, gdy nie odrywają się jeszcze od dna wielkie bąble, kiedy woda jeszcze nie jest odtleniona, ma mleczną barwę i najlepszy smak na herbatę. Do tego celu sprowadziła cztery elektryczne szklane czajniki; cztery, żeby widzieć, kiedy woda jest mleczna i nie bać się szkła. Dwa jeszcze wylegiwały się w jej spizarence. Sekretarka szła wolno, odliczając w głowie sekundy, niezbędne do dobrego zaparzenia herbaty. Miała to opanowane do perfekcji, zresztą, nieperfekcyjna sekretarka nie zagrzałaby miejsca w sekretariacie generała. Przy tym wszystkim kilku oficerów organów bezpieczeństwa wewnętrznego miało swoje opinie o jej perfekcji w łóżku. Grigorij Josifowicz nic o tym nie wiedział. Był – jak kiedyś powiedział do Sukonina – zwierzęco wręcz wierny swojej żonie.

Strumień ciemnobursztynowej cieczy spłynął do szklanki generała – tu był wierny rosyjskiej tradycji: szklanka w koszyczku, tylko tak pił herbatę. Druga porcja spłynęła do szklanki Sukonina, znów nieobecnego. Generał nie patrzył na niego, żeby nie spłoszyć najęźszego analitycznego umysłu w swojej parafii. Sięgnął po szklankę, wciągnął aromat i cicho upił łyk bardzo gorącej cieczy.

Sukonin sapnął ze złością.

– Ni chuja nie działa. – Potrząsnął głową. – Przepraszam, towarzyszu generale.

– Nic, nic! Nie przejmuj się, przecież obaj wiemy, że za chwilę coś urodzisz. Pij herbatkę.

– Generał łyknął znowu. Niemal czuł, jak miła doza teiny spływa do żołądka i po chwili magicznych biologicznych transformacji, których przebieg kompletnie go nie interesował, rozpływa się po ciele i ośrodkach rozkoszy w mózgu.

– Jak tam w domu? – zagadnął rutynowo.

– W porządku, Grigoriju Josifowiczu. – Gdy padały prywatne pytania, niegrzecznie byłoby odpowiadać „towarzyszu generale”, zwłaszcza że Jarcew nie dalej jak przedwczoraj był gościem rodziny Sukoninych. Generał często odwiedzał swoją córkę i chętnie bawił się z bliźniaczkami wnuczkami. – Niestety, nie mam dla Iriny Matwiejewny dobrych wieści – lalki nadal leżą odłogiem.

Generał uśmiechnął się szeroko. Jego wnuczki, siedmioletnie brunetki o ogromnych ciemnych oczach, biegle bombardowały klawiatury dziesięcioma palcami, a lalki – ku rozpaczy babci – zalegały szafy i półki, niezmiennie czyste, uczesane, z niepomiętymi sukienkami, słowem – nieruszane od nigdy i w żadnych okolicznościach.

– Czasem wydaje mi się, że Irina już by się poddała, gdyby one choć raz w jej obecności pobawiły się tymi... – Generał nie miał dobrego zdania o Barbie i jej klonach.

– Negocjowałem. – Sukonin wzruszył ramionami. – Usłyszałem coś o pryncypiach, o zasadach, o nieokłamywaniu i oszukiwaniu dorosłych, do czego – o zgrozo! – namawia je dziadek... Tak więc, nie uzyskałem niczego.

– Dobra, urodziny za miesiąc z hakiem, babcia postanowiła pójść na całość i udać, że te lalki to nie jej roboty. – Generał znacząco pokiwał głową. – Zamówiła dwa palmtopy – oświadczył po chwili.

– No? – Sukonin udał, że zdziwiła go ta wiadomość. Tak naprawdę nie zaskoczyła, wcześniej teściowa zadzwoniła i poprosiła, żeby wybrał „jakieś wypasione palmy dla moich dziewczynek”. – To na pewno je zachwyci.

– A jakie wybrałeś? – rzucił niedbale Jarcew. Sukonin westchnął.

– Proszę nic nie mówić Irinie Matwiejewnie. To miała być niespodzianka i dla wnuczek, i dla ich dziadka. – Sięgnął po swoją szklanę, herbata już lekko przestygła, mógł się jej napić normalny człowiek. – Nie wiem czemu, ale od początku wątpiłem w powodzenie tej akcji. – Wypił trzy łyki. – Odmelduję się, dobrze?

– Idź, idź. I wracaj, jak tylko coś wydumasz. Odprowadził wzrokiem zięcia-chrześniaka-przybranego syna, wolno przeniósł wzrok na ścianę z sześcioma oknami, za którymi jednorodnym szumem informował o swym istnieniu Ligowski Prospekt. Do gabinetu docierał tylko szmer tak cichy, że mógł być imaginacją, projekcją audialną tego, co widziały oczy. Generał Jarcew dopił jednym łykiem herbatę, potem spokojnie sięgnął po termos i nalał sobie drugą szklanę jeszcze ciemniejszego naparu. Tę wypił równie szybko, albo może i szybciej, w końcu kilka stopni temperatury już uleciało. Prawą ręką wertował na tablecie swoje notatki, raporty, przerzucał albumy z dokumentacją z miejsc przestępstw. Potem uruchomił wyszukiwanie podobnych przestępstw, co zaowocowało zarzuceniem go lawiną podobnych

zdarzeń. Poświęcił pół godziny na ustawienie sieci słów kluczowych: „starzec”, „staruszka”, „bomż”^{*}, „kruki”, „rzeź”, „oderwane członki”, „masakra”, „brutalny/a/e”, „nadzwyczajna siła”, „nie prawdopodobna moc/siła”, „niewytłumaczalna/y”, które miały odseparować przypadki nieinteresujące, sprawdził i mniej więcej zadowolony, uruchomił program trałujący. *Sistema Uprawlenija Sobiratielnymi Dannymi* przy czterech oczkach sieci mogła pracować godzinę, przy tuzinie – do sześciu godzin. Generał Grigorij Josifowicz Jarcew westchnął, ale tak, że tylko ktoś, kto go dobrze znał, odnotowałby ten fakt. Kilka godzin czekania bez pewności, że otrzymane dane przydadzą się na cokolwiek. System, zwany przez pracowników SUSANIN^{*} (chodziły słuchy, że sami autorzy zaproponowali taką nazwę, ale nie zgodziły się betonowe fisze), bardzo często prowadził na manowce albo przynajmniej wkurzał niezbornością wyników.

Generał uruchomił jeszcze drugą wyszukiwarkę. Po chwili, widząc setki tysięcy wiadomości usiłujących wdrzeć się do jego umysłu, zrezygnował, zerknął na wolno wypełniające się w prawym dolnym rogu ekranu naczynie/wskaźnik realizacji trału i westchnął.

– Ninoczka – rzucił do interkomu – co my tam mamy na dziś, co?

– Za pół godziny *letuczka*^{*}, potem do pierwszej nic, ale mam tonę papierów. O trzynastej dziesięć w sali galowej dwie nominacje na komendantów dzielnic.

Generał odwrócił się, odsunął usta od słuchawki, żeby nawet oddechem nie zdradzić ziewnięcia.

– Dobrze. Jak się zbiorą, daj mi znać.

Rozłączył się, trącił dźwignię fotela, oparcie opadło i włączył się masażer pleców. Generał miał problemy z dyskiem w okolicy lędźwiowej, masował więc obolałe miejsce i myślał.

^{*} *Bomż* (*biez opriedielonnowo miesta žytielstwa*; ros.) – bez określonego miejsca zamieszkania, bezdomny, często: menel

^{*} Iwan Susanin – Iwan Osipowicz Susanin, żyjący w XVII wieku wieśniak ze wsi Domnino, rosyjski bohater narodowy. Przymuszony do współpracy przez jeden z polskich oddziałów wojskowych zimą 1612-1613 w charakterze przewodnika, w celu doprowadzenia do ukrywającego się we wsi Domnino cara Michaiła Fiodorowicza. Susanin, nie chcąc zdradzić miejsca pobytu cara, zaprowadził najeźdźców w bagna, gdzie – za odmowę doprowadzenia do cara – został przez nich zabity. Dowodem na prawdziwość tej historii jest wydany przez cara dokument o darowaniu zięciowi Susanina, Bogdanowi Sabininowi, połowy wsi w dowód wdzięczności za bohaterski czyn teścia. W rosyjskiej prasie w 2003 roku pojawiły się informacje o odkryciu w relikwiarzu „Isupowo” pod Kostromą szczątków Iwana Susanina. Informację poprzedziły dwuletnie badania szczątków krewnych Susanina, żyjących i nieżyjących. Badania budowy czaszki, anomalii budowy ciała, chorób dziedzicznych i DNA wskazują, że odnaleziono szczątki Iwana Susanina.

^{*} *Letuczka* (ros.) – od *letiet*: lecieć; krótka narada na bieżące tematy.

ROZDZIAŁ 4

Zauważyłem już dawno temu, że większość posiadaczy komórek animizuje swoje mobajle: nosi je na smyczy, pieści, ubiera w futerały, jak pretensjonalne babony swoje chihuahuy we wdzianka w kratkę. Ja mam stosunek inny, moim zdaniem zdrowszy: nie czuję przed nimi lęku, nie boję się odmówić odbioru, nie rzucam się do zielonego klawisza, jakbym się bał, że w przypadku zwłoki komórka wczepi mi się przy najbliższej okazji w krtań. Wracając od Pierwomajskiego spotkałem na korytarzu Marylkę Śliczną. Nie była kobietą piękną, wbrew nazwisku, ale niezwykle sympatyczną i mało babską, cokolwiek by to miało znaczyć. Rozmawialiśmy chwilę, a ja olałem dwukrotne migotanie przedsiónek – komórka w kieszeni koszuli na lewej piersi miotła się, wzbudzona sygnałem połączenia. W pokoju zerknąłem na wyświetlacz i w tej samej chwili odezwał się sygnał SMSa. „Proszę o telefon pod numer...”

Nigdy nie oddzwaniam na takie SMSy. Ktoś ma do mnie sprawę, ktoś niech dzwoni.

Odezwał się drugi sygnał SMSa: „Wiem, że nie znosisz oddzwaniania, puść pikacza, gdy będziesz wolny. M.”.

Em. Em jak Maria, em jak Michał... Kurwa?! Em jak miłość?!

Odczekałem półtorej godziny, potem pofolgowałem ciekawości.

– No! Nareszcie! Macie od cholery roboty, co?

Majka?... Majka.

Nie brałem tego pod uwagę, sądziłem, że Wrocławowi nie udało się jej zatrzymać na dłużej.

– Wiesz, że wszelkich informacji udziela nasza rzecznik prasowy?

– A udzieli osobistych? Na przykład, czy masz ochotę na odwiedzenie starej przyjaciółki...

– Maja, ja...

– ...przykutej do mieszkania z powodu złamania kości strzałkowej na snowboardzie?

– A gdzie jest to przykucie?

Jak kapitulować, to szybko. Chyba Wańkowicz powiedział coś o tym, że jak już się ma ulec, to szybko, bo i tak człowiek ulega, a tylko się niepotrzebnie uświni...

Podawała mi adres, nie było daleko, ani od pracy, ani od Kwaśnej.

– Jutro postarałbym się...

– A dziś?

– Bierzesz byka za rogi? – Uśmiechnąłem się do telefonu.

Milczała chwilę za długo. Znaczy powstrzymywała się przed czymś, co uznała za zbędne, ale co cisnęło się jej na usta.

– Po prostu – dziś siedzę sama, jutro nie, pojutrze wizyta u lekarza, popojutrze... Nie lubię. Umawianie się na za trzy dni to już przesada, to znaczy, że żadnej ze stron nie zależy na spotkaniu.

– Dobra, dziś. O której?

– Dziewiętnasta?

– Dziewiętnasta.

– Trafisz?

– Znam Wrocław jako tako.

Nie powiedziałem jej, że to dziesięć minut spacerem od mojego mieszkania.

Po drodze były dwie kwaciarnie, w pierwszej serwowali wiązanki o urodzie i stanie utrwalenia Włodzimierza Iljicza, na dodatek zużycie konserwantów było równie wielkie, a skutek równie mizerny; w drugiej akurat wypakowali przekolorowiaste anemony. Żywiłem do nich spory sentyment – wygrałem swego czasu butelkę Tullamore Dew u gościa, który twierdził, że anemony to żyjące na rafach koralowych giętke organizmy. Ja zaś wiedziałem, że to zawilce są. Kupiłem tuzin zawilców.

Klatkę schodową niedawno odnowiono, ale już ktoś zdążył wysmarować czerwone serce z literami EB w środku. Drzwi do mieszkania Majki pachniały nowością, nie były jeszcze nawet obmalowane. Dzwonek nie działał – czyli żyje bez mężczyzny albo z dwuleworęczną fujarą. Otworzyła drzwi wysoka szczupła brunetka, sztucznie ciemne włosy kompletnie ją odmieniły, pojawiły się kurze łapki w kącikach oczu i bruzdy przy nosie, jakoby wynik częstego uśmiechu, ale mnie to tłumaczenie mimiczne nie przekonywało. Po prostu starsza o dziewięć lat kobieta. Podałem jej bukiet przez próg, ale widząc gips na nodze, cofnąłem rękę.

– Dam ci w poko...

– Nie wygłupiaj się, laski nie używam, bo mnie postarza.

Niemal wyszarpnęła mi kwiaty z ręki i pokuśtykała przez korytarz.

– Idź prosto, do livingu. Ja tylko włożę kwiaty do wody – rzuciła przez ramię.

Rozsiadłem się w pokoju, którego nigdy nie widziałem, ale znałem dobrze z innych wariantów. Gust Majki się nie zmienił, fotele przykryte wzorzystymi narzutami, dwie kontrastowe na kanapie, na największej ścianie obok siebie dwa razy wczesny Mark Rothko, żółć i ochra. Gdy Majka weszła do pokoju z bukietem w sześcianie ze szkła, wskazałem palcem reprodukcje.

– Późniejszy był w czerwieniach, purpurach, prawda? Raczej ciemniejszy?

– Chyba tak. Może pogłębiająca się paranoja? – Postawiła kwiaty na stoliku w kącie. –

Od kiedy interesujesz się Rothką?

– Nigdy się nim nie interesowałem. Nie zgłębiam takiego malarstwa, nie czuję, nie kupuję.

– Nie kupuję! – prychnęła. – Ludzie z pierwszej setki najzamożniejszych Polaków sprawdzają konto, zanim kupią jego obraz! Co ja mówię, obrazek! Szkic!

– Przecież wiesz, o co mi chodzi – udałem, że się obraziłem.

– Oczywiście, że wiem. Kawa-herbata-sok-mineralna? – Ruszyła w stronę kuchni.

– Mocna herbata – rzuciłem jej w plecy.

– Wiem, już parzę.

Książki nie zamierzały zdradzać charakteru ani upodobań gospodyni. Albo kupowała i ustawiała je bezładnie, albo były to wyłącznie prezenty od nieznaną jej ludzi: Lec obok *Słownika mitów*, potem *Życie w starożytnych Chinach*, *Mysza*, *Krajewski*, *Dziennik Virginii Woolf*, *Barańczak*, dwa albumy: *Muzeum Picassa w Barcelonie* i *Russkaja ikona*.

– Wiesz, jak do ciebie dotarłam? – Wolniej i ostrożniej, kulejąc mocno, dotarła do stołu i rozstawiła filiżanki. Nie poruszyłem się, wiedząc, że doprowadziłbym tylko do niepotrzebnej i niebezpiecznej szamotaniny.

– Zobaczyłam cię na zdjęciu z Rynku, oglądałeś foty z wystawy „Projekt 9000”, wiesz: Mount Everest plus sto kilkadziesiąt metrów nurkowania.

– Tttak, pamiętam – skłamałem.

Chwilę potem przypomniałem sobie, że rzeczywiście oglądałem te panele na Świdnickiej, a może w Rynku.

– Pomyślałam, że nigdy nie interesowałeś się ani górami, ani nurkowaniem tak mocno, by przyjechać do Wrocka specjalnie na tę wystawę...

– Przestań! Kto z nas ma w rodowodzie i zawodzie działalność wywiadowczą – machnąłem ręką.

– Aha. Czyli dalej w organach praworządności?

Uśmiechnąłem się enigmatycznie.

– Nie. Headhunter.

– Aha – powiedziała po raz drugi w ciągu minuty. – Płacą?

Skosztowałem herbaty. Była mocna, ale niedobra. Ani goryczki odpowiedniej, ani zapachu. Parzacha albo czaj, jak kto woli, ale w herbacie, w herbacie, jaką lubię, nie o moc chodzi. Musi być taka, że zamknę oczy i wiem, że piję herbatę, a nie gorącą goryczkową wodę.

– Bardzo dobrze płacą. Przy tym ludzie sami pakują się w moje sieci, a ja mam tylko odrzucić płocie i... te... jazgarze. A ty?

– Żonaty?

– Herbata mocna – odpowiedziałem. – A ty?

– Wysłałam za mąż cztery lata temu. Zbyszek jest starszy ode mnie o jedenaście lat. Jest

grafikiem komputerowym, dobrze zarabia, ale gorzej niż ja.

– Zawsze zarabiałaś więcej niż twoi mężczyźni – zauważyłem.

– Nie zawsze, ale, rzeczywiście, moje obrazki rozchodzą się nieustająco dobrze. Aż się czasem zastanawiam, co to znaczy. Pewnie to, że jestem kiczarą.

Wiedziałem, że nie czeka na zaprzeczenie, więc oszczędziłem go sobie. Majka poderwała się nagle.

– Pierniczki!

Wykuśtykała do kuchni. Wstałem i podszedłem do okna. Naprzeciwko miała ciąg garaży, a za nim boisko szkolne. Sztuczna nawierzchnia zieloną plamą wyróżniała się na tle szarych murów szkoły. Dwaj chłopcy wynosili z budynku siatkę pełną piłek do nożnej. Pewnie za chwilę zacznie się trening. Już miałem odwrócić się od okna, gdy nagle poczułem, że jeżą mi się włoski na karku. Usiłowałem zobaczyć w odbiciu pokój, ale nie było go tam. Odwróciłem się.

W drzwiach do pokoju, którego wcześniej nie obejrzałem, stał guimon. W postaci małego, może dziewięcioletniego chłopca. Wolno, żeby nie spłoszyć, a raczej nie sprowokować go do ataku, sięgnąłem do kabury. Oczywiście, nie było jej tam, nie łązi się z bronią dwadzieścia cztery na dobę, zwłaszcza jak się idzie do byłej narzeczonej. W połowie ruchu uznałem go za chybiony, ale – tak sobie wymyśliłem – on mógł nie wiedzieć, że mam tam tylko portfel z kilkoma niezbyt suto wyposażonymi kartami. Mógł się spodziewać wszystkiego, a zwłaszcza alsternu; miałem nadzieję, że się tego spodziewa.

Stał nieruchomo. Utkwił we mnie miękkie, nieprzyjazne spojrzenie, takie krowie. Szykował się do ataku, tego byłem pewien. Wysunąłem do przodu, powoli, lewą rękę z sygnetem i...

– Jesteś moim tatą? – zapytał guimon. Zesztywniałem, o ile to dało się jeszcze bardziej zesztywnieć.

Wolno przesunąłem samymi gałkami ocznymi, najbliżej miałem krzesło. Na pewno mogłem nim zatłuc małego, ale guimona nie. Mogłem wyskoczyć przez okno, pewnie nie zdążyłby mnie dopaść, ale skok z drugiego piętra starej kamiennicy, bez sprawdzenia lądowiska, nie skończyłby się dla mnie dobrze. No i Majka?...

Zrobiłem pół kroku w stronę krzesła, za nim stał mały stoliczek, taki wrocławski *hitlerrokoko*, a na nim spory mosiężny świecznik.

– Jesteś moim tatą? – cicho powtórzył... chłopczyk? Znieruchomiałem.

– Dziubeczku? – Majka wychyliła się zza framugi, wycierała dłonie w kraciasty ręcznik.

– Umyj rączki, zjesz ciasteczko. Dobrze?

Poczułem, że zdrętwiałe napięte mięśnie z trzaskiem i skrzypieniem puszczają. Chłopiec nie odwrócił spojrzenia ode mnie, ale słyszał mamę – skinął głową i nagle, nienaturalnie, po prostu zrobił krok do tyłu, nie patrząc, potem w bok i zniknął za drzwiami.

– To Mirek – powiedziała Majka. – Cierpi na porażenie mózgowe. Lekkie.

Zniknęła mi z oczu. Gdzieś w głębi mieszkania zasyczał strumień wody, ktoś, nie Majka, więc Mirek, zanucił coś. Teraz odetchnąłem, raz i drugi. Wróciłem pod okno, nie wiem po co, bo przecież już nie planowałem skoku, wychyliłem się i zerknąłem w dół. Kiepsko. Co prawda odrobinę w bok od spodziewanej trajektorii skoku stał kontener, ale wypełniony gruzem, widowiskowe hollywoodzkie lądowanie w kontenerze skończyłoby się zgruchotaniem kręgosłupa z naszpikowaniem przestrzeni wewnętrznej.

Ale obok okna przebiegała metalowa lina piorunochronu. Zachichotałem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Majka.

– Z piorunochronu, ale to śmieszne tylko dla mnie. – Wciągnąłem powietrze. – Pachnie ładnie.

Podszedłem do stołu. Pojawił się na nim kubeczek z pokrywką z dziobkiem i pierniczki. Szum wody ustał. Majka nie zareagowała, ale dałbym sobie wiele uciąć, że to z powodu doskonałego słuchu.

– Jeśli pamiętasz, pieczenie ciast nie było moją pasją, ale gdy pojawił się Mirko i miałam dużo czasu w domu, nauczyłam się kilku niezawodnych wypieków. – Odwróciła odrobinę głowę. – Chodź, Dziubuś, masz sok.

Mały bezszelestnie wszedł do pokoju, nie patrzył na nic szczególnego, na mnie też, ale gdy usiadł, wolno przeniósł spojrzenie na mnie i bezgłośnie po raz trzeci zapytał: „Jesteś moim tatą?”

– Mam zerowe doświadczenie w obcowaniu z dziećmi.

Powinienem dodać: „Poza tym, że zaszlachtowałem albo pomagałem w zamordowaniu kilkorga”, ale oczywiście nie dodałem. Oczywiście.

– Dziubuś każdego mężczyznę pyta, czy jest jego tatą – powiedziała spokojnie.

– A gdzie jest... – zacząłem. – Przepraszam. – Podniosłem rękę.

– Gdzieś. Nie interesuję się gdzie, a nawet cieszy mnie ta niewiedza.

Wyjęła ze stosu pierniczków jeden, podmuchała i podała synowi. Ten ruchem automatu wziął i włożył do ust niemal w całości, zamarł, jakby zdziwiony, że kęs nie daje się przełknąć gładko i szybko w całości. Majka spokojnie sięgnęła i chwyciwszy koniec piernika, wyciągnęła go chłopcu z ust, a potem włożyła jeszcze raz, ale do połowy.

– Gryziemy, Dziubeczku.

Mały ugryził i zaczął przeżuwać piernik. Sięgnąłem i ja, choć wcale nie miałem ochoty na nic poza siedemdziesiątką zimnej mocnej czterdziestopięcioprocentowej.

– Długo będziesz we Wrocławiu? – zapytała Majka.

– Nie wiem. – Popiłem gorącego pierniczka herbatą. Herbata taka sobie, piernik niemiły, ale razem dało się spożyć. Nic więcej – spożyć. – Wyjeżdżałem do Warszawy, sądząc, że tam będę na zawsze, ale los miał wobec mnie inne plany.

– Ustalmy jedno, wiem, że nie zmieniłeś firmy. Nie możesz czy nie chcesz, to nie mów. Ale dlaczego Wrocław? To jakaś forma zesłania? Czy może nagroda? Czy... – Uśmiechnęła

się i wruszyła ramionami. – Nie mnożmy „czy”.

– Raczej nie zaimplantowałem się w stolicy – powiedziałem. – Jakoś się tam dziwnie czułem. I kusila mnie, i odpychała. Ludzie o ekstremalnej budowie – wspaniali i ohydni. Buce i geniusze. Nie ma środka. I albo kochają, albo nienawidzą wszystko i wszystkich. Albo to ja mam taki spaczony odbiór, nie wiem... Na pewno za słabo ukrywałem swoje odczucia.

– Jak cię znam, w ogóle nie ukrywałeś.

– Może. A teraz ty – zaproponowałem.

– Projektuję wnętrza. To dobra, bardzo dobra fucha. I mogę to robić w domu. Kilka lat temu zrobiłam kasyno, spodobało się, właściciel zlecił mi trzy kolejne obiekty. Każdy dał zarobek równy przeciętnej rocznej pensji w Polsce. Nam wystarcza.

– Które to?

– Katowice, Poznań i Wrocław.

– Ale które?

– Ach, daj spokój. Nie zamierzam się krygować, nie widzę też specjalnych powodów do dumy. Dobre projekty i tyle. Z czego innego... – zawahała się – ...jestem dumna. Z bajek.

– Patrz, znowu coś nie z mojej parafii.

– Dam ci w prezen...

Mały pociągnął z dziobka, ale za mocno, albo wpadł mu do tchawicy okruch – rozkaszał się gwałtownie. Majka już była przy nim, chwyciła go za ręce i gwałtownie podniosła je w górę. Drugi raz, trzeci. Chłopiec kaszlnął, przyskajac ciemnobrazową ciapką przed siebie, i rozplakał się.

– Dziubeczku, nic się nie stało. – Maja wytarła buzię małego chusteczką, przykucnęła, krzywiąc się, widocznie zabolą ją kontuzjowana noga. Przytuliła synka. – Nic się nie stało. Możesz popić?

Mirek-Mirko skinął głową, znowu płynnym, ale robocim ruchem sięgnął po kubek i siorbał przez chwilę. Potem odstawił kubek i cicho czknał.

– Dobrze. Chodź z mamą.

Uśmiechnęła się do mnie i kulejąc, wyprowadziła chłopca. Dopiero teraz wytarłem z wierzchu dłoni kilka piernikowych piegów, z policzka dwa. Wstałem od stołu z herbatą w dłoni, podszedłem do okna, wychyliłem się i, nie widząc nikogo, szybko wylałem resztę naparu; pływało w nim kilka rozmamlanych okruchów nie do końca przeżutego piernika. Wróciłem do stołu. Słyszac kuśtykanie Majki, uniosłem filiżankę do ust i udałem, że właśnie dopijam herbatę.

– Chyba już na mnie czas – powiedziałem, odstawiając filiżankę.

– Zaprosisz mnie na jakieś lody? – zapytała. – Za kilka dni? Wróci Zbyszek z delegacji – poinformowała.

Może bała się, że nie będę ryzykował oplucia lodami.

– Oczywiście, że zaproszę. Już zapraszam. Tylko sprecyzujemy termin.

Majka skinęła poważnie głową. Zrobiła dwa kroki w stronę regału, sięgnęła do półki i wyjęła książeczkę, może sześćdziesięciostronicową.

Wyciągnęła w moją stronę. Obszedłem stół, odebrałem książeczkę i pocałowałem Majkę w policzek.

– No to do papa – powiedziałem. – Do zobaczenia.

Odprowadziła mnie do drzwi. Chyba chciała mi coś powiedzieć, i nie wiem, czy ja nie chciałem, ale nagle z pokoju Mirka rozległo się ciche rozczulające „maaamo?”. Majka skinęła głową i zniknęła za drzwiami.

Każdy na jej miejscu, ze mną włącznie, przeprosiłby, zrobiłby jakąś porozumiewawczą minę, przynajmniej wzruszyłby ramionami: „Obowiązki, sam rozumiesz”. Majka nie traktowała syna jak dopustu bożego, kary, ciężaru. Po prostu był taki, jaki był – część jej życia.

Westchnąłem, uświadomiwszy sobie, jaka ogromna przestrzeń dzieli jej silną siłę woli od mojej słabej. Odwróciłem się, chcąc ruszyć schodami w dół, gdy nagle drzwi obok mieszkania Majki otworzyły się, wyjrzała wysoka, chuda staruszka. Znowu poczułem przypływ adrenaliny, jednocześnie jakiś racjonalny trzpień w głowie poruszył się i wyemitował myśl: „Na każdego staruszka? Tak?”. Zatrzymałem się, idąc do schodów musiałbym w końcu pokazać jej plecy. A już wiedziałem, że nie lubię staruszków za sobą.

– Proszę pana... – wyszeptła staruszka. – Ja bardzo przepraszam... ale... Państwo poruszacie tak kontrowersyjne tematy... Ja spać nie mogę.

– A... Proszę położyć głowę nie na poduszce, tylko pod nią – poradziłem. – I nie spać ze szklanką przy uchu, bo się pani pokaleczy.

Może i ryzykowałem, że udaje tylko dementywnego wściuba, ale gdy ruszyłem, cofnęła się z szeroko otwartymi oczami. – Ty chamie... – syknęło coś za mną.

Zbiegłem po schodach na pierwsze piętro, zatrzymałem się. Jeśli to była nieszkodliwa babusia – pal diabli, ale jeśli Majka mieszka obok czegoś gorszego? Zastanawiałem się chwilę. W końcu uznałem, że bezbronny i tak niczego nie załatwię. Jutro, pojutrze wpadnę tu z tubą na ramieniu i... Oby okazało się, że mnie ponosi.

Szlag!

Zszedłem na sam dół. Na ulicyostałem chwilę pod daszkiem nad bramą, zastanawiając się nad całym popołudniem. Nie dałem rady sformułować żadnych wniosków. W końcu, odmówiwszy sobie papierosa, ruszyłem na przystanek. Autobus odjechał cztery minuty wcześniej, odczekałem kwadrans, wsiadłem i wbiłem się w kąt. Przypomniałem sobie, że trzymam w ręku bajki Majki. Okładka nie spodobała mi się, bura, posępna, smętna. Kiedyś, w czasach niedoboru czy zwyczajnie braku książek, pokazano mi zdobyte z wielkim trudem wydanie bajek Andersena z ponurymi grobowymi ilustracjami chyba Szancera. Nie można ich było pokazać dziecku, bo mogłoby mieć problemy z zaśnięciem. Majka, świadomie czy nie, uderzyła w równie posępny ton. Przekartkowałem książkę. Najweselszy obrazek

przedstawiał miłego blondasa trzymającego w dużych chłopskich dłoniach złotą rybkę. „Dlaczego nikt nie łowi złotych rybek?” – przeczytałem.

Do pewnej wsi przyszedł zmęczony wędrowiec, miał szmat drogi za sobą i – jak powiedział zapytany – jeszcze więcej przed sobą. Miał na imię Mandel.

Został we wsi na czas żniw. Pomagał każdemu, kto go o to poprosił, zarabiał, niewiele, ale zarabiał, miał gdzie spać i co jeść. Odżył.

A pewnego dnia, zaraz po pierwszym deszczu po żniwach, udanych żniwach, poszedł do lasu. Szedł tak długo, aż wyszedł na ogromną polanę. Zobaczył nieduże szmaragdowe jezioro. Nad soczyste zieloną tonią wisiała dostojna cisza, połowa brzegu zarośnięta była tatarakiem, druga połowa – jak marzenie – wysypiana złocistym piaskiem. Ani żywego ducha.

Człowiek o imieniu Mandel wykopał się w jeziorze i wrócił do wsi.

Zapytał o jezioro gospodarza. Ten popatrzył na niego uważnie i dziwnie.

– Nie chodź tam – powiedział. – To nie jest dobre miejsce.

– Dlaczego? – zdziwił się Mandel. – Jest piękne.

– Nie chodź tam. Niedobre miejsce – uciął gospodarz, odwrócił się i ruszył do obory, choć do dojenia krów było jeszcze sporo czasu.

Mandela zaintrygowała odpowiedź gospodarza, a właściwie jej brak. Zaczął pytać o wodę leśną innych mieszkańców wsi. Ku jego zdziwieniu wszyscy odpowiadali tak samo: niedobre miejsce, niedobra woda, nie chodź tam.

Po tygodniu, zaciekawiony coraz bardziej, ruszył z koszykiem, udając, że idzie na grzyby do innego lasu, zauważył bowiem, że gospodarz przygląda mu się uważnie, gdy sądzi, że Mandel tego nie widzi.

W lesie skręcił szybko i ruszył jego skrajem ku tajemniczej wodzie. W kieszeni miał splecioną z końskiego włosia linkę i haczyk. Mandel wymyślił sobie, że w takim mało odwiedzanym jeziorku muszą żyć piękne okazy ryb.

Gdy przybył nad brzeg, cisnął kobiałkę pod drzewo i już odwracał się, by zacząć łowienie, gdy zobaczył przybitą do sąsiedniego pnia deskę, na której wydrapanych było kilka słów. Czas, słońce, deszcze i śniegi wygładziły krawędzie rytych w miękkim drewnie liter, toteż Mandel długo stał z zadartą głową, zanim odcyfrował napis.

Wypowiedział go na głos:

– Jezioro Czterech Głupców.

Pomyślał chwilę i wzruszył ramionami.

– Utopili się? Głupie... – Uśmiechnął się. – No właśnie – głupie. Idąc do brzegu, powiedział do siebie: – Pewnie coś innego w ogóle jest wyrzeżane. Albo i nic nie jest, tylko mi się zdaje.

Szybko rozwinął motek linki, nałożył na hak jednego z kilku robaków, przechowywanych w grudce darni, zamachnął się i wrzucił haczyk z przynętą do wody. Splawik ze stosiny pióra leżał chwilę na wodzie, potem ustawił się jak należy. I po krótkiej chwili zniknął w toni. Mandel zaciął, poczuł spory ciężar, rzucił się biegiem od brzegu, chcąc jak najszybciej wyciągnąć upragnioną zdobycz z wody na brzeg. Po kilku krokach odwrócił się, słysząc szelest wysokiej trawy, zdobycz była już na brzegu, ale jej nie widział, wrócił biegiem.

Na końcu linki zatrzepotała się słabo Złota Rybka wielkości dużej dłoni, piękna, z błękitnymi oczami, karminowymi płetwami i ogonem, i złotym ciałem. Gdy zdumiony Mandel pochylił się nad nią, Złota Rybka nagle zatrzepotała mocniej, podskoczyła, wyginając się w łuk, zawirowała w powietrzu i oto przed przerażonym Mandelem stała piękna dziewczyna. Złotowłosa, szczupła, ociekająca wodą, z oblepiającym ciało szmaragdowym muślinem.

Mandel cofnął się o krok, drugi, potknął i zwałił na trawę.

– Złowiłeś mnie – powiedziała Złota Ryb... Dziewczyna. Jej głos brzmiał jak z lekka zakurzony kryształowy dzwoneczek, pięknie brzmiał. – Złowiłeś mnie, więc musisz spełnić trzy życzenia.

– Tak... – wykrztusił Mandel. – Ja... Zaraz?! – Poderwał się na równe nogi. – Ja??? To ty spełniasz trzy życzenia!

– Nie. To bajka, ta wiara w spełnianie trzech życzeń przeze mnie. Prawda jest taka, że to mnie je należy spełnić. Jeśli je spełnisz, będziesz szczęśliwy, ze wszech miar szczęśliwy. – I widząc, że Mandel nie rozumie, wyjaśniła: – Szczęśliwy pod każdym względem. Rozumiesz?

– A jeśli nie spełnię? – Bo i jak, pomyślał szybko Mandel. – Co ja mam? Ani pola, ani chaty, ani majątku. Jakie życzenia mógłbym speł...

– To będziesz głupcem. I będziesz żałował do końca życia. Mandel stał chwilę z otwartymi ustami.

– Co to za życzenia? – wykrztusił w końcu. – Bo wiesz, ja nic nie...

– Pierwsze: chcę być kochana. Drugie: chcę być szczęśliwa. Trzecie: chcę być wielbiona.

Mandel stał oszołomiony. Długą, długą chwilę tak stał. I dziesiątki myśli kotłowały mu się w głowie. Otworzył usta, zamknął je. Znowu otworzył, chcąc zapytać, jak ma je spełnić, ale popatrzył w szmaragdowe oczy i zrozumiał, że słowa nic tu nie znaczą. Spełni te trzy życzenia albo nie. Dziewczyna była piękna, i mogła uczynić go szczęśliwym, ale to ona chciała być szczęśliwa... Mandel potrząsnął głową.

– Nie dam rady – powiedział cicho. – Ja nie spełnię twych życzeń.

– Nie chcesz być szczęśliwy? – zapytała zdziwiona Złota Dziewczyna.

– *Bardzo chcę. Ale twoje życzenia są nie do spełnienia. Mogę cię kochać, mogę starać się uczynić cię szczęśliwą, ale skoro mówisz o uwielbieniu, to nie dotyczy to tylko mnie. A wtedy, jeśli będziesz powszechnie wielbiona, ja nie będę szczęśliwy. A jeśli ty nie będziesz wielbiona, to nie będziesz szczęśliwa. – Pomyślał chwilę i pokiwał głową. – Tak – powiedział jakby do siebie. – To jak śnieg i ogień. Tylko przez chwilę mogą być razem, przez mgnienie oka, potem jedno się zmienia, a i drugie nie jest takie samo jak przedtem. – Popatrzył w szmaragdowe oczy. – Żegnaj, Złota Rybko.*

Odwrócił się i nie dbając ani o kobiałkę, ani linę z haczykiem, ani o Złotą Dziewczynę czy Rybkę, szybko wszedł w las i zniknął między drzewami.

Złota Dziewczyna wzruszyła ramionami. W jej szmaragdowych oczach błysnęły złote łzy.

– Nawet nie spróbował – wyszeptała do siebie. – Głupiec.

Odwróciła się i skoczyła do wody. Mandel zaciekle przedzierał się przez gęsty las.

W jego brązowych oczach błyszcząły łzy, co chwila ocierał nos.

– Dobrze, że nawet nie spróbowałem. Nie jestem głupi.

Słońce przebiło się kilkoma promieniami przez gęstwinę liści, złotym pędzlem maznęło po przybitej przez nie wiadomo kogo, nie wiadomo kiedy, nie wiadomo po co desce.

– Jezioro Pięciu Głupców – przeczytałby ktoś, kto byłby tu teraz. Lecz nie było nikogo. Ale pewne było, że ktoś taki będzie. Przyjdzie. Głupiec, bo spróbuje. Głupiec, bo nie odważy się spróbować...

* * *

Omaliem nie przegapiłem swojego przystanku, obok piątego LO. Wskoczyłem w ostatniej chwili.

W domu zastanawiałem się chwilę nad sposobem zagospodarowania reszty dnia, w końcu zdecydowałem się na wyniesienie butelek.

Ekokontenery znajdowały się na tyłach sklepu. Nie wiem dlaczego proces wyrzucania butelek, a zwłaszcza towarzyszący im hałas, zawsze mnie deprymował, nieważne czy wyrzucałem je o świcie, w południe czy w nocy. Szkła białego było w pojemniku dużo, odgłos cichszy, ale w kolorowym brzęczało na całą ulicę.

Zza rogu wyłonił się starszy pan, kapelusz, prochowiec, laseczka, szczupła miła powierzchowność. Na mój widok uniósł lekko kapelusza.

– Dzień dobry panu – powiedział z powagą. Jakbyśmy się spotkali w filharmonii, a nie przy śmietniku.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

Wcisnąłem w otwór pojemnika „Plastik” foliową torbę i skinąwszy głową w stronę dystyngowanego eko-staruszka ruszyłem do domu.

Polska, cholera, inteligencja spotyka się przy śmietnikach. I w szmaciakach.

Wypaliłem ostatniego papierosa z paczki, kupiłem nową.

I postanowiłem jutro kupić epapierosa. Powalczyć serio z nałogiem.

„Lubisz, Kamilku, powalczyć z jakimś godnym przeciwnikiem” – pomyślałem ironicznie, dopalając papierosa przed wejściem do bramy. „Z kimś ci równym. Ze sobą, najlepiej ze sobą, co nie?...”.

W domu odezwała się poczta głosowa, mechaniczny, dziwnie akcentujący i jakby zdyszany kobiecy głos wyklepał: „Masz. Jedną. Wiadomość. Nagraną. Dzisiaj. O. Dziewiętnastej. Dwadzieścia”.

– Tu Maja. Nie wiem, co sobie myślisz, jak mnie widzisz po tej wizycie. Ale pewnie masz rację, zbyt często jest zwyczajnie do dupy. Mam w sypialni trzy szafy z podwójnymi lustrzanymi drzwiami, czasem, gdy siedzę przy toaletce, a drzwi odpowiednio się ustawiają, czyli lekko pouchylają, widzę cały pokój, troszkę, wiesz, zdeformowany na stykach luster, rozciągnięty, albo skomasowany, ale nie widzę w nim siebie. Dziwny pokój, na pewno mój i na pewno inny niż mój. Beze mnie. I tak się czasami czułam: jakby mnie w tym życiu już nie było... Tyle ci chciałam powiedzieć, żebyś nie myślał, że nie wiem, że jest kijowo. Boże, co za styl, zecztery „że” w jednym zdaniu! Muszę zacząć na przekładkę używać „iż”. Zatem, informuję cię, iż zaproszenie na lody jest aktualne. Pa.

Jeśli. Chcesz. Skasować. Wiadomość. Naciśnij. Siedem. Jeśli... Nacisnąłem siódemkę.

Wiadomość. Skasowana. Jeśli. Chcesz. Zmieniść. Swoje. Preferencje. Naciśnij. Cztery.

Odłożyłem słuchawkę, nie zmieniając swoich preferencji.

Może zwyczajnie nie byłem pewien, jakie one są, jakie być powinny.

ROZDZIAŁ 5

Sukonin na ogół nie wykorzystywał swojej uprzywilejowanej pozycji w petersburskiej milicji, ale mała toaleta obok jego pokoju była przypisana tylko do niego, a wyrazem tego był brak tabliczki na drzwiach. Nikt też nie zamykał jej na klucz, a mimo to nie zdarzyło się, by kiedykolwiek ktokolwiek z niej skorzystał. Konstantin Aleksandrowicz Sukonin urządził sanitariat wedle własnego gustu, wyposażył w nietypowe, choć nie szpanerskie baterie oraz kosmetyki i apteczkę i nigdy nie zginęła mu ani kropla waleriany czy tabletki multiwitaminy.

Kostia Sukonin, jako sześciolatek z Wołogdy, ze swojej rodziny pamiętał tylko wuja Stiepana. Tylko dla tego, że oddech *diadi* Stiopy był najgorszą rzeczą, jaką zapamiętał. Nie wodniste zupy w sierocińcu, nie słonawą kaszę mannę, nie pierdzących na wyścigi kolegów od leżakowania. Nie, zapamiętał śmierdziela w ustach wuja. I kpiny kolegów, którzy sprzeczali się, kto bardziej śmierdzi – pierd czy Stiopa. Dorosły Konstantin Sukonin dbał o higienę jamy ustnej bardziej niż o serce, trzustkę czy samochód. Czyścił zęby cztery razy dziennie, po trzy minuty, plus płukanie. Zmieniał końcówki elektrycznych szczotek co miesiąc, a szczotki co trzy. Albo częściej, jeśli pojawił się jakiś elektryzujący model.

Właśnie masował dziąsła, czytając jednocześnie „Wiedomosti”, gdy odezwała się jego komórka. Krótki dzwonek.

Sukonin poderwał się z sedesu i wykonał kilka dopracowanych ruchów: szczotka wylądowała w gnieździe ładowarki, zawartość szklaneczki z zielonkawym yoncabinem odświeżyła usta, dwie minuty od wezwania Sukonin maszerował w kierunku windy, po kolejnej minucie był już w sekretariacie Jarcewa. Tym razem nie królowała w nim Nina Fiodorowna. Trzej zastępcy generała zmierzili go pytającymi spojrzeniami. Sukonin strzelił obcasami i energicznie pochylił głowę. Kowalow i Liptas odpowiedzieli, salutując, Sapożnik, energicznie wystukujący na klawiaturze nowiutkiego G1 „esesmana”, skinął tylko głową. Sekretarka wskazała drzwi do gabinetu.

– Jeszcze chwileczka – poinformowała pozostałych. Sukonin szybko otworzył drzwi i energicznie przebył metry dzielące go od komendanta.

– Kostia – powiedział Jarcew – w Moskwie ktoś zabił w cerkwi popa, niejakiego Sysojewa. Słyszałeś?

– Nie, byłem... daleko od radia – przyznał Sukonin.

– Tak, siedziałeś na srczu i czyściłeś zęby – machnął ręką generał. – Oficjalnie został zastrzelony, jego pomocnik, jakiś diak – ranny.

– A naprawdę?

– Naprawdę gówno wiadomo. – Generał zerknął na ekran. – Wczesny ranek, w cerkwi siedemnaście osób, wszystkie nad podziw leciwe, żeby nie powiedzieć stojące nad grobem. Tuzin z nich jest w szoku, dwoje na reanimacji, pozostali w nie lepszym stanie, wszystkich wprowadzono w śpiączkę farmakologiczną.

– Nie chodzi o to, że się przejęli śmiercią popa? – ostrożnie wyraził przypuszczenie Sukonin.

– Nie. Przeżyli coś koszmarnego, tak bełkotali, że nie dało się wyciągnąć z tego nic sensownego.

Kapitan milczał chwilę, ale krótką.

– Zastrzelony? – zapytał, przypomniawszy sobie dziwne zestawienie słów „oficjalnie zastrzelony”.

– Nie. Zakłuty. Dziesięć głębokich ran. Druga ofiara, ten ranny – tylko chłaśnięty czymś w szyję, dość niedbale. Morderca miał jakiś kirys, sztylet, jakiś cholerny kitajski kilof czy jeszcze coś innego.

– Ale...

– Czekaj. Ja muszę stanąć na czele speckomisji. Cała Rosja szuka zbója.

– A ja...

– Ty nie. Ty zostajesz przy tym, o czym rozmawialiśmy rano. – Generał zerknął na zegarek. – Jakie tam rano! Godzinę temu. Jasne? Dalej poganiaj swoje szare komórki, czy może złote, byle działały. I jak tylko coś wykombinujesz, zgłaszasz mnie. To wszystko, działaj! – Generał pacnął w przycisk na biurku.

Sukonin szybko ruszył do wyjścia, w połowie drogi usunął się na bok, przepuszczając zastępców Jarcewa. Zaprzyjaźniony z Sukoninem major Liptas uniósł jedną brew, jakby pytając o coś, może o nastrój komendanta, albo dając sygnał: „Kostia, wiem, że masz co innego do roboty, kurwisynu! A my będziemy wygniatli jajca na naradach, *letuczkach* i operatywkach”. Wyszedł z gabinetu i zatrzymał się. Coś poruszyło się pod warstwą zwykłych myśli. Stał chwilę w ciszy, ale sygnał nie narastał. Dobra, pomyślał, coś jest, pojawi się, wyłoni. Daję sobie czas.

W swoim gabinecie włączył Kenny’ego Rogersa i stanął przy oknie. Wychodziło na wewnętrzny dziedziniec, i to cieszyło Sukonina. Ulica Czajkowskiego nie wyróżniała się niczym na tle innych petersburskich ulic. Trochę zieleni, nieustanny ruch samochodowy, nudy. Dziedziniec był jeszcze nudniejszy. Mizerny trawnik z klombem, który załatwiłaby para jamników, gdyby były takie w budynku MSW. Nieciekawe garaż – dwie limuzyny, z lekka opancerzone, jaguar do zadań specjalnych i dwie beemwuszki do pościgów, zawsze za późno wyprowadzane na łowy. I dobrze. Dobrze, bo nic nie rozpraszało myśli Konstantina

Sukonina. Kenny Rogers melorecytował coś poza świadomością oficera. Stał przed lustrem i przyjrzał się sobie. Siebie okłamywać nie musiał – jego żona przybiegła kiedyś do ogrodu, gdzie bawił się z córkami, i szepnęła tajemniczo: „Chodź, pokażę ci coś!”. Okazało się, że ogląda z przyjaciółką *Gran Torino*, i odkryła, że grający rolę ojca Janovicha Christopher Carley toczka w toczkę przypomina jej męża. No, Sukonin miał nieco ciemniejsze włosy i nie tak falujące, ale poza tym – wypisz wymaluj klecha. Łagodne rysy, miłe spojrzenie przyjaznych oczu. Kiedyś, na początku kariery milicyjnej, ubolewał w skrytości ducha z powodu swojej powierzchowności, marzył mu się obraz twardego stróża prawa o lodowatym spojrzeniu i szczęce wprawiającej w drżenie bandytów. Na szczęście, jako czołowy analityk z wynikami wystarczającymi do nagród dla całej grupy innych pracowników MSW, nie musiał przenikliwym spojrzeniem mierzyć przestępców ani zarysem szczęki łamać ich oporu. Na wszelki wypadek nie zaniedbywał jednak ćwiczeń w sambo, przyzwoicie strzelał i przebiegał dwa kilometry bez większego wysiłku. Miał dopiero trzydzieści cztery lata, ale był świadomy, że każdego dnia jest starszy i stale odrobinę podnosił sobie poprzeczkę ćwiczeń, które miały utrzymać go w przyzwoitej formie.

Stał od kwadransa przy oknie i starał się nie myśleć o sprawie, o dziwnym skojarzeniu teścia: staruszkowie, kruki, pop, rozszarpane psy... Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak notatki do horroru klasy B, ale Sukonin wiedział, że jego przełożony na tyle rzadko się myli, że można w ogóle nie brać tego pod uwagę. W granicach błędu statystycznego.

Kapitan stał ze spojrzeniem utkwionym w nudne podwórko, ale nie patrzył na nic, właściwie to już nie widział niczego. Odpychał myśli bliskie, proste, oczywiste, konstatacje widzianego; starał się odczekać i przetrzymać własny umysł, aż ten, lekceważony przez właściciela, podsunie mu inne, głębsze skojarzenie, zazwyczaj błyskotliwe, zaskakujące. I potrzebne. Zatracił poczucie czasu, wszedł w rodzaj prywatnego transu, który dobrze znały nawet jego siedmioletnie córki – mogły wtedy bezkarnie odciąć mu nogawkę spodni (kiedyś to właśnie zrobiły) i wiedziały, że papa nie rozzłości się, kiedy wróci do nich, tylko uśmiechnie się przepraszająco, przytuli, połaskocze. Niedbale strzepnie z nogi odciętą nogawkę i zaproponuje nową, zawsze zaskakującą i ekscytującą zabawę. Sukonin po takim transie najczęściej czuł, jakby ktoś podliftował mu jego własny umysł albo uruchomił dopalacz. Warunkiem było jednak odbycie całego „seansu”, a tym razem wyrwał go z niego dzwonek telefonu. Żona.

Sukonin nie westchnął, nie pokręcił głową. Walentynę uważał za swój skarb, a skarby się ceni i kocha, nie wzdycha się, patrząc na swoje bogactwo. Konstantin wcisnął przycisk połączenia i powiedział:

- Tak, słoneczko?
- Cześć, co u was?
- Sraczka, jak mówi mój teść. Ten zabity pop, Sysojew, wiesz?
- No pewnie, trąbią w radiu na okrągło, telewizja też nic nie wie, ale okleiła cerkiew

Świętego Tomasza kamerami i opisała już chyba każdą cegłę budynku.

– No, powszechne ruszenie. Wszyscy kucają, bez względu na potrzebę. Ale można będzie powiedzieć, że siły porządkowe zmobilizowane i ujęcie sprawcy jest tylko kwestią czasu. A u was?

– A my spotkałyśmy na spacerze Agłaję Nikanorownę, pamiętasz ją?

– Tak, ten *kalabok*^{*}, co to aż się chce ją schrupać? Okrągła, rumiana, słodkowska?

– Przestań, zbrojeńcu!

– *A propos* zbrojeńców: wybierasz się do fryzjera? Do mistrza Władysława?

– Tak, po południu.

– Wiesz, że jeśli ten *galuboj*^{*} dotknie czego innego niż koniuszki twoich włosów pozabawię go...

– Aha. Powiem. Ale już mu ktoś powiedział, bo stara się dotykać tylko koniuszków włosów, i to za pomocą strumienia suszarki i zębów grzebienia.

– No i dobrze. Bo mu nawet święty Sebastian nie pomo...

– Czekaj! – krzyknęła nagle Walentyna do słuchawki i do kogoś innego: – Ty tam, kolego?! Wynocha, ale już! – I do męża: – Jakiś pijaczek kołysze się nad dziewczynkami!

Usłyszał, jak zastukały obcasiki jej szpilek na asfalcie alejki. Walentyna, córka i żona milicjanta, umyślnie nie rozłączała się, by miał kontrolę nad sytuacją. Zaniepokojony lekko, słuchał, jak szybko pokonuje przestrzeń, potem wchodzi na jakiś miękki odcinek podłoga, w końcu podniesionym głosem mówi:

– Właśnie rozmawiam z milicją, albo już cię nie ma, albo za chwilę patrol pomoże ci... No, tak lepiej.

Po chwili uniosła słuchawkę do ust.

– Już. Nieszkodliwy pijaczyna, może zdziwiony, że widzi w delirce dwie takie same dziewczynki, a babcię tylko jedną? – Zachichotała. – Słucham? – Znowu nie do męża. – Dobrze. Oczywiście, że będziemy tu jutro, tak, tak... *Do swidanija*.

Sukonin cierpliwie czekał.

– Agłaja Nikanorowna idzie do cerkwi pomodlić się za duszę Daniła Syso... A co ma do tego święty Sebastian? – przeskoczyła nagle na inny temat. – To nie jest patron żołnierzy? Może *legawych*^{*}, co?

– Nie wiem, sprawdzę – roześmiał się Sukonin.

– No to pa. Wracaj szybko. Czy może macie stan podwyższony?

– Ja nie mam. Będę o czwartej. Pa. – Pa.

Konstantin Sukonin rozłączył się, nie patrząc, i zamarł w pół ruchu – stał z wyciągniętą ręką, jakby proponował komórkę komuś niewidzialnemu w gabinecie.

^{*} *Kalabok* (ros.) – ciasto w kształcie kuli; w rosyjskiej bajce uciekło z dzieży i turlając się, wędrowało po świecie.

^{*} *Galuboj* (ros.) – błękitny; w mowie potocznej: gej.

^{*} *Legawij* (ros.) – legawiec, w potocznym rosyjskim: gliniarz.

Sebastian... Sebastian... Zarazzarazzarazz... Co to było?... Kto mi to mó... A! Romancew! Tak, po powrocie z Polski, gdzie trafił na festiwal gejów i lesbijek. Że u nas święty Sebastian jest patronem żołnierzy, strażaków, myśliwych, łuczników, a u Polaków pedałów... Pedałów... Polaków... Sebastian... Pedał... Gej... Polak... Pol... Aaa! POLAK! Tak! Mamymamymamy mamy cię!!!

Sukonin cisnął słuchawkę na teczkę z papierami i z całej siły uderzył pięścią w otwartą lewą dłoń. Ogarnął go dobrze mu znany stan podniecenia. Uwielbiał ten moment, kiedy nagle podnosiła się kurtyna, przesłaniająca coś, czego pragnął i do czego się garnał. Teraz, wiedział to z doświadczenia, przez jakiś czas umysł będzie pracował jak po amfetaminie czy efedrynie, bez żadnych nieprzyjemnych skutków ubocznych – biegunek, jadłowstrętu, impotencji i innych takich kosztów zażywania „błogosławieństwa bogów”.

Usiadł przy biurku, przysunął blok papieru (elegancka cienka japońska bibułka) i ulubiony ołówek Pilot 0,5. Stuknął w klawiaturę, drzemiący pod screensaverem ekran monitora ocknął się i rozjarzył, pokazując symulującą Maca przeglądarkę Safari. Sukonin odchrząknął i runął w Sieć. Oderwał się od lektury tylko na czas potrzebny do zaparzenia ogromnej kawy, której połowa zaległa w designerskim, ale nadzwyczaj skutecznym termosie nowozelandzkiej firmy HotSteel. Lektura była nadzwyczaj frapująca, a tłumacz internetowy, wersja Beta z najlepszego i najskuteczniejszego laboratorium MSW, znakomicie radził sobie z językiem polskim. W ciągu godziny potknął się zaledwie cztery razy, a i to nie przy artykułach prasowych, od których kapitan rozpoczął przeszukiwanie Internetu, ale przy komunikatach instytucji utrzymania praworządności Rzeczypospolitej Polskiej. Na przykład tłumacz namolnie usiłował przerobić Abwera na Abwehra. I kompletnie nie godził się na nowotwór „moher fucker”.

* * *

Rozgryzałem właśnie kwestię zakrapiania kartridża epapierosa liquidem, celem przygotowania obu, kartridża i epapierosa, do palenia, gdy odezwał się interkom, a to nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

Dwie minuty później zameldowałem się u pułkownika Majskiego.

– Proszę siadać, poruczniku.

Usiadłem. Służbowo, bez zakładania nogi na nogę, bez luzu w nadgarstkach.

– Nudno u nas od kilku dni – zwierzył się pułkownik. – Dlatego miałem czas i ochotę na jeszcze szczegółowsze zapoznanie się z pana dossier. Wywołuje ambiwalentne uczucia.

Zamilkł, dając mi chyba czas na wytłumaczenie się. Milczałem.

– Nie wiem, dlaczego podkreśla się w nim pańską niechęć do ludzi starszych i wierzących, a zwłaszcza starszych wierzących. Dlaczego?

– Dlaczego się podkreśla? Nie wiem, mogę się tylko domyślać, że autor dokumentacji

chciał coś przez to powiedzieć. Może sam jest osobą starszą i wierzącą? Ktoś się podpisał, panie pułkowniku?

– Stochard, bez cyrku, dobrze? – rzucił groźnym tonem. – Autor raportu nie może za cholere ci zaszkodzić, więc usiłuje przynajmniej nasrać ci w papiery, kładąc nacisk na takie rzeczy, jak... – Pułkownik zerknął na kartkę z notatkami i zacytował: – bezprawnie i niezgodnie z regulaminem używa stopnia „komisarz”, zwłaszcza w ksywce „Komisarz Kosa”. – Majski nagle uśmiechnął się. – Co za matole! – Pokręcił głową.

Zrobiłem minę, jakbym się zgadzał z jego oceną. Bo się zgadzałem.

– A co z tymi wierzącymi staruszkami? – zapytał Majski. – Jakiś uraz z dzieciństwa, daj Boże? Wiesz, teraz ofiary pedofilów, efebofilów i pewnie gerontofilów, mają dobrze – wszystko się tym tłumaczy: dysleksję, odchylenia prawicowe, lewicowe i centryczne, a także kleptomanię, zez, krzywe nogi...

– Nie, nie skrzywdził mnie żaden dziadek w dzieciństwie. Ale usiłował w życiu dorosłym, niedawno, pół roku temu. – Przeniosłem wzrok na teczkę ze znaną mi sygnaturą na okładce. – Ma pan to wszystko spisane, panie pułkowniku.

– Skichane, nie spisane. – Skrzywił się. – Pisz science fiction z elementami fantasy, ale po godzinach, w domu, albo na łonie, ale ja tego nie kupuję.

Omam nie palnąłem „A ja i nie sprzedaję!”, ale udało mi się powstrzymać krnąbrny, chwilami działający kompletnie autonomicznie język za mocnym szpalerem zębów.

– Co z tymi wierzącymi gerontami? I bez kabaretu, bo cię skieruję do „Mam talent”. Od tego, co powiesz, zależy, czy będziesz kiś na poddaszu, czy zajmiesz się prawdziwą robotą, w ekscytującym środowisku.

Penetracja burdeli? Zęby na szczęście wytrzymały napór durnego ozora.

– Głównymi postaciami w prowadzonej przeze mnie we współdziałaniu z Amerykanami sprawie byli starsi ludzie opętani przez...

– Ta-ta! – przerwał mi. – Nie wkraczajmy w tym gabinecie na śliski grunt deliromajaków postnarkotycznych.

– Tak jest.

– Dobra, wszyscy aktywni podejrzani, czyli, powiedzmy sobie szczerze, niebezpieczni... złoczyńcy, wywodzili się z kościołów, oaz, konfirmacji maryjnych i temu podobnych – stwierdził.

– Nie wiem, ja ich życiorysów nie badałem, panie pułkowniku. Atakowali nas, broniliśmy się, zabijali ich.

– No tak, zaiste heroiczne – wypruć kichy jakiejś babci! – prychnął pułkownik. Prowokował mnie, ale ja już za dobrze się czułem w roli opanowanego. – I dzieci – dodał, żeby mnie powalić na łopatki.

– Tak. Ale ja, panie pułkowniku, jestem facet prosty. Zwisa mi, kto chce mnie wybebeszyć: ogolony karczocho, przypudrowana babusia, emerytowany generał Armii

Krajowej czy rumiany franciszkanin bosy. Mordowanie mnie jest mi dialektycznie i prywatnie obce i niemiłe, bronię się przed tym z całych sił. Proszę mi pozwolić sobie na odrobinę szczerości... – Czułem, że mnie poniosło, ale już nie mogłem się pohamować. – ...i powiedzieć, że gdyby pan chciał mi wyprowadzić trzewia na zewnątrz, to też bym się bronił.

– Patrzcie go, jaki miłośnik własnych flaków! – Pułkownik Majski uśmiechnął się lekko. – Ale czemu wszyscy wierzący? Jak to u pana jest? Wiara? Nienawidzi pan ludzi wierzących, czyli większości Polaków?

– Nie, nie. Nie mam nic do wierzących, ich sprawa co robią i w co wierzą. Jeszcze pół roku temu byli mi kompletnie obojętni. Nie rozumiem, co prawda, kultu kapłanów, którzy żadną miarą nie powinni być niczym lepszym od menela z dworca czy gracza giełdowego, a są. No więc nie rozumiem, ale to nie moja sprawa. I nie walczę z religią, tylko – jeśli jestem do tego zmuszony – z polską odmianą wiary, wiary f la Kali: co wolno mnie, jest dobre, ale innym tego nie wolno, to grzech. Mnie Pan Bóg wybaczy wszystko, musi mi wybaczyć, innym – za cholere! Taki egowariant wiary rozciąga się na wszystkie aspekty życia: gorliwie wierząca matrona zatruwa życie całej kamienicy, podgląda, podsłuchuje, plotkuje, donosi i ma się za cnotliwą katoliczkę, mimo że dziwką nazywa swoją sąsiadkę, samotną matkę, która z trudem, ale oderwała się od oprawcy-małżonka. To małe miasteczko, a matrona ma wiele wiary i wytrwałości. W końcu udaje się: kobieta przeprowadza się, a potem po prostu wieszka na poręczu łóżeczka córeczki. – Poczuję, że robię się śmieszny w zacierzewieniu. Odetchnąłem i dokończyłem: – W tym kontekście wydaje mi się godniejszy islam, gdzie dla nikogo nie ma litości i odstępstw. Jeśli staruszkę przyłapano na spacerze z dwoma mężczyznami, to dostaje czterdzieści batów mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat. To jest fascynująca równość, idiotyczna, ale konsekwentna...

Zaschło mi w gardle, a pułkownik nie zamierzał częstować herbatką. Patrzył na mnie z uniesioną jedną brwią i namysłem w oku. Trwało to chwilę. Dłuższą chwilę. Przeleciałem w głowie placówki ABW w Polsce, wytypowałem dwie, do których można by mnie zesłać. Zadupia co się zowie. Jedna to by...

– Rzeczywiście, macie problem, poruczniku. Ale nie wiem jak wam pomóc. Usunąć trzydzieści kilka milionów Polaków?

– Obiektywnie i szeroko patrząc, dla dobra społeczeństwa należałoby usunąć mnie jednego, mniej roboty i strat... – burknąłem.

– I tak właśnie postąpimy! – Pułkownik uśmiechnął się i energicznie pacnął palcami w krawędź biurka.

No to jednak poślą do Tarnobrze... pomyślałem.

– Macie delegację – powiedział Majski. – Bezterminową.

– Do Tarnobrzega czy Świnoujścia?

– Do Sankt Petersburga – rzucił niedbale, scenicznie niedbale. Z obojętną miną wyrównał krawędzie stosu papierów. – Kiedyś Leningrad, wcześniej Petersburg, Piotrogród czy nawet

Peterhoff? – zapytał siebie, patrząc ponad moją głowę. – Teraz Sankt Petersburg. – Znowu plasnął ułożonymi jak do salutowania palcami w krawędź biurka. – No. Delegacja w sekretariacie. Nie macie pozwolenia na broń, ale może tam wam dadzą, jeśli będzie potrzebna. Namiary, telefony, kontakty – w kopercie przy delegacji. Nie wiem nic o sprawie, więc nie będę wam truć o wadze zadania, bo może chodzi tylko o identyfikację jakiegoś staruszka, który wybrał wolność na wschodzie... – Wzruszył ramionami. – Do widzenia, poruczniku.

Wstałem i strzeliłem obcasami.

– Odmeldowuję się, panie pułkowniku.

– Z Bogiem, towarzyszu, z Bogiem...

Uznałem, że mogę sobie pozwolić na zaciekawienie.

– Przepraszam, to coś znaczy, panie pułkowniku?

– Och, oni, Ruscy, tak podobno się teraz żegnają. Od „towarzyszy” oderwać się nie mogą, a Boga ostentacyjnie poważają. Może wam tam być nielekkko – Prychnął przez nos. – I większy naród, do usunięcia trudniejszy.

Niech sobie jaja robi ze swoich podwładnych, ja jestem oddelegowany. Wyszedłem z gabinetu.

Halinka bez słowa wyciągnęła w moim kierunku teczkę, nie tekturowe gówno z gumką, nie – ciemno brązowa skórka albo ekoskórka, zatrask. Klasa. No tak, delegacja do Rosji, nie można pyskiem w głąb nawet przed wyliniałym lwem.

W swoim pokoju otworzyłem teczkę, dwie koperty. Zaklejone starannie i nieodwracalnie. W jednej trzy nazwiska, jedno pogrubione, przy każdym po trzy telefony, wszystkie cyrylicą, odłożyłem na później zapoznanie się z tymi danymi. W drugiej paszport służbowy z małą karteczką, na której bezosobowym Ariałem napisano: „Zalecane posługiwanie się paszportem prywatnym. Wiza do odbioru w ciągu 24 godzin. Zaliczka delegacyjna do odbioru w kasie, pok. 15. Bilet na miejsce sypialne do odbioru w dziale kadr, pok. 17. Zalecane nieużywanie podczas delegacji legitymacji służbowej”. Niemanie legitymacji...

No to nie. Albo Rosjanie coś mi dadzą, albo w ogóle nie będzie potrzebne.

Przejrzałem dokładnie całą teczkę, ale nic więcej w niej nie było. Ani słowa o zadaniu, celu wyjazdu, długości.

Rozsypałem na biurko przed sobą kartridże do e-peta, wybrałem średniomocny i „zapaliłem”. Duża przyjemność. Nie z samego palenia, ale ze świadomości, że wszystko to, co rakowe, jest w analogach. Oczywiście, w moich epapierosach może być od cholery innych świństw, ale – jak na razie – nikt niczego takiego nie odkrył. Olśniła mnie, przy okazji, niemiła myśl. – Szszzlag!

Do Rosji z epapierosem nie było sensu jechać, same problemy: ile musiałbym ze sobą taszczyć kartridży, co zrobić, jak padnie bateria, no i zawracanie głowy z ładowaniem... Wyglądało, że muszę, na czas delegacji, wrócić do analogowych. I tak niezapowiadająca się

miło robota na wschodzie straciła mizerne resztki powabu. Postanowiłem powalczyć.

Kupię dwadzieścia kartridży i dwie porcje berbeluchy do ich napelniania. Musi starczyć. Najwyżej tam dokupię jakieś fajki.

I od razu przypomniałem sobie, że mogę nie pamiętać wszystkich liter alfabetu wschodniego sąsiada. Wyszukałem kilka polskorosyjskich stron WWW, zacząłem siłowo przedzierać się przez „alfawit”.

Ściągnąłem na palmtopa słowniki i mapę Petersburga, uruchomiłem instalacje i ruszyłem do kasy, odebrać swoje dwadzieścia tysięcy rubli, czyli jakieś siedemset dolarów, i pouczenie o tym, że w Rosji dolce ciągle są szanowane i wyżej cenione niż jurki. Potem odebrałem bilety, bez miejscówki powrotnej.

Na tym zakończyłem przygotowania.

Pociąg odjeżdżał pojutrze, jutro miałem wolne, a bilet na pociąg sugerował, że wyjazd jest mało... oficjalny?

Od świtu zabrałem się za język i ćwiczenia z krajoznawstwa. Przed północą wiedziałem już, ile kosztuje piwo i jak poruszać się w petersburskim metrze oraz jakie i kiedy mają dni wolne od pracy. Najbliższe – Pierwszy Maja, ale to dopiero za dwadzieścia trzy dni, nie miałem szans na świętowanie dnia ludzi pracy w ich ojczyźnie.

Zasnąłem z przeczytanymi siedemdziesięcioma stronami *Mistrza i Małgorzaty* i pięćdziesięcioma frapującego poematu *Moskwa – Pietuszki*. Obie rzeczy pamiętałem dość dobrze, czyli materiał do rozmowy niezobowiązującej był.

Radośnie usnąłem.

ROZDZIAŁ 6

Kapitana Sukonina obudziły dwa alarmowe telefony: jeden stacjonarny przy łóżku, który służył tylko do rozmów służbowych, i to tych ważnych, oraz spóźniony o dwie sekundy nieprzyjemny, głośny tryl komórki. Sukonin poderwał się i przyłożył obie słuchawki do uszu; popłynął alarmowy tekst z automatu. Walentyna obudziła się i usiadła na łóżku.

– Wiesz, co się dzieje? – zapytała, wstając i wsuwając stopy w eleganckie klapki, dopiero potem podeszła do krzesła i włożyła na siebie miękki długi szlafroczek, kryjąc pod nim niezmiennie kuszące męża kształty. Szybko sięgnęła po pilota i włączyła telewizor, od razu przestawiając program na informacyjny. Pilot wylądował na łóżku, a Wala już otwierała szafę.

– Polowo? – zapytała.

Sukonin podszedł do wmurowanego w porządną grubą ceglana ścianę sejf, zasłoniętego pełnowymiarowym fotogramem ze swoim idolem Kennym Rogersem, wystukał kombinację kodu i popatrzył przez ramię na żonę. Zastanawiał się krótko.

– Polowo – powiedział. – Nie wiadomo...

– ...adnie wiadomo, że wypadek wydarzył się około godziny dwudziestej pierwszej trzydzięci czasu moskiewskiego. Nasz współpracownik, wracający tym pociągiem... – Dziennikarka dziwnie chlipnęła i niemal ze świstem wciągnęła powietrze do płuc. Po prostu zatchnęła się z emocji, suka! – pomyślał Sukonin, wyciągając pistolet, kładąc go na stoliku przy telefonie i sięgając po spodnie. Mało się nie udusiła z emocji, żeby jak najwięcej nagadać, zagłuszyć konkurencję, ściągnąć na siebie uwagę cholernych czuwających widzów. – ...z Moskwy do Petersburga, bez przerwy przekazuje nam najnowsze dane. Wiemy, że wykoleiło się kilka ostatnich wagonów, wyglądają przerażająco, ale nie mogło być inaczej, skoro newski ekspres porusza się z prędkością ponad dwieście kilometrów na godzinę. Wykoleił się w pobliżu wioski... – zerknęła na kartkę – ...Bołogoje, na 275. kilometrze od Moskwy. Pasażerowie z innych wagonów, tych z przodu, które bez szwanku wyhamowały, usiłują pomóc załodze ekspresu. Nasz kolega, przypadkowo znajdujący się w pociągu... – Dziennikarka jękała się i powtarzała, widać było, że nie ma zbyt wiele do powiedzenia, a bardzo chce wypełnić sobą czas antenowy. – ...na żywo, za pomocą telefonu komórkowego, przekazuje nam najświeższe doniesienia. Gdy uda mu się dotrzeć do swojego przedziału,

gdzie znajduje się aparat fotograficzny i kamera, przekaże nam aktualne fotografie z miejsca wypadku... Eee... W Petersburgu powołano specjalny sztab do spraw pomocy ofiarom katastrofy, a także specjalny zespół MSW, mający zająć się tylko i wyłącznie wyjaśnianiem przyczyn katastrofy. Na razie... – Rozejrzała się na boki, zawiesiła wzrok gdzieś za patrzącą jej w twarz kamerą – ...porozmawiamy z emerytowanym dyrektorem kolei państwowych, który... eee...

* * *

Posiedzenie sztabu kryzysowego nie mogło odbywać się nigdzie indziej jak tylko w ukochanym podziemiu generała Jarcewa. W ciągu roku ze smętnych kazamatów atakujących nozdrza wonią stęchlizny i smutku, z kilkoma niepotrzebnymi już celami o ponurej reputacji, zmieniły się w znakomicie wyposażoną centralę dowodzenia. W dużej sali znajdowało się wszystko, czego mógł sobie zamarzyć nowoczesny dowódca nowoczesnych sił porządkowych: rzutniki, trzy potężne serwery, z softem do wymyślnych działań operacyjnych i symulacyjnych, centrala łączności, a nawet dwie kabiny dla symultanicznie pracujących tłumaczy. O klimatyzacji i laptopach przy każdym wygodnym, wysokim jak krzesło fotelu, nie mówiąc. Co prawda, laptopy zostały przytwierdzone do stołu cienkimi stalowymi linkami. Podobno – nie bez powodu.

Na największym z ekranów bez dźwięku relacjonowali nieznacznie tylko aktualizowane wiadomości dziennikarze „NowostiFakty24”. Trzy małe ekraniki pokazywały obraz z milicyjnego śmigłowca podążającego do miejsca katastrofy – niewiele było widać: noc, w kilku miejscach gromady światełek, wsie, po przejściu na podczerwień obraz zrobił się czytelniejszy, ale znacznie bardziej posępny, emanujący seledynowym smutkiem. Drugi ekran pokazywał szosę, po której pędziły wozy milicji, karetki i cztery wozy techniczne. Na trzecim ekranie widniało logo MSW Rosji: dwugłowy koronowany orzeł z jabłkiem i berłem w szponach i napis na wstędze poniżej: „Służąc prawu, służymy narodowi”. Nie było jeszcze materiału na trzeci ekran.

Generał Jarcew wszedł, machnięciem ręki zbył prężącego się do raportu majora, energicznie doszedł do szczytu stołu.

– Siadajcie, panowie. – Odczekał chwilę, usiadł ostatni, spojrzał na ekran, na którym miały się świecić latarki. – Ktoś z okolicy katastrofy przesyłał za pomocą jakiegoś urządzenia do bezprzewodowego Internetu obraz i choć niewiele było widać, to to nie wiele ścisłało w dołku. – Kuzniecowa? Proszę o stan aktualny.

Poderwał się oficer łącznikowy, po drodze wyszarpnął kartkę wysuwającą się z drukarki.

– Incydent miał miejsce wczoraj o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Jadący na tym odcinku nieco wolniej niż wynosi maksymalna prędkość ekspres Niewskij Sputnik wykoleił się w pobliżu miejscowości Bołogoje, na 285. kilometrze trasy. W tej chwili wiadomo, że z

szyn wypadły ostatnie wagony, cztery albo pięć. Zdarzyło się to tuż przed mostem nad rzeczką... – Chwilę wpatrywał się w papiery. – Rzeczką. Świadkowie-pasażerowie zgodnie twierdzą, że tuż przed katastrofą słyszeli huk. Usłyszał huk i maszynista, ale widząc przed sobą most, postanowił nie zwalniać i zaczął awaryjne hamowanie, dopiero gdy pociąg przejechał przez most. Z wstępnych wyjaśnień załogi pociągu wynika, że był to bardzo trafny ruch, że pociąg przeciągnął wagony, które wykoleiłyby się w przypadku hamowania, mam na myśli inne wagony, i mogłyby wpaść do płytkiej, ale jednak wody. Co jeszcze... Mamy kilkanaście ofiar śmiertelnych, to pewne, i kilkudziesięciu rannych. Na miejsce katastrofy podążają nasze śmigłowce oraz śmigłowce sanitarne i techniczne sił zbrojnych obwodu leningradzkiego, po torach dojeżdżają na miejsce pociąg sanitarny i techniczny. Ruch oczywiście wstrzymany. Warunki ciężkie, brak dróg, gruntowe drogi błotniste, rozjeżdżone, czasem nieprzejezdne... – Zerknął na ekran, jakby czekał, że obraz zmieni się, zebrani zainteresują się widokiem i zwolnią go z obowiązku składania sprawozdania, do którego miał mało danych. – W pociągu jest dziennikarz telewizji, nadaje z kamery laptopa to, co widzimy na ekranie... – Poszukał w głowie i na kartkach danych. – Załoga pociągu ma łączność ze swoim sztabem kryzysowym, ale raczej bierze udział w akcji ratunkowej...

– Dziękuję – rzucił Jarcew, skracając tortury oficera, wynikające z jego niewiedzy.

– Towarzyszu generale, mogę? – Podniósł się major Dikowoj. – Dowiedziałem się, prywatnym kanałem, że w katastrofie zginął Witalij Kapica. Pułkownik w stanie spoczynku Witalij Kapica.

– No to pułkownik w stanie wiecznego spoczynku – szepnął Liptas na ucho Sukoninowi.

Ten zbladł i znieruchomiał z wytrzeszczonymi gałami. Liptas chciał coś dodać, ale popatrzył na przyjaciela i uznał, że jeśli pośle w jego kierunku choćby cień dźwięku, to ten pęknie, nie wytrzyma i ryknie na całe gardło.

– Nie będziemy czcili go minutą ciszy – natychmiast zareagował Jarcew. – Dopóki nie mamy pewności – dodał. Rozejrzał się po obecnych. – Pierwsze czynności mamy za sobą, ekipy są w drodze, tu, w Pitrze, niezbędna jest aktywizacja wszystkich koniecznych źródeł informacji, nawet za cenę dekonspiracji. Przede wszystkim tych, które w jakikolwiek sposób pracują z grupami anarchistycznymi, terrorystycznymi, generalnie – kaukaskimi. Całością operacji z mojego ramienia kieruje pułkownik Czernych. Przystępujemy do rozdziału zadań. Jeszcze jedno... – Purpurowy z przejścia Czernych poderwał się z miejsca i opadł, a krzesło skrzypnęło przeciągle. – Kapitan Sukonin formalnie uczestniczy w działaniach operacyjnych z pełnym dostępem, ale ponieważ ma inną specmisję, ewentualne zadania dla niego będą przechodziły przeze mnie. Nikt inny nie może wydawać mu poleceń, a jeśli tak się stanie – popatrzył na Sukonina – pan, kapitanie, zobowiązany jest do natychmiastowego zgłoszenia tego faktu. Być może takie polecenie zostanie przeze mnie zaakceptowane, ale to nie pan i nie hipotetyczny przełożony, tylko wyłącznie ja mogę pana zatrudnić w tej operacji. – Odwrócił się do Czernycha. – Proszę prowadzić naradę.

* * *

– Tak, słoneczko, chodzi o ten pociąg, i drugie tak – będziemy tu siedzieli długo i mozolnie. – Sukonin delikatnie przesunął teczkę na biurku, miała czteromilimetrowe odchylenie w stosunku do trzech pozostałych. – Chyba że mnie wyrzucą za niestosowne zachowanie w sztabie, bo wiesz, co zrobił Wołodźka? Wyobraź sobie, że wstaje major D. i mówi, że w katastrofie zginął pułkownik w stanie spoczynku, a ten kretyn mówi mi na ucho, że teraz jest już pułkownikiem w stanie spoczynku wieczystego. – Odczekał chwilę, dał żonie chwilę na serdeczny śmiech. – No! A ja dostaję głupawki i im bardziej się staram, tym... O, czekaj! – Na aparacie z czterema numerami zapaliła się dioda pod numerem drugim. – Melduje się kap... Tak jest. Już idę! – Odłożył słuchawkę. – Wala? – powiedział do komórki.

– Słyszałam. Idź. Pa, kochany.

– Pa.

Poderwał się, wyprostował, rozpiął marynarkę i wsunawszy kciuki za pas, przejechał nimi cały obwód pasa, poprawiając ułożenie koszuli, zdyscyplinował krawat, zerknął do lustra i pognął do gabinetu Jarcewa.

– Siadaj i gadaj. Obyś miał o czym.

Sukonin usiadł i położył na stole teczkę z kilkoma stronicami notatek.

– Kilka miesięcy temu w Polsce wydarzyło się trochę dziwnych rzeczy, związanych z osobami w podeszłym wieku. – Jarcew patrzył uważnie, nie poruszywszy nawet brwią. – W kilku miastach Polski zostało przez agentów... przepraszam, jednego agenta Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zabitych kilku starych ludzi, może więcej, ale tylko o kilku wiadomo oficjalnie. Według dostępnych mi danych pozornie sterani życiem ludzie, obu płci, w pewnych... okolicznościach, dziwacznych i krwawych, stawali się bestiami o niewyobrażalnej sile, niezmiernie trudnymi do zabicia.

– Ale ten abwer zabijał ich? – Generał ożywił się lekko. Popukał paznokciem w ekran przed sobą. – Sam?

– Nie. To też jest ciekawe, choć od razu powiem, że cała ta sprawa jest jak napisana przez Łukjanienkę i Wasiljewą, z tymi ichnimi nocnymi i dziennymi patrolami. Pojawia się w niej niejaki Jerry Wilmowski, znany nam dość dobrze. Był u nas czterokrotnie, z tego raz nieoficjalnie, a naprawdę nie wiemy ile razy bez wiedzy firmy.

– To Amerykańcy tak sobie mogą hulać po naszych łąkach i polach, a my nic?

– Żeby po polach, to bym się nie martwił. Oni hulają po miastach, Wilmowski przede wszystkim po Moskwie i jej okolicznych centrach kultu. Zagorsk, na przykład, mógłby już pewnie po nim oprowadzać. Był też dwa razy w Pitrze, Rostowie, Donbasie, Smoleńsku, Kazaniu. Tyle samo razy był na Ukrainie.

– Powtórzę pytanie: a my nic?

– My trzymamy go na nitce. I tak: nic.

– Dlaczego?

– Bo oni nie szarpią za nitki, na których trzymają naszych ludzi u siebie.

– I co ten Wilmowski robi u nas?

– Robił. Dostał szydło w nerkę w Polsce i wszystko wskazuje, że odcumował na Pola Elizejskie. – Sukonin wzruszył ramionami.

– Aha. No to dalej. Co robił z tym drugim, Ka... Ka?

– Kamil Stochard. Jeździli po Polsce, też po miejscach kultu, i tłukli dziadków jak szczury, szkodniki w każdym razie. Odwiedzili Toruń, to tam, gdzie mają swoje najważniejsze katolickie radio, narozrabiali w Wadowicach, gdzie papież się urodził, a może tylko mieszkał, nie pamiętam. Były jakieś eksplozje, pożary... W każdym razie koniec jest taki: Wilmowski w dębowej jesionce wraca do USA, Stochard oficjalnie nie ruszał się z Warszawy, był – znaczy się – na urlopie. Po wszystkim trzy miesiące trwa zabawa w gorącego kartofla...

– Nie wiedzą co z nim zrobić? – uśmiechnął się szeroko generał.

– Właśnie tak. Chodzą słuchy, że diapazon propozycji był szeroki jak Wołga na wiosnę: od pierdła do odznaczenia państwowego.

– A skończyło się?

– Na pustelni. We Wrocławiu. Kibluje tam od kilku czy kilkunastu tygodni.

– I?

– I ja bym go wypożyczył.

– Nie mamy teraz najlepszych relacji z Polską, prawda? – Generał wysunął zuchwę i dolną wargą przykrył do połowy szczeciniaste wąsy. – Ich prezydent ciągle nadeptuje naszemu na odcisk i nie kryje, że robi to umyślnie. Nasz dostaje egzemy, jak słyszy Kaczynskij. – Ale my się nie tniemy z polskimi firmami?

– Jeśli mam jakąś wiedzę, to nie – westchnął generał Jarcew. – Na szczęście w odpowiednich resortach siedzą odpowiedni i odpowiedzialni ludzie, którzy nie wierzą w to, że ruskie rakiety nagle pomkną na polskie kościoły.

– Stadiony – poprawił go Sukonin.

– Stadiony?

– Tak, oni robią z kacapami mistrzostwa Europy w piłce nożnej.

– Dobra, w nic nie celujemy, ustąpiliśmy nawet w sprawie Katynia, ale im ciągle mało, a czołgać się nie będziemy.

– W sumie to oficjalnie się szczypiemy, a na poziomie operacyjnym jest nieźle. Sprawdziłem. We Wrocławiu nie powinniśmy mieć problemów. Ze ściąganiem Stocharda nie powinno być problemów.

– E, tam! Po co on nam? Niech dadzą bukiety... tfu, co ja mówię: bukiety! – Generał skrzywił się, jakby poczuł psyknięcie bólu w odsłoniętym nerwie zęba. – Buklety! Bierz od

nich raporty i całość dokumentacji i zobaczymy, co z tego wyniknie. No. Tak zrobimy. W najgorszym razie jutro-pojutrze będą materiały i weźmiesz się do roboty.

– Hm? – Sukonin nie poderwał się z krzesła, choć generał sięgnął pod fotel i nagle wystrzelił w powietrze na piętnaście-dwadzieścia centymetrów. Nie podnosił nigdy swojego fotela, żeby mieć wygodnie ekran przed oczami, i zięć też po raz pierwszy odważył się udać, że nie rozumie przejrzystej aluzji. – Jeśli można, Grigoriju Josifowiczu, proponuję co innego: weźmy go do nas.

– Po co? – Generał z niezadowoleniem oderwał wzrok od ekranu. – Mamy swoje wrzody na dupach, chujki z Kaukazu bawią się w partyzantów na torach, a ten... – Chwilę sapał poirytowany. – No dobra, dla czego?

– Mam głęboką pewność, że w raportach będzie takie gówno, za przeproszeniem, że się nie pobieramy z wietrzeniem pokoi. Proszę posłuchać: jakieś wampiry czy inne strzygi, kościoły, odporni na kule staruszkowie, srebrne pociski... Jak mamy w to wierzyć? – Jarcew w odpowiedzi tylko przewrócił oczami. – Na dodatek nicią przewodnią jest podobno wątek jakiegoś literackiego potwora, który – jak się okazuje – żyje albo prawie żyje. Wystarczy przeczytać abstrakt, żeby nabawić się cholernego bólu głowy... Pamiętam, co myśleliśmy na temat naszych dziadków, którzy rozdzierają na strzepy milicjantów. Oficjalnie nie dowiemy się niczego. Jaki szeregowy *mient* przyzna, że widział wampira? Mamy im rozdać poświęcone w cerkwi krzyżyki? A z tego gościa wydusimy wszystko, już moja w tym głowa.

Jarcew prychnął. Wyciągnął chusteczkę i przeczyścił nos, najwyraźniej grając na zwłokę.

– Twoja głowa – mruknął z lekką kpina. – Twoja może będzie się miała jako tako, ale głowa tego Pszeka* pięknie już po pierwszej twojej... że tak powiem, rozmowie. Czyli po drugim litrze. Chyba że dasz mu swoją odtrutkę...

– Dam, jak się ładnie zachowa i powie, co wie. Jak nie, będzie zdychał przez trzy dni – uśmiechnął się Konstantin.

Generał namyślał się długą chwilę, zastanawiająco długą chwilę.

– Kostia... Mimo wszystko możemy umoczyć. Tu rozpierducha, wszystkie siły na wykrycie, a tu Polak się szwenda... Wiesz, ilu cwanych podpułkowników i nawet kilku generałów z przyjemnością zagra na tym Lachu? Że w takim gorącym momencie, że dobro państwa, narodu, że odsłaniamy się, że dajemy żer Zachodowi... – Pokręcił pochyloną głową. – Nie leży mi ten twój pomysł, jak rzadko nie leży. – Podniósł głowę i chwilę kontemplował sufit. – Jesteś pewien, że to dobra myśl?

– Na osiemdziesiąt procent, towarzyszu generale.

– A co będzie, jak się coś popieprzy?

Sukonin podrapał się za uchem.

– Dam mu Zemfirę do opieki – powiedział.

* Pszek (ros.) – określenie, raczej neutralne, Polaków, najprawdopodobniej spowodowane „syczącym” dla Rosjan brzmieniem języka polskiego; inne określenie – Lachy.

– Ha! To bez łaski, a najlepiej trzy takie! I dwie pary... nie, za dużo, parę niejawnych. Ale pytam – jak się popieprzy? Mocno popieprzy? Wiesz, że obu nam wsadzą po mutrze kolejowej w zadki i nagwintują na nowo?

Kapitan Sukonin rzucił przełożonemu spojrzenie, jakie tamten lubił: twarde, mocne, lodowate, parzące i obojętne. Jak spojrzenie śmierci.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, Polak... zgi... zostanie zginięty!

Generał wzruszył ramionami.

– Polacy nas zajebią, jak im zjemy tego... Karmena... – mruknął.. – Wiesz, że nie lubię manka w ludziach, nawet nie swoich.

– Kamila, nie Karmena. Coś wymyślimy.

– Kostia, wymyślimy, nie wątpię, ale nie po to zaczynamy tę zabawę, żeby usuwać niepotrzebnego świadka, którego sami tu sprowadzamy. Cenię ludzkie życie, dlatego jestem w organach, nie mam łatwości usuwania kumpli z pracy... – Ułożył lewą pięść na biurku, palcami prawej uderzył kilkakrotnie w złączenia kostek lewej dłoni. Jakby cicho oklaskiwał swoje myśli. – Może lepiej ty się przejedź do Polski?

– W takim momencie?! – Sukonin pozwolił sobie na rzucenie pytania bez oczekiwania choćby pół sekundy. – To dopiero będzie...

– Tak, masz rację. – Jarcew odchylił się w fotelu. – No to nie mam już pomysłu. Skoro same raporty nic nam nie dadzą, to trzeba ich autora. Zgoda. Trudno. Zgoda. Wyszukaj kogo tam można i trzeba poruszyć i daj mi znać. Jesteś wolny. Ale pamiętaj: pilnuj tej sprawy dobrze, to nam obu zaszkodzi albo pomoże.

Jak już wiele razy, mógłby powiedzieć Sukonin, ale z zasady nie kwitował takich wypowiedzi swoimi pointami – nie wносиły nic do sprawy i najczęściej irytowały rozmówców.

Wstał, strzelił obcasami i opuścił gabinet generała. Jarcew pochylił się nad biurkiem, chwycił pióro tableta i zręcznie przewinał kilka dokumentów, potem skleił dwa, poprawił kilka zdań. I zamyślił się głęboko.

ROZDZIAŁ 7

Trochę dziwnie, bo dokładnie o czasie, pociąg majestatycznie, a nawet powiedziałbym: z pychą i niedbałą dumą – „co to dla mnie!” – wtoczył się na peron Dworca Witebskiego. Nic dziwnego, w ciągu trzydziestu godzin podróży można nadrobić każde opóźnienie. Ale i tak cieszył mnie ten pierwszy sukces. Inna sprawa, że była szósta czterdzieści rano, wcale bym nie pomstował, gdybym mógł pospać jeszcze ze trzy godziny w opóźnionym Berlin – Sankt Petersburg.

Obrzuciłem kontrolnym spojrzeniem przedział, w którym samotnie miło spędziłem półtorej doby, czytając i wertując załadowane do laptopa pliki, i ruszyłem do wyjścia. Byłem przedostatnim podróżnym, pożegnanym przez dwie konduktorki, wyskoczyłem na peron i rozejrzałem się. Peron miał charakter ślepowy, jak wrocławski Dworzec Świebodzki, co prawda ten oślepl tak, że żadne pociągi z niego nie odjeżdżają ani na niego nie przyjeżdżają. Potrzebny miastu jak ślepa kiszka.

Niestety, ślepe perony mają jedno wyjście, a ja podróżowałem w trzecim wagonie od końca, miałem więc do przejścia kilkaset metrów. Wyszarpnąłem rączkę i zacząłem się turlać w kierunku hali dworca, nienachalnie rozglądając się na boki.

Na pierwszy rzut oka była stolica Rosji nie zadziwiła: względnie czysto, względnie cicho i spokojnie, architektura dworcowa klasyczna, odpowiadająca mi bardziej niż nowoczesna. Uszedłem może sto metrów, gdy zobaczyłem, że ciągnący w kierunku budynku dworca tłum rozstępuje się i niemal wszyscy mężczyźni odwracają głowy, część w prawo, część w lewo, zależy z której strony mijają wysoką szczupłą blondynkę, chyba naturalną, pszennowłosą, w skórzanej kurtce ze strzyżonym futrzanym kołnierzem i skórzanych spodniach w tym samym kolorze. Miała błękitne oczy, lekko zadarty nos, pulchne wargi i mały pieprzyk, dokładnie w tym miejscu, gdzie miała Marylin Monroe. Długie – albo przedłużone – włosy spięła w jakiś rodzaj prostego koka. Blondynka wyraźnie na kogoś czekała, skrzyłem lekko w prawo, wzorem idących przede mną, ale zrobiła dwa kroki, dźwięcznie akcentując się pod dachem peronu, i wyciągnęła rękę.

– Zemfira Warakanowa. Jestem pana *pszywodnikiem*.

– A? Ja jestem Kamil Stochard. – Odczekałem chwilę, może dając jej szansę na *Och?! Izwinitie, aszybka*, ale nie skorzystała z okazji. Szybko postanowiłem wysłać do boju nasze

dobre cechy narodowe, ucałowałem dłoni i powiedziałem: – *Oczeń prijatno*.

– Nie znam polskiego – powiedziała wolno po rosyjsku.

Skinałem głową.

– To tak jak ja rosyjskiego, ale jeśli się mówi powoli, rozumiem wszystko.

– Ja dokładnie tak samo. – Wskazała palcem za siebie. – Idziemy?

– Tak. Tu już wszystko załatwiłem.

Nie rozmawialiśmy na peronie. O rzeczach neutralnych nie potrafiłem, o ważnych – nie mogłem, moją towarzyszkę i cicerone obrzucały stale głodne spojrzenia mężczyzn we wszystkich przedziałach wiekowych. Maszerowałem więc obok niej, trochę zły za tę prezentację mojej osoby, ale bezsilny. Zacząłem w końcu powtarzać sobie w głowie jako tako utrwalone słownictwo: *stajanka, maszyna, wakzał, pagoda, chołodno, dzień, krasiwaja ženszczina*, nie: *krasawica!**

– Mój samochód stoi dwieście metrów stąd. Poczekaj pan, czy pójdziemy razem?

– Idziemy. Proszę mówić do mnie o wszystkim, może jakoś się zaadaptuję?

– Aha. Dobrze. No więc tak, zostałam do pana przydzielona. Wszystko załatwię, wszystko wyjaśnię, oczywiście w ramach moich kompetencji. Został pan zaproszony przez komendanta milicji miasta Sankt Petersburg jako konsultant w pewnej sprawie. Wiąże się to chyba z pańskim dochodzeniem, prowadzonym niecały rok temu. Mam nadzieję, że pan mnie rozumie? – Wychyliła się w marszu do przodu i spojrzała mi w oczy.

Skinałem głową, ale to był czysty odruch. Oczywiście, przeszło mi przez myśl, że chodzi o guimony, ale odsunąłem tę myśl, wysuwając na pierwszy plan jakieś stare sprawy, których odnogi mogły prowadzić do Rosji; kilka razy prowadziły na pewno. Dwa razy mieliśmy wizyty rosyjskich wewnętrzniaków, którzy ciągnęli tropy narkociarzy, ktoś od nas, jeszcze z Warszawy, woził się do nich, w każdym razie były lepsze pomysły na współpracę niż guimony i ich patron. Cholera! Przecież już udawało mi się przespać kilka nocy bez snów, w których staruszki z rozdwojonymi jezorami lizały mnie po twarzy albo przemierzałem mroczne piwniczne korytarze z przerażającym poczuciem, że tuż za mną idzie ktoś potworny, niewidzialny i nieśmiertelny... Zacisnąłem zęby.

Zapytała o coś, nie zrozumiałem. Zapytała, chyba o to samo, ale inaczej:

– Zdziwiony pan?

Zaczerpnąłem petersburskiego powietrza.

– Myślę, że słowo „pan” w rosyjskim jest mało naturalne i jakby jednoznaczne. Jeśli będzie pani tak to powtarzała, to jutro przeczytamy w „Newskich Wiadomościach” o przyjeździe polskiego policjanta do Pitra.

– A „pani”? – Trafiony pokiwałem głową, ominąłem kałużę, w którą ktoś włożył kawał tektury z dużego kartonu, pewnie babunia handlująca *pirażkami*, zapachniało apetycznie.

* *Stajanka, maszyna, wakzał, pagoda, chołodno, dzień, krasiwaja ženszczina* (ros.) – parking, samochód, dworzec, pogoda, zimno, dzień, piękna kobieta.

– Oboje przestajemy używać „pan” i „pani”. Proponuję przejście na ty i już. Dobrze?

– Dobrze. *Charaszo*. – Już parking.

Wyszliśmy na ulicę z placikiem, na którym pewnie kiedyś bawili się mali... pitrzenie? Leningradczycy, choć dłuższe, było zgrabniejsze. *Pitircy*... Zemfira zapłaciła parkingowemu, gestem skierowała mnie do rogu placu, wsiedliśmy do nienajmłodszego nissana patrola i ruszyli przez miasto.

– Teraz ci powiem co i jak, z grubsza. Masz wynajęte mieszkanie, w domu dość niezwykłym, bo tam Dostojewski napisał swoje *Zapiski z martwego domu*. Trzy pokoje, pierwsze piętro. Zamieszkamy tam razem – dodała, w żaden sposób nie akcentując tej informacji. Nie musiała, sam rozumiałem, że muszą mnie mieć na podorędziu. Albo na widoku. – Dziś do szesnastej możesz robić, co chcesz, o szesnastej mamy naradę u mojego przełożonego, kapitana Sukonina. On ci wyjaśni, skąd się wzięła twoja delegacja do nas.

– Bo ty nic nie wiesz? – rzuciłem nieco zgryźliwie. Obserwowałem miasto. Ruch zwyczajny, brudne samochody poza tablicami rejestracyjnymi nie różniły się niczym od naszych. No, nieco więcej fur z wysokiej półki. Potem trzon – współczesne ople, toyoty, fiaty. Niewiele pokieraszowanych, chyba już dojeżdżanych przed zezłomowaniem rzęchów – ład, moskwiczów, kilka niw i ok. Jedna wołga, niczym wielki rodzynek w pstrym cieście. Witryny dokładnie jak w Polsce, z rzadka cyrylica, królowały H&M, Sony, Philips, Zara, Bershka, Hugo Boss i wiele, wiele, wiele banków. – Nie wprowadzono cię?

– Wprowadzono. Z grubsza. Mamy jednak zaskakująco wiele spraw dziwnych, w których przewijają się różni pod względem wieku, płci i statusu społecznego staruszkowie. I sporo krwi. Z nich, na nich... – Przyspieszyła, wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w prawo. – Trochę to potrwa. – Zerknęła na mnie. – Mam na myśli jazdę do domu. Akurat zaczyna się poranny szczyt.

– Można palić? – zapytałem. Zastanawiała się chwilę, skinęła głową.

– Tak. – Sięgnęła do przycisku i uchyliła nieco okno po swojej stronie. – Ja rzuciłam trzy miesiące temu – wyjaśniła.

– Ja u siebie palę elektroniczne. – Poruszyła brwią. – Zastępują mi te – wyjąłem z kieszeni paczkę – analogowe w osiemdziesięciu procentach, ale nie wiedziałem, czy u was są – chciałem powiedzieć „znane” – popularne, więc jeszcze będę się posługiwał zwykłymi.

– Elektroniczne... W jakim sensie? Wirtualne? Z komputera? – zapytała, energicznie kręcąc kierownicą, żeby przesunąć się na szybszy, chyba, pas. – Z CD?

– Nie, no, tak... trochę. Ładunek pary wodnej i nikotyny w kartridżu, bateria ładowana albo z USB, albo prądem z czegoś, co nazywa się atomizer. Daje mocne złudzenie palenia, bez wdychania szkodliwych substancji.

Pokiwała głową.

– Wy, Polacy, macie takie dziwne pomysły... Wampiry w ciele staruszków, papierosy ładowane z komputera...

– To nie polskie. Sądzę, że chińskie. A te wampiry, inaczej i dokładniej zwane guimonami, to z kolei amerykański pomysł. – Tak, wiem...

„Amerykański pomysł” od razu zaowocował bolesnym skurczem w dołku. Amerykański trop to Pentagon, to Posoka, to Jerzy Wilmowski, to jego ciało na alejce skweru...

Zapaliłem, opuściłem szybę i wydmuchnąłem dym przez okno.

– Nie jedziemy ładną trasą – powiedziała po chwili Zemfira. – Jedziemy krótszą.

– Yhy.

Zacząłem wpatrywać się w twarze ludzi. Niestety, nie mówiły mi wiele. Na Zachodzie, tym starym Zachodzie, jest inaczej – staruszki są zadbane, mają drogie rasowe pieski, młodzież szpeci się piercingami i łysymi czerepami, po których mkną maszynki pijanych albo naćpanych kolegów, mężczyźni są ważni i zaaferowani. Tu dziewczyny z wygolonymi łbami trafiały się rzadko, raz. Dwa razy mignęli chudzi chłopcy z irokezami – dlaczego zawsze chudzielce? Nie widziałem grubasa z pomarańczowym irokezem, nigdy! Generacja 60+ raczej przemierzała ulice z zatroskaniem na twarzy. Zero rasowych psów, za to na jakimś skwerze kłusowały po trawnikach dwie amazonki na wierzchowcach.

– Konie? – zdziwiłem się.

– A tak. Żebrzą.

Wyrzuciłem niedopałek przez okno.

– Żebrzą z koni?

– Tak, niby na paszę dla nich. Ale to raczej taki szpan, rywalizacja kto więcej zbierze. Wiesz: ja tam niczego się nie wstydzę. Czasy wstydu minęły, możemy chodzić z podniesionymi głowami.

Nie udało jej się ukryć złości w głosie. Może nie ukrywała umyślnie. Piękne kobiety najczęściej patrzą na otoczenie z pewnym nieuświadomianym politowaniem, często przechodzącym w lekceważenie. W ekstremalnych przypadkach stają się przez to bezlitosne i bezwzględne. Milicjantka Zemfira też jest taka?

– Zemfira... to rosyjskie imię?

Skreśliła kolejny raz, przemknęła między dużą brudną ciężarówką z szarą budą, po której biegł napis „Chleb”, nieapetyczny kierowca-konwojent wyciągał z niej długim metalowym hakiem płaskie metalowe skrzynie z ceglanyimi bochenkami, i kadettem z otwartą maską. Z obu stron miała po kilka centymetrów miejsca, pewnie dlatego nie odpowiedziała od razu na moje pytanie. Za nami rozległ się jękliwy dźwięk syreny, Zemfira zjechała na skraj jezdni, przepuściła BMB z niebieskim kogutem.

– Baszkirskie. Ale nie mam nic wspólnego z Baszkirią ani z Zemfira Ramazanową. – Rzuciła mi wesołe spojrzenie. – To nasza Alanis Morissette. Ciągłe mnie pytają o to cholerne imię.

– Przepraszam, ale trochę wpompowałem w siebie wiedzy o Rosji i gdzieś mi mignęło to słowo. Myślałem, że to nazwa kapeli... zespołu... grupy. – Widziałem, że pierwsze dwa

określenia nie zostały zrozumiane.

– A, grupa, *ansambl!* Tak, to też nazwa jej *kamandy*. Wjechaliśmy w wąskie kaniony wysokich, niezbyt ładnych, w zadziwiająco dużej części ślepych domów – okna były zamurowane albo gęsto zakratowane i osiatkowane. Mało elementów życia społecznego – sklepów, zakładów usługowych, nie mówiąc o kinach czy parkach. Jeszcze jeden zakręt i płynne parkowanie w szczęśliwie napotkanej luce.

– To tu.

Obok bramy widniała tablica, też ponura. Coś o Dostojewskim, jakieś daty. Brama duża, na samochód, ale nie wyglądało, żeby jakieś z niej korzystały. Podwórko – duża studnia, wysoki na pięć-sześć pięter mur po przeciwnej od wejścia stronie. Z ogromnym napisem. Nie męczyłem się rozumieniem.

– Co to znaczy?

– Mur ogniowy, czyli taki grubszy, ślepy, zaporą ogniową. Tu, w Pitrze, jest dużo takich, miały zapobiegać rozprzestrzenianiu się ognia. – Aaa...

Weszliśmy na klatkę schodową, szerokie schody, którymi można by wnieść jednocześnie dwa fortepiany, mieszkania musiały mieć po cztery pięć metrów wysokości. Na każdym piętrze tylko dwa lokale, wszystkie drzwi niemal pancerne, bez dbałości o elegancję, po prostu gruby sklepowy arkusz stali z klamką i kilkoma otworami na klucze. Pomalowane pobieżnie.

– Kiedyś tu było po jednym mieszkaniu – rzuciła Zemfira, zatrzymując się na pierwszym piętrze. – Potem podzielono je na *komunalki*, czyli na trzy, cztery albo sześć małych mieszkań, teraz co bogatsi wykupują je i burzą wewnętrzne ścianki, otrzymując mieszkania po dwieście metrów. – Odciągnęła pancierz drzwi, za nimi były, co przewidziałem, drugie, drewniane, ze sznytem, ale i z czterema zamkami, których otwarcia raczej bym się nie podjął. – To jest właśnie takie.

Weszła pierwsza, nie bawiąc się, i słusznie, w przepuszczanie gościa.

Lokal miał cztery z hakiem metrów wysokości, piękne, lekko skrzypiące drewniane podłogi, długi korytarz, na oko dwanaście metrów, drzwi po prawej, jedno, drugie i trzecie, w połowie długości odnoga korytarza w lewo. Światło łagodnie, ale precyzyjnie wypchnęło mrok. Zemfira poczekała, aż wszedłem, zamknęła starannie stalowy luk i drugie drzwi. Obok dużego pustego wieszaka znajdował się malutki, powiesiła na nim klucze do mieszkania i kluczyki od samochodu.

– Też mocne – powiedziała. – Teraz patrz: pierwszy pokój mój. Potem są dwa pokoje od ulicy, każdy może być twój. Są jeszcze dwa od podwórka, też któryś może być twój, albo wszystkie. Na końcu tego korytarza – wskazała odnogę – łazienka mniejsza i chłodniejsza, a tam, przy kuchni, druga, większa i cieplejsza. Chłód o tej porze roku jeszcze nie jest problemem. Pokażę ci kuchnię i możemy się na godzinę rozstać, odświeżysz się, jeśli chcesz, ja zrobię śniadanie.

– Zerknę na te od podwórka?

Wzruszyła ramionami.

Zostawiłem walizkę i ruszyłem na obchód. Pokoje nie różniły się specjalnie od siebie, w obu ogromne łoża, plazmy na ścianach, szafy, fotele, stoliki. Wybrałem ten bliższy wyjścia, zerknąłem do łazienki. To była ta mniejsza, dobre dwanaście metrów powierzchni, cholernie stara wanna z pięknymi kurkami i kranami. Dwa tuziny pojemników z mydłami, szamponami i kremami. Jedynym zgrzytem był korek na łańcuszku, łańcuszek w porządku, ale nie produkuje się już korków o średnicy spodeczka. Ktoś pracowicie wytoczył z różnokolorowej grubej pleksy nieestetyczny krążek, ale uszczelnił go już całkiem ohydną niebieską taśmą. Kontemplowałem chwilę sanitarnego molocha, zakodowałem, żeby uważać przy wypuszczaniu wody, taki wypływ mógł wyrwać z nogi kawałek ciała. Zachichotałem, przypominając sobie, jak w dzieciństwie lubiłem bawić się, zatykając i odytkając piętą odpływ w naszej zwyczajnej wannie. Tu musiałbym pewnie wzywać pomocy, żeby oderwali mnie zassanego.

Wypakowałem się, pewien swego otworzyłem szafę, wisiały dwa szlafroki, frotowy i polarowy, wziąłem ten drugi, wyciągnąłem ze spodni pasek-miecz *geom* i odłożyłem na łożo. To była jedyna broń, jaką przemyciłem przez kontrolę graniczną, przez bramkę na lotnisku bym tego nie przeciągnął. No dobra, miałem jeszcze cienki hiszpański scyzoryk, ale nie czułem się pewnie w posługiwaniu kosą. Pożyczą mi coś? Na korytarzu Zemfira zawołała:

– Gdzie jesteś?

– Tu! – Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je. – Wezmę prysznic.

– Dobrze. Czy masz jakieś *pażelanija*? Może jesteś wegetarianinem? Żydem? Kielbasa? Ryby? Konserwy? Alergie?

– Poproszę wszystko, poza Żydami i alergią.

– Wino? Koniak? *Wodka*? Piwo?

– Jeszcze trochę i poproszę o azyl! Jak jest po rosyjsku rozpieszczać? Wiesz, dawać wszystko, podsuwać pod nos?

– *Balowat*?. – Uśmiechnęła się. – Rosyjskie kobiety takie są.

– Akurat. Czytałem *Annę Kareninę*.

Pokręciła głową, jakby chciała śledzić lot latającej w kółko przed nosem muchy. I zniknęła za załomem korytarza.

Kąpiel minęła bez przygód, może dlatego, że wyciągnąłem korek, uprzednio wyskoczywszy z wanny. Zrzuciłem nieświeże ciuchy na fotel, poszedłem do kuchni. Czekał tam stół na sześć osób, na szafce obok dyskretnie zaparkowało pół tuzina butelek. Pokręciłem głową, wybrałem jakieś białe wino, nie pytając, odkorkowałem i gestem zaproponowałem Zemfirze. Odmówiła. Wykonała koliste ruchy rękami. „Prowadzę”.

Nie miałem apetytu, w przedziale było duszno i gorąco, okno zakręcono na cztery trójkątne mutry, konduktorka wytłumaczyła mi, że ludzie w wagonie nie życzą sobie

przeciągu. Tak mi mówiono: Rosjanie uważają, że przeciąg zabił więcej ludzi niż wojska Hitlera. Przez tę duchotę czułem się lekko zmulony. Wsypałem do filiżanki dwie łyżeczki rozpuszczalnej nestle, zalałem wrzątkiem z imbryka, ani smaczna, ani pobudzająca. Gorąca i gorzka. Tyle w temacie kawy.

Wyjątkowo smakował mi bardzo ciemny chleb, lekko gliniasty, pachnący kwaśno, pewnie na zakwasie. Poskubałem coś z wędlin, trochę sera, kilka szprotek w oleju.

– Można palić?

– Tak.

Zapaliłem, łyknąłem wina. Chyba półsłodkie, może półwytrawne, może pół na pół.

– Czytałem w gazecie o ekspresie z Moskwy – zagałem.

– Właśnie miałam ci powiedzieć. Wszystkie siły skierowane są na to śledztwo. To bezwzględny priorytet. Ja rozumiem tak, że zanim doszło do tego *teraktu*, moi przełożeni rozpoczęli inne śledztwo, do którego właśnie jesteś im potrzebny. Teraz sytuacja się mocno zmieniła, podejrzewam, że wszyscy będą się od nas opędać. Kapitan Sukonin, Konstantin Aleksandrowicz, nadzoruje to śledztwo, do którego ty masz jakieś dane. Ja jestem w tandemie z tobą, choćby po to, żebyś nie podpadał co i rusz naszym szeregowym milicjantom, którzy teraz będą robić to, co uważają za ważne – szukać obcych. Na szczęście nie masz góralskiej urody, kaukaskiej, gruzińskiej czy czeczeńskiej, ale i tak gdziekolwiek pójdziesz, do restauracji, gdzie będziesz chciał zapłacić kartą, do kantoru wymiany walut, do kina, teatru, zapiszesz się na wycieczkę stateczkiem po rzeczkach i kanałach Petersburga, wszędzie, gdzie zdradzisz się nieznajomością języka, a zdradzisz się wszędzie, natychmiast pojawi się przy tobie stójkowy i zsalutuje, prosząc o paszport, albo nawet nie zsalutuje, bo będzie miał rękę na kolbie pistoletu. I będzie marudził o zameldowanie, o cel przyjazdu i tak dalej.

– I będzie się modlił, żebym nie potrafił odpowiedzieć na jego pytania, albo żeby mi wypadła kostka dynamitu z kieszeni.

– Tak właśnie będzie.

– Dlatego ty.

– Dlatego ja.

Milczeliśmy chwilę.

– Może zaparzę herbaty? Ta kawa nie postawi cię na nogi.

– Dobrze.

Wyobraziłem sobie scenkę rodzajową: samowar, szczapy drewna, imbryk. Było inaczej – cztery łyżeczki liści, wrzątek z elektrycznego czajnika, gruby wełniany zajac na imbryk. Zapaliłem jeszcze jednego papierosa. Zemfira podeszła do okna, nie dotykając gęstej firanki, wyjrzała na ulicę. W mieszkaniu było bardzo cicho, grube mury chroniły przed odgłosami życia sąsiadów, a może po prostu opuścili swoje pielesze. Z ulicy też nie dochodziły żadne odgłosy. *Zapiski z martwego domu*. Czy to samo słyszał Fiodor Michajłowicz? Nic? Omal nie parsknąłem śmiechem.

– Nie powinnam pytać, ale zapytam, a ty możesz nie odpowiedzieć: naprawdę walczyłeś z jakimiś złymi mocami? – zagadnęła cicho Zemfira od okna.

– Wolałbym odpowiedzieć przecząco, ale nie da się. Wiesz, Sherlock Holmes powiedział, że gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby wydawało się najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą.

– Nie całkiem tak, ale kojarzę, coś takiego powiedział.

– No więc w tej sprawie tak właśnie było. Mógłbym odrzucić nafaszerowanych narkotykiem staruszków, zahipnotyzowane staruszki, szalone dzieciaki, ale widziałem, jak ich ciała rozsypują się w pył w ciągu minuty czy trzech. – Odetchnąłem głęboko. – I widziałem coś, czego nie wymyślił Giger. Kojarzysz go?

– Ten od nekrogotyku? Ksenomorf z filmu Ridleya Scotta?

– Oczywiście. No więc on wymyśla swoje ksenomorfy, a ja strzelałem do jednego z takich koszmarów. Udało nam się go zabić, ale do dziś nie wiem, jakim cudem. Przypadek. Cud. Ingerencja sił... – Popatrzyłem wymownie w sufit.

– Polak – stwierdziła. Pokiwała głową, wróciła do stołu, rozlała ciemny napar do filiżanek. – Wierzący?

– Nie. Mocno niewierzący.

– No to coś jest nie tak... – Zastanawiała się chwilę. – Wiesz – powiedziała innym tonem – staram się mówić prostymi słowami, żebyśmy się rozumieli, ale to okazuje się niełatwe.

– Jak rozmowa na poważne tematy z dzieckiem?

– *Da, da!* – Ucieszyła się. – Ale chciałam powiedzieć co innego. Jak to wytłumaczysz: wierzysz w istnienie jakiegoś złego, ohydneho bóstwa, a nie wierzysz w Pana Boga?

– Sam się zastanawiam. Nie widzę innego wytłumaczenia jak to, że Cthulhu nie jest bóstwem.

– A czym?

– A umówmy się, że przybyszem z innej planety, z innego wymiaru, innego czasu. Nie wierzę w to, ale tak będzie łatwiej, zwłaszcza jeśli ty jesteś wierząca.

– Nie jestem, choć teraz to u nas niemodne. Teraz wszyscy garną się do cerkwi, nawet prezydent Putin wita na lotnisku święty ogień, zapalony cudownym sposobem w świątyni Grobu Pańskiego. Ale, powtarzam, ja nie jestem.

Zapadła znowu cisza. Łyknałem herbaty, to było dobre. Ciemny chleb i herbata, reszta jak w Polsce, normalne.

Piliśmy, pogrążeni w swoich myślach. W końcu Zemfira zapytała:

– Byłeś wcześniej w Pitrze?

– Nie. Trochę poczytałem, trochę pojeździłem po nim w Googlu.

– Chcesz się zdrzemnąć? Odpocząć? Może zadzwonić do Polski? Do... kogoś?

– Nie, moim kotem opiekuje się siostra, a mieszkanie zostawiłem pod opieką sąsiadów. Na pewno usłyszą w nim każdy szelest.

– Szefowie?

– Na razie nie muszę.

Ani nie chcę. Ani oni nie chcą. Najlepiej, jakbym w ogóle przyjechał tu w ramach urlopu i zaginął na Syberii. Ale tego Rosjanie nie muszą wiedzieć.

– Ja potrzebuję godziny dla siebie – powiedziała Zemfira. – Proponuję drzemkę, telewizję albo co chcesz. Potem przejedziemy się po mieście, pokażę ci osiedle, na którym rozegrała się krwawa jatka, i akurat będzie czas na spotkanie z kapitanem Sukoninem.

– Dobrze. To idę zdrzemnąć się przy telewizorze.

I, o dziwo, to właśnie zrealizowałem.

* * *

Ruszyliśmy spod budynku po czternastej. Kołowaliśmy dość długo, aż Zemfira powiedziała:

– Wyjeżdżamy na Newski Prospekt. – Odczekała chwilę, jakby dawała mi czas na protest, więc powiedziałem:

– Może bym rzucił okiem na miejsce...

– Uznałam, że dzisiaj to nie ma sensu, może pojedziemy tam na wizję lokalną. Pokażę ci centrum i już.

– Dobrze.

Nie byłem zachwycony. No co – szeroka jezdnia, kolorowe witryny, gęsty tłum. Czekałem na słynne mosty ze sfinksami i doczekałem się. Mignęły w perspektywie nieprawdopodobnie kolorowe, pozawijane ptysie, pstre cebulaste kopuły jakiejś cerkwi, a potem po lewej monumentalna świątynia z dziesiątkami kolumn.

– Sobór Kazański – powiedziała Zemfira.

I jeszcze jedna rzeka, przecinająca pod kątem prostym Newski, i potem już zapierający dech w piersiach przestwór Placu Pałacowego. No i kolumna Aleksandra, Pałac Zimowy ze słynną koronkową kratą, którą w filmie Eisensteina szturmowali marynarze. Robi wrażenie, ten kawałek północnej stolicy rzeczywiście robi wrażenie. Gwizdnąłem cicho.

– Przejedziemy po Nabrzeżu Pałacowym i będziemy na miejscu – poinformowała Zemfira.

Jechaliśmy wolno, ze względu na setki i setki bezładnie przemierzających plac i okolice turystów. Pilnujący wjazdu na jakiś odcinek ulicy milicjant popatrzył na nasz wóz, zrobił ruch, jakby zamierzał zagrozić sobą drogę, Zemfira wykonała jakiś ruch głową, nie zarejestrowałem dokładnie jaki, milicjant zapatrzył się na niebo, nissan wolno przesunął się obok niego, dotarł do nabrzeża.

– Ermitaż, wiem – powiedziałem, żeby nie milczeć.

– Tak. Chyba nie dasz rady obejrzeć.

– Chyba nie dam – zgodziłem się.

– Po prawej będzie Pole Marsowe.

– Tak, a potem Letni Ogród, gdzie chadzał na spacerzy mały Eugeniusz Oniegin z *monsieur l'Abbé*. – Nie wytrzymałem, żeby nie popisać się pozostałą ze szkoły drzazgą wiedzy o poemacie Puszkina.

– O? – zdziwiła się Zemfira, tak jak powinna była się zdziwić, żeby zrobić mi przyjemność.

Przystanęliśmy na światłach, zielonych, ale strumień komunikacji wstrzymał milicjant z pasiastą pałką.

– Kapitan Sukonin to nasz... *brain* – powiedziała nagle Zemfira. – Analityk, jakiego nie mieliśmy.

– Czy to znaczy, że mam się mu cały odsłonić? – zapytałem, nie dbając, czy zrozumie mój polski. – Mam być grzeczny i powiedzieć wszystko, bo i tak ze mnie wyciągnie?

Zachichotała, wpatrzona w jezdnię przed sobą.

– Boże, jacyż ci mężczyźni są przewidywalni... – powiedziała do siebie. – Mówię ci tylko, że będziesz pracował z wybitnym umysłem. Może ty masz jeszcze lepszy mózg, nie wiem, nie oceniam. Tylko informuję.

Znudzony milicjant ciągle wstrzymywał nasz sznur samochodów, choć ani z mostu, ani na most nic nie jechało.

– Jak u ciebie z tym? – Pstryknęła dwa razy paznokciem palca wskazującego w podbródek. Chwilę namyślałem się.

– Chodzi o... co? Alkohol? Używam.

– Nie znasz tego gestu?

Wzruszyłem ramionami. Pokręciła głową i nagle odchyliła się mocno do tyłu.

– Popatrz w lewo.

Wykonałem polecenie. Widziałem rzekę, potem mury, przypomniałem sobie:

– Twierdza Pietropawłowska, początek, kamień węgielny Petersburga.

– Widzisz tę złotą szpilę?

– Pewnie, trudno nie widzieć.

– To jest szpila z aniołem i krzyżem na Katedrze Piotra i Pawła. Wiesz, co ma do tego ten gest? – Znowu pstryknęła się w szyję. Zaprzeczyłem, zgodnie z prawdą. – W skrócie wygląda to tak. W tysiąc osiemset trzydziestym roku wichura uszkodziła skrzydło anioła. Naprawa miała być strasznie droga, ponieważ trzeba było zbudować skomplikowane rusztowania, by dotrzeć na szczyt. Zgłosił się wtedy do władz miasta rzemieślnik Piotr Tieluskin, z propozycją wykonania naprawy bez rusztowań. Wszedł na kilkudziesięciometrową szpilę za pomocą systemu lin i powiązanych sznurów, następnie musiał jeszcze pokonać jabłko, prawie trzymetrową kulę, i dokonał tego. Potem przez kilka tygodni wchodził na szczyt i naprawiał uszkodzenia.

W perspektywie mostu pojawił się mercedes, przemierzył go bez pośpiechu, milicjant bez zapalu dmuchnął w gwizdek, machnął pałą i zszedł ze skrzyżowania. Ruszyliśmy.

– W każdym razie ten Tieluszkin naprawił anioła i krzyż i otrzymał za to od cara Mikołaja dokument pozwalający mu jeść i pić za darmo w dowolnej karczmie Rosji. Po jakimś czasie zgubił czy zniszczył dokument, zgłosił się po kopię, ale zirytowany car nie dał dokumentu, tylko kazał mu wypalić znak na szyi. Tieluszkin chodził więc i pstrykał w szyję, żeby pokazać klejmo. I stąd wziął się ten gest. – Zademonstrowała mi go raz jeszcze.

Wjechaliśmy w ulicę Czajkowskiego, na której, to wiedziałem, mieścił się budynek MSW.

– Już jesteśmy na miejscu.

Budynek nie wyróżniał się niczym specjalnym, zaparkowaliśmy na zakopertowanych miejscach.

– A Tieluszkin się zapił i po kilku latach umarł – powiedziała nagle Zemfira. – Takie życie. – Westchnęła teatralnie.

Wysiadłem. Zrozumiałem, że zostałem ostrzeżony. Trudno, trzeba będzie pić i uważać na siebie. W bramie milicjant dziarsko zasalutował i usunął się z drogi. Korytarz był pusty, winda skrzypiała trochę, ale sunęła gładko. Znowu korytarz, dwa zakręty, drzwi z numerem 34. Weszliśmy. Sekretariat był pusty. Zemfira, nie zwalniając, przemierzyła go i otworzyła drzwi, do których prowadził granatowy chodnik; drugie drzwi miały odnogę zieloną. Usunęła się i wskazała mi przejście.

– O nie, panie przodem – powiedziałem.

Wszedłem za nią. Był to rodzaj salonu, ława z czterema fotelami, przytulne światło kinkietów, dwa fikusy, białe marszczone zasłony, lekki zapach pasty do podłóg.

– Rozgość się. Kapitan Sukonin już idzie.

Nie rozglądałem się przesadnie po pomieszczeniu. Raz – bo nie było tu nic imponującego; dwa – żeby nie wyjść na pampucha z prowincji, któremu przydarzyła się wycieczka do stolicy. No i po trzecie – nie było czasu, do gabinetu wszedł kapitan Sukonin. Wyglądał jak książd Janovich z ostatniego filmu Clinta Eastwooda.

Podobieństwo było tak duże, że obiecałem sobie nigdy o tym nie mówić, na pewno słyszał to już setki razy.

Sukonin energicznie pokonał trasę od drzwi, wpijając się we mnie wzrokiem. Albo usiłował zapracować na swoje miano naczelnego analityka, albo taką miał metodę. Nie odwróciłem wzroku, powstrzymałem się w ogóle od jakichkolwiek ruchów poza oddychaniem.

– Cześć, czołem. Jestem Sukonin, Konstanty. Moi polscy przyjaciele mówili mi Kostek – powiedział czystą polszczyzną.

– Kamil Stochard. – Podniosłem się i uściśnąłem mocno jego dłoń. On się nie siłował, wyszedłem, we własnym mniemaniu, na durnia. Po co komu te zgrane zawody w kto kogo? –

Moje imię nie ma zdrobnień.

Sukonin wskazał mi mój fotel, usiadł sam, popatrzył na Zemfirę i złożył z kłaśnięciem dłonie.

– Tam wszystko jest gotowe. Mogłabyś pogospodarzyć? My się tu poznamy, a potem przejdziemy do konkretów.

Jego polszczyźnie nie można było niemal nic zarzucić, mówił bez wysiłku, z leciutkim tylko „zaciongajoncym” akcentem.

– Był pan długo w Polsce – stwierdziłem.

– Proponuję jednak na ty – powiedział. – Oczywiście, że byłem długo w Polsce. Armia Czerwona wyszła z waszej ojczyzny we wrześniu dziewięćdziesiątego trzeciego. Byłem tam chorążym do ostatniego dnia, do uroczystego wyprowadzenia. Mój przełożony i teść jednocześnie, generał Jarcew, był majorem. – Uśmiechnął się szeroko. – Pewnie pomyślałeś, że wzorem Putina my, Rosjanie, na Zachodzie zdobywamy szlify, które tu wynoszą nas na szczyty władzy?

– Coś jest na rzeczy, powiedziałby przeciętny Polak – stwierdziłem, ciekaw, czy naprawdę jego znajomość polskiego jest taka topowa i będzie łapał każdy niuans.

– Zaiste.

Trzepnęła mnie i moje chytne językowe pułapki. Otworzyły się drzwi i Zemfira wprowadziła do pokoju tramwaj z dwu stolików na kółkach. Pobrzękiwały butelki, kieliszki, sztućce, parowało coś z wazy.

– Zastanawiałem się nad konwencją naszej biesiady – rzucił wesoło Sukonin. – Czy pójdziemy w kawior i bielugę w galarecie, bliny i *pielmeni*, czy w whisky, węgorza, paszтет, a może w śledzia otrzebanego o cholewę buta, na gazecie, oczywiście, kiszonych *ogórców* i pomidorów, a do tego sól w pudełeczku po zapalkach. I mętny samogon, zaszpunktowany korkiem z gazety.

– I jaja na twardo! – dodałem z mocą. – Bez jaj to nawet bym nie siadał do stołu.

– Ba! – Kiedy mówił, Zemfira podjechała bliżej. – W końcu poszedłem na kompromis. Ucha... Wiesz co to? – Pokręciłem głową. – Zupa rybna, koniecznie, nawet jeśli nie lubisz...

– Nie wiem, nie jadłem.

– I do tego zimne przekąski. Dobra.

Stoliki zacumowały przy nas, gospodyni poprawiła ich ustawienie, kliknęły jakieś hamulce.

Sukonin bardzo charakterystycznie, tak było w każdym filmie, zatarł dłonie i zapytał radośnie podniecony:

– To co? Wódeczka, koniak, piwko?

– Trzymam się raczej jednego gatunku, zostanę przy wódce.

– Świetnie! – Szybko przestawił kieliszki, dwa, Zemfira nie była tu w roli gościa. – No to wypijmy za przejście na ty, i możemy spróbować zupę.

Wódka była schłodzona maksymalnie, zgęstniała miękko spływała w kieliszki, aksamitnie wpływała do gardła, dopiero potem, w dolnej partii przełyku i żołądka jakby ogrzewała się, dawała o sobie znać miłym ciepłym pieczeniem. Do zupy podszedłem nieufnie, ale po kilku łyżkach wiedziałem, że już zdecydowano, co będę tu jadł codziennie.

– Czytałem twoje raporty. – Sukonin przeskoczył nagle na temat ściśle służbowy. – Wszystko jest zrozumiałe, poza tymi częściami niezrozumiałymi. Albo to majaczenie, albo trzeba zmienić podejście do pracy operacyjnej, albo w szeregach glin powinni pojawić się księża i popi.

– Tylko to drugie. – Skończyłem uchę i odetchnąłem. – Księża nic nie mogą działać przeciwko guimonom. Co to są guimony... wiecie? – upewniłem się.

– Mniej więcej. Możesz to wyłożyć jasno i prosto, żołnierskim, jak to mawialiśmy w Legnicy, językiem. Nie przejmuj się kompletnie tym, co mówisz, byleś mówił prawdę. Potem będziemy się martwić, jak to zjeść.

– No więc, po pierwsze, Lovecraft, Amerykanin, który wymyślił Cthulhu albo stał się jego pierwszą świadomą ofiarą. Może nie ofiarą, tylko pierwszym piewą, nie wiem. Według opisu Lovecrafta...

– Przepraszam, że ci przerywam, ale szkoda czasu, *Samotnik z Providence* był i jest u nas wydawany, nie czytałem wcześniej, ale po lekturze twoich raportów – zerknął na Zemfirę, ta skinęła głową – zapoznaliśmy się z tym, co on mówi o... – Odchylił się i sięgnął do kieszeni. – Przepraszam. – Wyjął motorolę, i powiedział:

– *Kapitan Sukonin* – już po rosyjsku. – *Da... da... po niał...* – Rozłączył się i popatrzył na Zemfirę. – Włącz laptopa, proszę.

Pani porucznik, o nogach godnych pani generał brygady, skinęła głową i bez słowa przyniosła z sekretariatu, albo skądś indziej, piętnastocalowego Della i ustawiła na szafce. Nie musiałem długo myśleć, by dojść do wniosku, że ktoś będzie uczestniczył w naszej rozmowie, ukryty pod ekranową tapetą z potężnym czołgiem, w skoku godnym przerażonego kangura.

Sukonin, byłem o tym przekonany z niezachwianą pewnością, umyślnie nic mi nie tłumaczył, właśnie po to, żebym miał zabezpieczoną przeraźliwą jasność. No dobra, jak tam oni go nazywali? A, generał Jarcyn! Może uczestniczyć w rozmowie. Kapitan nalał do kieliszków.

– Dobra, to wracamy do naszych baranów. Wiemy jak wygląda Cthulhu, co dalej z nim?

– Według Lovecrafta Cthulhu śpi na dnie oceanu, w koszmarnym mieście na dnie Pacyfiku, mieście cyklopów o nazwie R'lyeh, według naszych innych, wiarygodniejszych źródeł, Cthulhu leży w Nowym Orleanie, zapieczętowany w jakiejś grocie, krypcie czy innym grobowcu. Ale śni, to znaczy emituje swoje sny, snuje je po świecie, a one, przybierając czasem postać niemal samoistnych bytów, szukają sobie nosicieli. – Żal mi się zrobiło Zemfiry, która nie znała polskiego tak dobrze jak Sukonin, ale zaraz potem nasza mnie myśl,

że to JA tak myślę, a ona też mogła urzędować w jakiejś komórce w Polsce. Słumiłem dżentelmeńskie rozterki. – Znajdują takich w osobnikach słabych duchowo, ale nie mam pojęcia, co to znaczy, dlaczego jedna babcia nadaje się do zasiedlenia, a inny staruszek nie. Nie wiemy.

– Nie można było tego zbadać? – zapytał Sukonin, zębem widelca rysując spirale w cienkiej warstewce majonezu na dnie swojego talerza.

– Nie. Żywy guimon nie daje się badać, nie udało się dotychczas takiego uśpić, unieruchomić, spętać... A zabity rozpada się na pył w ciągu kilku minut, dwóch, trzech...

– I to jest ten dowód, że nie jesteście ze swoimi kolegami z USA kopnięci – podsumował tę kwestię Konstanty.

Miał jednak kilka lat przerwy w polskim, teraz dziewięćdziesiąt osiem procent Polaków powiedziało by „świrami”, a nie „kopnięci”.

– Tak, między innymi to – powiedziałem bez nacisku na „to”. Jak na razie, nie wyglądało, by para porucznik-kapitan miała trudności z rozumieniem moich słów. – Taki widok przekonuje każdego, w każdym razie w gronie niedowiarków są wyłącznie ci, co nie widzieli przemiany starego ciała w coś, co Giger odrzuciłby jako przesadnie wymyślne, niewiarogodne: w dziwny tłusty rtęciowy proszek, który po kilku minutach wyparowuje.

– Reasumując – nie mamy podstaw, by ci nie wierzyć. Choć przychodzi nam to z ogromnym trudem. Wierzymy, że ty i jeszcze co najmniej kilka osób jesteście przekonani co do istnienia Cthulhu i jego pomiotów, jak to nazwałeś w raporcie, guimonów.

Pokiwałem głową.

– Tak możemy to zaprotokołować: jestem święcie przekonany o istnieniu guimonów, co do Cthulhu – powstrzymałbym się z deklaracją wiary, nie widziałem go, tylko jego wizerunki. Tak, guimony i Fn'thal. Fn'thal to jakby biskup w gronie kapłanów-guimonów. Wiem o istnieniu jednego, którego zabiliśmy, a czy jest ich więcej... – Wzruszyłem ramionami. Nałożyłem sobie łyżkę jakiejś dziwnej sałatki z burakami, nieufnie skosztowałem. Cholernie mi podeszła, dołożyłem. – Podobno Fn'thale pojawiają się co jakiś czas, gdy mają do wypełnienia jakąś szczególną misję, ale czy działają samotnie, czy grupowo, czy mają wsparcie pospolitych szeregowych guimonów – nie wiem.

– A o co chodziło tym waszym guimonom i Fn'thalowi?

– Nie wiem.

Odpowiedziałem nieco szybciej, niż chciałem, niż należało, ale tak długo się nad tym zastanawiałem, że pytanie uruchomiło coś jak reakcję Pawłowa.

– Rok temu nie miałem o nich pojęcia. Ani nikt w Polsce. Nagle przyjeżdża ze Stanów Zjednoczonych ekipa, poznaję jej operacyjnego, Jerzego...

– Znowu ci przerwę. Wilmowski jest dość dobrze u nas znany, możesz więc mówić o nim śmiało, niczego i nikogo nie zdradzasz. Odwiedzał nasz kraj cztero czy pięciokrotnie, o tyłu wizytach wiemy – przyznał się, przyciskając dłoń do piersi. – Nie szkodził nikomu, węszył

dokoła centrów wiary, co teraz, w kontekście twoich raportów, staje się mniej więcej jasne.

Nie zaskoczył mnie. Jerzy wspominał o Rosji.

– Domyślałem się.

– Dlaczego?

Szukałem chwilę w pamięci.

– Mówił o Rosji jako o kraju, gdzie ścierają się wielkie namiętności. Z wielu powodów: z powodu pieniędzy, polityki, religii. Iskrzy wam między byłymi komunistami i dzisiejszymi piewcami wolności i demokracji, macie problemy z Czecznią, Dagestanem, Uzbekistanem, Gruzją, Osetią Południową i Północną, z Ukrainą i tak dalej. Z tego co wiem, guimony żywią się namiętnościami chętnie i łapczywie. Nie można więc wykluczyć, że przyklejają się do każdego miejsca, z którego wieje pasją.

Sukonin spokojnie przeniósł spojrzenie na Zemfire, ale i to spokojne spojrzenie było znaczące.

– Poza tym... – Postanowiłem ciąć, póki działało znieczulenie, wódka i nastrój pierwszego spotkania. – Jeśli wierzyć naszym mediom, macie wiele spraw nieuregulowanych, nieuporządkowanych – wiesz, cerkwie, popi, Watykan, nowi Ruscy, nowi wierzący, racjoniści i sekty w kilkudziesięciu jak nie więcej ekspozycjach... To wszystko, jeśli wierzyć Amerykanom, mętna woda, w której uwielbiają się taplać guimony.

– I nie tylko – skwitował moje słowa Sukonin. – Każdy męt chętnie się potapla w takim gównie.

Nalał do naszych kieliszków. Stały obok siebie, ciecz ustabilizowała się na identycznym poziomie. Postanowiłem zmienić trochę ton rozmowy, ciekaw, czy Sukonin przystanie na to, świadomy wirtualnej obecności Jarcyna w pokoju.

– Precyzja nalewania jest imponująca – powiedziałem, patrząc na kieliszki. – I wielkość tych *riumek**.

– To wam już Zjednoczona Europa naszczała do kielonków – powiedział ze zjadliwym uśmiechem. – Zamiast normalnych kieliszków macie czterdziesto gramowe, nie wiadomo co. U nas trzymają się jeszcze setki i pięćdziesiątki. A co do precyzji, wiesz, jak się u nas mówi? *Da pust' atsochniet tamu ruka, kto stoja na razliwie obidiel siebia*. – Odczekał chwilę i przetłumaczył: – Niech uschnie ręka temu, kto rozlewając, skrzywdził siebie. Wiesz, pamięć mięśniowa. I jeszcze jedno powiedzonko: *Wa wsiom nużna snarowka, tier pienje, trienirowka*. – I nie ufając, słusznie, mojej znajomości rosyjskiego, przełożył znowu: – We wszystkim konieczna jest zręczność, cierpliwość i trening.

– Trudno polemizować. Wy, Rosjanie, kochacie mądrości ludowe.

– Chyba tak. No dobrze. Co dalej mamy w sprawie guimonów?

– Skoro, tymczasem przynajmniej, nie machacie rękami i nie odsyłacie mnie do *psychuszki* – postanowiłem i ja zaszpanować znajomością języka obcego – to dalej jest tak.

* *Riumka* (ros.) – kieliszek.

Cthulhu, który ma kilka imion: Wielki Przedwieczny, Kapłan albo Brat Przedwiecznych, inaczej AlKhadhulu, czeka na przebudzenie, a póki co Pan Snów zbiera legion do walki z całym światem o władanie nim. W tej chwili jest tak, że on jakby czeka na wygłoszenie formuлки, która wywoła go na świat realny. Według wszystkich znanych danych, jeśli można nazwać to danymi, nikt nie zna tej formuлки, choć Lovecraft ją podał. Ta na szczęście dla nas nie działa, ale co roku między dwudziestym ósmym lutego a drugim kwietnia, a szczególnie w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci marca dla Cthulhu zachodzą jakieś sprzyjające warunki. Ponieważ mamy już dwunasty kwietnia, możemy bezpiecznie przyjąć, że to nieprawda.

– Albo znowu się udało – pokiwał głową Sukonin. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, by tak szybko i łatwo kupił to, co powiedziałem. Owszem, miał raporty, ale tam wszystko było sformułowane mgliście, rozmazałem to, poprzykrywałem, czym się dało, żeby przełożeni mogli to przełknąć. Może jednak brzytwa Holmesa działa?

Przyłapałem Zemfirę na szybkim spojrzeniu na ekran laptopa. Jego głośniki milczały. Co prawda, generał mógł wysyłać im jakieś sygnały, choćby za pomocą wibratorów komórek, albo po prostu, jak na razie, wszystko szło według planu.

– Jak się to nazywa? – wskazałem sałatkę, w której skład wchodziły gotowane buraki, ogórki kiszane, marchewka i coś jeszcze.

– *Winigriet* – odpowiedział machinalnie, zastanawiając się nad czymś.

Aha, nazwę zdominował sos z octu i oliwy. Zapiisałem w pamięci i to dzieło kucharza.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, działania operacyjne, całkowicie realne i realistyczne, mieliście pomieszane z tymi fantazmatami? – zapytał Sukonin po chwili milczenia.

Może wsłuchiwał się w głos szmerzący mu pytania wprost do ucha, z mikronadajnika, nie wnikałem.

– Tak. My tropiliśmy guimony, ale wdał się w to wszystko pospolity bandzior, który w finale okazał się guimonem. Chyba innego rodzaju... – Przypomniałem sobie breję wyciekającą z ran po srebrnym nożu, przypomniałem sobie wcześniejszą ranę, która powinna była nieodwołalnie przerzucić posokę do innego świata. – Mówię „chyba”, bo to on właśnie zabił na moich oczach Jerry’go Wilmowskiego. A wcześniej ja sam go zabiłem, byłem pewien, że go zabiłem, dobrze zabiłem... – Rzuciłem krótkie spojrzenie na stół. Kapitan właściwie zrozumiał moje intencje, szybko nalał, podał, uniósł i wychylił, ja – w tej samej sekundzie. Przekąsiłem marynowanym grzybkiem. Moja siostra robi lepsze. – Potem miałem tylko jedno spotkanie z kimś z ekipy Jerzego, zostałem odznaczony, pochwalony i wypieprzony ze stolicy.

– Wrocław to piękne miasto – powiedział z rozmarzeniem Sukonin, jak kot na wspomnienie miski z wiejską śmietaną, którą udało mu się podprowadzić gospodyni.

– Tak.

– Dobrze, a co z tym Jerry’em Wilmowskim? – zapytała nagle Zemfira, unosząc dwie

sekundy wcześniej palec.

Sukonin nie zgromił jej spojrzeniem, więc po zgłoszeniu pytania zadała je.

– Nie żyje. Powiedział mi tyle: jest czterech ekstermanów, zrozumiałem, że są czymś w rodzaju wędrownych rycerzy, objazdowych likwidatorów guimonów. – Westchnąłem. – Cholera, jak to tandetnie brzmi! Dopóki nie zobaczy się na żywo, nie poczuje koszmarnego smrodu i obrzydliwej śliskości łuski. – Odrzuciłem siłą woli obraz grubaski na weselu, Fn'thala i innych rycerzy mroku. Wymacałem w kieszeni scyzoryk, wyjąłem. – Możemy zobaczyć jedną scenkę.

Sukonin poderwał się, niczym dźgnięty ostrogami rumak.

– Masz coś do pokazania?

Może jego generał ryknął mu coś do ucha, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

– Mam.

Wysunąłem ze scyzoryka końcówkę pendrive'a, wstałem i, udając, że nie widzę Zemfiry wyciągającej do mnie rękę, podszedłem do laptopa i wsunąłem pena w port USB. Nagranie nie było żadnym sekretem, nawet jeśli pominie się fakt, że nie oglądał go żaden z moich przełożonych, a może nawet żaden inny Polak. Jeszcze nie widziałem konieczności dzielenia się wszystkim z rosyjskimi przyjaciółmi. Pani lejtnant nie rezygnowała.

– Poczekaj, puszcę na rzutnik. – Usiłowała odsunąć mnie od sprzętu, naparła lekko łokciem, ale nie ustąpiłem.

– Podzielę się z wami w odpowiednim czasie, ale nie dziś – powiedziałem z naciskiem.

Odsunęła się, szybko sięgnęła do szuflady, wyciągnęła sterownik, manipulowała chwilę, po przeciwległej ścianie zsunął się błam ekranu, z szafki natomiast wysunął się rzutnik, jeszcze tylko kabel i uruchomiłem nagranie.

To nagranie było dłuższe od prezentowanego mi kiedyś przez Jerzego. Tylko raz, już w zimie, kilka miesięcy po śmierci Jerzego, odważyłem się je puścić, ale wymiękłem już po minucie. Zaciśnąłem zęby, spokojnie wycofałem się pod ścianę. Ze sterowca nieźle widać było kawał Warszawy, obraz chwilami nieznacznie drżał, zdradzając użycie dużego zoomu i brak wyspecjalizowanego żyroskopowego sprzętu, ale widoczność i tak była bardzo dobra. Kamerzysta wolno najechał na ogrodzony teren wspólnoty, potem na zbliżeniu widziałem siebie, potem siebie pod bramą, potem szamotaninę, pojawiające się nowe postacie: gówniarzy i ich guru, Szpakowatego... Nie musiałem chłonać akcji, dlatego dzieliłem czas na podgląd ekranu i kontrolę min Sukonina i Zemfiry. W pewnej chwili kapitan, nie odwracając się, pomachał niecierpliwie ręką, Zemfira poderwała się i rzuciła do laptopa. Omal nie parsknąłem śmiechem: zapomnieli przetrzasnąć obraz do swoje go szefa i na dodatek nie ustawili właściwie laptopa. Musiał ryknąć do zięcia, by ten przypomniał sobie, kto tu rej wodzi. Paradoksalnie ta scenka pomogła mi oderwać się od ponurych myśli. Jakbym nagle strząsnął z siebie grubą warstwę zakurzonych łachmanów – mogłem patrzeć na ekran bez skręconych w węzeł trzewi. Zobaczyłem, jak młodzi wyznawcy Czegoś Tam suną na mnie,

widziałem, jak trafiam jednego gówniarza w nogę, potem w bark, jak pocisk trochę przypadkowo trafia w kij bejsbolowy, a szczeniak, dwukrotnie postrzelony i uzbrojony tylko w ułomek kija, ciągle idzie na mnie. Przypomniałem sobie, jak podczas pierwszej projekcji Jerzy zatrzymał obraz, wysunął palec i pokazał mi na górze ekranu zaciekawiony pysk szpakowatego „kapitana” nad krawędzią bramy. Musiał wdrapać się na kubel śmietnika albo gorliwi *moonies* trzymali go na swoich ramionach. Tymczasem na ekranie trwała moja bijatyka z nieczułym na pociski gówniarzem, gówniarzem-guimonem. Przesunąłem się w bok, zmuszając guimona do napierania na ranną nogę, nie bolała go, ale – pamiętałem – nie słuchała go tak dobrze jak zdrowa. Wymierzyłem mu kopniaka i nagle w polu widzenia kamery pojawiło się coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Albo czego mi nie pokazano.

– Poczekajcie sekundę! – Podskoczyłem do laptopa i cofnąłem nagranie o dwadzieścia sekund, a potem zwolniłem je trzykrotnie.

W polu widzenia obiektywu pojawił się koniec lufy karabinu, celował w dół, gdzie guimońskie szczenię usiłowało nadziać mnie na szczyrzący nierówne kły kij.

– Ktoś cię asekurował – pokiwał głową Sukonin. Sukoninsukinsyn! Od razu zrozumiał to, czego ja przez rok nie mogłem pojąć – jak można było wysłać takiego dupka, pozbawionego wiedzy o zagrożeniu, do enklawy, w której przyczaiło się co najmniej kilka pociotków Pana Snów! Można było, trzymając na muszkach wyspecjalizowanej broni jego nieziemskich przeciwników! A ja myślałem, że Jerzy... miał w dupie, jak potoczy się walka, że dopiero potem zacząłem coś dla niego znaczyć!

Skrzyżowałem ręce na piersiach i zafundowałem sobie soczystego szczypa w bolesne miejsce pod pachą. Na ekranie udało mi się soczyście gruchnąć młodziana w głowę, zachwiał się, poprawiłem bezlitosnym uderzeniem kantem dłoni w szyję, po którym opadł na kolana, a ja ruszyłem w kierunku dziewczyny. Zbliżenie pokazało jej otwarte szeroko usta, miała koszmarnie krzywą, wołającą o pomstę nad rodzicami albo nieudolnym stomatologiem górną czwórkę, oczy zniknęły w szczelnie zwartych powiekach. Znowu niemal usłyszałem jej przenikliwy wizg. „Patrz na niego”, upomniał mnie wtedy Jerzy.

– Patrzcie na tego powalonego – rzuciłem do widzów.

Kamerzysta przesunął obiektyw i skoncentrował obraz na tarzającej się po trawie postaci. Mój przeciwnik dygotał mocno, właściwie rzucał się jak w padaczcze, potem nagle wyprężył się cyrkowo, niemal dotykając tyłem głowy pięt, i natychmiast zwinął w płodowy kłęb. Widzieliśmy, jak odrzuca głowę i otwiera usta do krzyku, do wycia, do wizgu?... Ale przecież pamiętałem doskonale, nie wył. Dorotka już wtedy się nie darła, usłyszałbym. Kamerzysta zrobił zbliżenie na jego już nieruchomą twarz, widzieliśmy, jak oczy zapadły mu się, ściemniały, ale zaraz potem błysnęło w nich coś purpurowego... Kamerzysta przegapił to, zamiast skoncentrować się na rozjarzonych piekielnym ogniem oczach! Obraz skokowo odsunął się, objął całą postać: chłopak nagle wyprężył się i... rozsypał... Jak potworek z gry komputerowej trafiony wystarczająco wiele razy magicznym mieczem zakupionym za

zdobyte trzosiki.

– Puścić jeszcze raz? – zapytałem z lekką kpina w głosie.

– Puść! – Sukonin zachrypiał, odkaslnął. – *Job twaju mat!*

Zatrzymałem, puściłem. Dokładnie tak samo, jak przy pierwszej projekcji, też nie mogłem uwierzyć, też chciałem zarzucić im manipulację, triki, multiplikację... I tak samo nic się nie zmieniło: chłopak leżał na trawie, krwi było mało... Leżał, był, „wył” i zniknął... Kamera wpiła się w miejsce po nim, ekran wypełniły powiększone źdźbła trawy, kilka z nich wyprostowało się, wszystkie przysypane sproszkowanym srebrem. Pył mienił się, jakby płynął po trawie, ale nie płynął. Po kilku sekundach znudzony statycznym widokiem kamerzysta odjechał i nagle dość wiernie odtwarzający kontur ciała pył po prostu zniknął. I wiedziałem, że żadne spowolnienie nie ukáže etapów pośrednich. Jest – nie ma. Kropka.

– I to tyle – powiedziałem.

Podszedłem do kompa, wyjąłem scyzoryk z portu USB, wróciłem do stołu, udając, że nie widzę złości w oczach Zemfiry. Przesmarowałem pół kromki masłem, pokryłem ją czarnym kawiozem, odgryzłem...

– To jest... – Sukonin dopiero teraz odwrócił się, dość gwałtownie, od ekranu – ...cholernie mocne, najmocniejsze co widziałem w życiu – powiedział. – To jest gorsze od widoku... czołgającego się w moim kierunku faceta, któremu urwało nogę, a on podpira się nią i lezie, lezie... – Potrząsnął głową i chwycił butelkę. Nalał. – Czym to się robi? Srebrne kule? Nacierane czosnkiem? Nie, no co ja gadam?! Ja, racjonalista i w przeszłości niemal marksista, czerwonoarmista, milicjant i pytam, czym powalić stwora nie z tej ziemi?

– Mnie to też nie mieściło się w głowie. Do pierwszego guimona. – Podniosłem do góry rękę. – Sygnet z alsternu. Metal, który zabija guimony. Czystej stali też nie lubią, srebro piecze i pali, ale najlepszy jest alstern.

– Dasz do zbadania. Pokręciłem głową.

– Wykluczone. Poza tym nie schodzi mi z palca. Zresztą, czy tobie się nie wydaje, że gdyby można było wyprodukować go w laboratorium, to Amerykanie dawno już wsadziliby każdemu mieszkańcowi Ziemi obrączkę na palec?

– No to skąd go mają?

– Nie wiem. Zdrapują z pokrywy mogiły Cthulhu. Przyrasta jakoś, ale mało, za mało... Sukonin łypnął okiem na moją rękę.

– Daj nagranie – poprosił.

– Coś za coś – powiedziałem twardo.

– A co chcesz?

– Jeszcze nie wiem.

– No to masz to.

Wypiliśmy.

– Dobra – zdecydowałem się nagle. Nie chciało mi się pilnować nagrania dzień i noc.

Zresztą, przecież przyjechałem tu z pomocą. – Żebyście nie mówili, że Polacy wam wrogami.

– Dobra – powiedział poważnie Sukonin. – To my też postaramy się, żeby Polacy nie myśleli tak o nas.

Zemfira już pędziła do mnie z wyciągniętą dłonią. Podałem jej scyzoryk.

– A coś jeszcze masz na deser? – zapytał z chytrą miną Sukonin. Pokręciłem głową.

– Nie mam. Jak mi się coś przypomni, to powiem.

Pokiwał głową, nie wiem, czy odnosiło się to do moich słów, czy do tego, co usłyszał w słuchawce.

Postanowiłem go podrażnić. Jak to mówią Rosjanie: drażnić tygrysa i *smieszno*, i *straszno*!

– A generał Jarcyn jak mocno się interesuje tą sprawą?

– Jarcew.

Cholerka!

– Przepraszam, Jarcew. Ktoś źle napisał nazwisko.

– Generał Jarcew jest żywotnie i osobiście zainteresowany. – Uniósł głowę do góry i chwilę wpatrywał się w sufit. Chyba chodziło mu o to, żeby nie miał już wątpliwości, że generał Jarcy... Jarcew jest z nami.

– Jest pod wrażeniem twojego video – dokończył, wracając spojrzeniem do mnie. – Upoważnił mnie do zapoznania cię z wszelkimi niezbędnymi i w ogóle potrzebnymi materiałami do prowadzenia dochodzenia.

Teraz ja zapatrzyłem się w sufit. To było coś nowego i lekko zaskakującego. Ja widziałem siebie jako konsultanta, reprezentanta, ofiarę wreszcie, wykpiwaną przez niedowiarków, ale nie spodziewałem się zaszczytu prowadzenia dochodzenia w Rosji.

– Jak to sobie wyobrażacie?

– Zwyczajnie. Mówisz nam, co należy zrobić i robimy to.

Akurat! – pomyślałem. Będą słuchali eksportowego... Aaa! Ekstermana! Oni sądzą, że zastąpiłem Jerzego i stałem się ekstermanem! Cóż, na razie, póki nie za pytają wprost – *let it be!* Poczulem, że wódka zaczyna krążyć po trzewiach, wspina się wyżej, wymacuje szlaki do głowy i znajduje tam siedlisko. Było jej tam przyjemnie, obiektywnie i szczerze – za bardzo nawet.

– Dobra. Wiemy, na czym stoimy i czego oczekujemy. Ode mnie. No więc ja powiedziałem i pokazałem sporo, a co wy możecie mi dać?

Mój nowy rosyjski przyjaciel, Kostek Sukonin, sięgnął do butelki, ale zrezygnował w pół ruchu.

– Mamy tu kilka spraw, które ku naszemu żalowi wyjaśniałyby udział tych twoich guimonów – powiedział i nagle eksplodował: – Guimonówchujmonów! – Sapnął dwa razy. – Dwa tygodnie temu na zwyczajnym osiedlu ktoś... coś rozszarpało pięciu gówniarzy. Nikt nie widział, co się stało. Po prostu – chwilę temu pięciu blokiersów siedziało na ławce, a po trzech

minutach zostało z nich kilkanaście kawałków. Ostatni widok to piątka szczeniaków i babunia. To raz, ten najbardziej spektakularny. Nielegalna przetaczalnia krwi na eksport, to dwa. Kilka innych dziwnych i nieprawdopodobnych spraw ze starszankami w roli głównej, to trzy. Aha, nie dawno coś rozszarpało jednego miłego i nowoczesnego popa w cerkwi w Moskwie. – Nie akcentował specjalnie pointy informacji, ale nie musiał. – Napijesz się?

Chciałem powiedzieć, że nie. Skinąłem głową.

– To jest to, co się mówi o zastrzeleniu?

Też skinąłem głową. Nalał do kieliszków. Dwóch. Ciekawe, że im człowiek bardziej pijany, tym chętniej kiwa głową. Postanowiłem nie kiwać.

– Wiesz co, Kostek, my w Polsce usiłujemy utrzymać mit o naszej szarmanckiej postawie wobec dam, trochę mi głupio tak... – Niby chciałem pokazać, że brakuje trzeciego kieliszka, ale nie udało mi się, palec zatoczył koło, bardzo nieokreślone.

– Zemfira jest na odwyku – powiedział zwyczajnie. Bez śladu skrepowania. – Nie pije od roku.

Powstrzymałem się od spojrzenia na Zemfirę.

– Aha.

– Podałem ci pierwszy lepszy powód sprowadzenia cię do nas – kontynuował, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. – Pewnie są i inne, ale mogliśmy ich nie skojarzyć. Po drugie, mamy poważny czerwony alarm.

Poszukałem w głowie i znalazłem.

– Wykolejenie pociągu?

– Tak.

– Rozumiem. Ale co z tymi geriatrycznymi zdarzeniami?

– Jutro przesłuchamy świadków z ulicy Thaelmanna. Masz jakieś pomysły?

Miałem.

– Nie mam. Nie oczekujesz chyba cudów?

Westchnąłem.

– Nie oczekiwałem, ale miałem nadzieję. – Chwilę zastanawiał się. Albo słuchał pomysłów przełożonego.

– Jeśli mam być szczerzy... – Zamyślił się.

Może był to dla niego stan dziwny. Chwila szczerości.

– Wiesz, że to jest preambuła do kłamstwa? – wypaliłem.

– Tak. Wiem. Ale my, Słowianie... – Pokręcił głową. Najpewniej jego przełożony rzucił mu w tej chwili: „Uważaj, Kostia!”. – Wiesz co, widziałem ten wasz film *Mata Moskwa*. Znam człowieka, który moim zdaniem jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Wiery. Ten wasz reżyser, Krzystek, nie odważył się albo – w co bardziej wierzę – nie chciał po chamsku dopowiedzieć wszystkiego, czyli tego, że to nasze NKWD powiesiło tę kobietę. Czy wciągnął ją na gałąź drzewa, czy tylko tak ją zakołował, że sama się powiesiła, nieważne. Na

pewno to on sprzątnął taboret... Umarł jako pułkownik Czerwonej Armii. A mnie jest wstyd za to, za niego. Po co to mówię... – Odchylił się w fotelu i westchnął. Jeśli grał, to znakomicie, Nobel i Oskar, i Złoty Glob. – Słuchaj, ja mam przecucie, a to jest coś, za co mnie tu cenią, że dzieje się coś niezwykłego i cholernie, *jobanyj w rot*^{*}, niedobrego. Na dużą skalę. Taką, której ja nie ogarniam.

– *Tawariszcz kapitan?* – Zemfira chyba uznała, że jej przełożony uderza w przesadnie słowiańską nutę. – O której jest...

– *Pieriestań...* – Zbył jej troskę machnięciem ręki i ciągnął, patrząc na mnie: – Jeśli masz rację, jeśli w nasz racjonalny świat, w którym, jak się nam wydaje, najgorszy jest atak na WTC, wysadzenie w powietrze pociągu czy wymordowanie kilkuset zakładników, wkracza zło, nie, nie zło, tylko ZŁO, to pieprzę zabawy w macanie...

Wydał mi się nieszczerzy. Zwłaszcza w kontekście tego, co Zemfira bąknęła o jego mocnej głowie.

– Nie chciałbym cię napawać przesadną rozpaczą – rzuciłem, jakoś wrednie ciesząc się z tego, co za chwilę powiem. – Guimonów jest tylko kilkuset na całym świecie. Dokładnie rzecz ujmując, sześciuset sześćdziesięciu sześciu. Plus minus kilku. To jakby dobra wiadomość.

– Zdławić siedmiuset... ludzi... to jest problem?

– Tak. Bo ich liczba jest stała. Żebyś się zes... – Przypomniałem sobie, że jestem szarmanckim Polakiem. – Żebyś nie wiem co – liczba stała. A ich pogromców jest, jak sądzisz, ilu?

Obliczał chwilę.

– Czterdziestu?

– Czterech! – wypaliłem. – Ekstermanów jest czterech. I to też jest stała liczba. O ile mam pojęcie o całej sprawie.

– Ekstermani? – zapytała szybko Zemfira.

– Ci, co mogą niemal bez trudu eliminować guimony.

– To dlaczego tego nie robią? – przejęła rozpytkę.

– Bo guimonów jest niby mało, ale są rozsiani po całym świecie, samo wytropienie ich stanowi ogromny problem, a likwidacja kilku powoduje wzmożony pobór nowych. I koło zatacza... koło.

Cała nasza trójka zamilkła. Nie musiałem im, zawodowcom, tłumaczyć, że po prostu nie można zmontować większej akcji, że nie można przydzielić każdemu ekstermanowi dwóch tysięcy żołnierzy, policjantów i ochotników, żeby ci naganiali im guimony, a oni, niczym koszerni rzeźnicy, tylko by je szlachtowali alsternowymi maczetami. Po prostu się nie da. Nie da. Nie!

Sukonin nagle potrząsnął głową. Trochę się zdziwiłem, że już jest ugotowany, ale on

^{*} *Jobanyj w rot* (ros.) – w mordę pierdolony.

popatrzył na mnie kompletnie i nieprawdopodobnie trzeźwymi oczami i powiedział:

– Nie odważę się pojechać do Moskwy i powiedzieć tym *stalicznym* dupkom, że ich ofiarnego popa rozszarpała jakaś podległa Cthulhu babunia.

– Zrekapitulujmy. – To mój ulubiony sposób, żeby sprawdzić, czy jeszcze mogę mleć ozorem: wypowiedzieć słowo „zrekapitulujmy”. Udało się. Zakup kilkudziesięciu tabletek antykacowych i zażycie kilku uznałem za usprawiedliwione, uzasadnione i – tak! – skuteczne.

– Czy odnotowaliście wzmożenie spraw geriatrycznych, czy po prostu dopiero teraz wpadliście na to?

– Jeszcze nie wiem. Dwa tygodnie temu doszło do skojarzenia kilku spraw. Normalnie już bym miał danych od metra, ale wygramolił się z szyn Newski Sputnik i wszystkie siły rzucono na ten... – poszukał na suficie słownika i znalazł: – ...odcinek.

– Tego wykolejenia nie łączymy z naszymi starcami? – zapytałem, nie wiem, po co.

Kompletnie mnie nie interesowało wykolejenie pociągu, o ile nie prowadziła go pomarszczona modliszka z płonącymi nienawiścią oczami.

– Na razie nie mamy podstaw do łączenia tych spraw. – Gdzieś ulotniła się jego chwilowa, może udawana, słabość. Już nie kiwał głową. – Palisz? – zapytał. – Ja nie, ale jak chcesz, to pal. Zemfira, powiedz o tym pociągu, a ja się udam tam, gdzie król chodzi piechotą.

Pani porucznik odprowadziła go spojrzeniem do połowy drogi do drzwi, dalej się nie odważyła. Podała mi popielniczkę i zaczęła wolno i wyraźnie:

– Najszybszym pociągiem na tej trasie wcale nie jest Niewskij Sputnik, tylko ER 200, który jeszcze za Związku Radzieckiego jeździł do Pitra z prędkością dwieście kilometrów na godzinę i jeździ tak dotychczas. Jest szybszy od tego ekspresu! A Sputnik to po prostu jeden z szybkich pociągów, nic więcej. Tak naprawdę mógłby jechać szybciej, ale część drogi pokonuje z prędkością sześćdziesiąt-siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Jakby jechał z maksymalną możliwą prędkością, podróż trwałaby znacznie krócej. To jest zwyczajna polityka kolei żelaznych – jest wygodny. Masa ludzi woli jechać nocnymi pośpiesznymi. Wcale nie muszą być najszybsze, ludzie kładą się spać i rano są na miejscu. Hotel na kołach. Jest konkurencyjna Aurora, prowadzi wagony sypialne. Krasnaja Strieła jest bardziej luksusowa, a taki Megapolis czy Grand Ekspriess to pięciogwiazdkowe pałace. Kto co woli i na co ma pieniądze. Są też pociągi z dość starymi wagonami, ale tanie. Za to Sputnik jest nietypowy, bo wyrusza wieczorem, jako jedyny o takiej porze. Wielu ludziom pasuje. Trzy pełne składy jadą codziennie z Moskwy i Pitra. Jeden jest w sprzątaniu i na przeglądzie technicznym, potem się zamieniają. To dość nowy skład, z 2001 roku, zbudowany w Twierci. Co roku odbywa szczegółowy przegląd techniczny... – Zamilkła, nie wiedząc, czym wypełnić czas nieobecności przełożonego. – Aha, nieco inną trasą jedzie Sapsan, szybszy od ER...

– Rozumiem. – Nie mogłem już jeść więcej, nie powinienem więcej pić. – Można tu palić? – Nie zrozumiała albo się obruszyła. – Papierosy?

– A! Można. – Poderwała się i ruszyła do jednej z komódek przy drzwiach. Wyjąłem z kieszeni piguły i wrzuciłem dwie do szklanki z mineralną. Zasyczały, Zemfira jakby zeszywniała, ale nie odwróciła głowy, dopiero wracając z popielniczką, zerknęła na szklankę.

– Trochę boli mnie głowa. I może nie będę miał kaca. – Znowu zmarszczyła brwi. – Kac to następny dzień rano – boli głowa, woda, choroba...

– *Pachmielje!* – Skinęła głową. – Rozumiem. Pomaga?

– Jak kiedy.

Wypiłem duszkiem szklankę leku. Zapaliłem, smakował jak cholera.

– Tym razem może nie trzeba będzie – powiedziała, jak mi się wydało, z pewnym rozmarzeniem. – Wiesz, co pijecie?

Popatrzyłem na etykietkę, czerń i srebro, dużo cyrylicy, sama cyrylica.

– Kamandirskaja?

– Tak, nie kupisz jej w sklepie. Gorzelnia robi dla specjalnych klientów, precyzyjnie utrzymywana temperatura pędzenia, bez atomu brudów. Na ogół nie daje niemiłych efektów porannych.

Zrobiłem aprobującą minę, zaciągnąłem się. Przy trzecim dymie otworzyły się drzwi i wszedł Sukonin.

– Wracając do naszych... guimonów – zagaił. Wydawało mi się, że chce sięgnąć po butelkę, ale zrezygnował. Nie wystarczyłoby na dwa kieliszki, może nie chciał otwierać drugiej butelki. Może już nie miał tej dobrej, dowódczej.

– Co się u was dzieje w tym temacie? – uściślił.

– Nic. O ile wiem nic. Ekipa z USA wyjechała z Polski, obiecywali zaprosić mnie na szkolenie. – Po co ja to wszystko mówię? – pomyślałem. Dałem sobie rozsznurować ozór czy nie musieli tego robić? Dobra, nie po wiem, nie pomogę, to co? Komu zrobię dobrze, nam czy rosyjskim guimonom? – Sądziłem, że będzie to szkolenie właśnie w tym zakresie. – Myślałeś nawet, że będziesz jednym z ekstermanów, dupku! – Wszystko jakby się rozwiało. Jedyne, co zawdzięczam Amerykanom, to to, że moi szefowie chyba boją się mnie ruszyć. Przerzucają tylko z rąk do rąk jak gorący kartofel. Wyrzucić szkoda, może się przyda, ale parzy w łapki.

– Myślałeś, że awansujesz? – szybko zapytał Sukonin.

Trafia dobrze, musiałem przyznać w duchu. Wie z samych raportów, czy ktoś mu pomaga?

– Szczerze? Nie wiem. Nic nie wiem o istnieniu jakiejś hierarchii. – Zaciągnąłem się ostatni raz i zgasilem niedopałek. – Wydaje mi się, że w potocznym rozumieniu tego słowa nie ma.

– Ale mogli cię zrobić szefem na Europę?

– I co bym robił?

– Albo przynajmniej na Europę Wschodnią czy Środkową.

– To samo pytanie. Co – pojedę do Czechów, żeby im opowiadać o guimonach?

W mojej kieszeni ożyła komórka, rozbrzęczała się, zetknąwszy z metalową obudową noża. Wyjąłem telefon i popatrzyłem na wyświetlacz. Majka.

Wrzuciłem telefon do kieszeni. Sukonin, czekający z odpowiedzią, żebym się uporał z komórką, wycelował we mnie z palca:

– Ale... – Nagle porzucił myśl i odwrócił się do pod władnej. – *Zemfiroczka, daj nam wodoczki, a?* – Porucznik ruszyła do obudowanej drewnem lodówki, Sukonin odwrócił się do mnie. – Posłuchaj. Przyjmijmy, że mówisz prawdę, to nie jest założenie, ja ci wierzę. Mówisz prawdę, guimony istnieją, szlag – skąd się biorą. Możemy uprościć, że są jakimiś dewiantami, zmodyfikowanymi jednostkami, na których ktoś eksperymentował. Nieważne. Są. Jest ich sporo. Są nie do wykapowania przez normalnych ludzi i nie do eliminacji w zwyczajne ludzkie sposoby. Aktualnie mają kiepską organizację, są rozproszone, nie kontaktują się ze sobą, nie gromadzą, w tym sensie, że nie robią jakichś zlotów, spotkań, szkoleń, że tak sobie zadowcipkują. Nie urządzają konwentów, jak miłośnicy prozy Lovecrafta, prawda?

– Nooo... Z tego, co wiem – nie.

– A wyobraź sobie, że do Francji przyjeżdża wycieczka, czterdziestu niewinnych starszków, zwiedzają Paryż.. Ach, Luwr! Ach, Pola Elizejskie! Ach, kto się odważy wjechać na wieżę Eiffla? – zaskrzypiał wychrypiał starczym głosem. – A potem jadą do Normandii, przecież muszą zobaczyć miejsca, gdzie toczyły się te okrutne walki podczas drugiej wojny światowej. Ach, co za okopy, och, jakie bunkry! A co to? Reaktor jądrowy we Flamanville? Jaki nowoczesny, jaki chroniony! – Niemal wyszarpnął z ręki Zemfiry butelkę, cicho i ulegle zgrzytnął kapsel. Oleista strużka popłynęła do mojego kieliszka... Oj, upiłem się, rymuję? Czyż bym uderzył w wiersze, jak Kazik z pionu finansowego? Boże, nie! – Widzisz to? Czterdziestu kurewsko silnych i niespecjalnie poddających się ostrzałowi gerontów uderza na reaktor. Rozwalają ochronę, bo muszą. Tamci nie mają kul z alsternu, nie mają srebrnych strzał ani stalowych pałaszy. Grzeją do starszków z kaemów, albo i nie grzeją, nie rozumiejąc, co się dzieje... – Uniósł kieliszek, chciałem opuścić kolejkę, ale czekał, i czekał, podniosłem swoją *riumkę* i wypiliśmy. – Czy guimony jakoś dbają o swoje... ciała? Powłoki? Chodzi mi o to, czy...

– Czy poświęcą się bez wahania? – wtrąciłem.

– Tak. Czy to są bezmyślne automaty?

– Postawiłbym, że tak. Bezpieczniej dla nas tak myśleć. Że zrobią wszystko, co trzeba, i w dupie mają własny los. To nam może oszczędzić przykrych niespodzianek. Założmy, że to samobójcy, coś jak muzułmańscy straceńcy, kamikaze, szachidzi... – Wyjąłem papierosa i kręciłem go w palcach. – Rozumiem, do czego zmierzasz – ta czterdziestka mało podatnych na zniszczenia dziadów rozpier... rozpieprzy reaktor, zafunduje zachodniej Europie drugi Czernobyl...

– Tak właśnie myślę! – Przysunął mi zapalniczkę. – Możemy sobie wymyślić inne scenariusze, nasi rodzimi terroryści mieli też kilka pomysłów: teatr, szkoła... Ale na

zaatakowanie reaktora czy magazynu broni nie mają jaj. A ci twoi... oby się nie połapali, że mają!

Bystry i spolegliwy. Nie, spolegliwy to nie to słowo, koncyliacyjny. Zgodliwy.

Znowu poczułem wibrację telefonu, wyjąłem komórkę, znowu Majka. No trudno. Nie będziemy narażali jej na koszty. I siebie na kłopoty. Może coś się dzieje z synem, jej synem? Odrzuciłem połączenie. Moi gospodarze taktownie odwrócili się, jakby przeczekiwali moje sikanie do wazy z zupą.

– Masz pomysł na działanie guimonów u was? – zapytałem.

Nie spodziewałem się rzeczowej odpowiedzi, bo co miał powiedzieć: tak, obawiam się, że magazyn jądrowy w Koronowoje jest zagrożony?

– Od metra pomysłów. Byle to były moje pomysły, a nie ichniejsze.

Jednak, jak się wsłuchało, wstawiał do swojej niemal bezbłędnej polszczyzny archaizmy i takie drobne niezręczności. Brakowało mu wyraźnie... tego... *trienirowki*? Cha, cha! Chyba ta gorzała zaczynała uderzać mi do głowy. Odkryłem, że brak w tym pomieszczeniu drzwi na balkon. Nalałem sobie całą szklankę wody i wypilem. Nalałem drugą. Wypilem.

– No dobra, reasumujmy. Każda z opisanych przez ciebie spraw ma swoją ekipę, ktoś coś przy niej robi. Co ja, my, będziemy robili?

– Jutro bierzemy na warsztat babcie z ulicy Thaelmanna. Tylko nie mam jeszcze pewności... – Sukonin podrapał się po karku. – Pojedziemy do nich czy przywieziemy je na komendę?

– I to kusi, i to nęci – mruknąłem.

Na komisariacie będą usztywnione, ale czy kogoś to obchodzi?

– Co powiedziałeś?

– To znaczy, że i to dobre, i drugie niezłe – wyjaśniłem machinalnie. – Może lepiej na miejscu? – Nagle dopadło mnie potężne ziewnięcie. Niby wyspałem się w pociągu, ale czegoś mi w tym śnie zabrakło. – Ja bym zrobił tak: dokładna mapa okolicy, w promieniu mniej więcej dwóch kilometrów od miejsca zdarzenia. Wszystkie elementy, takie jak: kościoły, cerkwie, meczety, domy starców, szpitale, cmentarze, kluby seniora, nawet sale koncertowe. Duże sklepy, miejsca, gdzie staruszkowie nie rzucają się w oczy.

– Administracje osiedlowe, poczta? – podzuciła Zemfira.

– Tak, oczywiście. Skwery?

Skinęła głową.

– Będziemy mieli. Bazary?

– Tak, ale nie jakieś z kawiozem, tylko takie... tanie.

– Tak.

Wszyscy przez chwilę szukaliśmy natchnienia. Nabrałem przekonania, że Sukonin sięgnie do butelki, sprawdzonego tematu. Nie sięgnął. Odetchnąłem głośno.

– To o której się spotykamy?

Popatrzyli na siebie.

– O dziesiątej?

Rozłożyłem ręce, demonstrując gotowość i ugodowość.

Wstałem, Sukonin poderwał się, uścisnęliśmy sobie dłonie. Za nami Zemfira odkaszlnęła, znacząco, jak mi się wydało. I miałem rację – kapitan palnął się w czoło.

– Gdzie ja mam pamięć? – Przerwał uścisk dłoni i rzucił się do jednej z szafek. Wrócił i podał mi komórkę, nie wyciągnąłem ręki, pokręciłem głową.

– Mam swoją.

– No to dołóż kartę i będziesz miał swoją i naszą. – Nie cofnął ręki. Komórka była wielka, jak na zwyczajną komórkę. – I kilka pożytecznych... maneli.

– Nie, dziękuję. W mojej mam wystarczająco dużo maneli, żeby z trzech czwartych nie korzystać.

– Bardzo – jednak – proszę.

– Chcesz mnie mieć na smyczy? – zapytałem już zły.

– Nie, chcę wiedzieć, czy ci coś nie grozi i mieć pewność, że po naciśnięciu dwóch klawiszy będziesz połączony z kim trzeba, a nie z posterunkiem milicji na drugim końcu miasta.

Wahałem się chwilę. Czego się boję? – pomyślałem. Przecież nie planuję żadnych solowych akcji? Jestem wynajętym do konsultacji specem, nic więcej. Chyba.

– A inne elementy wyposażenia? – zapytałem, się gając po komórkę.

– Z bronią poczekamy – powiedział po prostu, nie kołując.

– No właśnie – burknąłem, chowając telefon.

– Na razie – obiecał Sukonin. – No to do jutra – rzucił optymistycznie.

– To do zobaczenia – powiedziałem w tym samym momencie.

Zemfira już zrobiła dwa kroki w kierunku drzwi. Ruszyłem za nią, przepuściłem w progu, w milczeniu wróciliśmy do samochodu.

Zdziwił mnie widok ulicy – ruch pieszy i samochodowy wcale nie zmałał, a mnie, po siedzeniu w wyciszonym gabinecie, po wódce i przekąskach, wydawało się, że wyjdziemy w mrok, a przynajmniej zmierzch. W każdym razie senność wskazywała na późny wieczór, wczesną noc, a było trochę po ósmej. Do białych nocy brakowało miesiąca, po prostu było wczesnie. A mnie się chciało spać i nie miałem ochoty z tym walczyć.

– Pokazać ci miasto?

– Wiesz co...

– Rozumiem, jak spać to spać. No i dobrze.

Czterdzieści minut później przekroczyliśmy próg mieszkania. Zemfira zamknęła za mną drzwi na dwie przekonujące zasuwę i ruszyła przedpokojem do swojego pokoju, nagle zatrzymała się i odwróciła. Zrobiła dziwną minę.

– Nie jestem alkoholikiem – powiedziała po polsku. Miała gorszą wymowę, wszystkie

samogłoski były głębokie, soczyste, „ł” było sceniczne, krągłe, wymawiała je jak nestorka polskich scen, Nina Andrycz; słowo „alkoholikiem” brzmiało „alkagolikiem”.

– Znasz polski? – zdziwiłem się grzecznie.

– Gorzej niż kapitan. – Uśmiechnęła się nagle, chyba po raz pierwszy szczerze i serdecznie. – Nie byłam w armii okupacyjnej.

– A dlaczego wcześniej się nie ujawniłaś?

– Dla dobra śledztwa. Pomachała mi i ruszyła do siebie.

– A dlaczego teraz się ujawniłaś?

Zwolniła i odwróciła głowę.

– Dla dobra śledztwa.

– Aha.

Poszedłem do siebie, wypłem pół butelki mineralnej, rozpuściłem dwie aspiryny i wypłem jeszcze trochę mineralnej. Przełożyłem do komórki Sukonina swoją kartę. Sprawdziłem, gdzie jest alarm, chyba go uruchomiłem, więc powiedziałem do mikrofonu: *aszybka* i odłożyłem komórkę. Po dwóch sekundach zaćwierkała, syknąłem i wziąłem ją do ręki, przekonany, że odbędzie się wyjaśniająca kiks połączeniowy rozmowa, ale na ekranie głównym pojawiła się tylko pulsująca ikona słuchawki. Odłożyłem komórkę. Wypaliłem papierosa, wpatrując się w ekran, potem dotknąłem go i wypaliłem kolejnego, czytając kilkadziesiąt razy ten sam komunikat: „Posiadacz tego numeru usiłował się z tobą skontaktować 3 razy”.

Dlaczego Majka nagle zaczęła podsuwać mi myśl, że Mirek może być moim – naszym?! – synem? Dlaczego uznała, że powinienem o tym wiedzieć, domyślać się, truć się tym? Może podjąć wyzwanie, wykończyć jakoś tego... jak mu tam, Janusza? Zbyszka? Potem zmontować nową, sytą swym szczęściem rodzinę... Po co? Komu to potrzebne?

Nie przyszedł mi do głowy nikt na tyle skretyniały, by uwierzyć w radosną zbiorową przeszłość. Gej, pofyrtana autystyczna neurotyczka i mały mało mile zmulony...

A niech to szlag! Pozwoliłem, by zmęczenie i alkohol ruszyły do szturmu. Wygrały...

Nawet nie zgasilem światła, co stało się jasne do piero o ósmej rano, gdy się obudziłem.

ROZDZIAŁ 8

Odprawa przed wizją lokalną odbyła się w dzielnicowym komisariacie. Zaproponowałem, by zwolniono mnie z tej imprezy: korzyści nie widziałem, zagrożenia – tak. Nie żebym nie ufał rosyjskiej milicji, ale...

Sukonin zgodził się tak łatwo, jakby sam już to wymyślił i tylko czekał na okazję do wdrożenia pomysłu.

Wyszedłem z papierosem w ustach na korytarz, a potem, tknięty nagłą myślą, na ulicę i rozejrzałem się.

Zdażyłem się już przyzwyczać do petersburskiej zabudowy: wzdłuż ulicy długie czterosześciorzędowe bloki, dopiero za nimi dziesięciopiętrowe. A w tych przy ulicy, niższych, by nie tworzyły ciemnych kanionów, obowiązkowo sklepy. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem taki właśnie gminny, szerokoasortymentowy sklep: *szwarc, myło, hiwno i powyło*, jak mawiał Stojan. Nie znał ukraińskiego wcale a wcale, tylko to jedno zdanie, ale kochał je i wymawiał z namiętym akcentowaniem „gówna”; wygłaszał je z dużą lubością i przy byle sprzyjającej okazji. Poszedłem do przejścia dla pieszych, pokonałem kilkudziesięciometrową jezdnię, zanurzyłem się w przegrzanym sklepie. Cholera, kiedy oni zrozumieją, że ktoś musi za to niepotrzebne ciepło zapłacić?

Minąłem pasmanterię, bieliznę, sportowy kramik, drogerię, znowu bieliznę damską. Artykuły biurowe i szkolne, potem... O! Jubiler.

Przeszedłem na drugą stronę ciągu, przeleciałem spojrzeniem po kolekcji sportowych męskich zegarków, ta sama co u nas beznadzieja, potem gabłota z oldskulowymi paliotami, rakietami i sputnikami. Kultowe? Może, ale tak samo pewnie do dupy chodzące. Przesunąłem się w kierunku biżuterii damskiej. Dziewczyna oderwała się od wysłuchiwania żalów koleżanki ze stoiska ze słodyczami i zatrzepotała rzęsami:

– Czym mogę panu służyć?

Pokręciłem głową.

– Dziękuję.

Wróciła do koleżanki, obgryzającej niecierpliwie paznokcie. Jeśli dobrze dosłyszałem, to do bladziowatej Wierki tyle osób miało tyle pretensji, że był już najwyższy czas rozwiązać ten banalny problem!

W przedostatniej gablocie leżały szachy z kości słoniowej, małe, kunsztownie i obrzydliwie zdobione piersiówki, obcinaczki do cygar, spinki do krawatów. O, bransolety! Obrożę?... Też by mogły być, ale za dużo noszenia. Dziewczyny szeptały w kącie, moja obecność wkurzała z jakiegoś powodu ekspedientkę. Machnęła do koleżanki ręką, rzucając:

– Szuka pan prezentu?

– Tak, dla mężczyzny. Proszę pokazać mi tę bransoletkę. Srebrna?

– Oczywiście – odpowiedziała dziewczyna. Nie kryła zaskoczenia, jej zdaniem wyglądałem na takiego, co się napatrzy, nagapi, rzuci okiem na zgrabny tyłeczek (wcale zgrabny nie był!) i pójdzie ślepić dalej. – W tej gablocie jest samo srebro.

– Dobrze, tę bransoletkę... – Za jej plecami w końcu trafiłem wzrokiem na to, czego szukałem od początku.

– I ten nóż do papieru. Srebro? – upewniłem się.

– *Da, da!* Który nóż, ten?

– Nie, ten obok, sztylet. – Z przyjemnością wypowiedziałem to słowo. Nóż był całkiem spory, dwadzieścia centymetrów ostrza, jakaś durna osłona dłoni, jak w rapierze, żeby koperta nie ugryzła czy jak? I uchwyt w kształcie rybiego ogona. Wzięłem go do ręki, przymierzyłem się, w myślach oczywiście, pokiwałem głową. – Tak, biorę to i to.

– Opakowanie dla prezentów – stwierdziła uradowana dziewczyna. Jej kumpelka patrzyła z nienawiścią nad moją głową. Miała tyle fajnych planów co do Wierki, a ja wstrzymywałem ich ekspozycję. I realizację. – Mamy pudełeczko...

– Nie, dziękuję. Ile? Postukała w klawiaturę kalkulatora.

– Cztery tysiące trzysta dwadzieścia rubli. Odliczyłem dziesięć pięćsetek, podałem, odebrałem resztę. Od bransolety od razu oderwałem metkę, wyciągnąłem lewą rękę.

– Proszę mi to zapiać. Nóż schowałem do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– *Do swidanija!*

– *Wsiewo charoszewo! Zachaditie jeszcze!*

Ruszyłem do wyjścia, w marszu zapinając bransoletę na lewym nadgarstku, natychmiast odpiąłem, tknięty nagłą myślą, i włożyłem do kieszeni spodni.

Na podwórku czekała już na mnie cała ekipa: Sukonin, Zemfira, dwa krawężniki w czapkach z daszkiem i ogromnymi deklami. W kącie podwórka stało dwóch chłopaków, najwyraźniej ze specnazu. W dresach, mimo że luźnych, niekryjących ich napakowanych bicepsów. Sukonin na mój widok klasnął w dłoń.

– Na koń!

Wsiedliśmy do nierzucającego się w oczy taurusa kombi i ruszyliśmy. Za nami specnaz w ładzie z oznaczeniami nauki jazdy. Cwany numer! Sukonin odwrócił się do mnie i zapytał:

– Coś powinniśmy wiedzieć o guimonach?

Zaczerpnąłem powietrza i wypuściłem wolno.

– W postaci ludzkiej wyglądają nie do odróżnienia od zwyczajnych ludzi. Ani wiek, ani

pleć ich nie wyróżniają... Tfu, co ja gadam! Jak pleć może kogoś wyróżniać? Zemfira prychnęła krótkim nerwowym śmieszkiem.

– Zapytaj pan faceta w damskiej *bani**!

– No tak. Dobra. Mnie się wydaje, że w oku mają jakąś taką dziwną... nie nienawiść, ale złość, taką niechęć do całego świata. Jakby byli świadomi, że nie są już normalnymi ludźmi, ale nic nie mogą z tym zrobić, poza tym, że zaszkożą, jak mogą i komu mogą. Nie znoszą alsternu. – Wyciągnąłem lewą pięść, jakbym chciał wymienić „żółwika”. – Nie pokażę ci go, bo nie schodzi z palca. – Wyraz twarzy kapitana nie zmienił się kompletnie, nawet nie uniosł brwi, ale na wszelki wypadek dodałem niedbale: – Jest przypisany jakoś do nosiciela. – I szybko przeszedłem do innej kwestii.

– Odcięcie głowy też skutkuje, najlepiej idzie stałą, to już mówiłem. Zresztą, każdy guimon jest trochę inny, nie wiem, czy to zależy od stopnia przemiany, czy od długości życia w ludzkim ciele, a jeśli zależy, to wprost czy odwrotnie proporcjonalnie, nie wiem. Niektóre mają łuski na rękach albo na szyi. Może na innych częściach ciała też. Nie widziałem żadnego guimona rozebranego, a zabici, już mówiłem, rozsypują się w minutę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby z takiego rozsypujące go się dziadka ściągać portki. Co jeszcze? Dobrze jest pozbawić ich członków. Są piekielnie silni i nie dbają o złamane nogi czy ręce, ale jak ich nie mają, to nie mogą użyć.

– Strzał w głowę? – zapytał Sukonin.

– Niezły, ale tylko ich stopuje, może już nie mają mózgow.

– No nie, skoro ucięcie głowy je zabija, to muszą coś mieć w głowach! – zaprotestowała Zemfira.

– Słusznie, tak. Masz rację – musiałem przyznać. – Ja bym, gdyby to ode mnie zależało...

– No właśnie, gdyby to od ciebie zależało? – zainteresował się Konstanty.

– Sieci ze srebra, ale to cholernie ciężkie. Na pewno jakieś włócznie, choć wiem, jak to wygląda: komandosi z kopiami. – Uśmiechnąłem się krzywo.

– Tak... – westchnął kapitan. – To nie przejdzie... Skręciliśmy z alei w prawo, po stu metrach w osiedlową uliczkę. Poczulem, że przyspieszył mi puls.

– Jak proponujesz wejść? – zapytał Sukonin.

W jednej chwili przeistoczył się w energicznego dowódcę, choć pytał o przepis na dobre danie z guimona.

– Ja, ty, może jeden z dzielnicowych, żeby otworzyła drzwi, ci dwaj specnazowcy za nami.

– Ej, ty?! – prychnęła gniewnie Zemfira. Wzruszyłem ramionami.

– Ja nie miewałem wsparcia w kobietach.

– Babcia chętniej otworzy kobiecie – rzucił niepewnie Sukonin.

– Wasza babcia, wasza zabawa – powiedziałem, bo już otworzyłem usta i musiałem coś z

* *Bania* (ros.) – łaźnia.

nich wyemitować. A chciałem głupio: wasz cyrk, wasze małpy. – No to idę.

Sukonin skinął głową. Wjechaliśmy w jeszcze węższą uliczkę. Obejrzałem się, łada ze specnazu niemal całowała zderzakiem tylną klapę taurusa. Jak na ucznia, kierowca prowadził wybitnie.

Uliczka składała się z dziur oddzielonych od siebie plackami asfaltu, lepiej, gdyby go nie było. Jeszcze dwieście metrów w szpalerze ciągle bezlistnych brzoź i upstrzonych pozimowym śmieciem przedwiosennych trawników i zatrzymaliśmy się. Z trawnika poderwało się do lotu małe stadko ogromnych gawronów albo po prostu kruków. Wielkie ptaszyska załopotwały skrzydłami, wykręciły ciasne piruety i zniknęły mi z oczu, odlatując poza przestrzeń widoczną z okna samochodu.

Wysiedliśmy.

Blok wielopiętrowy, z jasnopłowej cegły. Na balkonach sterty rupieci wystających ponad obowiązkowe osłony z falistego eternitu czy czegoś podobnego – narty, szpadle, pudła, balie, wanienki dla dzieci, które pewnie zdążyły już zdać albo oblać maturę. Mało skrzynek na kwiaty, w kilku oknach ciekawskie głowy. Jeden z dzielnicowych ruszył do bramy, mijając nową ławkę, bijącą w oczy z kilometra, rzucił coś przez ramię. Sukonin odwrócił się do mnie.

– Tę ławkę, na którą nawinęły się bebechy gówniarzy, musieli wymienić, bo kobiety mdlały na jej widok.

– Rozumiem.

– A tak w ogóle to klasyczna *chruszczoba* – rzucił Sukonin i zerknął na mnie. – Kapujesz? Nie? Połączenie słowa Chruszczow i *truszczo*by – slumsy. U was coś takiego jest? Wzruszyłem ramionami, zastanawiałem się chwilę.

– Może gomulizna? Ale to chyba nie oddaje całego smaczku.

Omijając kałuże i placki błota, dotarliśmy do bloku. Na drzwiach musiał ćwiczyć kopy szwadron blokerosów, domofon zjarany, brudny koc w charakterze wycieraczki. Sukonin warknął coś pod nosem, ale nie uwierzyłem w szczere obrzydzenie i skrepowanie.

Weszliśmy na klatkę schodową. Tu też wszyscy, jak w moim petersburskim domu, założyli sobie drugie pancerne drzwi. Niektóre nie podobały się tagerom i wyżywali się na nich. Inne lśniły czystością.

– Drugie piętro – powiedział nie wiadomo po co Sukonin.

Przypomniałem sobie, że to znaczy pierwsze, bo parter to też u Rosjan piętro. Kondygnacja.

Dobra, grunt, że nie trzeba wchodzić do windy, bo sądząc po dźwięku, spadała w dół, ocierając się bokami o ściany szybu. Może pasażerowie hamowali obcasami i końcami parasoli, nie wiem, ale walczyli o życie na pewno.

Podeszliśmy pod blaszane drzwi. Ktoś babcię zrobił w konia, taką blachę nawet ja odgiąłbym gołymi rękami od framugi. Dzielnicowy zadzwonił, odsunął się. Obok niego stanęła Zemfira, pozostali musieli zająć schody, my z Sukoninem w pierwszym rzędzie, drugi

dzielnicowy za nami, za nim... Nie, przesunęli go na tyły i obaj dyszeli nam w karki. Potężne chłopcy, o stopień niżej stoją, a dyszą w karki... Kurde, o czym ja myślę? Kogo obchodzi... Stop, Kamil! Stopissimo! Akcja. Działamy! Obejrzałem się, dwaj ze specnazu weszli w tym czasie pół piętra wyżej, przypięli do patek kieszeni na piersiach kamery, jednocześnie je włączyli. Odetchnąłem głęboko. Kliknęła klamka, drzwi zaskrzypiały, potem dziwnie basowo brzęknęły, jak teatralny arkusz blachy do imitowania piorunów, i otworzyły się. Dzielnicowy i Zemfira wykonali unik i pozwolili, by otworzyły się całkowicie.

– Julia Nikiforowna Kostur? – zapytał dzielnicowy. Staruszka przycisnęła dłonie do piersi, ja zacisnąłem zęby, zza kobieciny buchnęło ciepłem. Coś zagaworzyła śpiewnie.

– Nie, to sąsiadka. Gospodyni wyskoczyła do sklepu. Sukonin rzucił przez zęby i kątem ust:

– *Idiom!*

Dzielnicowy napał na babuszkę, ta cofnęła się, ale milicjant zagarnął ją i poprowadził przed sobą. Nieźle, pochwaliłem go w myślach. Ruszyliśmy i my.

Podłogę w przedpokoju, pomalowane na olejno deski, pokrywał różnokolorowy pasiasty chodnik, ikeowski powiedziałbym, gdybym nie wiedział, że był tu wcześniej. Wieszak z cienkim futerkiem, może z letniego zajęcia albo z czasów przed Wielką Wojną Ojczyźnianą, szafka na buty, drzwi do łazienki, na ścianach pejzaże wycięte z kolorowych, radzieckich jeszcze pism, kalendarz z dziewięćdziesiątego ósmego roku. Babunia i milicjant weszli do pokoju.

Tu było jasno. Na ścianach starutkie dywany czy kilimy, kilka zdjęć jednego mężczyzny w różnym wieku, jego młodszy wariant, pewnie syn, i kobieta, pewnie żona tego mężczyzny, nieobecna gospodyni. Na wprost drzwi stał kredens z kryształowymi skarbami, kilka specyficznych rosyjskich koszyków do szklanek, tak zwanych *podstakannikow*. Malutka sztuczna choinka. Z prawej i lewej strony kredensu widniały drzwi do innych pokoi. Z lewej, za wąskim tapczanem, znajdowały się drzwi do kuchni. Sukonin zajrzał i gwizdnął cicho.

– Widzisz tę lodówkę? – zapytał mnie.

Zajrzałem do kuchni, było mroczno, bo okno na balkon zasłaniały długowieczne ciemne firanki, kuchenka pamiętała Chruszczowa, a lodówka była biała. A, bo malowana wielokrotnie pędzlem! Miała fajny oldskulowy kształt, jak na amerykańskich powojennych pocztówkach, i klamkę jak radziecki samochód wołga. Sukonin zachichotał nerwowo.

– To jest lodówka na gaz – powiedział tonem ociejażeżpierzdołę!

– Bo? – zainteresowałem się wbrew sobie, wbrew sytuacji...

– Po wojnie produkowano takie lodówki, podłączali do instalacji gazowej i to było chłodziwo tego ustrojstwa.

– Widziałam w muzeum techniki – szepnęła Zemfira.

Pokręciłem w podziwie głową. Babuszka-sąsiadka coś z przejściem tłumaczyła, Sukonin władczo odsunął ją i wskazał mi bliższy pokój.

– Rozejrzyj się.

Wszedłem do pokoiku. To była sypialnia. Łóżko z czterema poduszkami, kapa. Nic ciekawego. Trzęsące się ze starości meble, cienkie dywaniki na ścianach, znowu zdjęcia, słynne niedźwiadki Szyszkina, nieśmiertelna kompozycja z czterech misiów i złamanej sosny. Na ścianie przy drzwiach duży plakatowy kalendarz – klasztorny kompleks starych budynków otoczonych murem, w każdym tygodniu zakreślone dwa lub trzy dni; układ i kombinacja zakreślonych dni z niczym mi się nie kojarzyły. Odwiedziny wujostwa? Wizyty w cerkwi? Przepena w pobliskim Kauflandzie? Pomyślałem, że jeśli dzień, w którym ktoś wymordował grupkę blokiersów, będzie zakreślony, to inne krzyżyki mogą oznaczać kolejne trupy.

Wszedłem z sypialni z pytaniem na ustach, ale w pokoju nie było ani Zemfiry, ani Sukonina, tylko dwaj milicjanci i babunia. Szybko ruszyłem do drugiego pokoju, ale nie zadałem pytania, z którym tu wparowałem. Było ciemno, okno zaklejone gazetami, a przedtem chyba zamalowane, pod ścianami stały ogromne długie skrzynie, kiedyś pomalowane, jedna w czerwonozłote kwiaty na czarnym tle, dwie pozostałe – nie wiadomo. Wszystkie trzy były straszliwie pokiereszowane zadrapaniami, podłużnymi, czyli wzdłuż przebiegu słoików, poprzecznymi, skośnymi, potem znowu poprzecznymi i wzdłużnymi. Jakby w pokoju ćwiczył zamachy albo ścierał pazury tygrys. Może lew.

Podłoga miała tylko kilka zadrapań, przypadkowych jakby. I była zamieciona do błysku.

– Babcia nieźle wytresowała swojego tygrysa, że tak ładnie pozamiatął podłogę – powiedziałem, odwracając się w kierunku drzwi.

– Co ty pieprzysz? – syknął Sukonin. – Aaa! – Dotarła doń głębia mojej ironii.

– Czyli już wiecie, kto tu mieszka. – Wyciągnąłem do niego rękę, ale nie patrząc, spudłowałem albo on się odsunął. – Powiadom tych ze specnazu, nie ma tu miejsca na żadne cholerne żarty, jest po prostu potwór.

– Obejrzałem się na kapitana, miał dziwną minę. Porażony nagłym domysłem, pokręciłem w przerażeniu głową. – Niech się nie pchają do brania jeńca! – syknąłem. – Żadnych badań i testów nie zrobicie. Nie da się. To nie są żarty.

– A oni, kurwa, nie przyszedli tu z kabaretu, tylko do roboty, za którą płaci im się ciężkie ruble, i do której się szykowali przez całe życie!

– Nie rozu...

Szczęknięta klamka w przedpokoju, rozległ się łoskot blachy, sztuczny piorun, kurewsko tu pasujący. Sukonin rzucił się do drzwi, odtrącając mnie po drodze, ale Zemfira była szybsza, zniknęła mi z oczu, gdy odzyskiwałem równowagę, czepiając się pokiereszowanej również – dopiero teraz zauważyłem – framugi.

W przedpokoju ktoś wysokim, zdenerwowanym głosem zadał długie pytanie. Zrozumiałem tylko „kto”, „do diabła”, „won”. Stałem w progu.

Oto scena: w kiszce przedpokoju przygarbiona staruszka, wolno prostująca się, a ja mogłem mieć tylko nadzieję, że inni też widzą jej przemianę. Przed nią sąsiadka, niczego

nieświadoma babusia, wskazuje ręką na pokój, po którym sunie w ich kierunku Zemfira, dzielny dzielnicowy wciąga powietrze i kładzie rękę na zapiętej – Boże, zapiętej?! – kaburze! Sukonin bardzo chytrze posuwa się w kierunku babć, ale nie na wprost, bo zasłaniałby mi widok, tylko przy szafie. Za właścicielką mieszkania, już wyprostowaną i groźnie błyskającą oczami, otwierają się drzwi, huczy sztuczny blaszany grom, w jasnej szczelinie pojawia się jeden ze specnazowców.

Trwa to sekundę, może półtorej. Myślę szybko, że może jeszcze mamy przewagę zaskoczenia, ale skończy się za pół sekundy, i wtedy guimon, bo nie mam już wątpliwości, że to guimon, zyska przewagę, bo zaskoczy wszystkich. Wszystkich oprócz mnie.

Podnoszę rękę i ściągam na siebie uwagę guimona, pokazuję mu sygnet z alsternu. Otwiera usta, dziwnie, jakby babcia chciała wypluć sztuczną szczękę, i tak jest – wypluwa. Na sąsiadkę. Ta się nie liczy, ale stoi mu na drodze. Guimon syczy i trąca kruchą babinę. Ta leci metr półtora, uderza w Zemfirę, głowa majta się przy pchnięciu i zderzeniu tak dziwnie, że nie mam wątpliwości co do daty zgonu na jej pomniku. Którego to dzisiaj mamy?

Zemfira też to widzi. Nie bawi się w podtrzymywanie osuwającej się, a właściwie walącej się bezładnie na podłogę babuszki, wyszarpuje broń, ale strzela nie w głowę, jak podpowiadałem, nie może – za guimonem, o metr za nim, dostrzega zacięte oblicze specnazowca. Jeśli spudłuje albo pocisk wyrobi tunel w czerepie guimona, to następną barierą będą kości twarzy komandosa. Strzela więc w brzuch. Efekt – wegetariański samiec komara w spotkaniu z bolidem F1. Sukonin trzyma już w ręku pistolet, podtusiały milicjant, o dziwo, też.

Przesunąłem się w prawo. Guimon zaskrzeczał coś i wykonał upiornej szybkości piruet z uniesioną ręką. Każdy na miejscu specnazowca miałby ćwierć sekundy później miejsce na nową głowę, ale chłop wykazał się boskim refleksem: zwałił się na plecy, wykonując piękny kop w korpus guimona, który przeniósł babuszkę do pokoju; przeleciała obok uchylającej się Zemfiry. Ta posłała jej dwie kulki, ale chyba osiadły w ścianie.

Guimon, wpadając do pokoju, zaczepił się rękami o górną krawędź otworu drzwiowego, dzięki czemu nie znalazł się tam, gdzie czekali na niego Sukonin i dzielnicowy. Obaj przewidzieli parabolę lotu i wystrzelili w miejsce, gdzie miał się znaleźć guimon. Nie było go tam. Sukonin, trafiony pociskiem dzielnicowego, szarpnął się i wyrzycał coś bardzo rosyjskiego i bardzo obrzydliwego. Dzielnicowy nie stał na baczność, tylko przesunął lufę i wpakował cztery pociski w... babcie?

Nie za bardzo. Na miejscu twarzy widniał teraz pysk konia, może nie cały, skrócony, jakby końskiego buldoga.

Ale za to każdy buldog oddałby swoje jądra za takie kły i resztę uzębienia.

Skoczyłem w bok, chcąc ściągnąć na siebie uwagę, ale to nie był mądry ruch, znalazłem się bowiem już niemal na linii strzału Zemfiry, widziałem pocisk wylatujący z lufy jej broni.

Sam zwałem się na podłogę, huknęło kilka strzałów, oprócz mnie i specnazowca strzelali wszyscy, niektórzy nawet trafiali.

Guimon stracił ucho, z piersi w trzech miejscach trysnęła bura jucha. Sukonin najwyraźniej przypomniał sobie o kończynach, bo walił ze swojej pukawki do dłoni potwora, ciągle jeszcze zaciśniętej na krawędzi framugi. Chyba trafił, bo guimon odczepił tę dłoń, potem drugą, opadł na podłogę i niewiarygodnie szybko kameleonowy jęzor rzucił się na podtatusiałego dzielnicowego. Sukonin skorzystał z okazji i popisowo wymienił magazynek. Nie miałem pojęcia, że już tyle razy wystrzelił. Zemfira wpakowała w guimona trzy pociski, wypełniając hukiem przerwę w strzelaniu kapitana. Trzy trafienia nie powstrzymały stwora.

Podczas gdy ja podrywałem się na nogi, z kołaczącą się w głowie myślą: „Nie masz broni! Nie masz broni!!!”, guimon, teraz już srebrzysty, niemal jak rtęciowy Terminator, znalazł się o krok od niezdarnie i wolno, za wolno, cofającego się milicjanta. Obie łapy potwora wykonały ruch po ćwiartce koła i spotkały się na szyi nieszczęśnika. Głowa nie odpadła, chłop miał mocne ścięgna, ale krew trysnęła na wszystkie strony. Guimon znowu zaskrzeczał, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażają dźwiękowcy w filmach o potworach z innych planet, potem błyskawicznie pochylił się, chwycił martwego, ale jeszcze stojącego dzielnicowego i przerzucił sobie przez głowę. Gdy trup leciał w stronę Sukonina, a Zemfira uchylała się, by nie zostać powalona przez trupa, guimon odwrócił się do mnie.

Miał ogromne węzowe oczy, lodowobiałe z krzyżowymi źrenicami, przy czym pionowe części były czarne albo niemal czarne, a poziome – purpurowe. W miejscu krzyżowania widniała przeraźliwie błękitna plamka. Na szczycie wysuniętego buldożego i końskiego pyska widniały wąskie szczeliny nozdrzy z wiotkimi, drżącymi chrapami. No i był jeszcze pysk, koszmarny parkan przerażających zębów, ale im się już nie przyjrzałem.

Na scenie pojawił się specnazowiec, zagarnął Zemfirę za siebie, wykonał zamach i cisnął w guimona jakimś kindzałem, jataganem czy innym bagnetem. Stwór nie miał żadnym szans na unik. Ale go wykonał, ostrze śmignęło mu obok ucha, tego nadstrzelonego, i wybijając bez trudu podwójne szyby, wyleciało na podwórko. Albo na ulicę.

Specnazowiec nie zdziwił się, nie klasnął z podziwu w dłonie – skoczył do przodu, uniknął sierpowego z lewej, kopnął buciorem w kolano bestii. Ta szarpnęła się mocno, naprawdę stawy były ich piętą Achillesową. Chłop poprawił drugim butem w drugie kolano, a wtedy rozjuszony guimon przejął inicjatywę. Nagle wykonał kop, ale trafiwszy specnazowca, nie rzucił nim o ścianę, tylko zahaczył stopą o jego biodro i szarpnął ku sobie. Mężczyzna wystrzelił nogą w klatkę piersiową guimona, zanim jednak jego wzmocniony but dotknął ciała potwora, ten wpił mu się w łydkę obiema łapami, przekręcił się cały i oderwał nogę. A potem cisnął nią w Sukonina.

Komandos runął na bok bez dźwięku. Guimon zadygotał, częściowo z powodu wbijających się w jego ciało pocisków Zemfiry, po czym łypnął na mnie. I już wiedziałem.

Zlokalizował przyczynę swojego niepokoju, niewygody, bólu. Gadzim ruchem dwa razy

kiwnął głową, patrząc mi w oczy, a potem...

Złapałem prawą ręką krawędź kredensu i z całej siły szarpnąłem do przodu. Szkło zabrzęczało, w przechylonej nadstawce otworzyły się drzwiczki, posypały się kryształ, *podstakanniki*, jakieś porcelanowe bambetle. Guimon, a może babusia w nim, cofnął łeb i warknął coś, przysięgłbym, że z zalem albo zdziwieniem, albo... Cholera, nie wiem, czy i jak guimony przywiązują się do porcelany i kryształów. Wyciągałem już swój jedyny oręż – nóż do papieru. Co prawda w kształcie sztyletu, i to srebrnego, ale w kontekście tego, co już tu widziałem?

Nadstawka z hukiem i brzękiem zwała się na podłogę, ułamek chwili wcześniej guimon ruszył ku mnie, jakby źle obliczył opadanie mebla i swoje ruchy, może – to bardzo prawdopodobne – zawiodło go zmiażdżone przez ostatni kopniak komandosa kolano, w każdym razie mebel chyba przygniótł mu łapę. Guimon ryknął, tym razem ryknął, nie zaskrzeczał, huknął kolejny wystrzał, pocisk trafił wreszcie dobrze – w czerep, nad lewym okiem stwora. Rozjuszyło go to i wytrąciło z planu – zamiast, jak się spodziewałem, rzucić się na mnie, skoczył w kierunku pary Sukonin – Zemfira. Pech chciał, że oboje zmieniali właśnie magazynki. Niedbałym bekhendem cisnął Zemfirą o ścianę, zjechała po niej. Jeszcze krok i guimon wyciągnął szponiaste łapy do kapitana. Trzymając rękę ze sztyletem przed sobą i rzuciłem się szczupakiem w jego stronę. Oślepiony spływającą mu z rany na czole juchą, nie zauważył mnie. Zdziwił się bardzo, gdy ostrze wbiło mu się w bok. Odruchowo mierzyłem w okolice serca, ludzkiego serca, ale skąd, do fiuta wałka, miałem wiedzieć, gdzie guimony mają serca. Czy w ogóle je mają?

W cokolwiek bym trafił – nie spodobało mu się to. Wydał z siebie przeraźliwy wizgoryk, machnął lewą łapą na oślep, na szczęście nie trzymałem już noża, inaczej zgruchotałby mi rękę, a tak tylko straciłem w niej władzę, runąłem na podłogę, a nad głową rozległy się niemal seryjne wystrzały Sukonina. Teraz, z metra, mógł rozstrzelać guimona. Gdyby tamten się na to zgodził!

Przeturlałem się po podłodze, dotarłem w pobliże Zemfiry, poruszała się niemrawo, macała podłogę w poszukiwaniu broni. Komandos z oderwaną nogą puścił nagle kikut, wyszarpnął spod pachy drugi ciężki nóż i cisnął przed moim nosem w guimona, poczym zwałił się na plecy, ściskając nogę i mało skutecznie usiłując powstrzymać fontannę krwi.

Sukonin coś wrzasnął. Banałem było odwoływanie się do matki guimona, ale on to zrobił.

Jego krzyk ucichł nagle. Zacząłem się podnosić, ale zanim mi się to udało, dwa razy opadłem na podłogę, bo dłoń ślizgała się w kałuży krwi. Nie miałem broni, Zemfira trzymała swój pistolet i ospale gmerała w kaburze pod pachą, pewnie w poszukiwaniu magazynka. Komandos nie pokazał broni palnej, nie miałem czasu przeszukiwać go. Rozejrzałem się po pokoju, ale mogłem co najwyżej przygnieść guimona kanapą, gdyby udało mi się ją podnieść.

Sukonin leżał na podłodze. Guimon niezręcznie, rozszarpując sobie tkanki tępym przecież nożem, wyszarpnął go i cisnął od razu, jakby go parzył. Nóż poleciał za zwaloną nadstawką.

Rzuciłem się za nim. Kątem oka widziałem, jak guimon odwraca się wolno i idzie kulejąc. Kolano musiał mieć złamane, kilka, może kilkanaście pocisków w ciele, czerepie, ranę od zabójczego srebra... Ścierwo nie zamierzało jednak zdychać. Potknąłem się, zwałem na próg drugiego pokoju, sypialni, i znalazłem nóż. Odwróciłem się. Guimon z plamami koszmarnego błękitu w krzyżowych, celowniczych źrenicach kuśtykał ku Zemfirze, ciągle jeszcze półprzytomnej, szamocącej się z własnym lewym ramieniem, które nie chciało się unieść i uwolnić kabury. Poderwałem się na równe nogi, zrobiłem krok, drugi po ruinie kredensowego szczytu i jeszcze raz rzuciłem się na guimona z nożem w wyciągniętej ręce. Co innego mogłem zrobić?

Udało mi się, byłem zaskoczony chyba tak samo jak guimon, ale udało mi się. W tym sensie, że mając tylko jedną sprawną rękę, wbilem mu trująco-parzące ostrze w pachwinę. Machnął ręką, powalił mnie na ziemię, poczułem, że wbijają mi się w bok jakieś ostrza, pewnie nie do końca zgruchotane kryształki i fajanse. Zacząłem się podnosić, w głowie mi się kręciło i dźwięczała jakaś melodia... Mózg, zamiast podpowiedzieć coś sensownego, ucieczkę, na przykład, zajął się głośną analizą sytuacji. Ni to mongolski marsz *wojowy* czy może farsz *chujowy*... Co ja gadam... Potrząsnąłem głową, bo coś mi zalewało oczy, krew moja czy... brew woja?... Zrozumiałem, że tracę przytomność, o ile już jej nie straciłem, i bredzę w malignie. Strzeliłem sobie plaskacza w prawy policzek, trochę pomogło. Usiłowałem zdjąć sygnet z palca lewej, nieczynnej ręki, ale jakby przyrósł. Zabójczy dla guimona sygnet był kompletnie bezużyteczny, chyba że guimon sam przyłożyłby sobie moją dłoń do swojego cielska.

Nie zanosilo się na to. Guimon, jednonogi komandos pod grzejnikiem pod oknem, Zemfira z ponurą, zaciekłą twarzą, z zawziętym spojrzeniem, i kompletnie bezbronna. Sukonina widziałem kątem oka – nieruchomy, wylegiwał sobie miejsce na podłodze.

Guimon opadł na kolana przy Zemfirze, chwycił ją za barki i szarpnął ku sobie. Rozdziawił potworny pysk, paszczę, do której dałoby się włożyć całego królika, zacharczał triumfalnie i pociągnął głowę Zemfiry do siebie. Udało się jej wcisnąć między siebie i potwora kolano, zaparła się o jego pierś, guimon zaskrzeczał znowu, szarpnął całym ciałem.

Skoczyłem na niego. W rękę już miałem srebrną bransoletkę, którą w jakimś ataku natchnienia, prekognicji, wizjonerstwa włożyłem do kieszeni, a nie trzymałem na przegubie, jak najpierw zamierzałem. Bo wtedy musiałbym włożyć guimonowi do paszczy własną rękę. A tak wrzuciłem mu tylko do gardzieli bransoletkę, i z całej siły trzasnąłem nasadą dłoni w żuchwę. Zamknął pysk, musiał, bryznęły jakieś ciekłe gówna, guimon zameczał i znieruchomiał.

Zobaczyłem przy swojej prawej nodze srebrny *podstakannik*, trzasnąłem w niego pięścią, wygięty fantazyjnie uchwyt w kształcie pytajnika oderwał się jednym końcem od tulei. Złapałem go i szarpnąłem, oderwał się z łatwością. Już nie było czasu, guimon prysnął na wszystkie strony żółtozielonym szlamem, śmierdzącym jak sfermentowana kiszka. Torsje

szarpnęły i mną, ale udało mi się od góry wbić srebrny uchwyt w ranę na czole guimona.

Poderwał łeb do góry i rzygnął w sufit. Z całej siły rzuciłem się do tyłu, potknąłem, oczywiście, kolejny raz o zwalony przez siebie samego kredens, i runąłem na bok. Ale byłem poza fontanną przepotwornie cuchnącej brei, wyglądającej zresztą nie lepiej niż śmierdzącej. Na szczęście agonia guimona nie trwała długo – odrzucona ku górze głowa odchyliła się jeszcze bardziej, i całe ciało runęło na plecy mimo niesprzyjającego ułożenia kolan. Targana torsjami Zemfira odczołgiwała się w stronę wymiotującego komandosa. Na kolanach do tarłem do niego, wyszarpnąłem swój pasek do spodni, owinałem dokoła rany i zacisnąłem z całej siły.

– *Spasiba* – wychrypiał.

Dlaczego dopiero teraz przypomniałem sobie, że mam pas? – pomyślałem. Przecież to broń!

Rzeczywiście, musiały mnie ogarnąć wszystkie rodzaje pomroczości jasnej, szarej, ciemnej, czerwonej... I dobrze, dzięki temu mogłem zatamować krwotok.

– Suka! Suka! – Usłyszałem z tyłu.

Sukonin chwiał się na nogach i usiłował komórką zrobić zdjęcia rozplywającemu się guimonowi. Zachichotałem idiotycznie i wyciągnąłem swoją komórkę. Pstrykaliśmy, ile się dało, a Sukonin prezentował swoją niewiarygodną pamięć w dziale barwnych epitetów. Nie rozumiałem nawet jednej trzeciej, ale byłem wdzięcznym słuchaczem – chichotałem i płakałem ze śmiechu, ilekroć sypnął czymś dłuższym niż „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie, ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił...”

Potem usłyszałem za oknem wycie syren i przenikliwe dzwonienie. Najpierw myślałem, że to mi w głowie dzwoni, potem domyśliłem się, że to tryl pogotowia albo milicji.

Złamany w kilku miejscach zewłok guimona zaszeleścił i rozsypał się na podłużny kopczyk suchego aluminiowego miału.

Zemfira nagle odzyskała siły, poderwała się na równe nogi, zdarła z siebie zbroczoną płynnym guimonowym gównem kurtkę i rzuciła się do okna. Szarpnęła skrzydła z całej siły, a gdy otworzyły się, wrzasnęła kilka słów. Nie zrozumiałem ich. Wyły syreny, dzwoniły dzwonki, z tyłu kłął Sukonin, dołączył do niego kaleki komandos. Co mogłem zrobić?

– Kurwajebanamać!!! – wycharczałem.

A przynajmniej to właśnie chciałem powiedzieć.

* * *

Ocknąłem się w łóżku. Zielone ściany, podwieszany sufit z ośmioma wtopionymi reflektorkami, drzwi do sanitariatu, matowe szkło w drzwiach na korytarz, sporo nieznannej aparatury u wezłowania, wenflon na wierzchu lewego przedramienia. Z napisu na butli wywnioskowałem, że leci kompleks witaminowy.

Generalnie czułem się dobrze, a może inaczej – nie czułem się źle. Na lewym bicepsie miałem opatrunek i całą rękę mocno zeszytniała, drugi opatrunek odkryłem na górze czoła. Powietrze pachniało kamforą i świeżością. Na oknach znane mi już z lokalu u Sukonina marszczone kremowe firanki. Na stoliku obok prawej ręki znalazłem pilota, usiłowałem włączyć telewizor. Udało mi się podnieść do połowy firanki. Szukałem przycisku opuszczającego je z powrotem, gdy szurnęły drzwi i do pokoju wtoczono fotel z Sukoninem. Pielęgniarka wyglądała jak pływaczka, czyli solidnie i nieatrakcyjnie. Kapitan promieniał uśmiechem.

– No, chłopie – powiedział. – Takiej akcji jeszcze nie widziałem!

– To się ciesz. – Pomyślałem chwilę, wracając pamięcią do wydarzeń sprzed... sprzed ilu godzin? – Ciesz się, że możemy się dziwić.

– Tak. Fakt. – Milczał chwilę. – Ten ze specnazu żyje – poinformował mnie. – Ten z mieszkania, tego drugiego zabiła na schodach. Jego cisnęło na ścianę, stracił na chwilę przytomność, to go pewnie uratowało, bo ta stara bladź śpieszyła się do mieszkania – wycedził przez zęby. – Sąsiadka nie żyje, dzielnicowy też...

– Poruszył wargami, jakby chciał splunąć. Odetchnął głęboko. – No dobra, jak się czujesz?

– Dobrze – przyznałem.

Zostaliśmy potraktowani z całym pietyzmem – kompleks witaminowy, przetaczanie, nasycanie i kij wie, co jeszcze.

– Ile minęło czasu?

– Doba. Ciebie i Zemfiroczkę wprowadzono w śpiączkę farmakologiczną, ja byłem przytomny. Ktoś musiał coś opowiedzieć władzy, zebrałem cały zestaw wytrzeszczonych oczu. Jedziemy do *bani* – przeskoczył na inny temat i zdziwił mnie. – Potem masaże i... Co jest?

– Do bani? – zapytałem ostrożnie. – To znaczy do dupy?

Teraz on wytrzeszczył oczy.

– Dlaczego do dupy? – Opadła mu szczęka.

– Jak coś jest do bani, to znaczy, że do dupy – wyjaśniłem, czując, że coś językowo skopałem.

Teatralnie odetchnął.

– Nieee... *Bania* to rosyjska łaźnia. Taka lepsza sauna.

– Aaa...

– No właśnie. *Pajechali!*

Pielęgniarka wykręciła i wyjechała na korytarz, jej miejsce zajęła inna, z tej samej ekipy, wpakowała mnie na fotel, odłączyła kroplówkę i zaczęła gonić Sukonina. Zjechaliśmy piętro niżej, na korytarzu i w windzie nie zobaczyłem żywego ducha. To musiał być szpital albo oddział nie dla szeregowych i szeregowych obywateli. W przedsiönku łaźni, gdzie czuło się

ciepło i wilgoć, Sukonin wyskoczył raźnie z fotela i skinął na mnie.

– Idziemy.

Staralem się go naśladować, solidnie splukałem się pod prysznicem, choć kręciło mi się w głowie. Namydliłem dwukrotnie – trzeba otworzyć pory skóry, żeby oddychała! – splukałem, ruszyłem za Sukoninem, znalazłem się w jądrze kompleksu, parówce. Drewno, piec, kamienie, nic odbiegającego od normy, no, może wypełnione wodą cebrzyki z nierdzewnej stali z jakimiś wiechciami w środku.

– Najpierw dolna półka – polecił Sukonin. Położyłem się posłusznie, chlusnął z konwi na kamienie. Przez pomieszczenie przemknął suchy war, zatkało mnie na chwilę.

Sukonin z pełnym zadowolenia i chyba dumy stęknieniem położył się na przeciwległej ławce.

– Ty, czemu masz ksywkę Moherfucker? – zapytał nagle. Otarłem pot z czoła.

– Wiesz, co to są mohery? – zapytałem w odpowiedzi. Myślał intensywnie chwilę.

– Chyba nie.

– To są zagorzali zwolennicy Radia Maryja. Symbol wstecznictwa, nienawiści do innych, głupoty i zaciętrzewienia. Oni wierzą tylko w to radio i nikomu innemu. Beton. Stary zmurszały beton.

– Aaa! U nas to *piensioniery* – renciści, ale nie do końca to samo, bo to w większości zagorzali komuniści, a wasze mohery pewnie nie.

– Pewnie nie...

– No to teraz rozumiem – tłukłeś je, a oni cię za to tak nazwali?

– Nie sądzę, żeby to byli oni. Za głupi.

Sukonin pokiwał głową, nie wiem, czy kwitując moją ocenę, czy myśląc o czymś innym. Wstał i chlusnął znowu, zdążyłem nabrać powietrza w płuca, przetrzymałem atak gorąca, zdmuchnąłem kroplę potu z nosa. Sukonin odczekał chwilę, chlusnął znowu, już nie było tak ostro.

– Zaraz się schłodzimy. – Milczał chwilę. – Usiłowaliśmy zdjąć ci sygnet – powiedział nagle. Odruchowo zerknąłem na lewą dłoń. – Nawet rozważano amputację palca, ale powiedziałem, że jesteś pamiętliwym skurwysynem i nie dasz sobie wcisnąć, że urwał ci go guimon. – Roześmiał się, widząc, że oglądam sygnet ze wszystkich stron. – Ale próbkę ci zdrapali, nie będę kłamał.

– Gównu wam to da – powiedziałem. – Jeśli Amerykanie nie są w stanie stworzyć surogatu... Chociaż – postanowiłem być sarkastyczny – przodowaliście kiedyś w podróbkach.

Popatrzył na mnie śmiertelnie poważnie.

– Śmieszne – powiedział grobowym głosem. – *Joke. Szutka*. Rozumiem.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– Żartuję. Wiem, że podrabiamy dobrze. Ale to wysłaliśmy do Chin, oni są lepsi.

– *Szutka*, rozumiem – rzuciłem teraz ja śmiertelnie poważnie. – Aha, powiedz mi: czy to

prawda, że zagorzali miłośnicy gorzały polewają w bani kamienie wódką? Albo przynajmniej piwem?

Wytrzeszczył oczy.

– Po cholere?

– Nie wiem, podobno tak robicie...

Pokręcił głową.

– Robiliśmy. Ale to było w czasach, kiedy jeździło się po Pitrze saniami zaprzężonymi w białe niedźwiedzie z gwiazdami na czapkach. – Odwrócił się i chlusnął wodą – wodą! – na kamienie. – Żartuję, oczywiście, ale to głupie, że sąsiedzi... Przecież geografii nie zmienimy, możemy tylko się dzielić granicami i obrzucać gównem. – Przygryzł dolną wargę, potem zapytał: – Wąchałeś kiedyś palone piwo? Czy wódkę? Jak szczyzny na piecu, chłopie. – Roześmiał się serdecznie. – Na razie *bani* dość. Idziemy.

Splukaliśmy się pod prysznicem, on lodowatym, ja nieco cieplejszym, ale też zimnym.

A potem zaczęło się piekło. Wyższa półka, wrzątek w powietrzu, potem najwyższa. Po kwadransie czułem się gorzej niż bezpośrednio po bitwie z guimonem. Sukonin kazał zejść niżej, wyjął z cebrzyka wiecheć. To była miotła z jakichś gałązek.

– Brzozowe – poinformował mnie Sukonin. – Kładź się na brzuchu.

Położyłem się grzecznie i zacisnąłem zęby. Spodziewałem się chłosty, tymczasem zaczęło się lekkie niemal masowanie chłodnymi, rozsiewającymi delikatny brzozowy aromat gałązkami, potem uderzenia przybrały na sile, ale to, co w Polsce sądzi się o tym zabiegu, znaczy bicie, krew i łzy, nie nastąpiło.

– Teraz ty.

Bardziej lub mniej zręcznie powtarzałem jego manipulacje. Tak się zabawialiśmy dobre pół godziny – parówka, miotelki, chłodzenie, parówka... – Dobra. Będzie dość, idziemy się pomasować.

Już na własnych nogach dotarliśmy do dużej sali z szeregiem parawanów pod ścianą. Sześć stołów. Ułożyliśmy się, pojawili się masażyści, mnie przypadła jeszcze jedna pływakka, tyle że brunetka z kołaczem z warkocza na głowie. Polała mnie olejkami i zabrała się do roboty. To było jeszcze przyjemniejsze. Odwróciłem się do Sukonina, ale nie zdążyłem nic powiedzieć.

– Cześć, *malcziki!*

Z lewej pojawiła się Zemfira, naga. Ładna dziewczyna, bez wątpienia. Ogromna szarpana blizna na wysokości wątroby. Przypomniałem sobie piękną scenę z *Zabójczej broni*, gdzie Mel Gibson licytuje się z Rene Russo bliznami i szramami. Ja nie miałem takiej ładnej na froncie, a i tak na froncie leżałem. Zemfira podeszła i pochyliła się nade mną. Pocałowała mnie w policzek.

– Dziękuję za uratowanie życia. Ta suka rozszarpałaby mnie za chwilę na szmatę – powiedziała.

– Dlaczego ciągle mówicie o nim ona? – zapytałem, żeby ukryć zmieszanie i móc odwrócić się w naturalny sposób od nagiej Zemfiry do Sukonina. – To guimon, może w ogóle nie ma płci. W każdym razie nic płciowego nigdy w nich nie widziałem.

Zemfira ułożyła się na łóżku, twarzą do nas.

– Nawet nie pytałam, co mi dali na sen, ale musiało być mocne, bo zasnęłam – powiedziała już bez uśmiechu. Sukonin chrząknął, odkaszlnął, chrząknął znowu.

– Masz u wszystkich otwarte konto – mruknął.

Nie byłem pewien, czy mówi to ze złością, czy goryczą, zawodem czy tylko ze zrozumieniem.

– Nie ma sprawy – powiedziałem. – Najważniejsze, że jednego mniej.

– Ale to nie ma... – Zemfira szukała odpowiednie go polskiego słowa.

– Znaczenia – odpowiedziałem. – Bo ich liczba jest stała.

– Czyli co, jak jeden ginie, natychmiast rodzi się inny? – skrzywił się Sukonin. Rzucił szybkie spojrzenie na masażystę, ten szybko przeniósł ręce na inną partię pleców. – Jak to jest?

– Nie wiem. Może sześćset sześćdziesiąt sześć nie jest stałą liczbą, może zawsze jest ich plus minus dziesięciu?

Zapadła chwila ciszy. Masażysta Zemfiry mlasnął kilka razy, na jakiejś wklęsłości klientki.

– To takie... – powiedziała z niesmakiem, nie dokończyła.

– Tak, banalne i przez to mało wiarygodne. Tak. Mnie to wytłumaczono tak, że przez dziesięciolecia czy wieki działania guimonów coś tam przenika do świata normalnego. W końcu mało bo mało, ale jakąś wiedzę o nich mamy. Eksterminatorzy jak Jeźdźcy Apokalipsy, czterech, sześćset sześćdziesiąt sześć diabłów, śpiący demon... To wszystko zgrane i powielane po wielokroć schematy, gotyckie powieści grozy, horrory, i cała ta dziedzina demonów, zombie i reszta jest co i rusz szpikowana – jak się okazuje – rodzynekami prawdy.

Zapadła cisza. Sukonin zawołał moją masażystkę i rzucił:

– *Lewaja ruka!*

Kobieta zabrała się do mojej lewej, kontuzjowanej ręki. Pod opatrunkiem był niezły krwiak i jeszcze lepszy siniec. Zaczęła masować delikatnie, ale już po chwili musiałem zacisnąć zęby. I oczy. Kiedy ból nieco zelżał i otworzyłem je, między naszymi stołami stał inny, mały, okrągły, z karafką i dwoma kieliszkami; w większej butli delikatnie kołysał się kwas chlebowy.

– Wypijmy teraz – powiedział Sukonin. Wypiłem z przyjemnością.

– Jeśli chcesz palić – pal.

Chciałem. Jeden z masażystów podskoczył z paczką cameli i zapalniczką.

– A wiesz co? – powiedział jakby marzycielskim tonem Sukonin. – Zaczyna mi się

wydawać, że guimony to nasze... są. Popatrz, w języku polskim nawet nie znam rymu do guimon.

– A w rosyjskim jest ich zatrzęsienie! – zakpiłem.

– W każdej chwili – zapewnił mnie. – Patrz: *Stait guimon, chujowij jak kisty limon!**

– *A u mienia takich guimonow wagon!** – wyrecytowała Zemfira i zachichotała.

– Bez przesady, po polsku też można: tyle że ja tego guimona wyrzucę z okna wago...na!

Miałem nadzieję, że nie znają na tyle polskiego, by zarzucić mi manipulację końcówkami rzeczownika. Zachichotałem.

Zrozumiałem, że dopadła mnie jakaś lekka histeria, wynik krwawej kotłowaniny w mieszkaniu staruszki. Rozśmieszyło mnie to jeszcze bardziej.

– *Kanczajtie swai wyjebony – prijechali świeżyje guimony!** – wykrztusiła Zemfira. Głupawka narastała.

– *Priwiezli dyriawyje gandony!** – dodał Sukonin i zachłysnął się chichotem.

Ryknąłem gromkim śmiechem. Popatrzyłem na poważne, kamienne nawet twarze masażystów i dostałem głupawki. Przez łyżę widziałem tłukącą dłoń o łożo Zemfirę, a z boku słyszałem ryki Sukonina. Kilka minut dla tria dowcipnych i rozśmieszonych.

– Nie przejmuj się. To prawie... zawsze tak się kończy... – wykrztusił Sukonin. – Niezamierzony i nieważny, ale to jest efekt naszych medykamentów. Warta świeczka wyprawki – zapewnił mnie z powagą i nagle prysnął jeszcze jednym atakiem śmiechu.

Mnie się odechciało rechotać. Skąd niby miałem wiedzieć i – co najważniejsze: wierzyć! – że nafaszerowali mnie jakimiś głęboko utajnionymi narkotamili tylko i wyłącznie dla mojego dobra? Sięgnąłem do popielniczki, zgasilem samowolnie dopalającego się camela, zapaliłem drugiego. Przy okazji sprawdziłem funkcjonowanie lewej ręki. Było nieźle, bardzo ale to bardzo nieźle, napotkałem spojrzenie masażystki. Uśmiechnąłem się do niej, puściłem oko i powiedziałem:

– *Zamieczatielno!**

Jakoś jej nie poruszyła moja uwaga, wykonała coś, co z wielkim trudem dałoby się nazwać skinieniem głowy i zaszła mnie od drugiego boku. Chwilę zastanawiałem się, czy zrobić awanturę o szprycowanie mnie jakimiś ruskimi tajemniczymi specnazowskimi koksami, czy uznać, że to dla mojego dobra. Uznałem, że moje dobro ważniejsze, ale czerw zważenia i tak nie schował się do norki – dawali wszystkim po równo czy tylko mnie?

– Co robicie w sprawie tej babuni? – zapytałem, właściwie warknąłem do kapitana.

– Wszystkie jej kontakty – rodzina, znajomi, sąsiedzi – pod lupą. Jutro będziemy mieli listę tych, którzy choć raz rozmawiali z nią dłużej niż dwie minuty.

* *Stait guimon, chujowij jak kisty limon!* (ros.) – Stoi guimon, chujowij jak kwaśna cytryna!

* *A u mienia takich guimonow – wagon!* (ros.) – A ja mam takich guimonów wagon!

* *Kanczajtie swai wyjebony – prijechali świeżyje guimony!* (ros.) – Kończcie swoje fochy – przyjechały świeże guimony!

* *Priwiezli dyriawyje gandony!* (ros.) – Przywieźli dziurawe kondony! (potoczna nieprawidłowa nazwa).

* *Zamieczatielno!* (ros.) – Wspaniale!

– Akurat! – prychnąłem. – Nie strasz, nie strasz, bo się...

Zaciągnąłem się i zgasilem papierosa. Nie to żeby mi nie smakował, ale nagle zrobiłem się podejrzliwy, może ciągle coś mi serwują?

Masażysta Zemfiry coś powiedział. Odwróciła się na plecy. Miała ładny, naprawdę ładny biust. Sutki w chłodzie pomieszczenia od razu stwardniały i wyprężyły się w kierunku nieba. Powstrzymałem uciekające spojrzenie, policzyłem do pięciu i dopiero odwróciłem się do Sukonina.

– Moim zdaniem, to będą albo niewidoczne kontakty albo podane jak na talerzu. Nie odnotowaliśmy w działaniach guimonów jakiegoś powiewu geniuszu. Raczej zachowują się jak... – Przerzuciłem kilka po równań i zgodziłem się na to: – ...inteligentne, ale dość prostacką inteligencją zwierzęta. Wykonują to i to, są niewidzialne w pewnym przedziale, nie odbiegają od normy w zwykłych warunkach, ale podrażnione, wystraszone, rozzłoszczone zrzucają maskowanie i biorą się do bitki. Przecież ta babcia nawet nie wiedziała, o co chodzi, a od razu...

– Jak to nie wiedziała? – przerwała mi Zemfira. Odwróciłem się do niej, mówiła w stronę sufitu. – Kilka dni temu porozdzierała na kawałki pięciu chłopaków, musiała spodziewać się śledztwa!

– Może – zgodziłem się niechętnie.

Łatwiej mi było myśleć o guimonach jak o tępych wykonawcach czyichś poleceń niż o samodzielnych przyczajonych wojownikach. Ci byliby niebezpieczniejsi.

Syknąłem w myślach, cholerna masażystka dorwała się do moich pośladków i ud, i zacząłem sądzić, że będę miał problemy z ukryciem objawów podniecenia.

– Ale oni... one nie działają w pojedynkę? – zapytał Sukonin.

– To trudno powiedzieć. Nie mieliśmy potyczki z grupą guimonów, ale nie biorą się z powietrza. Jakby infekowali się wzajemnie.

– No właśnie! – ucieszył się. – Czyli wśród jej znajomych mogą być inne!

– Mogą – zgodziłem się.

– Zacniemy je rozpracowywać. – Potwierdził to plaśnięciem dłoni. – A da się zlokalizować guimona, nie wywołując u niego szału?

– Nie wiem. Bo skąd niby miałbym wiedzieć? Każdy atakujący mnie był rozdrażniony, a ile nierozdrażnionych odwróciło się i przeszło na drugą stronę ulicy – nie wiem.

– Taak... – Podniósł głowę i sprawdził czas na dużym, niemal dworcowym zegarze. Ja też sprawdziłem. Była ósma z minutami. Relaksowaliśmy się już cztery godziny. – Myślę, że wystarczy nam, co? Jeszcze po kieliszku, na drugą nóżkę...

– Na drugą nóżkę chyba było? – zaoponowałem.

Skąd we mnie tyle mędlowości?! – pomyślałem z przerażeniem. – To narkotyki, strach czy starość?

– No to po naszymu: *Boh trojcu lubit!*

Wypiliśmy. Zemfira odwróciła się na bok, obrzuciła nas dziwnym spojrzeniem, ni to podszytym niechęcią, ni to zawiścią, ni to złością. Albo współczuciem.

Masażyści jak na komendę, jak zbuforowane roboty, narzucili na nas ogromne miękkie polarowe prześcieradła i wyszli. Sukonin pierwszy spuścił nogi ze stołu, owinał się niedbale prześcieradłem.

– Na którą się umawiamy? – zapytał.

– Mnie pasuje każda godzina – powiedziałem. Popatrzyłem na Zemfirę. Wzruszyła ramionami: mnie tam wszystko jedno, i tak nie mam nic do gadania. Dziwnie się zachowywała. Może nie miała jak ja doby słodkiego regenerującego snu? Może nie była wcześniej tak blisko kostuchy?

– No to na dziesiątą. Wyśpij się spokojnie. Zemfiroczka da ci w domu... coś na sen. Łagodnie, bez komplikacji, nie obawiaj się. – Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale wyprzedził mnie: – Potrzebujemy ciebie na chodzie. I nie zamierzamy... wiesz... Wiesz?

Chyba chodziło mu o to, że nie zamierzają mnie skrzywdzić.

– Chyba wiem – mruknąłem.

W szatni czekały na nas nasze ubrania, Zemfira zniknęła w innym pomieszczeniu. Moje dzinsy, jak i cała reszta, były świeżo wyprane, wysuszone, pachnące. Jakoś mnie to zirytowało. Nie lubię, jak ktoś się bawi moimi szmatami, ale po masakrze w mieszkaniu guimona miałbym problemy z włożeniem cuchnącego ubrania. Trudno.

Pożegnaliśmy się na ulicy. W samochodzie nie rozmawialiśmy. Zemfira odezwała się dopiero w domu.

– Napijesz się... herbaty? – zapytała, gdy zamknąłem za nami drzwi. Szczęknąłem dwiema zasuwami.

– Tak. Pewnie nie jestem odwodniony, ale tak się czuję.

Poszliśmy do kuchni. Włączyła czajnik i wrzuciła do dwóch szklanek po saszetce herbaty, ale potem mruknęła coś pod nosem, wyjęła z lodówki dziewczęcą półlitrowkę i bez pytania nalała dwie sety. Podała mi jedną, od razu stuknęła w mój kieliszek i płynnym ruchem wlała zawartość do ust. Poszedłem jej śladem, ale nie tak szybko.

– Uratowałeś mi życie – powiedziała, odetchnąwszy. – Jeszcze nigdy nie byłam taka wystraszona i tak blisko śmierci.

– Nie dziękuj. Co sobie wyobrażałaś, że ucieknę, korzystając, że guimon zajął się tobą? Nawet bym nie zdążył, one są cholernie szybkie... Widziałaś przecież.

– Tak. Ale i tak dziękuję.

Nalała jeszcze raz, w butelce zostało bardzo bardzo niewiele.

– Nie musisz pić – powiedziała, jakbym jakoś dał odczuć, że nie chcę.

Musiałem wypić. Choć nie chciałem. Ale przecież reprezentowałem swój kraj.

Zapaliłem, potem sięgnąłem po mineralną, zaproponowałem Zemfirze, ale odmówiła, nalałem sobie całą szklankę i wypilem. Czajnik pisnął cichutko i wyłączył się. W kuchni

zapanowała chłodna cisza.

– Rezygnuję z herbaty – powiedziałem. – Idę w bety. – Przypomniałem sobie, że polski nie jest jej ojczystym językiem. – Czyli spać. Dobranoc.

– *Spakujnoy noczi.*

W swoim pokoju łyknąłem dwie aspiryny, wypaliłem papierosa i postanowiłem dla relaksu wziąć prysznic.

Gdy wróciłem z łazienki, Zemfira siedziała na moim łóżku. Miała na sobie czarny jedwabny szlafrok, włosy zwinęła z tyłu głowy i upięła. Podniosła głowę i wyciągnęła dłoń.

– Tabletki – powiedziała. – Ale nie po to tu przyszłam – dodała szybko.

Podszedłem, wyjąłem dwie piguły z jej chłodnej dłoni, odłożyłem na nocny stolik.

– Nie. Nie róbmy tego – powiedziałem. – Tak nie należy, tak nie chcę. I w ogóle nie chcę. Z tobą, z inną... Źle trafiłaś.

Zmarszczyła brwi. O, nie spodobało jej się. Nie przywykła do takich rekuz.

– To nie tak, że chcę ci podziękować – powiedziała. – Nie sprzedaję się, nawet za uratowanie życia, głupi!

– Oczywiście. Wiem. Ale i tak...

– Nie wiesz, jak może być, jaka mogę być – syknęła, już nie kryjąc złości.

– Tak. Nawet sobie nie wyobrażam – zgodziłem się. Było nieludzko niezręcznie. Ale, do cholery, dlaczego mam się czuć niezręcznie, tylko dlatego, że nie chcę skorzystać z błogiej oferty?!

Zemfira poderwała się.

– Po naszej kuracji mógłbyś poczuć się jak w raju.

– Wczoraj byłem blisko raju i nie spodobało mi się tam – powiedziałem twardo. Też już zły.

– No to nie.

Wstała i przytrzymując poły szlafroka, ruszyła do drzwi. Otworzyła je i odwróciła się.

– *Hasta la Viagra, baby!* – wycedziła.

Potem wystrzeliła do mnie z palca i wyszła. Poczulem, że za chwilę ryknę śmiechem na całe gardło, a nie chciałem, by to usłyszała. Pobiegnę do łazienki i puściwszy wodę, wychichotałem się do woli. Potem, po krótkim namyśle, wrzuciłem tabletki do muszli. W pokoju wypaliłem jeszcze jednego papierosa, napiłem się wody i położyłem spać.

Chyba nawet nie zdążyłem się dobrze ułożyć, gdy podstępnie czyhający sen rzucił się na mnie, powalił, otulił ciemnością i wyłączył świadomość...

ROZDZIAŁ 9

Wybudzałem się z trudem, mozolnie, jakbym wolno wynurzał się z bagna. Najpierw zmylił mnie obcy szum za oknem, hałasy śmieciarzy chyba, trzaskanie metalowych klap, nawet na słuch nie takie jak na Kwaśnej, nie łoskot i brzęk butelek wrzucanych do ekopojemników, ale głośne pokrzykiwania i dziwny łańcuchowy grzechot. Uświadomiłem sobie po chwili, jak wyglądają ogromne pojemniki z grubych stalowych arkuszy, zniechęcony odkryciem, że jestem nie w domu, porzuciłem myśli o śmieciarzach, długą chwilę przypominałem sobie wczorajszy dzień, przedwczorajszy. Zmusiłem się do wyfiksowania ze wspomnień guimona, krwi, strzelaniny i upadających ciał, odtworzyłem w pamięci wygląd mieszkania, chcąc znaleźć jakiś znacznik guimona, ale nie znalazłem nic. Poza, oczywiście, pokieraszowanymi deskami podłogi i boków skrzyń porytych szponami. Usiłowałem sobie wyobrazić babcię, w nocy, z zaciśniętymi bezzębnymi ustami, zaciekle drapiącą pazurami drewno. Obrzydliwe. Zaczęła mnie palić zgaga.

Wymoczyłem się w wannie, na długie chwile zanurzając się z głową w wodzie. Uczciwie przetałem ciało ostrą myjką z jakiejś trawy. Krew popłynęła wartko, poczułem się... Tak sobie, ale i tak lepiej niż pół godziny temu.

W przedpokoju pachniało chemią, jakby Zemfira urządziła malowanie szafek jakimś lakierem nitro. Zaintrygowany, stanąłem w drzwiach.

Siedziała przy stole, na którym rozłożony był mały warsztacik manicurzystki: kilka flakoników z lakierami, kilka innych, trzy pudełeczka z tipsami, pędzelki, waciki.

– *Dobryj dzień* – przywitałem się.

– *Priwiet.* – Pomachała jakby na powitanie lewą dłonią, susząc lakier. Wstała i uruchomiła jakiś wyciąg przy oknie.

Zerknąłem na ekspres – w gotowości. Zemfira właściwie zinterpretowała moje spojrzenie, ruszyła w stronę blatu, ale wyprzedziłem ją.

– Zrobię, zrobię! Tobie też?

– Tak. Dziękuję.

Przygotowując kawę, z pewnym zainteresowaniem przyglądałem się jej działaniom. Tipy były jakieś dziwne.

– To są... zwyczajne tipsy? – Nie wytrzymałem w końcu.

– Nie. *Titanowycje*.

Dmuchnęła w paznokcie, na którym rozsmarowała klej, zerknęła na mnie.

– Ostre jak brzytwa. Mogłabym tym pociąć... guimona – powiedziała z pełnym nienawiści uśmiechem.

Nie chciałem jej wyprowadzać z ułudy. Sam na sam, z naturalnym uzbrojeniem, nie miała szans, nawet z bondowskimi pazurami. Choćby dlatego, że guimon ma cholernie mało bardzo czułych punktów na ciele.

– Już mi się przydały – dodała zaczepnie, jakby tylko czekała na moje kpiny. Pokiwałem ugodowo głową.

Wypiliśmy swoje kawy w milczeniu.

Obserwowałem, jak nakłada na paznokcie cieniutkie blaszki, jak je potem maluje i na suche brzegi dokłada warstewkę zabezpieczającą, taki *french*. Domyśliłem się, że w celu uniknięcia przypadkowego skaleczenia, ale i tak o to zapytałem.

– *Da*. Żeby się nie pociąć samemu.

Wyprostowała obie dłonie i uważnie przyjrzała się paznokciom, potem wzięła w jedną dłoń pomarańczę, a drugą wykonała dwa szybkie ruchy, muskając czubkami palców skórę, i poturlała owoc do mnie. Obejrzałem i, muszę przyznać, zostałem pod wrażeniem głębokiej kratki wyciętej w skórcie. Na pewno mogła tym pochlastać komuś tętnice.

Ale nie guimonowi.

Dobra, każdy świruje, jak mu pasuje.

Zemfira szybko sprzątnęła swój kramik, zaparzyła herbatę, wyjęła z lodówki jajka i usmażyła pół tuzina, na kielbasie, wszystko dla mnie. Sama, smarując jasną bułkę dżemem, tylko dżemem, powiedziała:

– Kapitana Sukonina... na razie... nie będzie.

– Coś się stało? – zapytałem głupio.

Albo coś się stało i nie powie, albo nic się nie stało, ale nie zdradzi przełożonego, że ma wcześniej umówioną wizytę w burdelu.

– Tak – przyznała. – Wczoraj komisja badająca przyczyny wykolejenia ekspresu kolejny raz miała wizję lokalną. – Odgryzła kęs, grzecznie przeżuła i dokończyła: – Ktoś zdalnie odpalił drugi ładunek, dwaj wysocy rangą funkcjonariusze zostali lekko ranni, zadrapani, można powiedzieć. Generałowi Jarcewowi podmuch strącił czapkę. Wszyscy dostali szału. Jak to się mogło stać, że przeszukane wielokrotnie tory były ciągle zaminowane?

– No tak, ktoś sobie z wami pogrywa. – Zadała mi bezgłośnie pytanie, marszcząc czoło, zrozumiałem o co chodzi: – Ktoś was robi... – Nie, tak też nie zrozumie.

– Ktoś się z wami bawi, żartuje, pokazuje, że ma was... wiesz gdzie.

– W dupie! – wypaliła. – Im dłużej z tobą rozmawiam tym lepiej rozumiem polski. Masz rację, ktoś się z nami bawi w *koszkimyski*. – Pomachała ręką, prezentując obficie zastawiony stół. – Zjedz coś.

– Tak... – Wypiłem trzy filiżanki herbaty, wduśłem w siebie jakąś kanapkę.

Trochę dygotały mi palce, lewa ręka bolała, musiałem się skrzywić, bo Zemfira natychmiast to wychwyciła.

– Łyknąłeś proszki? – zapytała. Ruchem głowy poinformowałem, że nie.

– Dlaczego? – sapnęła rozeźlona. – Czułbyś się lepiej.

Nie odpowiedziałem.

– Aaa... – Zmrużyła oczy i patrzyła na mnie jak przez szczeliny strzelnicze. – Boisz się, że faszerujemy cię narkotykami?

Nie odpowiedziałem. Wymownie nie odpowiedziałem.

Głupio zrobiłem, bo od razu mnie przyszpiliła:

– A nie uważasz, że jak byłeś nieprzytomny, to mogliśmy wszystko z tobą zrobić?

Westchnąłem.

– Tak. Uważam. Wyrzuciłem pastylki odruchowo, tak mnie szkolono. Ty też byś na moim miejscu nie łyknęła podejrzanых prochów.

– No pewnie, że tak – przyznała. Wstała i z torebki wyjęła tubus, stalowy, grubości cygaretki, wytrząsnęła z niego cztery tabletki, dwie przesunęła w moją stronę, pozostałe dwie włożyła z powrotem. – Tych już nie wyrzucaj, szkoda – powiedziała i wyszła z kuchni.

Wahałem się chwilę, potem łyknąłem piguły, popiłem ciepłą herbatą. W pokoju Zemfiry odezwał się sygnał jej komórki. Rozmawiała z kimś chwilę, potem przyszła do kuchni.

– Sukonin zaraz tu będzie.

– O? – zdziwiłem się na niby. – Akcja już się skończyła?

– Nie wiem. Prosił o kawę.

– Dobrze – powiedziałem.

Nie potrzebowała mojego przyzwolenia, ale z grzeczności skinęła głową i zajęła się kawą. Ekspres wycharczał komunikat – trzecią filiżankę, gdy szcęknęły zamki i rozległy się kroki w korytarzu. Sukonin wpadł do kuchni dynamicznie, uściśnął mi rękę.

– To jak? – zapytał. Przedtem skinął głową na powitanie.

Zachowywał się tak, jakbyśmy od lat ganiłi razem bandziorów. Cholera, nie było to niemiłe!

– Z czym?

– Z organizmem.

– Świetnie. Czuję się młodszy, silniejszy i mądrzejszy.

– Tak ma być. Kawa? Zemfira podała mu filiżankę, zaczął siorbać, pomrukując z rozkoszy.

– Uff, miałem nudną noc!

– Nie byłeś w terenie?

– Tak, ale tylko do północy, a i tam udawałem, że analizuję na laptopie wyniki ich badań, a sam... – Zrobił minę cwaniaka, nawet zatarł dłonie. – Powiem jedno: wyniki mnie cieszą i

was, Kamilu Marcinowiczu, też ucieszą. – Zatarł nawet znowu dłonie i klasnął cicho. – Przemaglowałem trzy... – zawahał się. – Jak to po polsku – *diużyna*?

– A co to *diużyna*?

– Dwanaście sztuk.

– A! Tuzin.

– No, to przemaglowałem trzy tuziny staruszków. W nocy, wyobrażasz sobie – wystraszeni, niedospani, zdenerwowani... Lekarz, dwie pielęgniarki, woń waleriany i stos nitrogliceryny. Ale! – Uniósł pouczającym albo triumfującym gestem palec do góry. – Udało się! Mamy świeży i niespodziewany trop. Babcia nasza, Stiepanida Guimonowna, rok temu, dokładnie jedenaście miesięcy temu oddaliła się od cerkwi-matuszki.

– Skąd wiesz, że to jest trop?

– Sam powiedziałeś, że one się gnieźdzą tam, gdzie dużo emocji i dużo słabych, szczególnie fizycznie, ludzi.

Łyknął kawy i syczał chwilę, chłodząc sparzone gardło.

– Mamy chyba trop. Nasza babcia od roku, dokładnie od jedenastu miesięcy zaniechała chodzenia do cerkwi. Wiecie dlaczego?

– Bo znalazła jakąś sektę? – szybko podsunęła Zemfira.

– *Tak toczno!* – ucieszył się kapitan. – Cerkiew Błogosławionej Wody Andrzejewej. Jezioro Ładoga, przystań po rybackim kołchozie, zaraz tam pojedziemy. Zwiad.

Chciałem zapytać, jak poradzili sobie z paniką na osiedlu, bo musiała wybuchnąć, ale od razu machnąłem w duchu ręką. Co mnie to obchodzi. Nie tam leży sedno problemu, tam tylko mieszkała jedna z ofiar Cthulhu, może nawet nie jedna, może było ich tam sporo, ale były tylko odpryskami Zła, jego mackami. Dobrze by było odrąbać je wszystkie, ale wiedziałem, że mogłoby to przypominać siekanie dżdżownic czy innych uradowanych okazją do podziału robali.

– Najlepiej by było – powiedziałem wolno, zastanawiając się nad dalszymi słowami – poznać mechanizm powstawania guimonów, dlaczego i jak, kiedy... Co sprzyja, poza jakąś słabizną umysłową czy emocjonalną, co powoduje, że ta staruszka, a nie inna, ten dzieciak, a nie ten obok.

– Nie zrobiliście analizy? – zapytała Zemfira, stawiając rosyjski akcent w słowie analiza.

– Nie. Ja... – Westchnąłem. – Usiłowałem o tym myśleć, ale moi przełożeni woleli udawać, że nie ma problemu, wiedziałem, że nie pozwolą mi się w tym babrać. Amerykanie zwinęli się bez pożegnania... właściwie.

Nagle poczułem, że zabrakło mi tchu. Złość i... jeszcze większa złość, i rozpacz, zdławiły mi oddech, musiałem niemal na siłę wyprostować się i zaczerpnąć powietrza. Bez pożegnania... Kto miał się żegnać, skoro nie żył?

– Dostałeś medal – powiedział cicho Sukonin.

– Tak... Dostałem medal.

– A akta? – zapytała Zemfira.

Była, jak na nią, bardzo dziś rozmowna i aktywna, jakby wcześniej coś ją powstrzymywało – dyscyplina, rozkazy? Może... A może po prostu miała polecenie służbowe, które usiłowała wykonać, choć jej ciążyło. Gdy jednak przegoniłem ją z łóżka, problem zniknął.

– Macie przecież? – stwierdziłem.

– Ale nie tak szczegółowe.

Sukonin dopił kawę i zerknął w stronę ekspresu. Podwładna od razu zeskokczyła z blatu i wdusiła odpowiedni przycisk. Młynek zahurkotał przeraźliwie, potem szczęknęły jakieś elementy mechanizmu, zasyczała para, polał się mocny napar.

– Nie mamy dokładnych danych o tych guimonach, nie mamy prawie nic o tym FafenWafen...

– Fn'thalu – poprawiłem odruchowo.

– Tfu! Brzmi, jakbym się chciał wysmarkać w garść!

Skrzywił się z obrzydzeniem, a potem nagle wychylił do przodu i stuknął mnie paznokciem w kolano. Dziwnie zabolęło.

– Kamil... – powiedział zupełnie innym tonem. Jakby się odezwał granitowy posąg. – Szanuję twoją indywidualność. Szanuję twoje poglądy, twój profesjonalizm, zaangażowanie, to że bijesz się z czymś, w co nikt nie wierzy, i zaciskając zęby, przegrywasz i z przełożonymi, i z guimonami. Ale ty też mnie szanuj, nie miej mnie za idiotę, za łatwowiernego dupka... Ja WIEM, że masz swoje teorie, swoje dane, swoje zamiary, swoje cele. Podziel się tym. Bo inaczej gównem zdziałamy.

Milczałem kilka sekund.

– Poczekaj...

Wyszedłem z kuchni i skierowałem się do swojego pokoju. Może już dawno znaleźli mojego pendrive'a, może już skopiowali zawartość i teraz jakiś ich dział analityczny całą parą grabił dane i harcował po życiorysach zniewolonych, zezwierzęcałych, spotworniałych i nieszczęsnych starcach. Wyłuskałem penicja z rękonośnej walizki i ruszyłem z powrotem do kuchni. Tuż przed drzwiami usłyszałem, że Sukonin pyta o coś Zemfirę. Nie zastanawiając się, zwolniłem i przystanąłem przy ścianie.

– Najpierw myślałam, że to impotent, ale nie, to bez wątplenia gej – powiedziała z naciskiem porucznik.

– Tak myślisz? – zapytał Sukonin. Nie czytałaś raportów, dziewczyno, stwierdziłem w duchu. – Tylko dlatego, że się z tobą nie przespał?

– Nie tylko. Widziałeś jego minę, gdy mówił o pożegnaniu Amerykanów? Daję głowę, że zabito jego kochankę!

– Taa, to dość zaskakująca wiadomość... – Sukonin odkaszlnął. Może wyczuł moją obecność i dawał znak podwładnej? Jednak nie, bo powiedział od razu, nieco innym tonem: –

A tak w ogóle, jakie to ma znaczenie? Dla nas żadnego.

Cofnąłem się na palcach i ruszyłem do kuchni już normalnym krokiem. Usiadłem przy stole i położyłem przed Sukoninem peniacza.

– Tu są wszystkie dane, jakie zebrałem o tych dziadkach. Czy to wam coś da – nie wiem.

Chwyił go uradowany. Chyba jednak nie dorwali się do niego wcześniej. Pokręcił w palcach i rzucił Zemfirze.

– Poślij do nas. Każdy możliwy priorytet.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – zaproponowałem – to niech spróbują znaleźć coś wspólnego z waszymi danymi.

– Tak! Właśnie. *Dawaj!*

Porucznik podeszła do swojej torby, wyjęła netbooka, włożyła końcówkę pendrive'a do portu i wystukała adres. Wstałem i włączyłem czajnik, zaparzyłem herbaty.

– Dlaczego staruszkowie? – zapytał w przestrzeń Sukonin i nagle poderwał się. – Cholera! Staruszki! Wyłuskał z kieszeni komórkę i wduśił jeden przycisk.

– Wala? – rzucił nerwowo.

Mówił po rosyjsku, oczywiście, ale nie miałem problemów ze zrozumieniem go. Może zresztą umyślnie mówił prosto i wyraźnie.

– Słuchaj, na spacerze, wiesz, z dziewczynkami, żadnych babć. Jasne? Jak zobaczysz jakąś zbliżającą się do was, to... to odejdz. Babcie i dziadkowie... – Słuchał oczywistych pytań. – Nie, no co ty?! Nasza babcia to co innego! Nie, tylko obce. Tak, te znane to też obce.

– Słuchał chwilę. Przewrócił oczami. – Nowy szczep grypy, atakuje dorosłe, osłabione wiekiem organizmy, ale nie rozgłaszają tego, bo wiesz, co by się zaczęło. Tak... Co naprawdę? Tak, to prawda. – Znowu słuchał chwilę. – Dobra. Naprawdę to ci powiem w domu, ale i tak mi nie uwierzysz. – Słuchał znowu, rzucił spojrzenie na mnie. Domyśliłem się, że żona coś kojarzy z Polakiem. – Tak, to ma związek z moją sprawą. Będziesz grzeczna? No to dobrze. Zuch! Całuję. Halo?! Może pojedź do zoo albo gdzieś... – Nasłuch. – Tak, gdzie mniej staruszek. Na dyskotekę! – Roześmiał się sztucznie. – Na razie.

Rozłączył się i obrócił komórkę kilka razy między palcami.

– Może grypa wśród staruszków to jakiś pomysł? – powiedział, zastanawiając się głośno.

– Chcesz przebadać kilkanaście milionów ludzi?

– No tak... – Z wyraźnym smutkiem porzucił pomysł. – Teraz nie, ale gdybyśmy wiedzieli, jak ich wykrywać i unieszkodliwiać, to byłoby to rozwiązanie – wszyscy powyżej pewnego wieku, z określonym typem czy genotypem do punktów szczepień...

– A w ampuleczkach ciepły cyjaneczek? – zakpiłem. – I na podwórku stosik trumienek?

Zmierzył mnie zimnym, nieprzyjemnym spojrzeniem. Potem wzrok powędrował w bok, chyba na Zemfirę. Pytał ją o coś oczami?

– Masz lepszy pomysł, geniuszu? – burknął po chwili, znowu patrząc na mnie.

Wyglądało, że jednak nie porzucił pomysłu, odłożył tylko na... kiedyś.

– Jak duża jest ta sekta? – zapytałem i od razu zrozumiałem, że Zemfira od kilku chwil zawzięcie tłucze w klawisze wcale nie dlatego, żeby przyspieszyć transmisję. Nie myliłem się.

– Jedenaście lat temu pewien *inok*^{*}, Arsenij, wyszedł z klasztoru, spędził, podobno, dwa miesiące na jednej z wysp Ładogi, tam doznał objawienia i wróciwszy na stały ląd, zaczął propagować wiarę w wodę i takie tam... – powiedziała Zemfira, wpatrując się w ekran.

Uświadomiłem sobie, że coraz lepiej rozumiem rosyjski, a ona coraz lepiej mówi po polsku. Tylko przysłowiowa, a w jej wypadku rzeczywista, śpiewność, wymowa głosek „ł” i „r” zdradzały Rosjankę. Maskowała się wcześniej czy to obudzona zręczność językowa?

– Oficjalnie cerkiew nie zajmuje stanowiska – ciągnęła – bo on nie neguje żadnych dogmatów, czci świętych, Matkę Boską i... całą resztę... tylko kładzie nacisk na wodę, święcenie w kąpielu, wszystko, co z wodą związane. Odnowa, zmywanie grzechów. Dwa lata żył na tratwie, którą poruszał się po Ładodze, potem powstało całe miasteczko z tratw i wtedy Ministerstwo Żeglugi Śródlądowej wkroczyło z całą mocą prawa, bo kolidowało z trasami wycieczkowymi i transportowymi... – Czytała chwilę. – Miasteczko przybiło do brzegu. W osadzie Korkutya, to jest stara, jeszcze fińska wieś rybacka, zajęli opustoszałe budynki, wyremontowali je... – Poklikała. – W każdym razie tam jest teraz ośrodek kultu.

– Do Korkuty jeździła nasza guimonka! – ucieszył się Konstanty.

– Wasza ona – mruknąłem. Chyba byłem zły z powodu tego, co podsłuchałem. *Gołuboj!* Też mi coś!

– Nasza. Dobra. Jedziemy? – Sukonin poderwał się, rozejrzał po kuchni. Miałem wrażenie, że szuka kieliszków, żeby opić niespodziewaną i radosną nowinę, ale nie dał mi powodu do rozwinięcia tej myśli. – Pojedziemy prywatnie, że tak powiem, to tylko osiemdziesiąt kilometrów, może sto. Masz inne plany? – popatrzył na mnie.

– Miałem iść do Ermitażu – powiedziałem.

– Dziś zamknięty.

– Zamknięty w poniedziałki.

– No to go zamkną, zanim dojdiesz. Idziemy! Poderwał się, klepnął mnie w ramię i wyszedł z kuchni. Poszedłem do swojego pokoju, sprawdziłem pasek miecz – świstał w powietrzu aż miło – włożyłem w szlufki, wziąłem papierosy, zapalniczkę i scyzoryk i wyszedłem. Sukonin i Zemfira czekali na mnie przy drzwiach wyjściowych. W kieszeni odezwała się moja komórka, wyjąłem ją i zerknąłem na ekran. Nieznany. No to niech taki zostanie. Wyszliśmy.

Na ulicy czekał długi ciemnozielony żarłacz – ford concorde. W bagażniku mogliśmy zmieścić cztery guimony albo stół na dziesięć osób.

– Ona prowadzi lepiej ode mnie – powiedział Konstanty i podał kluczyki Zemfirze. – I faceci zjeżdżają jej z drogi.

^{*} *Inok* (ros.) – w prawosławnych monstyrach drugi stopień święceń.

Zabrzmiało to jak komplement, i to do dupy, jeśli pamiętało się o tym, co powiedziała Sukoninowi o mnie. Gej, fałszywie komplementujący urodę kobiety. Fuj! Zemfira uśmiechnęła się, chyba szczerze, i puściła do mnie oko.

Usiadłem z tyłu. Jezu, było tu miejsca na dwie pary w dowolnej konfiguracji. Silnik sapnął i wóz niemal bezgłośnie wytoczył się na jezdnię. Chwilę później włączyliśmy się w wielkomięjski ruch. Dopiero po czterdziestu minutach wyjechaliśmy za miasto. Sukonin odwrócił się do mnie i pokazał plik kolorowych pism, leżących na kanapie pod przeciwległym oknem, sam wyjął z teczki netbooka, identycznego jak miała Zemfira, i oddał się zawziętemu szuflowaniu danych. Nie umknęło mojej uwadze, że ułożył go sobie na kolanach tak, bym nawet wychyliwszy się, nie zobaczył ekranu.

Chwyliłem pierwsze pismo, zacząłem wertować, coraz bardziej zniesmaczony. Plotki, ploty, pomówienia, pierdoły. Dokładnie jak w ojczyźnie – najważniejsze, że jakaś gwiazda upadła, z firmamentu, rzecz jasna, i nie chodzi już na japońskie sushi, tylko kupuje rosyjską mortadelę, że jakiś salonowy lew okazał się impotentem, co udowodniła w sądzie jego ekszona za pomocą nagrania z ukrytej kamery, że para biznesmenów z Syberii okradła cztery miasta z pieniędzy... Biznesmeni... Jak można wierzyć, że ktoś w ciągu czterech lat dorabia się fortuny uczciwym sposobem? Kupuje kluby piłkarskie... O, oczywiście, Abramowicz, właściciel Chelsea Londyn i gubernator Czukotki... Zastanawiałem się chwilę, dlaczego nie wpakował swoich trzystu milionów dolców w zapyziałą Czukotkę, zamiast fundować piękne życie kilkunastu futbolistom. O? Ała Pugaczowa odchodzi na emeryturę, przestaje koncertować, nagrywać, będzie żyła ze swojego radia, swoich perfum i swoich kolekcji szmat. A inna celebrytka, była premier i niespełniony prezydent Ukrainy, ponoć nie ma wcale swoich włosów, tylko zawinięty w rogal cudzy warkocz, co wyznała tłusta pieguska z małej wioski pod Kijowem, która od lat hodowała dla niej swoje włosy, ale ostatnio Julka musi zaciskać pasa, jest winna za dwa ostatnie warkocze, nie płaci, nie odbiera telefonów, nie odpisuje... Jezzzu...

Cisnąłem atakujące czerwienią i błotem pismo, rozsiadłem się wygodniej, jeszcze wygodniej i oddałem kontemplacji krajobrazu. Nie za bardzo było co kontemplować: nudna równina, osady, remont drogi. Nudy, panie, nudy...

– Dojeżdżamy do Szliselburga – oznajmiła Zemfira. – Ładna twierdza tam była. Orieszek. Najpierw twierdza, potem więzienie. – Pokręciła głową i prychnęła. – U nas chyba zawsze tak: najpierw twierdze, potem więzienia.

Jakby czytała w moich myślach, ale nie odezwałem się. Ciekawe, powiedziała tak na mój użytek czy przeleciała przez nią fala krytycyzmu.

Przez miasteczko przemknęliśmy boczkiem. Na moście mignęły mi ceglane mury na wyspie.

– Orieszek – powiedział Sukonin i zamknął pokrywę netbooka.

Zanucił coś pod nosem. Fałszywie, ale – na szczęście – krótko.

– Coś ciekawego wyczytałeś?

– Same ciekawe rzeczy. Do Pitra przyjeżdża Gunter von Hagens ze swoimi... Chwileczkę, niektóre jego eksponaty wyglądają jak...

– Guimony! – wypaliła Zemfira.

– Właśnie – pochwaliłem ją. – A poza tym... cóż. Wasza Julka, mocno przegrana, nosi cudzy, fałszywy i kradziony warkocz na główce.

– Też guimon! – syknęła Zemfira.

Ale teraz jej nie pochwaliłem. Kobięca zazdrość, w ogóle zazdrość, na ogół nie zasługuje na pochwałę.

Sukonin roześmiał się krótko, odwrócił i zapytał:

– A znasz świeży dowcip o nowym prezydencie?

– Nie znam żadnego – przyznałem.

– Dziennikarz pyta: Panie prezydencie, powiedział pan, że Czechow to największy ukraiński poeta, a co pan powie o Gogolu? Ach, Gogol to moja ulubiona wyszukiwarka!

Ja się roześmiałem, a Zemfira zrobiła poważną minę i powiedziała:

– *Szutka. Smieszno. Żart. Joke.* Rozumiem.

Teraz Sukonin roześmiał się już na całe gardło.

– I Ała Pugaczowa kończy czynną karierę – rzuciłem.

– A to już nie jest śmieszne – powiedział poważnie Sukonin. – Jak sobie z tym poradzi Matuszka Rassija? Nie wiem...

– Nie żyje Lennon i Hendrix, Czajkowski i Pavarotti i jakoś świat sobie z tym radzi – powiedziała Zemfira.

Ostro, jak na mnie za ostro, podjechała do wlokącego się autobusu i wyprzedziła go z niewielkim zapasem czasu i dystansu do merca-okularnika. Sam bym tak manewrował, ale jak ktoś mi to robił – nie lubiłem. Nie na tyle, żeby krytykować głośno. Ostentacyjnie wpatrzyłem się w boczne okno.

– Rozmawiałem z szefem o broni dla ciebie, ale się opiera. – Sukonin odwrócił się na fotelu, omal nie przesunął kolanem dźwigni biegów. – Fakt, że teraz wszyscy najępsi gliniarze wylegli na ulicę. Jak dopadną cię z obcym paszportem i bronią, to jeszcze cię jakiś idiota postrzeli i będzie domagać się premii za skuteczność.

– A tropy? – zapytałem, żeby nie być posądzony o obojętność.

– Kupa. Wszystkie blisko kupy, jak mawiał mój legnicki znajomy.

– Jasne.

Mknęliśmy dość gładko po szorstkim, ale solidnie położonym lata temu asfalcie. Pewnie droga miała jakieś znacznie militarne, dlatego wykonano ją lepiej i z lepszych materiałów. Po prawej pojawiła się tafla wody, droga przez kilka kilometrów tuliła się do brzegu, ale przeciwnieległego nie było widać.

– To jest zatoka – powiedziała Zemfira – na której nowi Ruscy bawią się w nowe sporty.

– Jakie? – Nie spodziewałem się niczego banalnego, typu skutery wodne, kitesurfing, czy miniłódzie podwodne.

– Łowienie ryb przy pomocy kormoranów – prychnęła z pogardą. – Sprowadzają wietnamskich trenerów i ptaki. Do tego obowiązkowo stare drewniane łódzie, lampy tylko Petromax, naftowe... Wiecie, że taki trener, najczęściej stary dziadyga, musi być przy wykluwaniu piskląt? Najczęściej w ostatnich godzinach sam je wysiaduje! Bo takie pisklątko zobaczy pierwszego, tego ma za matkę i mentora swojego. Ochujec można!

– Aha – przytaknął Sukonin. – A sklep z odzieżą dla posiadaczy długowłosych psów i kotów?

– Takie ostre zimy? Dla długowłosych kotów? – zdziwiłem się.

– Nie, dla posiadaczy. Odzież z materiałów niechwytających włosów, rozumiesz?

– Rozumiem. Mam kota. Długowłosego. Syberyjskiego.

Sukonin obejrzał się, potem trącił Zemfirę w ramię.

– Widzisz? Nasz chłop!

Zemfira rzuciła mi dziwne spojrzenie w lusterku. Widocznie zestawienie „nasz” i „chłop” nie spodobało się jej. Moje zmartwienie?

Jeszcze kilka minut jazdy, pisnął coś GPS, Zemfira zwolniła i po dwóch minutach zjechała w odnogę. Z obu stron drogi rozlokował się brzozy lasek, dlatego osadę czy osiedle, czy co to tam było, zobaczyliśmy, wyłoniwszy się z kolejnego zakrętu, krętego nie wiadomo dlaczego, pasującego raczej do górskich serpentyn.

Po znacznie gorszym, rozjeżdżonym ciężkimi maszynami asfalcie, wolno, wjechaliśmy w szpaler dużych baraków. Te po lewej, ułożone dalej od wody, były w wyraźnie gorszym stanie; widać w miarę upadku wioski porzucano te mniej potrzebne budynki. Droga skręciła w prawo, dotarliśmy do sporego placu. Był czysto wymieciony, budynki okalające – pobielone, czyste okna, te mieszkalne poznać można było po firankach i doniczkach z zielenią. Na placu, właściwie w jego odnodze, stały dwa autobusy, kilka minibusów i tuzin osobowych. Zemfira od razu skierowała się tam.

Plac dość gęsto wypełniony był odświętnym tłumem, na nas nikt nie zwracał specjalnej uwagi, co któraś matka odruchowo raczej chwyciła za rękę rozbrykaną pociechę, żeby ta nie wpakowała się pod koła. Zaparkowaliśmy. Obok czarnej wołgi... Nie boję się czarnych wołg, nie jestem dzieckiem! Tfu, co za omen! Wysiedliśmy.

– Ty się nie odzywaj – powiedział Sukonin, podciągając spodnie. Mówił rzeczowo, dla mnie udając ojca, który przyjechał sprawdzić warunki chrztu. Potem wyciągnął papierosy, poczęstował mnie, zapaliliśmy.

Teraz dojrzałem port. No, może port to za duże słowo, prędzej pirs. Jeden raczej nieczynny kuter rybacki, obok niego jachty, nie najnowsze i nie najdroższe, o ile się na tym znam. Potem zwyczajne płaskodenki wędkarzy. Po drugiej stronie pirsu łagodnie kołysały się już znacznie droższe okazy jednostek pływających, niekoniecznie napędzanych żaglami. W

bulaju tej największej mignęła czyjaś twarz, ochroniarza czy użytkownika, nie wiadomo. Między nie wklinował się poduszkowiec; dziwne, że „parkował” na wodzie, może gotowy do natychmiastowego użytku. Z demobilu, pomalowany na buro, z jaśniejszymi pasmami. Na burcie widniało dość oryginalne i niebanalne imię: „RussianWind”.

Rozglądałem się dalej. Jeden z budynków, z ogromną rozsuwaną bramą, tylko o pół metra węższą od samego budynku, został przemodelowany na świątynię. Paliły się tam setki albo i tysiące świec, ale wierni tylko zaglądali do wnętrza, choć nikt nie bronił wejścia, bo niektórzy wchodzili i po chwili wychodzili.

– Będę, jakby trzeba było, udawał, że szukam matki, która tu podobno przyjechała.

Zemfira posłała mu szybkie spojrzenie, chyba chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Tylko przypadkiem nie wymieniał nazwiska tej upiernej babci – syknąłem, udając, że szukam czegoś w wewnętrznej kieszeni kurtki. – Uważa się, że one w jakiś sposób dowiadują się, że ten czy ów został przerobiony na łatwo strawny nawóz do trawników.

– Tak? Tego nam nie powiedziałaś!

– To tylko przypuszczenie. I nie zabiłś...my aż tak wielu guimonów, by się martwić, czy reszta o tym wie. Ale zawsze zakładamy gorszy wariant, prawda?

– Tak, tak! – zbył mnie. Przytupnął, żeby wyprostować mankiet spodni i ruszył wolno w kierunku świątyni.

Nie weszliśmy jednak do niej, Zemfira zaproponowała przechadzkę po pirsie i tak zrobiliśmy. W połowie drogi niemal jednocześnie strzeliliśmy niedopałkami do wody. Nie było tu nic ciekawego – woda, łagodna, albo udająca łagodną, ale bił od niej zimowy ziąb, na kąpiel w niej nie skusiłoby mnie nawet jajo Fabergé ze skarbnicy Ermitażu.

Odwrociłem się w stronę lądu. Teraz dostrzegłem, że budynek kaplicy czy świątyni ma drugie wejście, właściwie bramę, wychodzącą na małe molo, niedawno odnowione, wszystkie deski zostały wymienione, dobudowano solidne poręcze i kilka stopni na końcu. Najwidoczniej tu odbywały się jakieś ceremonie, najpewniej chrzty – woda, kaplica, skojarzenia aż się cisnęły do głowy.

Na pirs weszła jakaś kobieta, fałdami jej prostej, szarej, zakonnego kroju sukni bawił się wiatr od jeziora. Szła dziwnym krokiem, w ogóle nie wymachując rękami, trzymając je przyciśnięte do boków, jakby w gotowości do okiełznania figlarnie powiewającej sukni.

– *Boh s wami, miłuje ludi* – powiedziała kobieta na powitanie.

Uśmiechała się serdecznie, życzliwie, szczerze. Miała szeroką twarz, proste rysy, ale generalnie kojarzyła mi się z jakimś rekinem. Może małe oczka-guziki?

– *Zdrastwujtie* – chórem grzecznie odpowiedzieli Zemfira i Konstanty.

Ograniczyłem się do skinienia głową i niewyraźne go powitania.

– Zbłądziliście czy przyjechaliście do nas?

– Szukam swojej mamy – powiedział Sukonin ze zmartwioną miną. – Wróciłem z urlopu, a w domu tylko kartka, żebym się nie martwił, że niedługo wróci, ale to już dwa dni jej nie

ma. A sąsiadka powiedziała, że może tu być...

– A jak się nazywa szanowna *matuszka*? – słodko zapytała kobieta.

– Anisja Wasiljewna Kobielcyna.

Kobieta zastanawiała się chwilę. Pokręciła głową.

– Nie znam takiej, ale mogłam kogoś przeoczyć. – Jej mina i ton głosu przeczyły słowom: znała doskonale wszystkich z tej sekty. – Jeśli chcecie, możecie poczekać, a ja popytam.

– Oj tak! – ucieszył się Sukonin. – Ja nie wiem nawet do kogo się zwrócić... Jak mam się do pani zwracać?

– Matka Irina – powiedziała kobieta.

– A możemy wejść do świątyni? – zapytała Zemfira. – Wiele osób, matko Irino, mówiło nam, że tu można znaleźć spokój... i pocieszenie...

Nagle wyszarpnęła z kieszeni chusteczkę i przyciskając ją na zmianę do oczu szybko pomaszerowała pirsem na brzeg. Sukonin odprowadził ją smutnym spojrzeniem.

– Żona... – powiedział. – Straciliśmy dziecko... pół roku temu. Ciągłe nie może dojść do siebie. Po prawdzie, to szukamy matki i może przy okazji czegoś, co by jej pozwoliło otrząsnąć się... trochę...

Oczy matki Iriny błysnęły. Pulchne wargi wyciągnęła nagle do przodu, jakby chciała cmoknąć, ale nie wydała dźwięku. Skojarzyła mi się ze szczupakiem, który dostrzegł w pobliżu swojej zasiadki lekkomyślną płótkę.

– Wielu tu przybywa w rozpaczy, czasem w głębokiej, bezdennej nawet. Znajdują tu współczujące dusze i ukojenie w modlitwie.

Złączyła palce na brzuchu, westchnęła. Sukonin pokiwał głową, z lekkim, znakomicie zagranym powątpiewaniem. Oczywiście, gdyby się ucieszył i w drugiej minucie sam nadział na hak, mógłby wzbudzić podejrzenie, a tak – proszę: materiał do przepracowania. Tym słodszy owoc, im więcej potu spłynęło przy jego pielęgnacji.

– Dużo bym dał, żeby żona się otrząsnęła. – Milczał chwilę, mocno zaciskając zęby, wspaniale i wyraziście poruszyły się mięśnie na policzkach. – Mamy przecież dziecko... – dokończył ochryplym ze wzruszenia głosem.

Rzuciłem mu długie współczujące spojrzenie, ale matka Irina nie zwracała na mnie, jak na razie, uwagi.

„Dużo bym dał” podziałało jak ostroga, jej spojrzenie wyostrzyło się. Wyprostowała się i jakby wychyliła do przodu, mogłaby w tej pozycji być galionem na jakimś krągłobokim towarowym frachtowcu. Czy bywają nietowarowe frachtowce?

– Za chwilę skończy się nabożeństwo – powiedziała matka Irina. – Postaram się, by *batiuszka* znalazł dla was chwilę.

Odwróciła się, żeby zlokalizować Zemfirę. Ta stała w smutnej postawie na łagodnie opadającym ku wodzie brzegu i wpatrywała się w fale, nieustannie i z uporem wpełzające na brzeg, by, pokonane przez grawitację i krzywiznę łądu, spłynąć z powrotem.

– Będziemy wdzięczni. – Sukonin popatrzył na mnie.

– Ja ze szwagrem pójdziemy do żony i poczekamy, ile będzie trzeba. Na szczęście nikt mnie nie goni do pracy.

Matka Irina skinęła głową i energicznie ruszyła pirsem.

– Niech myśli, że jestem bogaty i niezależny. Tacy zawsze są mile widziani – powiedział kapitan. – Dziwne, ale nie chciałbym, żeby to była zwyczajna sekta.

Ruszyliśmy w stronę łądu.

– Słuchaj – powiedziałem cicho. – Ja się nie będę zbliżał do nich, nie wiem czy mam rację, ale oni chyba wyczuwają mnie albo sygnet. Najlepiej jak – gdyby było trzeba – sprzedasz im coś o mojej niekontaktowej naturze, może szok po rozwodzie czy jakoś tak... A ja będę udawał zasmuconego, zadumanego, wyalienowanego...

– Dobra. Myśl dobra.

Od razu zacząłem wprowadzać w życie zamysł. Zwolniłem przy „Russian Wind”. Musiał być niedawno zdjęty ze stanu, albo nowy właściciel przeznaczył go do celu podobnego jak armia: na dziobie, czy co tam poduszkowce mają widniał stojak, na którym najprawdopodobniej łatwo było umocować erkaem. Wyprzedzający mnie Sukonin dogonił Zemfirę, objął ją i przytulił, głaskał po plecach i udając pocieszenie, w rzeczywistości instruował szeptem. Zapaliłem i z roztargnioną miną rozglądałem się po terenie.

Matki i ojcowie zaganiaли pociechy w kąt placu, gdzie były ustawione niewygodne drewniane ławki przed stołem, za którym stała drewniana ściana, coś jak ekran z radosnym wizerunkiem siwobrodego mężczyzny w błękitnej szacie. Mężczyzna stał po pepek w wodzie i wysoko unosił ręce. Chyba wyjął je przed chwilą z wody, bo rozsiewał krople, układające się w regularny symetryczny wzór – anielskie skrzydła. Wodny anioł? Kilkuosobowa grupka młodych mężczyzn, dyskutując o czymś radośnie, wolno zmierzała w stronę parkingu. Ze świątyni buchnął głośny śpiew, chór liczył kilkadziesiąt osób, w tym basy. Śpiewali ładnie, ale wolałbym słuchać ich w jakimś parku, o sali koncertowej nie wspominając.

Obszedłem dużym łukiem zgromadzonych, nie chciałem, by ktoś nagabnął mnie, zaprosił do wspólnego przeżywania wodnej ceremonii ani zapytał o coś. Pozorując zwyczajne gapiostwo, obszedłem, co się dało, bez wzbudzania zaniepokojenia czy zainteresowania gospodarzy.

Im dalej od centrum, świątyni i pirsu, tym zapuszczenie było większe, zniszczenia wyraźniejsze i upadek z ruiną bardziej bezapelacyjne. Pomyślałem, że gdy by te kruszejące i wiotkie ściany ktoś zrównał z ziemią, zdziwiłby się, jaki ładny widok zyskał na jezioro. Mógłby to uczynić jakiś nowy Ruski z kasą albo taka sekta jak ta.

Przez cały spacer starałem się być na widoku, nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Wypaliłem dwa papierosy. Wróciłem do ucywilizowanej części wybrzeża. Sukonina nie było widać, Zemfiry też. Poszedłem na pirs, przespacerowałem się tam i z powrotem jeszcze dwa razy. Już odwracałem się, by wykonać trzecią rundę, gdy w bramie do świątyni pojawiła się

Zemfira, zdjęła z głowy chustkę i dała jakiejś kobiecie, szczuplejszej wersji matki Iriny, ucałowała ją trzykrotnie w policzki i poszła na pirs za Sukoninem, który w odróżnieniu od kobiet w cerkwi nie musiał zasłaniać głowy chustką.

– Dziwne – syknął, zbliżając się do mnie. – Najpierw *batiuszka* już, już miał do nas wyjść, ale okazało się, że rozmowa z dwiema staruszkami, wielce zasłużonymi dla zgromadzenia, przedłuża się, a potem niemal nas wypchnęli z... cerkwi, czy co to tam jest... Świątynia? Co robimy? – Stał przede mną, wyraźnie na użytek ewentualnych obserwatorów położył mi pocieszającym braterskim gestem dłoń na ramieniu.

Poklepałem go po tej dłoni, tak samo na użytek możliwych obserwatorów, wyłącznie na ich użytek. Kasztanowowłosi o bladej karnacji nie lokowali się wysoko w moim katalogu gustów.

– Spadamy stąd, i to szybko – powiedziałem, uśmiechając się ze smutkiem. – Jeśli nas wyczuli, to za chwilę cały tłum rzuci się na nas i poleje się krew, oby nie nasza.

Wahał się, ale tylko sekundę. Skinął głową i odwrócił do Zemfiry.

– *Ujobywajem atsiuda!** – rzucił i ruszył niezbyt szybko, ale wydłużonym krokiem w kierunku brzegu.

Powlokłem się za nim, też wydłużając krok, szybko więc przemierzyliśmy pirs, wyszliśmy na twardy grunt i – ciągle starając się zamaskować pośpiech – dotarliśmy do parkingu. Jeszcze nikt nas nie zatrzymywał, nikt nie wołał... Pod wizerunkiem Wodnego Gandalfa ciągle przekrzykiwały się dzieci, rzucając odpowiedzi na jakieś pytania, klaskały w dłonie wzruszone i dumne mamusie i wypinali pierś usatysfakcjonowani ojcowie. Ze świątyni dobiegły nas czyste paciorki serii wielogłosych dzwonek. Wykonałem dwa halsy, żeby sprawdzić, czy mamy wszystkie cztery koła całe, wskoczyłem na tylne siedzenie, obejrzałem się. Ciągle nic.

Może więc i nic tam nie było. Ale nie – już na pirsie, zanim dopadła nas *zarłaczna* matka Irina, poczułem mrowienie w palcu, na którym nosiłem sygnet. A potem co jakiś czas w nozdrza uderzały fale słabego, lecz wyraźnego fetoru, znanego mi, choć za każdym razem, przy każdym spotkaniu z guimonem innego, tyle że jakby z jednej wytwórni, z linii „Cuch Cthulhu”.

– Jedź, Zemfira – poprosiłem. – Nie zatrzymuj się za skarby świata i nie trać czasu na udawanie. On czy oni już wiedzą albo wkrótce się dowiedzą.

– Dobra! – rzuciła przez zęby.

Energicznie cofnęła, skręcając jednocześnie, ustawiła się do wyjazdu i ruszyła. Ładnie ruszyła, bez szurgotu opon i kurzu za nami, ale naprawdę soczyście. Wdusiło nas w siedzenia.

Zza rogu budynku mieszkalnego, plebanii, jak go w myślach nazywałem, wyłoniła się matka Irina i dwie inne kobiety, znacznie drobniejsze. Rekin i dwie ryby piloty. Matka Irina puściła skraj swojej szaty i zamachała, zatrzymując nas. Bez wątplenia stanęłaby na drodze

* *Ujobywajem atsiuda!* (ros.) – Spierdalamy stąd!

rozpędzającego się *concorde'a*, ale na jakimś kamieniu podwinęła jej się stopa, zachwiała się, zrobiła dwa rozpaczliwe kroki, jedna z pilotek chwyciła ją za łokieć, pomogła odzyskać równowagę, ale straciły trzy, cztery sekundy, już przejechaliśmy obok, udając, że nie widzimy rozpaczliwego machania suchych rąbek drugiej towarzyszkii rekinicy.

Odetchnąłem z ulgą. Tak żeby nikt tego nie zauważył. I miejsce mi się nie spodobało, i tłum, i dzieci. Fantazja, może wykoślawiona, podsunęła widok sunących na mnie w szeregu małych guimonów. Coś jak w horrorach o zombiedzieciach, uduchowionych lalkach czy upiornych karłach.

– Jutro ściągnę tu pluton specnazu – wycedził przez zęby Konstanty. I dodał, wyraźnie chcąc popisać się znajomością polskiego: – Z całym dobrodziejstwem inwentarzowym.

– Z dobrodziejstwem inwentarza – poprawiłem go.

– Szlag! Wiedziałem, że coś nie tak. *Dawaj domoj...*

– *Postawit' migalku?* – zapytała Zemfira.

– Nie, bez koguta, ale gazem!

Obejrzałem się raz i drugi. Nikt nie siadł nam na ogonie.

Wróciłem myślami do wizyty w porzuconej przystani. Jakies odczucia kazały mi myśleć, że to nie sekta. Albo nie tylko sekta. Może ktoś się przykleił do grona naiwnych robaczków, które postanowiły oryginalnie i ekskluzywnie docierać do Boga? Brakowało mi danych, pomysłu. Dziś nic nie można było wskórać, były tu dzieci, matki i ojcowie. Na pewno nieświadomi niczego, ale może już jakoś wypaczeni, zindoktrynowani. A jutro nikogo tu raczej nie będzie. Nikogo ważnego. Nie po to cumują tu jachty. I poduszkowiec. I jeszcze ktoś na jachcie, kto mignął mi tylko w bulaju.

Sukonin odwrócił się, rzucił mi pytające spojrzenie, ale nie odezwał się. Wyszarpnął ze schowka netbooka i mruknął coś, co zabrzmiało jak „pościę sobie”, „poszukam sobie” albo „poszperam sobie”. Rozparłem się więc naprawdę wygodnie i przymknąłem powieki.

Nie wiem, zasnąłem chyba, bo nagle pod powiekami rozbłysła mi zorza polarna, z której wyłonił się Jerzy. Miał na sobie czarne sztruksowe spodnie i koszulę z podwiniętymi rękawami, czarną w drobne pionowe paski. Wyglądał na szczuplejszego, niż był w rzeczywistości, pod kośćmi policzkowymi rysowały się delikatne zapadliny, chorobowe wklęsłości... Ale żył! Uśmiechnął się do mnie. I powiedział coś, ale tak cicho, że nawet nie zrozumiałem, czy mówił po polsku, czy po angielsku. Poczulem, że idę w jego kierunku, nogi jednak zapadają mi się, nie w bagno, nie w piasek, ale jak na elastycznej gumie wgłębiają w powłokę i nie odbijają. Utrudnia to marsz, lecz go nie wyklucza. Cierpliwie stawiałem więc chwiejne kroki, ostrożnie, czujnie, nie rozumiejąc dlaczego Jerry nie zrobi choćby jednego w moim kierunku. No nic, dam radę. Szedłem i wpatrywałem się w człowieka, którego pokochałem nie tak dawno i nie tak dawno straciłem. A przed nim tak długo tkwiłem w życiu wyschnięty i skrzypiący przy każdym ruchu.

Jerzy uniósł lewą rękę do wysokości biodra. Zobaczyłem, że ma dwa różne ekstermanowe

sygnety, na serdecznym i trzecim palcu. Rozłożył i złożył palce, sygnety zderzyły się, zadźwięczały i zaiskrzyły, jakby po ogromnym dzwonie rozsypały się szklane kuleczki. Dźwięk był jednocześnie basowy i wysoki. Znalazłem się blisko Jerzego. Grunt jakby stawał się twardszy, stąpało mi się pewniej, ale nie śpieszyłem się. Jakaś racjonalna częśćka mnie podpowiadała, że tak się dzieje w snach, kiedy chce się szybko pokonać odległość do czegoś i nagle grunt usuwa się spod nóg, pęka strop albo wali się most. O nie, byłem czujny i ostrożny, bardzo chciałem dotrzeć do Jerzego, dotknąć go, przekonać się, że jest, objąć go, przytulić się, zaczerpnąć trochę mocy z tak bliskiego mi ciała i ducha.

– To dobra droga – powiedział Jerzy.

Nie zrozumiałem, czy ma na myśli moją ostrożność, czy w ogóle jakąś drogę.

– Pójdziemy razem? – zapytałem.

– Nie. – Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Byłoby mi łatwiej – powiedziałem z wyrzutem. Wyciągnąłem rękę, on też wyciągnął swoją. Dzwonienie ucichło, ale gdy nasze palce się zetknęły, rozległo się znowu, układając w melodię. Nie był to żaden ckliwy motyw, muzyczna ilustracja do sceny spotkania kochanków, brzmiało to jak bałkański marsz bojowy na cymbałach.

– Łatwiej nie będzie – powiedział łagodnie Jerzy. – Razem jest tylko pozornie łatwiej. Strach o tego drugiego skuwa członki i wiąże duszę. Będziesz sam, ale będziesz pamiętał o mnie. I walczył o siebie.

– Ty żyjesz? – zapytałem cicho, bojąc się odpowiedzi.

Nie padła. Jerzy pochylił się, był przecież wyższy ode mnie, musnął przelotnym pocałunkiem moje usta i szybko odszedł. Jego sylwetka zamigotała, jakby omijał napotykaną fałdy zorzy, które przesłaniały go coraz mocniej, aż zasłoniły kompletnie.

Nie ruszyłem za nim. Wiedziałem, że nie mogę, że mnie się nie uda, że nie wolno.

Poczułem ukłucie w lewej dłoni, w palcu, na którym widniał pierścień. Gdy opuściłem wzrok, byłem przekonany, że zobaczę, jak się rozjarzył albo jak przemykają po nim ogniste, tajemnicze runy. Nic takiego się nie działo, w palcu zakłuło raz i drugi i koniec. A potem coś uderzyło mnie udo.

Prawa ręka osunęła mi się z uchwytu na drzwiach i opadła na kolano, już wiedziałem, gdzie jestem i z kim.

Samochód płynnie wszedł w zakręt, otworzyłem oczy. Udawałem, że miałem je tylko przymknięte, ale ze spojrzenia Zemfiry, przyłapanego w lusterku, zrozumiałem, że musiało mnie nie być dłużej niż chwilę. No to co?

Coś pisnęło, obaj, ja i Konstanty, popatrzyliśmy na Zemfirę. To z jej torebki dochodził sygnał.

– Mobil się rozładował – wyjaśniła.

– A co zdziałaliście tam... w tej świątyni? – zapytałem.

Wcześniej obiecywałem sobie, że nie zapytam, że poczekam, aż sami opowiedzą, ale

milczeli i byli w tym milczeniu skuteczniejsi i silniejsi niż moje postanowienie stłumienia ciekawości.

Wymienili spojrzenia. Sukonin wzruszył ramio nami.

– Ty powiedz – rzucił obojętnym tonem.

Zemfira zaczerpnęła powietrza i przygryzła dolną wargę.

– Niby nic. Nie wyszedł do nas przywódca, ojciec Andriej, był ktoś o imieniu Afonia. Bezbarwny i obojętny jak... nie wiem...

– Woda destylowana – rzucił Sukonin, wpatrując się w szosę przed nami.

– Tak, ale jakoś... Stał przed nami i rozmawiał, znaczy namawiał do pozostania, do wizyt, do wspólnego przeżywania... Patrzył ponad naszymi głowami, wydawało mi się... – Zacisnęła zęby i gwałtownie przyspieszyła, by dość ryzykownie wyprzedzić dziwny zestaw: ciągnik ZIS włókł na swoim garbie drugą naczepę, na której plecach spoczywała druga naczepa, czyli trzecia.

Widok wydał mi się lekko obsceniczny. Wyprzedzić się jednak udało. Nie byłem pewny, czy Zemfira odczuła potrzebę wyprzedzania, czy tylko zyskania chwili na namysł.

– Skurwysyn okrażał nas! – warknął nagle Konstanty.

– Tak! – ucieszyła się Zemfira. – Jakby okadzał albo jego cholerny duch okrażał nas, obwąchiwał ze wszystkich stron.

– I nie spodobał mi się. – Dłoń Sukonina zacisnęła się w pięść i przez pół sekundy byłem przekonany, że trzaśnie nią w kokpit, ale nie, powstrzymał się.

– Tak – przytaknęła drugi raz w ciągu kilku sekund Zemfira. – W pewnej chwili zaczął się śpieszyć, coś wymamrotał o przygotowaniach do ceremonii i po prostu zwinął się, zostawiając nas samych.

– Mógł coś zwęszyć – powiedziałem. Przemknęliśmy przez most na rzece, rzuciłem okiem na Orzeszek, nudne miasto. W milczeniu dotarliśmy do rogatek Petersburga.

– Pod komendę – polecił Sukonin. – Zostanę tam chyba na noc. Jakby co, odbiorę wóz później, mam drugie kluczyki.

– *Charaszo*. – Zemfira pokiwała głową. Przemknęliśmy obok Miedzianego Jeźdźca, pomnika Piotra I, wystawionego pod koniec osiemnastego wieku przez Katarzynę II. Czytałem w Polsce o unikatowej operacji dostarczenia skały o wadze ponad tysiąca sześciuset ton na miejsce przeznaczenia, o wygnaniu rzeźbiarza i całej sforcie dowcipów dotyczących pomnika. Obiecałem sobie, że w wolnej chwili wpadnę tu, bo jakoś mnie zaintrygował, bardziej niż Ogród Letni, Admiralicja czy krążownik „Aurora”. Choć ten ostatni też był na mojej liście koniecznych wizyt.

– No to do jutra – powiedział Sukonin, odwrócił się, wymieniliśmy uściski dłoni.

Chyba chciał coś powiedzieć, ale przygryzł ożór.

Trzasnęły drzwi, wóz ruszył. Ziewnąłem, zamknąłem oczy i zdrzemnąłem się, co było chyba hołdem dla umiejętności kierowcy. Gdy stanęła pod domem, obudziłem się

natychmiast.

– Nie masz ochoty na jakiś chiński spóźniony obiad? – zapytała.

Zaintrygowała mnie, a żołądek nagle podskoczył z radości.

– A dobre?

– Bardzo autentyczne, zobaczysz.

Zapamiętałem sobie ten uśmieszek.

– Dobra, ale ja stawiam.

– Też mi coś! Mam fundusz reprezentacyjny, duży.

– Polacy nie lubią, jak kobiety za nich płacą.

– Jak odwiedzę cię w Polsce, będziesz stawiał, aż ci się odechce.

– Trzymam cię za słowo. Prowadź. Czy jedziemy?

– Nie, to blisko, dwie przecznice.

Z zewnątrz knajpa wyglądała aż boleśnie znajomo: smoki, węzowate rośliny, czerwień, czern i złoto, hieroglify i cyrylica. Tylko tymi literami różniła się od takiej samej w Barcelonie i Krakowie. Kilka schodków i zanurzyliśmy się w muzyce, wachlarzach, lotosach i gongach. I laka, drewno, bambusy... I małe kelnerczki w jedwabiu, czarnowłose miniaturki kobiet.

Włożyły nam w dłonie menu, gdy tylko przysunęliśmy krzesła do stołu.

– Nie mówią po rosyjsku – powiedziała z uśmiechem Zemfira.

– A my po chińsku?

– Nikomu to nie przeszkadza. Wybierzesz?

Gapilem się chwilę w menu. Złote hieroglify, czarna cyrylica i duże fotografie dań, dlatego menu było grubości *Pana Tadeusza*. Wybrałem jakąś zupę, przypuszczalnie grzybową. Do tego smażone mięso na gorce makaronu ryżowego, marynowany imbir, coś z posiekanej na cienkie zapałki marchwi, chyba marchwi.

– Ale ja tego nie przeczytam – powiedziałem do Zemfiry.

– Zapamiętaj numery – podpowiedziała mi.

Aha. Czyli dla mnie czwóreczkę i dwadzieścia siedem, jednaście i osiemnaście. Aha i herbatę! Znaczy – sześćdziesiąt dwa. Zapiisałem to na serwetce i przesunąłem ją do Zemfiry.

I tak odbyło się zamawianie. Dwie małe Chinki podbiegły do nas, zaskakująco szybko przebierając stópkami, zadały pytanie, kilka pytań. Sądząc po tym, z jakim trudem artykułowały słowa, musiał to być w ich przekonaniu rosyjski. Zemfira pokręciła głową z uśmiechem i wyraźnie powiedziała:

– *Cztery i piat'. Dwadcat' i dwadcat' siem'. Adi nadcat', trinadcat', wosiemnadcat'. Szest'diesiat dwa i szest'diesiat dwa. Wsio.* – Zdecydowanym gestem zamknęła zamówienie albo ucięła rodzącą się dyskusję.

Kelnerki pomknęły gdzieś za parawany i zasłony z koralików i bambusików.

– Tu nie ma żadnych *oszustew* – powiedziała Zemfira. – Muszą dobrze gotować, żeby nie

było skarg, bo się i tak nie dogadają. Taka jest moja interpretacja tej knajpy. – I nie zmieniając tonu, dodała: – I jeszcze raz dziękuję za uratowanie życia.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zdobyłem się na tępą odpowiedź. – Już po sprawie. Zrewanżujesz się przy najbliższej okazji.

– Na pewno – powiedziała poważnie. Zapadło niezręczne milczenie.

– Może wódki? Mają rosyjskie alkohole. I inne.

Jakoś nie kusiło mnie, pokręciłem głową. Znowu zamilkliśmy.

– Masz kłopoty w pracy? – zapytała, chyba tylko szukając tematu konwersacji.

– Trochę. Wy też byście mieli, gdyby nie było takich spektakularnych akcji guimonów. Z nagraniem.

– Tak. Na pewno – zgodziła się. Chwilę błędziła spojrzeniem po ścianach. – Słuchaj, jeśli są guimony, i jest Cthulhu... Bóstwo, tak? – Skinąłem głową, ale z miną powątpiewającą. – No, ale jeśli jest takie coś, to co – może istnieć Bóg. Jakiś Bóg, grecki, katolicki, islamski? Buddyjski?

– Nie wiem, Zemfiro. Nie wiem. Myślałem też nad tym. Skłaniam się do myśli, że Cthulhu nie jest bóstwem, tylko czymś innym. Jakimś symbolem emanacji zła? Kirlian, znasz to nazwisko?

Zmarszczyła czoło.

– Coś mi chodzi po głowie... Jakiś rodzaj fotografii?

– Tak, zdjęcia wyładowań koronowych na obrzeżach fotografowanych obiektów, żywych i nieożywionych też. Sporo ludzi, bioterapeutów, radiestetów, energoterapeutów, wierzy że to fotografie jakiegoś rodzaju aury, odzwierciedlającej duchowy stan organizmów żywych. Jeszcze niedawno śmiały się z ich teorii, ale ostatni rok nauczył mnie pokory...

Skinęła głową.

– Rozumiem, ja też już się nie odważę śmiać ze wszystkiego, w co dotąd nie wierzyłam.

Zapałem. Pstryknięcie zapalniczki wywołało kelnerkę, przemieściła się migiem tym swoim drobnym kroczkiem i podała popielniczkę.

– No więc może istnieje rodzaj takiej aury negatywnej, skomasowana globalna aura zła? – powiedziałem, wypuszczając dym pod sufit. Porwała go tam struga z wentylatora i rozproszyła w powietrzu. – Nie wiem. To zajęcie dla... może filozofów, może psychologów i psychiatrów, a może powinna powstać nowa dziedzina nauki, jakaś *malologia*? Nauka badająca zło i jego przejawy?

Uratowała mnie kelnerka, sunąca ku nam z tacą. Wyćwierkała coś jak „czitiliri”, uznałem, że to chińskie „czetyrie”, więc zgłosiłem się po to danie, i udało się. To była grzybowa, albo coś innego, ale smakowało jak grzybowa. Upiornie gorące, chyba żeby zasugerować, że ugotowana tu i teraz, ze specjalnym przeznaczeniem *dla mienia*.

Chwilę potem pojawiła się zupa Zemfiry. W połowie porcji odezwała się wibra w mojej nowej komórce. Otarłem usta, identyfikacja nie działała, zastanawiałem się chwilę.

– To Konstanty. – Uśmiechnęła się Zemfira.

– Skąd wiesz?

– Dał mi znać.

Nie wdawała się w szczegóły, wibramorsem? Mikrośluchawka?

– Kamil.

– Słuchaj, śmiałeś się z mojego pomysłu, żeby w skali kraju urządzić badania dziadkom i babciom, tak?

– Nie, wcale się nie śmiałem. Ciarki mnie przeszły po plecach.

– No to mam inny pomysł. Co byś powiedział, gdyby Bank Rosji wypuścił specjalne karty dla pięćdziesięciolatków? Z premią w wysokości... nie wiem, trzydziestu dolarów? Każdy jednak musiałby przyjść z nią do banku i przy urzędniku zdrapać specjalny kod, a?

– A ten kod byłby wykonany ze srebra, zdrapka odsłoniłaby srebro, a wtedy guimon by się wyszczerzył i zlał w majtki? – Zastanawiałem się chwilę. – To gigantyczna operacja.

– Wiem. Ale chodzi o ogromne zagrożenie, nie sądzisz?

– Sądzę. – Rozważałem chwilę wszystkie „za” i „zaza”. – Wiesz, że sporo się nie zaczępi o sieć?

– Tak. Ktoś pośle wnuczka, a ciocia w banku uda, że nie widzi, kto odbiera. Jakiś dziarski dziadek da w łeb swojej siostrze i odbierze za nią forszę...

– Tak, tak, ale to detale, sieć można zageścić. A jak nawet coś się nie uda, to *en masse* wyłapiemy przynajmniej tych najbardziej niezdarnych...

– Nie ma niezdarnych, każdy z nich może w sekundę zmienić się w koszmarnego potwora.

– No właśnie! Wyeliminujemy, ile się da, a potem zabierzemy się do tych bardziej cwanych.

– Wiesz... To chyba najlepszy jak dotychczas pomysł na masowe wyłapywanie guimonów. Tylko nie można się cieszyć i śpieszyć, żeby nie spalić, żeby nie było falstartu.

– A co? – zaniepokoił się.

– No bo wiesz... one się szybko odradzają czy co tam. Jak wyłapiecie dużo i nie pójdziecie za ciosem, tylko dacie czas tym niewyłapanym odrodzić liczebność, to cała akcja psu w dupę, prawda? Drugi raz taki myk się nie uda.

– Taki... – zawiesił głos – myk? Co to?

Uświadomiłem sobie, że między wymarszem Krasnoj Armii i dniem dzisiejszym upłynęło już ćwierć wieku, Sukonin znał polski z Legnicy lat osiemdziesiątych.

– Myk to inaczej numer. Drugi raz się nie nabiorą. I uświadomią sobie, że zaczęło się na nich polowanie na wielką skalę. Cholera wie, jak zareagują.

W sieci zapanowała cisza. Potem Sukonin odchrząknął.

– Racja. A może połączyć kartę ze szczepieniem? Kto przyniesie kartę, dostanie kwit na pieniądze i skierowanie na szczepionkę z witaminą. Nasz naród uwielbia prezenty!

– No to po co karta? Wracasz do swojego pierwszego pomysłu.

– *Daaa...* No bo lepszy, chyba.

– Zrobicie, jak chcecie. Ale i tak nie wiecie, na razie, co mogłoby być w tej szczepionce na guimony. A kartę można wyprodukować w trymiga.

– Też prawda. No dobra, coś mamy. Będziemy myśleć. A ty co teraz robisz?

– Jem *czietwiorkę*. – Zachichotałem bezgłośnie.

– *Aaa! Wkusno?** – Od razu załapał, o co chodzi.

– Tak. Jak to? – Wyteżyłem pamięć. – *Wkusniatina!**

– OK. To dobranoc.

Dokończyłem zupeł, przy ostatnich łyżkach pojawiły się kelnerki, wysililiśmy słuch i inteligencję, żeby otrzymać to, co zamawialiśmy. Udało się.

I było cholernie *wkusno*.

Oczywiście przy płaceniu zaczęło się droczenie: kto ma delegację, kto ma reprezentacyjne. Zemfira w końcu ucięła dyskusję, po prostu udając się do gniazda małych kelnerek, które dokonały rzeczy niezwyklej: sprowadziły język rosyjski do liczebników. Puszkina, który pisał o wielkim i potężnym języku rosyjskim, strzeliłby sobie w łeb, nie czekając na Dantesa. A może ów Dantes, w końcu Francuz, też kiepsko posługiwał się rosyjskim, i to był prawdziwy powód feralnego dla Puszkina pojedynku?

Krótki spacer do mieszkania odbyliśmy w milczeniu, i Zemfira, i ja mieliśmy swoje sprawy do przemyślenia. Przewijałem w pamięci sen z Jerzym w roli głównej, pierwszy i jedyny od jego śmierci, w ogóle pierwszy z nim w roli głównej. Przypomniałem sobie, jak wyglądał we śnie – ubrany inaczej niż pamiętałem; jak mówił – dziwnie, miękko i czule; i co mówił – kompletnie niezrozumiale... Gdzieś pod sercem zakiełkował zimny ból, odetchnąłem głęboko raz i drugi, zerknąłem na Zemfirę, obawiając się, że patrzy na mnie z zaniepokojeniem, ale patrzyła przed siebie, pogrążona w swoich *dumkach*.

Skrećiliśmy w lewo, w ulicę prowadzącą do domu, oderwałem na chwilę wzrok od przestrzeni przed sobą, żeby ominąć rozpadający się kawałek pudła po bananach, a gdy podniosłem oczy, zobaczyłem... plecy Jerzego. Musiał wyjść z pierwszej bramy i kierował się w tę samą stronę, co i my. Poczulem i usłyszałem kołatanie w skroniach, narastające do walenia rozsadzającego czaszkę, zacisnąłem zęby, popatrzyłem na zmroczne niebo, zmusiłem się do poszukania papierosów... Mężczyzna przede mną też sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę, nie przerywając marszu, poklepał się po kieszeniach i pokręcił ze złością głową. To nie był gest Jerzego, ale cała reszta?!

Nogi spokojnie i wytrwale niosły mnie do przodu, zbliżyłem się do... mężczyzny, usłyszał albo wyczuł moją obecność, odwrócił się szybko... To był... to nie był Jerzy... Zmierzył mnie wzrokiem, zobaczył papierosy w mojej dłoni, uśmiechnął się i zrobił dwa kroki.

* *Wkusno?* (ros.) – Smaczne?

* *Wkusniatina!* (ros.) – Pyszota!

– Znajdzie się ogień? – zapytał.

– Tak – wykrztusiłem.

Zrobiłem jeszcze krok, chyba, w każdym razie znalazłem się o pół metra od niego. To nie mógł być Jerzy, miał inaczej wykrojone brwi, małą okrągłą bliznę przy kąciku lewego oka, jak ślad po ospie, i gęste ciemne włosy w rozpięciu koszuli. To nie był Jerzy, ale miał podobny do niego smutek w oczach, smutek powolnego, bolesnego umierania na skwerze w Warszawie.

Wygrzebałem z kieszeni zapalniczkę Zippo z wygrawerowanym „OGIENEK”. Przypomniałem sobie, jak Jerzy, słysząc, że przywiózł mi ją wuj z Izraela, powiedział: Pewnie ktoś kazał wygrawerować „Gienek”, ale nie odebrał, więc ten twój wuj, jak to Izraelita, oszczędny i efektywny, kupił ją za grosze, kazał dogravierować „O” i tanio wykpił się z prezentu. Kapewu? Wukape... – burknąłem, udając złość. Potem...

– Hej! Chłopie!

Mężczyzna czekał na ogień. Podniosłem zapalniczkę, nie próbowałem żadnych wyćwiczonych kiedyś sztuczek, żadnego *the guna* czy *flic spin plicka*. Palce mi drżały, dobrze, że udało się odrzucić kapturek i skrzesać ogień. Mężczyzna pochylił się, objął moje dłonie swoimi, jakby osłaniając płomień od wiatru, i jednym silnym pociągnięciem rozżarzył koniec swojego papierosa. Miał suche, ciepłe dłonie. Podniósł głowę, ale nie puszczał moich dłoni.

– Dziękuję – powiedział. – Fajna rzecz!

Chciałem powiedzieć „weź”, ale straciłem dar mowy. Mężczyzna uśmiechnął się lekko, kiwnął głową, wypuścił w końcu moje dłonie ze swoich i cofnął się o krok.

Rosyjskie bezpieczniki dotarły do Jerzego i w tak krótkim czasie zmontowały dla mnie sobowtóra?! – buchnął wrzask w mojej głowie. Obejrzałem się, od rogu dzieliło mnie kilka kroków, ale Zemfiry nie widziałem. Czy montowali to od dłuższego czasu? Ale po co? Po kija tyle starań dla średniego polskiego abwermena? Chcą mnie zwerbować? Po chuj?

Mężczyzna zrobił jeszcze krok do tyłu. W jego oczach pojawiła się czujność i irytacja. Wypuścił strugę dymu.

– Na razie! – Szybko ruszył przed siebie.

Zrobiłem krok w stronę ściany budynku i odwróciłem się, żeby widzieć i jego, i narożnik, zza którego nie wyłoniła się Zemfira. Usłyszałem serię kliknięć, to moje palce otwierały i zamykały pokrywę zapalniczki. Niemal fizycznie zmusiłem się do myślenia o czym innym, ale nie zaryzykowałem żadnego triku. Palce miałem i drżące, i zimne, choć dłonie nieznajomego palacza grzały je przez długą minutę. Zacisnąłem zippo w pięści. Zza rogu wyszła Zemfira. Była w furii. Kuśtykała na swoich długich wspaniałych nogach. Chód, którego mogły jej pozazdrościć królowe wybiegów, był tylko wspomnieniem.

– Patrz! – zawołała, pokazując obcas buta. Perwersyjna wyobraźnia pokazała mi, jak chwilę temu, gdy skręciłem za róg, do Zemfiry podskoczyła chuda wysoka staruszka z

kundelkiem na smyczy, jak szepcze: „Szpaki lubią czereśnie w maju”, a milicjantka odpowiada: „Nie przeszkadzają im robaki w soczystych owocach”. Zobaczyłem, jak babunia wyszarpuje z torebki but z oderwanym obcasem, jak podaje go Zemfirze i błyskawicznym, wytrenowanym w sali ćwiczeń FBS ruchem chowa zdrowy but. Zemfira odlicza w myślach do stu, po czym rusza z furią wypisaną na twarzy.

Zemdlilo mnie, a potem parsknąłem ni to śmiechem, ni to szlochem.

– Urwałam! – powiedziała, zbliżając się do mnie. Położyła mi rękę na ramieniu, podniosła i przekreśliła stopę. Z podeszwy sterczały cztery gwoździe i jeden długi wkret. – Z czego się śmiejesz?

– Nie z ciebie – zapewniłem panią porucznik. Obszedłem ją, podałem dłoń. – Pomożemy.

Zlekceważyła moją rękę, zarzuciła mi swoją na ramię, nie pozostało mi nic innego, jak ją objąć. Ruszyliśmy w stronę naszej bramy. Mężczyzna z papierosem zniknął tymczasem za rogiem bloku.

Dotarcie do mieszkania zajęło nam pięć minut, nie konwersowaliśmy w tym czasie, jakby operacja przemieszczania pochłaniała całą energię. Zaraz za drzwiami Zemfira zrzuciła oba buty i mrużąc coś niepochlebnego, cisnęła je na dywanik pod wieszakiem. Grzebała chwilę w torebce, znalazła kluczyki do concorde’a, powiesiła obok swoich na małym wieszaczku i westchnęła głośno.

– Dwa razy miałam je na sobie – powiedziała. Potem przyjrzała mi się i nagle roześmiała.

– No co ty? Nie... aaa... nie jest to takie ważne! Wy, Polacy, tacy jesteście dżentelmeni... Jesteś blady ze złości? – Zanim zdążyłem zaprzeczyć albo przytaknąć, dodała: – Czy to kitajskie jedzenie ci zaszkodziło?

– Ani jedno, ani drugie. Nie mam powodu być blady, może to światło? – Wskazałem brwią lampę nad wieszakiem.

Zrobiła minę „może światło?”, ruszyła długim korytarzem.

– Napijesz się czegoś? Herbaty? Wina?

– Herbaty, tak...

Zasiedliśmy w kuchni. Pomyślałem, że to jak scena z radzieckiego filmu. W trudnych, albo i nie, chwilach, Rosjanie udają się do kuchni, w pogardzie mając salon z telewizorem, nawet plazmowym, zasiadają przy kuchennym stole, w pomieszczeniu z namiastką ognia domowego i... przeżywają. Na przykład opierają się łokciem o stół, kładą policzek na dłoni i zaczynają albo pomstować, albo płakać.

Albo śpiewać. No? Gdzie to było? *Dworzec białoruski* z piękną piosenką Bułata Okudżawy? Chyba tak.

– Czy taka piosenka o dziesiątym batalionie? – zapytałem, chcąc jak najszybciej urwać się z myślotoku o Jerzym. – To z filmu...

– *Bieloruskij wakzał* – wypaliła natychmiast, jakby czekała na to pytanie. – Z *siedemdziesiątego* roku. Film Smirnowa, reżysera i aktora, niedawno grał w waszym filmie,

Zanussiego, *Persona non grata*, a piosenka...

– Bułata Okudźawy! – wskoczyłem jej w słowo, żeby nie myślała, że tylko oni wiedzą sporo o sąsiadach.

– A kto śpiewał? – zapytała przekornie.

– A nie wiem...

– Nina Urgant!

– Aha... No tak, teraz sobie przypominam, że takie nierosyjskie nazwisko.

Zemfira wzruszyła ramionami, nie zrozumiałem, czego to dotyczyło – mojej ignorancji czy zdziwienia nie rosyjskim nazwiskiem. Wstałem.

– Nie, wiesz co, rezygnuję z herbaty. Idę spać. Wzruszyła ponownie ramionami.

– *Spakuj noj noczi.*

– Dobranoc.

Poszedłem do swojej sypialni. Wypaliłem papierosa, gapiąc się w ciemność, kryjącą mur ogniowy i całe podwórko. Mrok ustępował, ale nieznacznie, tylko nad drzwiami do drugiej bramy. Odgłosy ulicy nie docierały do moich uszu, jakiś błysk przemknął po niewidocznym do tej chwili murze, może ktoś robił zdjęcie z fleszem swojej dziewczynie albo wylizującemu się na parapecie kotu, na pewno nie dotyczyło to mnie. Musiałbym mieć przesadnie rozwinięte ego, żeby dalej ciągnąć wątek rosyjska milicja kontra Kamil Stochard, a może nie kontra tylko pro? Przemknęła znowu myśl o śnie z Jerzym i spotkanie z jego wymyślanym sobowtórem. Zgasłem papierosa i poszedłem do kuchni.

Zemfira podniosła wzrok znad jakiegoś mało kolorowego pisma, może wewnętrzny tygodnik dla organów?

– Czy jak wyszłaś z za rogu... – zmarszczyła czoło – ...z obcasem w ręce, pamiętasz?

– No pewnie!

– Widziałaś mężczyznę z papierosem?

– Tak – odpowiedziała bez namysłu.

– Aha.

– A co?

– Przez chwilę poniosła mnie wyobraźnia. – Obserwowałem ją uważnie. – Podszedł do mnie ktoś, kto bardzo przypominał mojego znajomego. Tak mnie to zdziwiło, że nawet pomyślałem, czy to nie jakaś akcja... – Zawiesiłem głos.

– Nasza akcja? – zdziwiła się.

Tak, pomyślałem.

– Nie – powiedziałem. – Pomyślałem, że może ta strona... te siły... mogą coś przeciwstawić naszym działaniom.

– *Jolkipalki!* – syknęła i gwałtownie odsunęła filiżankę i pismo. – Dlaczego mi nic nie mówisz? Dlaczego ważne sprawy chowasz dla siebie?

– Jakie, cholera, ważne sprawy? – burknąłem. – Przypadkowo spotkałem faceta

podobnego do mojego kochanka!

Zaraz potem jak ten nieżyjący kochanek mi się przyśnił.

– Nie wiesz, że w naszej *rabotie* nie ma przypadków?

– Gówno prawda! Złamałaś obcas przypadkiem czy ktoś to umyślnie spreparował?

Sapała chwilę, ale nie odezwała się. Zrobiło mi się głupio za swój wybuch, za cały ten dialog.

– Byłoby to ważne, gdybyś ty nie zobaczyła tego człowieka. To by znaczyło, że jakieś ciemne moce zaczęły swoją rozgrywkę, że – wiesz – dzieją się numery jak w hollywoodzkim horrorze. Ale chyba nie...

Pomachała palcem.

– Nie, Kamil, ty masz wszystko mówić. Ty jesteś tym, który wie najwięcej. Może i widzisz więcej albo odczuwasz więcej. Rozumiesz? Musisz się dzielić wszystkim. I to szybko. Od razu. Szybko.

– Szybko to facet w szpitalu umarł – burknąłem. – Dobrze, będę. Tym razem nie zdążyłem, wysłaś z za rogu chwiejnie, pomyślałem, że ktoś cię uderzył czy postrzelił – skłamałem.

Intuicja kobieca, kobieca intuicja milicjantki nie zawiodła jej – uśmiechnęła się w stylu „akurat!”. Nie wdawałem się już w gadki.

Zasalutowałem i wróciłem do sypialni.

Sprawdziłem komórkę. Nikt nie pisał, nikt nie dzwonił, nikt nie posłał MMSa o treści „Odbiorca tej wiadomości umrze siedem dni po jej obejrzeniu”.

Włączyłem laptopa. Poczta też nie zadziwiła. Inka, siostra na szkockiej emigracji, napisała, że będzie *wolontowariowała* na jakimś festiwalu w Edynburgu i posłała swoje zdjęcie w skafandrze kosmicznym z Muzeum Techniki i drugie, owieczki Dolly, pierwszej sklonowanej istoty. Dołączyła też kilka fotek Pixela, którego na czas wyjazdu wcisnęła pod opiekę jakiemuś zaprzyjaźnionemu weterynarzowi. Może w Szkocji zaraziła się oszczędnością i chciała potestować ją na karmie? Pozazdrościć, cholerka, problemów! Bank przypomniiał o spłacie kredytu, chciałem go olać, ale po krótkim namyśle poleciłem przelać ratę. Po co mają... No, po co mają cokolwiek!

Usłyszałem, że Zemfira, nucąc coś (tak głośno? żebym słyszał?), płucze w kuchni naczynia, potem szurnęło krzesło. Chyba wyszła do swojego pokoju.

Sprawdziłem w telefonie, jak się zapisał namiar GPSa. Zapisał. Ukryłem komórkę za stosikiem książek i poszedłem do łazienki. Po powrocie wyłączyłem światło i kilka minut stałem z uchem przyklejonym do drzwi. Usłyszałem tylko jakieś obce stuknięcie, w mieszkaniu piętro czy dwa wyżej. Po omacku dotarłem do stosu ubrania przygotowanego wcześniej. Ubrałem się bezszelestnie, jak zwykle dziwiąc się, że w kompletnym mroku pomocne jest zamknięcie oczu. Potem włożyłem do kurtki paczkę papierosów, zapalniczkę, wypróbowany już w Petersburgu nóż do papieru. Nóż do guimonów, zachichotałem w

myślach. Jeszcze komórka...

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, sprawdziłem to już wielokrotnie wcześniej. Podłoga nie skrzypiała, to też sprawdziłem na różne sposoby.

Kluczyk do forda Sukonina spokojnie czekał na mnie. Jedyne, co mogło mnie zdradzić, to trzask rygla w drzwiach; zaradziłem temu, blokując go wykałaczką. Uznałem, że nikt nie wedrze się do mieszkania właśnie teraz. Zawsze też mogłem zadzwonić do Zemfiry za pół godziny na przykład. Na razie tym się nie przejmowałem. Na schodach włączyłem latarkę w komórce, bez przygód dotarłem do drzwi wejściowych. W ciemnościach odczekałem chwilę, adaptując wzrok do ciemności, potem wysunąłem się, rozejrzałem i nie zwlekając dłużej, pomknąłem na ulicę.

Ford nie zaaplikował mi żadnej niespodzianki. Przejechałem dwie przecznice, przystanąłem i włączyłem GPSa z zamiarem na osadę Korkutya, szybko złapałem fixa, więc ruszyłem. Miałem ruszyć, ale wpadłem na śmiały pomysł: ze schowka wyjąłem niebieskiego koguta, przytwierdziłem do dachu i odpaliłem. Trudno, Zemfira powiedziała, że i tak każdy milicjant będzie chciał mnie zrobić w wysadzenie pociągu. Najwyżej dopiszą mi zamordowanie kapitana spraw wewnętrznych!

Miło się jechało przez miasto. Nieważne, czy inni kierowcy zjeżdżali mi z drogi, sądząc, że bandycki boss pruje do swojej knajpy, czy obawiali się milicji. Jazda gładka i bezpieczna.

Do zjazdu do osady dotarłem przed północą. Jakby na czas, na godzinę duchów... Przełączyłem światła na postojowe, zjechałem, wolno i cicho doturlałem się do zagajnika, zaparkowałem na jego skraju i wypaliłem dwa papierosy. Zżułem dwie gumy, ale nie wyrzucałem ich.

Gdzieś w lesie rozległo się głośne, pełne złości krakanie. Gawrony? Kruki? Wrony? Przez chwilę dwa ptaki licytowały się głosami, potem umilkły. Nie obudziłem Zemfiry. To była bystra kobieta. Zresztą, każdy by się domyślił, dokąd mogłem pojechać. Jest gniazdo guimonów i jest ich pogromca, Kamil Stochard.

Dodaj jedno do drugiego i otrzymasz... gniazdo guimonów i ich pogromcę.

Pogromca wysiadł, zamknął samochód i przykleił gumą kluczyk do wnętrza nadkola.

Gdzieś nad wodą kwaknął jakiś ptak, potem drugi raz, odpowiedział mu inny, chyba poirytowany, coś brzęknęło, jakby pusta blaszana wanna przycumowała do betonowego pała. Nad głową zafurkotało, łowca drgnął i poderwał wzrok, przeleciały jakieś cztery spore ptaki, gęsi albo łabędzie.

Potem pogromca guimonów odetchnął głęboko, ale cicho, rozejrzał się, wsłuchał w otoczenie i ostrożnym czujnym krokiem myśliwego ruszył w kierunku osady.

* * *

Obudziła się i chwilę leżała nieruchomo, wsłuchana w mrok, zastanawiając się, co mogło

ją obudzić. Pukanie do drzwi? Nie, ten Polak nie zastukałby za nic, zwłaszcza po jej nieudanym forsowaniu jego sypialni. Telefon? Sięgnęła po komórkę, nie rozświetlił się ekran, mimo energicznego, a potem rozpaczliwego i naiwnego, bo już wiedziała, że skazanego na niepowodzenie, wciskania przycisku odblokowania.

Rozładowana do trupa, pomyślała. A ładowarka w domu. I w samochodzie Kostii. Trzeba było się podłączyć, wracając. Dlaczego, idiotka, nie podładowałam się?

Usiadła wolno, czujnie, zaniepokojona. Zazwyczaj nie budziła się w środku nocy bez powodu. I od razu los podsunął przyczynę, przywrócił wiarę w przyzwyczajenia, predyspozycje milicjantki – za oknem ktoś ryknął: *I ja prajti jeszcze smaguuu...**, czyli na pewno chwilę wcześniej ryczał *A ja idu, szagaju pa Maskwieee...* To ją obudziło!

Uspokojona, przesunęła się na łóżku, oparła plecami o wezgielowie, podciągnęła kolana niemal do brody, objęła nogi rękami i zamyśliła się.

Może uderzyć jeszcze raz? – pomyślała. Nie może być, żeby taki fajny facet się marnował. Jest męski, a jednocześnie czuły i szarmancki, mądry i przerażony swoją wiedzą, która wynosi go ponad przeciętnego mieszkańca Ziemi, nakłada na niego ogromny obowiązek walki o tę Ziemię, o ludzi, których może nawet nie kocha, nie lubi, którymi pogardza albo których nienawidzi. Ale nie, on nie zostawi bez pomocy nawet przeciwnika, który chwilę temu pchał mu kosę w bebechy. Bożeż ty, Boże... Co za świat?! Raz się trafia człowiek jak człowiek, mężczyzna jak mężczyzna i akurat ten...

Zesztywniała. Poczwała, że serce zaczyna jej walić w wyścigowym, adrenalinowym tempie. Nie! Tylko nie to!

Przekręciła się giętko na łóżku i nie zawracając sobie głowy szukaniem pantofli, ruszyła do drzwi. Kilka sekund później była już pod drzwiami Kamila. Uniosła rękę, żeby zapukać, ale nagle wytrenowana pamięć podsunęła jej kadr sprzed kilkunastu sekund. Odwróciła się w miejscu i pobiegła z powrotem. *Swołocz! Gad! Nu, suka!*

Na wieszaczku samotnie wisiał kluczyk jej patrola. Dwie sekundy później była już w swoim pokoju i wbijała się w spodnie, nie zawracając sobie głowy bielizną. Ciemny sweterek, sznurowane półbuty na twardej podeszwie. Do płaskiej torebki, którą w mig mogła przekształcić w plecak, wrzuciła pistolet, zapasowe dwa magazynki i zdechłą komórkę. Wybiegła, po drodze wyszarpując z rygła wykałaczkę. Nissan zapalił od razu, ruszyła z piskiem opon, rzucając na wszystkie strony niebieskie błyski.

Na pierwszym skrzyżowaniu przypomniała sobie o martwej komórce. Prowadząc jedną ręką, łudząc się, przeszukała skrytkę i oczywiście żadnej cudownym trafem zawieruszonej ładowarki nie znalazła. Rozważała zatrzymanie się i dzwonienie z budki, ale żadna, jak na złość, nie wpadła jej w oko. W końcu uznała, że Sukonin, błyskotliwy Sukonin, sam domyśli się, jeśli zadzwoni i ani ona, ani Kamil nie odbiorą połączenia. Bo tego, że Kamil nie odbiera

* *I ja prajti jeszcze smaguuu...*(ros.) – I mogę jeszcze przejść... – drugi wers piosenki, pierwszy wers: *A ja idu, szagaju pa Maskwie*, z kultowej radzieckiej komedii lirycznej *Ja szagaju pa Maskwie* (*A ja idę po Moskwie*).

teraz żadnych rozmów, była pewna jak mało czego w życiu.

Zerknęła na zegarek: trzecia dwadzieścia. Zresztą, mogła to oszacować po szarówce, bez patrzenia na zegarek. Pod koniec kwietnia noce tu kurczą się, by za półtora miesiąca zaniknąć, ustępując miejsca cudowi białych nocy, nocy bez zmierzchu, bez świtu, bez brzasku.

Tylko na jednym skrzyżowaniu z budki milicjanta wyskoczył mundurowy. Włączyła wewnętrzne oświetlenie, żeby zobaczyć, że to nie kark z łańcuchami i pitbullem na przednim siedzeniu pruje przez powoli budzący się, przeciągający się pod kołdrami Sankt Petersburg. Chwilę potem musiała użyć klaksonu, żeby usunąć sobie z drogi lexusa. Kierowca, wymuskany goguś w okularach z drucianymi, tytanowymi zapewne oprawkami, nawet nie przypuszczał, że gdyby nie zwiął z drogi bezczelnego nissana, mógłby zainkasować kulkę w swoją azotem pompowaną oponę.

Wypadła na szosę, już było za późno na telefon, jeszcze mogła zatrzymać się w Kronsztadzie, ale uznała, że skoro już tyle razy za priorytet uznała szybkość dojazdu do sekciarskiej osady, to powinna konsekwentnie trzymać się tego instynktem podyktowanego planu.

Kretynka! – pomyślała nagle. Przecież mogłam kazać temu krawężnikowi, żeby zadzwonił do Kostii! Głupia, głupia, głupia!

Prędkościomierz doczołgał się na skali do stu czterdziestu, prosty odcinek, dociągnęła do stu sześćdziesięciu. Po raz pierwszy modliła się o patrol drogówki, ale patron kierowców łamiących drogowe przykazania tym razem sprzyjał jej, choć nie tego sobie życzyła. Wyprzedziła jeden i drugi samochód, obu kierowcom pokazała *fucki*, licząc na to, że któryś, rozwścieczony, zadzwoni na milicję. To też zawiodło.

Drogowskaz, zjazd, zwolniła łagodnie, choć na końcu odezwał się hurkot ABSu. Zjechała z szosy i wolno, na drugim biegu, po łagodnym stoku ruszyła w kierunku przystani. Po czterystu metrach zobaczyła w świetle reflektorów concorde'a Sukonina. Zakłęła przez zęby. Wiedziałam!

Zmieniła światła na postojowe i na luzie dotoczyła się do forda. Wdusiła przycisk hamulca ręcznego, żeby nie terkotał przy zaciąganiu, otworzyła drzwi i wysiadła. Torebkę przrzuciła przez ramię, wyjęła pistolet, PSS, unowocześniony wariant Makarowa, bezgłośny za sprawą specyficznych pocisków. Nie była to standardowa broń, ale też jej posiadaczka nie używała PSSa w standardowych sytuacjach.

Rozejrzała się, wsłuchała, potem wsiadła za kierownicę i nie zamykając drzwi, sturlała sto metrów dalej, zjechała na pobocze i wysiadła. Drzwi zamykały się dość głośno, dlatego przymknęła je i mocno docisnęła biodrem. Szczęknął zamek. Kluczyk do torebki, pistolet w dłoń. Chwilę czekała na zaadaptowanie się wzroku.

Ruszyła w stronę już niekryjącej się w mroku, ale i tak mrocznej, bezgłośnej osady.

Zerknęła na niebo, blade księżyc na chwilę wyłonił się zza pokrywy obłoków, nie

dodając światła scenerii.

Wykonała kilka wymachów rąk, przysiadła dwa razy, potem na ugiętych nogach zanurzyła się w dziki zagajnik, który powinien był wyprowadzić ją na tyły świątyni apologetów wody andrzejowej.

* * *

Powrót do świadomości przypominał z rzadka przeżywany sen: śni mi się, że nie śpię, ale nie mogę zrobić nic, tylko tkwię w świadomości, że to nie sen. Zawieszony między snem prawdziwym i śnionym. Wiem, kim jestem, i tyle. Jestem Kamil Stochard. Dobra. Kamil, włącz się. Obudź się. Porusz. Ach...

Ogromny ćwiek na tyle głowy zadygotał i eksplodował. Powinienem od razu zemdleć, ale ktoś mi pomógł – na rozżarzony bólem czubek głowy wylał kubel zimnej wody.

Wypłynąłem z pozornego snu, odzyskałem świadomość członków, bólu.

Otworzyłem oczy, musiałem pomrużyć, żeby skleijające powieki krople wody spadły i umożliwiły normalne widzenie. Pomogło, mruganie pomogło, ale i tak widziałem marnie, koszmarny ból głowy niemal dotykającą kurtyną przesłaniał pole widzenia.

To samo ze słuchem – ktoś coś powiedział, ktoś się chyba roześmiał. Usłyszałem brzęk i druga fala wody spłynęła od głowy. Widziałem kiepsko, ale w to mizerne pole widzenia nikt nie wchodził, więc domyśliłem się, że polewa mnie ktoś stojący z tyłu. Pomrużalem znowu. Trochę lepiej.

Zobaczyłem mężczyznę, stał oparty o warsztatowy stół i palił papierosa. Przyglądał mi się uważnie, zaciągając się raz za razem i wypuszczając nosem energiczną, rozdwojoną strugę dymu. Patrzyliśmy na siebie przez dobre pół minuty, potem w pole widzenia wszedł drugi. Wycierał ręce o spodnie, pewnie był tym, który mnie polewał i zamoczył sobie rączki.

– *Aczuchalsia?** – zapytał ten od wody.

Jakaś przekorna, złośliwa, masochistyczna częśćka mnie chciała zapytać, czy użył dobrej świętej andrzejowej wody, bo postawiłaby mnie na nogi szybko i skutecznie.

– *A kuda jemu dietsa?** – prychnął ten palący, strzelił niedopałkiem w kąt pomieszczenia.

To była piwnica, w każdym razie nie widziałem okien, a obaj mężczyźni wyglądali na palaczy, tyle że z różnych kotłowni – jeden, ten palacz, był wysoki i chudy, chorobliwie chudy, jakby tkwił w permanentnej gruźlicy. Drugi też nie był otyły, miał tylko dziwnie wystający brzuch, jakby sztuczny, dopięty; można by go uznać za szczupłego. Czyli Gruźlik i Przepuklina, zdecydowałem.

Zacisnąłem zęby, żeby się nie odezwać, zwłaszcza po polsku, i zdławiłem falę bólu. Trwała i trwała, usiłowałem wykonać to, czego uczyła mnie młodsza siostra: zlokalizuj

* *Aczuchalsia?* (ros.) – Ocknął się?

* *A kuda jemu dietsa?* (ros.) – Łaski nie robi!

cierpienie, upakuj je i odrzuć. Ale z powodu upiornego bólu nie mogłem się skoncentrować na lokalizacji, bolała mnie cała głowa, musiałbym ją właśnie upakować i odrzucić.

– *Nieplocho ty jewo jobnuł* – stwierdził Przepuklina. – *Możet sliszkom silno?**

– *A mnie po chuj!* – Gruźlik splunął lekko, jakby do języka przykleiła mu się strużyna machorki. – *I tak żyt' budiet czaswtaraj...**

Rozumiałem ich znakomicie, jakby lądujący na mojej głowie drąg otworzył jakiś skarbczyk z leksyką.

– *Ani budut czeriez czias?**

Gruźlik skinął głową.

To on musiał mnie huknąć w łeb. Przepuklinę zobaczyłem, jak wychodził zza rogu, ucieszyłem się, że jestem tak dobrze zamaskowany, i wtedy coś, petersburskie niebo chyba, zważyło mi się na głowę. Och, co ja tu kombinuję, tym mózgiem skołatanym... Przecież Gruźlik sam się przyznał, że walnął mnie w głowę. Ból na chwilę odpłynął, ale nie zacząłem z tego powodu myśleć lepiej, wręcz przeciwnie, obraz mi się zamazał, coś zapiszczało za mną. Kompletnie zidiotyżowana częśćka mózgu podpowiedziała, że po rosyjsku *kałatit'*, znaczy tłuc. Zgadza się, mózg potłuczony...

Ktoś coś powiedział, po chwili powtórzył to, zniecierpliwiony. Tym razem woda chlusnęła od frontu, w twarz. Poruszyłem tylko powiekami, głową ruszać nie mogłem, ból unieruchomił ją skutecznie.

– Po coś tu przyszedł? – zapytał Gruźlik.

Nie zamierzałem odpowiadać. Żadna odpowiedź nie uwolniłaby mnie od ich obecności, od bólu. I upokorzenia.

– Połamać go? – zaproponował Przepuklina.

– Poczekaj, będą rozkazy, będzie łamanie.

Gruźlik wyjął paczkę papierosów, przypalił od zapalki, pomachał nią w powietrzu, cisnął na podłogę i od razu zaczął się zaciągać. Zemdlilo mnie.

Opuściłem głowę. Teraz widziałem, że usadzono mnie w metalowym fotelu, jakby dentystycznym, w każdym razie starym, pordzewiałym, z łuszczącymi się płatkami chromu na podłokietnikach. Od połowy przedramienia do dłoni, za kciuk, ręce przytwierdzono do podłokietników niebieską elastyczną taśmą izolacyjną. Mieli jej dużo i nie żalowali. Tą samą taśmą przykleili mi łydki do nóg fotela. Nawet nie próbowałem się poruszyć.

Rozejrzałem się po piwnicy. Dostrzegłem stojące na warsztacie walkie-talkie i od razu rzucił się w oczy przymocowany do ściany odbiornik CB. No tak, jeśli kręcili tu coś niedobrego, to powinni wystawić czujki. I wystawili.

Gruźlik dopalił już papierosa do połowy. Przepuklina sięgnął do stojącego na warsztacie

* *Nieplocho ty jewo jobnuł... Możet sliszkom silno?* (ros.) – Nieźle mu przyjebałeś... Może za mocno?

* *A mnie po chuj! I tak żyt' budiet czaswtaraj...* (ros.) – Chuj mnie to obchodzi! I tak będzie żył godzinę dwie...

* *Ani budut czeriez czias?* (ros.) – Oni będą za godzinę? Tu: liczba mnoga jest przejawem szacunku, czyli: on będzie za godzinę?

dużego blaszanego pudła i wyjął toporek, ostentacyjnie obejrzał go, zerkając na mnie wesoło i obiecująco. Sprawdził ostrze. Już miał coś powiedzieć, gdy odezwało się CB. W charkocie, syku i piskach kryła się jakaś informacja zrozumiała dla nich – Gruźlik burknął coś, otrzymał serię skrzeków, burknął jeszcze dwa razy i otrzymał znowu sekwencję zakłóceń. Popatrzył na Przepuklinę, ten szybko odłożył toporek i niemal biegiem ruszył gdzieś za mnie, zaskrzypiały metalowe drzwi, huknęły.

Uprzytomniłem sobie, że w tę samą pułapkę może wpaść Zemfira. Ale nie, nie pojedzie przecież sama, a jeśli nie sama, to i Sukonin weźmie kilku swoich ludzi. Ich się nie da ogłupić i ogłuszyć jak asa ABWery Kamila Stocharda.

Gruźlik dopalił swojego papierosa, ból spuchł, eksplodował jak czarna dziura czy co tam eksploduje w kosmosie...

– Będziesz gadał, to może się dogadamy – powiedział nagle Gruźlik. – Posiedzisz w ciemnicy kilka dni, zmądrzejesz, może się ochrzczisz, odkryjesz Pana...

Starał się mówić przekonująco, ale nie umiał, nie leżało to w jego naturze, równie dobrze mógłby szakał przekonywać kózkę, by ułożyła się z nim na drzemkę w cieniu baobabu. Gruźlik, jak i szakał, był zły, ciemny, śmierdzący, cuchnął duszą i spojrzeniem. Jeśli tacy jak on przekonali się do Pana, to na pewno nie był to ten Pan, w którego wierzy większość normalnych ludzi. Nie było najmniejszego sensu rozmawiać z nim, układać się. Sama rozmowa uwłaczała mojej godności. Powstrzymałem się od splunięcia, krzywego uśmiešku czy innych manifestacji odwagi, niezależności i pogardy do śmierci. I bólu.

– Mów... – Tu padło coś, czemu nie poradziły moje nagle obudzone zdolności językowe. Domyśliłem się jednak bez trudu, że nie było to „bracie” czy „synu”, chyba że „inny synu”. – Bo na twoich oczach, tu, już, zaraz, wypruję bebechy twojej suce!

Skamieniałem... I tak siedziałem nieruchomo, ale – na szczęście – patrzyłem w tym momencie w podłogę. W rozpalonej bólem głowie zapanowała cisza i lód, lód i paraliż, paraliż i wycie.

BożeBożeBoże! Czy to już? Czy naprawdę ona zdążyła? Sama? Zmusiłem się do zerknięcia na zegarek. Była piąta dwadzieścia siedem. Czyli byłem nieprzytomny dobre...

Gruźlik odbił się tyłkiem od warsztatu, pstryknął niedopałkiem w kąt i podszedł do mnie. Zaszedł mnie z boku, szarpnął za ramiona i ze zgrzytem okręcił na fotelu.

Zemfira siedziała na innym krześle. Łowcy nie uznali jej za tak groźną jak mnie, skrepowali jej ręce za plecami i jakąś liną przywiązali w pasie do krzesła. Zabrakło taśmy albo przeważało lenistwo.

Miała utyłany w kurzu lewy bok, ale nie widziałem ani sińców, ani otarć, może ją zaskoczyli, może od razu skapitulowała, chcąc dostać się do gniazda i nie ujawniać swoich możliwości. Patrzyła na mnie, spokojna i opanowana. Widziałem w jej spojrzeniu wyraźny nakaz: nic nie mów. Zrozumiałem, że nie chce, żebym ujawnił narodowość, zresztą – nieważne dlaczego. Namawiała mnie do milczenia. A może – zaiskrzyła w duchu nadzieja –

wiedziała, że odsiecz już nadciąga i wkrótce do piwnicy wtargnie Sukonin z kilkunastoma dziarskimi bykami, którzy kopniakami i pięściami wytluką wszystkie prątki Gruźlika, a Przepuklinie wbiją brzucho na miejsce?

– Mam jej wykluć oko? – zapytał Gruźlik, wrywając mnie z błogiego stanu pełni nadziei. Szarpnął mnie jeszcze raz, ustawił niemal na wprost Zemfiry i odsunął się pod ścianę. Sięgnął za plecy i wyjął jakiś nieznany mi pistolet. – Śmieszna rzecz – powiedział. – Zupełnie niegłośna.

Wycelował w Zemfirę, potem gwałtownie odwrócił się do mnie, udał strzał, marnie udał, ale i tak serce wykonało serię salt i z łomotem zważyło się tam, gdzie powinno być. Ale dygotało, łoskotało, i zachłystywało się krwią.

– Zamknij się, durniu – powiedziała Zemfira.

W odróżnieniu ode mnie nie chciała milczeć. Może taka była jej taktyka – zwlekania, oczekiwania, przeciągania?

– Wsadzę ci każde twoje słowo w gardło, suko – powiedział spokojnie Gruźlik. – A potem wsadzę ci coś innego w coś innego, a później poderżnę ci gardło, żeby te wszystkie słowa wypłynęły razem z juchą na podłogę. I na koniec wpuszczę tu swoje psy, żeby się nazarły do syta, zanim resztę twojego ścierwa wrzucę do wody dla raków.

– Do świętej wody? – zakpiła Zemfira.

Wydawało mi się, że drgnął jej lewy łokieć, ten, którego Gruźlik nie mógł widzieć. Czy to był sygnał?

Rozkaszałem się, zebrałem ślinę i splunąłem najmocniej jak mogłem w stronę Gruźlika. Może Zemfirze chodziło o odwrócenie jego uwagi? Jeśli tak, to udało mi się znakomicie, ślina nie doleciała do niego, ale sam pomysł mu się nie spodobał. Zrobił trzy długie kroki i walnął mnie pięścią w lewą skroń i... chyba poprawił w prawą. Wyłączyłem się. Znowu odzyskałem przytomność dzięki wodzie. Głowa mnie właściwie nie bolała, nie mogła boleć, bo to, że ją w ogóle miałem, wiedziałem tylko z powodu oczu – gdzieś musiały być zainstalowane. Myśli przedzierały się przez kurzawę otumanienia tak wolno, że zanim któraś do końca się sformułowała, zapominałem o niej i wsłuchiwałem się w następną. Ale co jedna to głupsza była...

Splunąłem na ziemię przy swoich stopach, odwróciłem głowę, żeby zobaczyć Zemfirę. Nadal siedziała na krześle, ktoś ją mocno spoliczkował, bo twarz jej płonęła; w pomieszczeniu byli obaj nasi opiekunowie, nie wiedziałem więc, któremu życzyłem w tej chwili śmierci bardziej. Chyba jednak bił ją Gruźlik, bo zapytał: „No jak tam?”, co znaczyło, że Przepuklina przed momentem wrócił do piwnicy. Odpowiedzi nie usłyszałem, ale sądząc z kiwnięcia głową Gruźlika, musiało to być coś w rodzaju „dobrze” albo „zaraz”. Zaraz więc stanie się coś innego, gorszego...

Napiąłem mięśnie w daremnej nadziei, że lepik taśmy był zwietrzały albo woda go rozpuściła. Idiota, lepik taśmy izolacyjnej?! Nie pozostało mi nic innego, jak...

– Kretyn – powiedziałem. Po rosyjsku: *krietin*.

– Ty jeszcze gadasz? – Gruźlik oderwał się od obserwowania Zemfiry, która wpijała w niego harde, pełne nienawiści spojrzenie.

Poruszył się, jakby chciał podejść do mnie, ale zatrzymał się, odwrócił i uderzył Zemfirę pięścią w splot słoneczny. Kobieta jęknęła i pochyliła się do przodu, zwiśla na linie. Przepuklina kaszlnął, ale nieprzekonująco.

– *Pidor!* – ryknąłem z całej siły. – *Pietuch!**

Gruźlik skamieniał, potem zerknął na Przepuklinę, jakby chciał powiedzieć: nic nie słyszałeś, i skoczył do mnie. Pierwsze uderzenie pięści sparowałem czołem, Gruźlik syknął i poprawił z lewej, udało mi się uchylić głowę, a resztę impetu przyjąć na czoło. Najtwardsza kość, niech zasłuży na swoją charakterystykę. Gruźlik wyrzucił z siebie długą zagmatwaną kwestię, ale kostki pięści musiały go boleć, bo już nie używał rąk, tylko kopnął mnie w łydkę. Zabolało upiornie. Chciał w drugą, ale wtrącił się Przepuklina, odciągnął go, mamrocząc coś pośpiesznie. Spode łba, żeby nie widzieli tego oprawcy, zerknąłem na Zemfirę. Tak jak przypuszczałem, cios w przeponę nie wyrządził jej większej, względnie większej krzywdy, wspominała coś o treningach, musiała mieć niezłe wytrenowane mięśnie brzucha, a symulowanie omdlenia pozwalało na działanie, jakiego Gruźlik i Przepuklina się nie spodziewali.

– Zajebię go! – warknął Gruźlik.

Szamotał się i niemal podskakiwał w miejscu, klasyczny taniec urażonego gnoja: ja mu pokażę, trzymajcie mnie! Przepuklina odgradzał mnie od niego i perorował coś po cichu, dotarło do mnie i zrozumiałem tylko *patom*. Gruźlik udawał, że to potem naprawdę go uspokaja. Wyszarpnął papierosy, zapalił i wdał się w to swoje palenie ekspresowe. Pożałowałem, że nie znam na tyle rosyjskiego, żeby rzucić kpinę w stylu: pal szybciej, drugiego już nie będzie, i nagle pomyślałem, że niby dlaczego mam sobie żałować?

– Pal szybciej, skunksie, drugiego nie zdązysz! – krzyknąłem, uśmiechając się do Gruźlika.

Zamarł z wyдутymi policzkami, nie zdążywszy wypuścić z płuc powietrza i dymu. Przepuklina odwrócił się i wytrzeszczył na mnie gały.

– Tak, tak! Ty, i ty drugi też. Wiecie, co to jest specnaz, kutafony? Komandosi, specnaz, milicja, wszyscy tu jadą, pistolety, granaty, urrrraa!!!

Nieważne, czy mają mnie za idiotę, czy uznają, że pobicie zaowocowało wstrząśnieniem mózgu, słowa takie jak specnaz, granat, milicja na pewno były im nie obce. Urrrraa dodałem już od siebie, taki bonus od skazańca.

Gruźlik rozkaszał się mocno, wypluł papierosa, odsunął Przepuklinę, jakby ten przeszkadzał mu oddychać, jedną ręką chwycił się za pierś, drugą macał po warsztacie, w

* *Pidor*, *pietuch*, *abizennyj*, *waflor*, *Margarita*, *maszka*, *duńka*, *wasilisa* (ros.) – pojęcia, nie do końca synonimiczne, ale o zbliżonym znaczeniu; określenia osadzonego w zakładzie penitencjarnym, sprowadzonego do roli biernego homoseksualisty.

końcu chwycił trzonek toporka, zrobił krok w moim kierunku.

– Coś ty! – jęknął Przepuklina. – Oni nie kazali robić nic...

– Chuja tam! Zabiję jebanego pierdoleń...

– Nikogo nie zabijesz. Na razie!

W piwnicy, niezauważalnie dla obecnych pojawiła się nowa postać. Wszyscy poza Zemfirą odwrócili głowy w kierunku metalowych drzwi.

Stał tam dość obrzydliwy typ. Wysoki, ale bulwiasty, otyły w niemąły galaretowatożelowy sposób, miał na sobie coś, co przypominało sutannę czy wymyślny rodzaj sutanny, tyle że z dwoma rzędami guzików, pewnie tylko przyszytych, bo kto by zapinał czy rozpinął sto dwadzieścia guzików dwa razy dziennie? Rękawy tej katany były bufiaste, dwukolorowe: od góry granatowe, jak cała sutanna, potem błękitne i na końcu czerwone. W sumie wyglądało to dość błazeńsko; inaczej – wyglądałoby dość błazeńsko, gdyby nosił ten dziwaczny kaftan ktoś inny. Bo ten mężczyzna odsłaniał z odzienia tylko twarz, a i to niecałą. Dominował w niej ogromny bulwiasty, pofałdowany jak kalafior nos, o ile bywają zdrowe kalafiorzy w kolorze sinobiałoczerwonym.

Pod nosem zaczynał się zarost. Długie pąkle o barwie ni to tłustej gliny, ni to sarniej szczeciny. Z brody spływały kilkunastocentymetrowe rzadkie kłaki. Zarost usiłował wspinać się do góry, ale na policzkach na wysokości uszu gościła obrzydliwa egzema; szaropurpurowe placki sięgały skroni. Wyżej chyba zaczynały się łuski. Cały duży czerep szczelnie osłaniał granatowy czepiec, przypominający nakrycie głowy jakichś bliskowschodnich bojowników. Ale to wszystko było ledwo dostrzegalne – w jego twarzy przykuwały uwagę i zniewalały oczy. Piękne, ogromne, głębokie, ciemne... Oczy przywódcy, idola, wodza, świętego. Boga.

Mężczyzna zerknął na nieruchomo zwisającą w pętach Zemfirę, zrobił dwa kroki i ustawił się tak, by widzieć wszystkich obecnych. Galaretowate cielsko falowało pod obszerną szatą.

– Cóż... Polaczek do nas trafił? Przypadkowo czy umyślnie?

Pod naporem jego przejmującego spojrzenia i głosu, też zniewalającego, głębokiego i soczystego, zapragnąłem opowiedzieć wszystko: o guimonach, o Fn'thalu, o Jerzym, Posoce, Sukoninie... O Zemfirze, w końcu...

– Spierdalaj! – wychrypiałem.

Westchnął, pierś wydeła mu się pod sutanną tak mocno, że przez pół sekundy myślałem, że tkanina pęknie. W błysku natchnienia zrozumiałem, że pod szatą kryje się nie to ciało, jakiego bym się spodziewał, kompletnie nieludzkie, obce, przerażające.

Mężczyzna rzucił jakieś pytanie. Przerażony, po raz pierwszy od odzyskania przytomności naprawdę przerażony, nie rozumiałem, o co pyta, ale Przepuklina szybko wyjął z kieszeni mój srebrny nóż do papieru, naostrzony i mało niebezpieczny. Mężczyzna uśmiechnął się krzywo, chwycił nóż dwoma palcami i popatrzył na mnie: patrz! Potem zręcznie ułożył ostrze na kciuku i trzecim palcu, nacisnął z góry wskazującym i ostrze

prysnęło na boki.

– Żalotne – powiedział. – Ale dziwne, że taki nóż wzięłeś ze sobą. – Odwrócił się do Gruźlika. – A ona co miała?

Ten z gotowością wyszarpnął zza paska dziwny pistolet i podał go guimonowi. Bo to BYŁ guimon.

Może nie szeregowy, może nawet ważniejszy od Fn'thala, ale z tego samego miotupomiotu. Guimon chwycił pistolet, odbezpieczył i strzelił w ścianę – wszystko płynnie, spokojnie, fachowo. Nie usłyszałem najmniejszego dźwięku, dopiero gdy pocisk trzepnął w cegłę...

– *Job!* – zaczął Gruźlik i zamilkł. Guimon pokręcił głową.

– Cicho... – Popatrzył na broń i odłożył na warsztat. Gruźlik i Przepuklina odsunęli się z szacunkiem od bezszelestnego pistoletu. – Po co tu przyszedłeś?

Miałem pewność, że na mój użytek inaczej moduluje głos, że napiera nim, że wysila się. Oczy otworzył szeroko i wpił się we mnie całą ich piękną głębią, ale ja już widziałem w nim potwora, jakąś wężową modliszkę, jakiegoś pływającego nietoperza, pełzającego sępa. Jego czar i urok przestały na mnie działać w chwili, kiedy zrozumiałem, z czym mam do czynienia.

Cokolwiek zrobię, nie będzie miało to sensu, wiedziałem o tym. Ale – z drugiej strony – co, dać się bez oporu zaszlachtować zonkologizowanemu gruźlikowi? Jeśli nawet – nawet?! – mamy tu zginąć, to koniecznie trzeba jakoś zaaranżować szybkie nadejście pomsty, okłamać oprawców, zmusić do błędnego ruchu, do pośpiechu, do bezmyślnego ataku, w końcu...

– Jesteście otoczeni – powiedziałem po polsku, nie przejmując się, czy mnie rozumieją. Sądziłem zresztą, że guimon rozumie. – Czekają na wsparcie, takie, żeby nic i nikt nie pozostał tu żywy, cały i oddychający. Rozpętamy tu piekło, dla was piekło na ziemi. Spłonie wszystko i zostanie obrócone w perzynę. Woda pochłonie dziurę po was i waszej świątyni. – Uśmiechnąłem się szeroko i możliwie zjadliwie. – Żaden pierdolony Cthulhu ci nie pomoże, żaden Brat, Wielki Kapłan Przedwiecznego. Twój AlKhadhulu, choć wydaje ci się bosko silny, jest już trupem i trupem pozostanie, ścierwo w trumnie z alsternu!

W jego oczach rozgorzała purpura, cienkie brwi nagle poruszyły się i – przysiągłbym! – zaczęły się z nich wysuwać małe rożki, ale szybko zniknęły. Czepiec drgnął, jakby ciasno ułożone na czerepie węże poruszyły się zaniepokojone, rozjuszone.

– *La mayyitan ma quadirun yatabaqa sarmadi, fa itha yaji ashshuthath almautu gad yantahi** – wolno wyrecytowałem wyuczoną zapowiedź powrotu Przedwiecznego. Staralem się akcentować to możliwie idiotycznie, kpiąco, szyderczo, wyrzucać dziwaczne kłaczki głosek tak, jakbym wrzucał je do gnojówki albo spluwał nimi na asfalt i od razu rozcierał podszwą jak karaluchy czy pluskwy.

Guimon otworzył pysk i pokazał siny pręgowany ozór. Poza mną nikt tego nie widział.

* *La mayyitan ma quadirun yatabaqa sarmadi, fa itha yaji ashshuthath almautu gad yantahi.* – Nie jest umarłym ten, który może spoczywać przez wieki. Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami.

Przepuklina i Gruźlik wpatrywali się we mnie. Jednocześnie odruchowo, jakimś ludzkim instynktem, jaki się w nich zachował, odsuwali się powoli od guimona. Szorując plecami po krawędzi warsztatu, przesuwali się pod ścianę, jakby wiedzieli, że za chwilę eksploduje... coś eksploduje...

Guimon pozwolił, by jego gadzi jęzor przez chwilę mnie namierzał, niczym węszący, wychwytyjący ciepło ofiary wąż... Potem zamknął pysk, wargi poruszyły się. Zemdliło mnie na myśl, że guimon połyka teraz prawdziwy ozór, żeby móc mówić. Miałem, niestety, rację.

– Parszszywy ludziku – wychrypiał.

Gdzieś zaginał jego hipnotyzujący, aksamitny, zniewalający głos. Pewnie nie do końca jeszcze odtworzył ludzkie organy mowy. I znowu – niestety! – miałem rację: w miarę mówienia, tembr głosu poprawiał się, nabierał obezwładniającej mocy. Ale i tak ani Gruźlica, ani Przepuklina nie odwrócili w jego stronę głowy. Widziałem, że boją się tego, że boją się popatrzeć na swojego patrona. Dygotali i gapili się na mnie. A guimon ciągnął:

– Nie jesteś godzien wymówić głoski z tego, co... mówił... mówiłem... mówią. – Zaplątał się trochę. Musiał być wściekły, albo... przerażony. – Zginiesz, a umierając wolno, przerażająco wolno, błagać będziesz o śmierć szybką i tylko bolesną! *Gatabaga!*

– Srulimuli – rzuciłem. – Strasznie mnie przeraziłeś tym swoim bełkotem. Przygotuj się lepiej na to, że wsadzimy cię do klatki i będziesz wożony i pokazywany w zakładach psychiatrycznych i poprawczakach... – Bełkotałem bez sensu, ale musiałem zogniskować na sobie ich uwagę. Kątem oka widziałem nieznaczne ruchy rąk Zemfiry. Wiedziałem, od dłuższej chwili wiedziałem, że manipuluje swoimi tytanowymi tipsami. Musiałem ją zakryć przed wzrokiem guimona, jego dwaj ludzcy pomocnicy w tej chwili się nie liczyli. – Możesz sobie chwytac swoje ofiary – ciągnąłem – wybrane z co słabszych ludzi. Dziadkowie, babunie, wariaci, frustraci... Odpady, uwalniasz tylko ludzkość od elementów już zużytych, niepotrzebnych, przeszkadzających. – Roześmiałem się głośno. – Budujesz dla swojego pana królestwo głuchych, bezzębnych, dygocących i reumatycznych poddanych? Gdybyście tylko tym się zajmowali – paplałem – nikt by wam nie przeszkadzał, zabierajcie sobie klientów domów starców i *psychuszek*, nam oni niepotrzebni. Ale że twój pan, Niezmierny i Błogo Popierdolony AlKhadulu SruluMulu, potrzebuje akurat takiego królestwa? Bo i sam taki jest: mamroczący coś przez sen, majaczący o władzy, panowaniu, o królestwie... Żałosna, biedna, papuzia ośmiornica. W każdej pierdolonej grze dla mało rozwiniętych nastolatków występują bardziej przerażające potwory i bóstwa. Nikt już nawet nie wspomina go w książkach! Dno! Glista! Wije się w swoim zamknięciu jak ślimak na patel...

Guimon otworzył pysk i ryknął. Dźwięk uderzył nie jak grom, nie ogłuszył, przynajmniej w pierwszej chwili. Zaczął się od podmuchu, od fali ohydneho ciepłego powietrza przesyconego koszmarnym smrodem, jakbym został zanurzony w wyziewie z gnijącej paszczy wieloryba. Nie zdążyłem zwymiotować, zwałił się na mnie ze wszystkich stron przeraźliwy skrzek, jak by setki wrzaskliwych mew zostało jednocześnie przypalonych z

miotacza ognia. Wizg i skrzek narastały w upiornym *crescendo*, do jakiegoś dziwnego *martellato*, pulsującego i tak silnego, że w końcu zlało się to wszystko w obezwładniający wał dźwięku. Nie, już nie dźwięku, nie wiadomo czego...

– Bał...wan... – wycedziłem, nie słysząc oczywiście własnego głosu.

Nagle ogarnęła mnie cisza, chyba jeszcze bardziej przerażająca niż pandemoniczny jazgot. Ogluchłem albo zwariowałem, usłyszałem myśl. Nie, chyba nie zwariowałem, bo myślę... Ale dlaczego...

Widziałem wytrzeszczającego żółte teraz ślepią guimona i dwu jego pomocników, osłupiałych, skamieniałych, zapadniętych w małe, przerażone na śmierć duszyczki. I zobaczyłem...

Zemfira poderwała się, zrzucając pęta. Płynnie sięgnęła do tyłu, chwyciła swoje krzesło i wspierając siłę rzutu pochyleniem całego ciała, cisnęła nim w guimona. Jeszcze gdy krzesło, obracając się, leciało w powietrzu, wspaniała Zemfira, mściwa furia, już biegła w jego stronę. Poderwałem się całym ciałem na swoim fotelu, lecz udało mi się tylko podskoczyć razem z nim. A krzesło już uderzyło w bark i głowę stwora, poderwał ręce, ale lewa zaplątała mu się w nogach mebla. Zemfira skoczyła najpierw w bok, chlasnęła swoimi tytanowym szponami taśmę na mojej prawej ręce, a mgnienie oka później była już przy guimonie.

– Nie... – wyszeptałem. Może wykrzyczałem...

Wczepiła się nogami w jego kałdun, rękami, palcami, pazurami chlastała go po pysku, po szyi, po miejscach, gdzie powinny przebiegać newralgiczne tętnice. Powinny...

Na ułamek sekundy zaniechała cięcia szponami szyi potwora, wbiła głęboko w jego oczodoły palce wskazujące...

Zlany zielonkawą, obrzydliwie glutowatą posoką, guimon potrząsnął łbem, ale nawet nie ryknął, nie zwałił się na podłogę. Cięcia Zemfiry jakby nie miały na niego wpływu, jakby ktoś okładał przeciętnego człowieka linijką – ot, boli i już. Szarpnąłem się jeszcze raz, choćby po to, żeby odwrócić uwagę, zwrócić na siebie uwagę... Kogo?

Gruźlik i Przepuklina klęczeli na podłodze, podpierając się rękami, i rzygali. Guimon niemrawo kręcił łbem, a Zemfira usiłowała przez oczodoły wedrzeć się do jego mózgu, wydłubać go, przeszyć tytanowymi szponami ośrodek, centrum, serce? I nagle było po wszystkim.

Guimon jakby podskoczył, uniósł ręce i z dziecinną, przerażającą łatwością oderwał Zemfirę od siebie. Jedną ręką objął ją w talii, drugą z niesamowitą szybkością uderzył w pierś, złamał w kręgosłupie, cisnął bezwładną żelową lalkę pod drzwi. I już ułamek sekundy później miał w łapie pistolet, z którego posłał cztery bezszelestne pociski w martwe ciało.

– Nie... – szepnąłem.

– Co się! – wrzasnął Przepuklina.

Gruźlik kwiknął i rozkaszał się koszmarnie, zanosił się charkotem, walił w pierś i purpurowy błyskał białkami wybałuszonych oczu. Obejrzałem się, na ile mogłem. Zemfira

leżała pod ścianą, nieodwołalnie martwa: głowa opierała się brodą o ceglany próg, reszta ciała była skrzycona w talii niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Szarpnąłem się tak, że zaboląły mnie niemal wszystkie kości, bez rezultatu. Guimon potrząsnął łbem, przetaił wierzchem dłoni pozbawione galek wyłuskane oczodoły. Gdy odjął łapy, zobaczyłem, że w przed chwilą ciemnych, ociekających zgniłozieloną mazią kawernach pojawiło się żółte lśnienie. Guimon zasłonił oczy jeszcze raz, kompletnie nieczuły na krzyki i kaszle swoich giermków. Teraz, gdy opuścił łapy, patrzyły na mnie jaskrawożółte, niemal parzące gały. Zacząłem się miotać na wszystkie strony, nie wiem – żeby się przewrócić? Guimon wrzasnął coś jak *cyc!*^{*} – obaj podwładni zakrztusili się kaszlem i krzykiem i całkowicie zamilkli.

Guimon, z torsem zalany galaretowatą wydzieliną, wyciągnął rękę i pokazał na mnie palcem:

– Zabierz mu pierścień! – ryknął niskim, hipopotamowym głosem.

Przepuklina, szlochając i ocierając smarki rękawem na przedramieniu, podszedł do mnie i niemrawo zaczął manipulować przy mojej lewej dłoni. Wirywałem się cały czas, maskując tymi płasami rzeczywiste zamiary. Bandzior szarpał mnie za palec, sygnet wyslizgiwał mu się z ubrudzonych smarkami i wymiocinami łap. Coś do niego wrzeszczałem, potem go oplułem. Chwytał mnie za palec i zaczął wykręcać. Trzasnęły stawy. Rzuciłem się jeszcze raz, udało mi się przechylić fotel, majtnąłem głową i zwałem się na bok. Przepuklina uskokzył, mamrocząc coś pod nosem. Leżąc, chwyciłem palcami za oparcie i z całej siły napałem mięśniami nadgarstka na więzy. Udało się! Wyszarpnąłem rękę, ale nie zdradzałem się. Sama wolna jedna ręka niczego jeszcze nie załatwiała.

– Zrób to! – ryknął guimon tak, że z hukiem pękła jedna z gołych żarówek oświetlających piwnicę.

Przepuklina złapał mnie za klapy bluzy i szarpnął do góry. Sekundę później znowu siedziałem na fotelu, a bandzior znowu wyłamywał mi palce.

– Odetnij go!

Gruźlik chwycił toporek i rzucił się na pomoc kumpłowi.

– Trzymaj go, Igariocha! – wrzasnął, trącił Przepuklinę łokciem i przymierzył się toporkiem do mojej dłoni.

Wtedy moja prawa wystrzeliła do przodu, wyszarpnęła zaskoczonemu bandycie toporek, cięła go nim przez pierś, a potem cisnęła nim w guimona. To był błąd.

Guimon bez trudu chwycił leżący w jego stronę toporek. Chłasnęty wcześniej ostrzem Gruźlik, wrzeszcząc na całe gardło, pobiegł w stronę warsztatu. Tuż przed nim zwałił się na podłogę i zaczął się miotać w konwulsjach. Guimon dwoma długimi miękkimi krokami dopadł mnie, jedną ręką, lewą, chwycił za twarz, dwa palce wbił mi w gałki oczne, kciuk zaś w miękkie, bolesne miejsce pod brodą. Poruszał się teraz z szybkością błyskawicy, nie byłem w stanie nic przedsięwziąć w swojej obronie. Zanim zdążyłem odepchnąć go uwolnioną ręką,

^{*} *Cyc!* (ros.) – Sza!

ostrze błysnęło i zgrzytnęło o poręcz fotela. Ostry piekący ból, młodszy brat wcześniejszych bólów, tym razem w dłoni, sparaliżował mnie niemal całkowicie. Uderzyłem guimona z całej siły, uwolniłem twarz z jego chwytu.

Z rannej dłoni chlustała krew. Nie widziałem dwóch palców, trzeciego i czwartego. Przerażony, przez mgłę bólu zacierającą pole widzenia zobaczyłem swoje dwa palce na betonowej podłodze. Leżały w kałużach krwi, nie ruszały się. Sięgnąłem po toporek, chcąc wyrwać go z łap guimona, ale był szybszy ode mnie, silniejszy, groźniejszy i o niebo bardziej bezwzględny. Chwycił mnie za włosy i potrząsnął mocno, ale już mnie nie bolało. To mnie nie bolało.

Przepuklina odwrócił się i łkał, szlochał i wymiotował, a raczej targały nim suche torsje. Guimon jakby się rozdzielił: w jednej chwili patrzył na mnie, z kpina, ironią, nienawiścią i mściwością, a w następnej odwrócił się i wycharczał do Przepukliny:

– *Ubij jewo!**

Przepuklina zachwiał się i machnąwszy ręką, oparł się na zalanym guimonią juchą torsie. Wrzasnął, jakby kopnął go prąd, cofnął rękę, ale nie zdołał się odsunąć, bo piekielny szef złapał go za ramię i majtnął nim jak bezwładnym słomianym truchłem.

– *Ubij!*

Szarpałem się z taśmą na lewym przedramieniu, wiedząc, że daremny to wysiłek. Zalana krew, nie dawała się podważyć, końcówka była nie wiadomo gdzie. Mogłem właściwie tylko wrzeszczeć, jednak nie wrzeszczałem. Umierać z wrzaskiem na ustach, dając satysfakcję zabójcy, wydało mi się najgorszym wariantem śmierci. Jeszcze raz wyprężyłem ciało, ale było za słabe, więzy za mocne i czas płynął z korzyścią nie dla mnie.

Przepuklina zatoczył się, słaniając się na nogach, dużym łukiem ruszył dookoła mnie. Gruźlik na podłodze wyrzucił rękę do przodu, ponad swoją głowę, uderzył nią mocno o metalową nogę warsztatowego stołu. Po co mi ten widok? Żeby nie widzieć Przepukliny? Jak wyciąga z kieszeni sprężynowiec i szczeka mechanizmem zwalniającym ostrze?

Mężczyzna obszedł mnie z lewej strony. Póki się dało, wykręcałem głowę w jego kierunku, usiłując zabić go wzrokiem, przekazać ogrom pogardy i nienawiści.

Z boku miał coś, czego się bał bardziej niż mojego spojrzenia: ucieleśnienie śmierci, ohydny, brudny, skalany złem i szlamem piekła stworę, której i ja bałbym się, gdybym jej nie nienawidził bardziej niż się bałem...

Zimny ostry ból, inny niż wszystkie inne, jakie były dziś moim udziałem, wpił się w moje ciało... Całe zwinęło się i rozpaczliwie chwytając powietrze, wyprężyło. Coś trzasnęło. Może teraz puściła taśma? Za późno... Mamo...

Przepuklina wyszarpnął nóż z pleców bezwładnie zwisającego w pętach ciała, wypuścił go z dygocącej dłoni. Stał i tępo patrzył w podłogę, omijając wzrokiem nieruchome ciało kumpla, nieruchome ciało kobiety, nieruchome ciało Polaka. I jeszcze bardziej gorliwie

* *Ubij jewo!* (ros.) – Zabij go!

omijał spojrzeniem przemierzającego się w kierunku drzwi ojca Andrieja. Ten zatrzymał się z ręką na klamce, odwrócił i skierował spokojny hipnotyzujący wzrok na zaślinionego bandziora.

– *Ubieri tut.* – Z wyrazem obrzydzenia na twarzy omiół drugą ręką pomieszczenie. – *Wsiech twoich w wodu, k otcu naszemu, pust' prostit im griechi ichni je, i naszy toże.** – Westchnął ze smutkiem i wyszedł.

Igariocha podniósł głowę i rozejrzał się. Jego kompan, dotąd nieruchomo leżący na podłodze, poruszył ręką i stęknął, a potem rozjączał się.

Batiuszka Andriej powiedział: wszystkich do wody, pomyślał Igariocha. A ja... On się wylegiwał, a ja całą robotę! – rozżościł się nagle. Powiedział: wszystkich!

Westchnął spazmatycznie, odcharknął i splunął na podłogę, potem pochylił się i podniósł nóż. Podeszedł do kamrata i przykucnął. Ten odwrócił głowę i popatrzył zażwawionymi oczami na kompana.

– Igariocha... Boli... Boli jak skurwysyn... Ten bydlak mnie...

– Załatwiłem go – pocieszył Gruzlika Igariocha.

– *Maładiec* – pochwalił go kumpel. – Lekarza do mnie zawołaj, tak?

– Nie trzeba lekarza – powiedział Igariocha.

Kompan, obolały i wycieńczony z upływu krwi, zobaczył wyrok w oczach Igariochy.

– *Ty... mienia? Nie nada... Koriesz ty ili suka, blad'?!**

– *Kakaja raznica...* – rzucił Igariocha i chlasnął ostrzem po gardle kompana. – *Kakaja raznica... Adin jebiot, a drugoj tolko draznitsa...**

Wytarł nóż o koszulę podrygującego jeszcze *koriesz*a, potem, stęknąwszy, podniósł się i oszacował pomieszczenie.

Na podwórku stała taczka. Igariocha ruszył po nią, kopniakiem usunąwszy z drogi dwa palce... Kwadrans później zwałił wszystkie trzy ciała do łódki z małym elektrycznym silniczkiem.

Chuj go wie, pomyślał. Może powie: Aj, Igariocha, nie chce się samemu wiosłkiem, wiosłkiem popracować? Niedobrze, woda leniwych nie lubi, przygarnia ich chętnie. To już wolę sam powiosłować. No. Ale jak – wszystkich w jedno miejsce czy porozwozić? Lepiej porozwozić – jak się jeden znajdzie, to drugi może nie, a trzeci pod śrubę barki wpadnie i w ogóle nie wypłynie na świat boży... Wiadomo – lepiej. Ale się nie chce... Tak, nie chce, a potem batiuszka zapyta... Tfu, lepiej nie myśleć!

Naparł na wiosła i wypłynąwszy z naturalnej, słabo wciętej w ład zatoki Korkuty, powiosłował wzdłuż brzegu. Równo co dziesięć minut pozbywał się jednego ciała. Zbliżające

* *Ubieri tut... Wsiech twoich w wodu, k otcu naszemu, pust' prostit im griechi ichnije, i naszy toże* (ros.) – Posprzątaj tu... Wszystkich do wody, do ojca naszego, niech wybaczy im grzechy ichnie, i nasze też...

* *Ty... mienia? Nie nada... Koriesz ty ili suka, blad'?!* (ros.) – Ty... mnie? Nie trzeba... Kumpel jesteś czy suka, kurwa?!

* *Kakaja raznica... Kakaja raznica... Adin jebiot, a drugoj tolko draznitsa...* (ros.) – Jaka różnica... Jaka różnica... Jeden jebie, a drugi tylko się droczy.

się białe noce skutecznie przeganiały mrok. Igariocha rozglądał się czujnie, zanim wyrzucił kolejne ciało. Było pusto i cicho, pasma mgły snuły się nad wodą.

Godzinę później był z powrotem i z ulgą, widząc światełko w pokoju ojca Andrieja – znaczy siedzi tam, może nie wyjdzie – udał się do baraku, gdzie mieli swoje posłania. Z worka kolesia wygrzebał paczkę papierosów i palił je do białego świtu.

ROZDZIAŁ 10

– *Jobanyj w rot!*

Sukonin stał na podnóżku milicyjnego hyundaia i rozglądał się po ulicy. Nie było ani patrola Zemfiry, ani jego własnego concorde'a. Kapitan myślał chwilę, potem szybkim krokiem ruszył do mieszkania przydzielonego Polakowi.

Nie było tam ani żywych, ani umarłych, w obu pokojach pościel była używana, ubrania z lekka porozrzucane. Raczej ubierali się w pośpiechu, raczej oddzielnie, przecież Zemfira nie ruszyłaby na akcję, nie powiadomiwszy swojego przełożonego. Sukonin stał w progu jej pokoju i myślał.

Jeśli nie ma obu samochodów, to nie pojechali razem. Gdyby ona ruszyła pierwsza, to co – Polak by ją tropił? Nie, zresztą powiadomiłaby mnie. To on!

On się gdzieś wybrał, a ona albo siedzi mu na plecach, albo wykiwał ją, umknął, obudziła się i pognąła za nim. A do mnie nie zadzwoniła, żebym jej jobów nie nawrzucał.

Dobrze. Tak musiało być. Teraz dalej – dokąd on się ruszył? Albo dostał cynk, albo... Albo nie. Jeśli dostał cynk, to dupa, a jeśli nie dostał, to pojechał do... Korkuty!

Klasnął i wyjął telefon. W kuchni, czekając na połączenie z teściem, wypił czyjaś zimną herbatę, popił szklanką mineralnej.

Zrelacjonował krótko sytuację, poprosił o wsparcie pięciu-sześciu specnazowców i otrzymawszy błogosławieństwo przełożonego, wyszedł z mieszkania i skierował do samochodu z czekającym na niego kierowcą.

– Korkutya – rzucił. – Ale nie śpiesz się, na wylocie czekamy na dwa nasze wozy bojowe.

Kierowca znał go dobrze i wiedział, że takie „nie śpiesz się”, wcale nie znaczy, że ma się wlec. Skoro kapitan powiedział, że na wylocie poczekają, to poczekają, choćby miał wcześniej położyć połowę Pitra na poboczach. Wystawił niebieskiego koguta, ale nie włączał syreny.

Na dwa wozy wsparcia czekali dobry kwadrans.

* * *

Tupolew stał przy biurku i gapił się niechętnie na rozdziawioną gardziel swojej

eleganckiej teczki. Miał w niej kupę papierów, zapowiedź spieprzonego weekendu, a powinien dołożyć jeszcze dwie teczki. Wyc się chciało.

Pierdolnąć to wszystko i w Riazan! – pomyślał pointą starego zacnego dowcipu.

Odezwał się sygnał interkomu.

Zabiję tę zarazę! Zacisnął zęby i nie ruszał się chwilę. Wiedział jednak, że sekretarka nie łączyłaby go w tej chwili, na wyjściu, gdyby nie musiała.

– Tak?

– *Hello? Colonel Tupolew?*

– *Yes. Słucham?*

– Major... Smith... – przedstawił się rozmówca. Wahanie przed nazwiskiem było znaczące.

– Dzwonię w sprawie pańskiego podwładnego, Kamila Stocharda...

– Tak?

– Będę wdzięczny za namiar na niego. Chyba mam nieaktualny numer telefonu.

Pytanie zadane było niemile przymilnym tonem. Następne słowa były jeszcze bardziej niemile:

– Mamy zapewnienie pańskich przełożonych, że współpracujemy w kilku sprawach, a Kamil Stochard jest mocno zbuforowany z jedną z nich.

Tupolew podniósł wzrok i posłał w sufit krótką serię bezgłośnych przekleństw.

– Majorze, czy możemy odłożyć rozmowę na dwa dni? Właśnie wychodzę, nie mogę się spóźnić. W poniedziałek chętnie dokończę rozmowę. Co pan na to?

– Dobrze. Świetnie. To nic bardzo pilnego. Zadzwoń w poniedziałek. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia.

Przerwał połączenie i natychmiast wywołał sekretariat, mściwie wyobrażając sobie zaskoczenie i oburzenie sekretarki. Będzie musiała posiedzieć i popracować.

– Połącz mnie z Majskim, natychmiast. Wygrzeb go nawet z mogiły!

Najlepiej z mogiły!

– Już, panie pułkowniku, momencik!

Trwało to jednak dziesięć minut. W tym czasie Tupolew ze złością wyszarpnął z teczki plik akt i z mściwym uśmiechem cisnął do sejfu. Już wiedział, czuł, że weekend ma spieprzony, i to nie tylko z powodu telefonu – nie bezpośrednio z powodu telefonu. Telefon był czubkiem iceberg, oznaczał, że w pierdolonej sprawie coś się znowu ruszyło. Tupolew najchętniej uszczypnąłby się, obudził i powiedział na głos: „Co za kurewski sen! Kurewsko głupi, głupi, głupi sen!”. A tu szczypie go ktoś inny i zjadliwie cedzi: „Obudź się, nie zamykaj oczu, to nie sen, to jawa. I choć to ci się nie podoba, jest taka zamieciona przez ciebie pod wykładzinę sprawa. Otwórz oczy!”.

– Panie pułkowniku? Pułkownik Majski na linii.

Poderwał słuchawkę i zwałił się w fotel.

– Dzień dobry, Tupolew.

– Witam, Majski. Co się stało?

– Stało, stało... A może nie stało, lepiej by było, żeby się nie stało. Stochard, mówi to coś panu?

Majski roześmiał się.

– Oczywiście. Zesłany, jak ten... Przewalski ze swoim koniem. Coś z nim nie tak?

– To też. Ale gorsze jest to, że wrócił do sfery zainteresowań naszych zaoceanicznych kolegów.

Odpowiedziała mu głęboka telefoniczna cisza.

– Nie wiem, co powiedzieć – oznajmił w końcu Majski. – A to, co bym mógł, nie nadaje się do powiedzenia. Smród aż dusi.

– Dokładnie.

Milczeli chwilę obaj.

– Czy oni chcą go do siebie, dla siebie, czy tylko dupę zawracają?

– Nie wiem, jeszcze nie wiem.

Nawet nie przyznałem się, że go wypieprzyłem z Warszawy, pomyślał Tupolew. Ale tego Majski nie musi wiedzieć. Westchnął do słuchawki.

– Proszę go pilnie przysłać do Warszawy. Czuję, że to nie był kurrr...tuazyjny telefon, będzie mi potrzebny tutaj.

– Dobrze, nie ma sprawy. A pilnie?

– Raczej tak. – Postarał się, by „raczej” było raczej niesłyszalne.

– Dobra. Ale za dwa dni. Skorzystałem z tego, że we Wrocławiu jest kompletnie nieznany i wsadziłem go w jedną sprawę... Nie mam bieżącego kontaktu, rozumie pan? – Rozumiem. A kiedy najwcześniej? A czy ja znam rozkład lotów z Petersburga?! – wrzasnął w duchu Majski.

– Powinien się z nami skontaktować w poniedziałek. Awaryjnie – wtorek. Czyli wtorek-środa byłby u was.

– Dobrze. Nie widzę potrzeby paprania sprawy, skoro jest w jakąś uwikłany, ale jak tylko uda się go wyciągnąć bez rujnowania akcji, niech się uda pilnie do stolicy.

– Tak będzie, panie pułkowniku.

– No to miłego dnia i do zobaczenia.

– Do widzenia.

Majski odłożył słuchawkę i chwilę przyglądał się jej ze złością. Potem przeniósł wzrok na wydawnictwo „Ziemia Kłodzka”. Dzisiejszą wycieczkę na Śnieżnik pułkownik Tupolew właśnie odwołał, a jeśli nie odwołał fizycznie, to nieodwracalnie popsuł.

– Halinka – powiedział do interkomu. – Dwa telefony: połącz mnie z generałem Jarcewem, a potem zadzwoń do żony i powiedz jej, że wycieczkę odkładamy, że mi przykro, że wiem i tak dalej. Zasugeruj głosem i układem ciała, że to bardzo poważna sprawa. Ale najpierw Jarcew.

Przespacerował się po gabinecie.

Która tam u nich godzina? Piąta? Nieważne, mają ten pieprzony pociąg na głowie, Jarcew na pewno nie wybrał się na ryby.

Pisnął telefon, dwoma krokami dopadł biurka i podniósł słuchawkę.

– Pułkownik Majski, Wrocław, Polska – powiedział.

– Aa, *priviet*. Co się stało?

– Nasz człowiek, Stochard. Jest u was?

Po dłuższej o ćwierć sekundy niż spodziewana pauzie Majski poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

– Tak... Jest... Z tym że... – Generał odchrząknął. – Mam zrelacjonować, co się dzieje, czy on sam jest potrzebny?

– On sam. Musi migiem wracać do Polski. A jak już wróci, to wprowadzi mnie w to, co się dzieje, prawda?

– Prawda. Tylko że nie wiemy, gdzie on jest.

– Znaczą coś? – Majski osłupiał.

Mógł się spodziewać, że Stochard zrobi coś głupiego, że się upije, że przyłapią go w gejowskim klubie, że Rosjanie uznają go za pierdolniętego i zamkną w jakimś żółtym domu, ale że zaginie jakoś mu nie przyszło do głowy.

– W tej chwili wiemy jedno: trafili z moimi ludźmi na coś ważnego, cholernie ważnego, ale łączność między nimi głupio się urwała. Mój człowiek i Kamil Stochard zaginęli. Mamy, niestety, poważne podejrzenia co do fatalnego zakończenia ich lekkomyślnej i nieuzgodnionej akcji. Krótko mówiąc, żeby pan nie myślał, że coś zatajam: w pewnej piwnicy, w której byli oboje, są ślady ich krwi. Ciał nie ma, szukamy i mamy nadzieję, że nie znajdziemy. To znaczy, że znajdziemy ich żywych albo sami się znajdą.

– Oboje? Kobieta i Stochard? – zapytał Majski i poczuł wywołane irytacją na samego siebie pulsowanie w skroniach.

– A co to ma do rzeczy?! – wrzasnął Jarcew. – Przydzieliłem mu swoją pracownicę, wspomniała milicjantkę, nie było najmniejszych skarg...

– Nie, nie! Ja nie o tym, tylko...

– Spokojnie – powiedział Jarcew, nie wiadomo: do siebie czy Majskiego. – To jest stan na teraz: szukamy. I ich, i potencjalnych sprawców. Jak tylko coś będę wiedział, dam znać. Pasuje?

– A co mam powiedzieć, panie generale? Musi pasować. Proszę mnie informować na bieżąco, dobrze? Coś czuję, że do mojego gardła zbliża się nóż...

– Tak. Będę. Do widzenia.

Jarcew cisnął słuchawkę. Potem pochylił się nad mikrofonem i rzucił:

– Sukonina do mnie! Już!

Czekał nie dłużej niż trzy minuty, w tym czasie wybił opuszkami palców rytm kilku

zwrotek piosenek swojej młodości, od *Szyroka strana maja radnaja przez Rascwietali jabłoni i gruszy do Nam piesnia stroit' i żyt' pamagajet*. Sukonin wpadł do gabinetu jak jądro armatnie do trzcinowego szafasu, przemaszerował cały chodnik i wyprężył się przed biurkiem.

– Co nowego mamy?

– Nic – pokręcił głową. – Tylko tyle: samochody mój, którym przyjechał Stochard, i Zemfiry, stały nieopodal siebie. On wypalił dwa papierosy, ukrył kluczyki w nadkolu i poszedł gdzieś. Ona przyjechała później, poszła – też gdzieś. Nie wiem, dlaczego ani on nie powiadomił mnie o swojej akcji, ani – co mnie dziwi i wprawia w osłupienie – ona. W piwnicy pod czymś, co nazwalibyśmy plebanią, znaleźliśmy trzy plamy krwi, do tego kupa innego materiału do testów. Dwie plamy krwi bez wątpienia Zemfiry i Stocharda, jego materiał porównawczy mamy z naszego szpitala, jesteśmy więc pewni, że to on. Plama krwi Zemfiry – duża. Jego mniejsza. – Kapitan Sukonin relacjonował sucho, spokojnie, bez emocji, ale przełożonego, przybranego ojca i teścia zwięść nie mógł. Jarcew wiedział, że gdyby teraz mógł oddać trzy palce prawej ręki za pewność, że Zemfira żyje – oddałby je bez wahania. Bez znieczulenia. – Poza tym, w ścianie piwnicy znaleźliśmy dwa pociski z pistoletu Zemfiry. Zargabanian to specyficzna...

– Wiem, bezszelstny PSS. To ona jednak strzelała?

– Chyba tak. Taką mam nadzieję, ale gdyby to ona strzelała, to nie dałaby się...

– Stop. Dwie sprawy: są trzy plamy krwi, jedna obca, czyli postrzeliła kogoś. Dwa: z tego, co widziałem na zapisie z mieszkania na Thaelmanna: kilka kul w guimonach, *jobanych wyrodkach*, nie załamuje ich, dobrze mówię? Czyli albo postrzeliła kogoś innego, nie guimona, albo i guimona, i kogoś... ludzkiego... Albo?

– Nie wiem, warianty możemy mnożyć w nieskończoność, ale już mamy nowe fakty. Ona była przywiązana do krzesła, zostawiła z tyłu oparcia masę swoich odcisków, w tym kilka umyślnie. Do tego wydrapała paznokciem *Ǻ-í*, co interpretujemy jako guimon. H₂O to wiadomo, a sekta była z takim wodnym odchyleniem, czyli wskazuje, że jest tam i guimon, i że sekta jak najbardziej powinna być w sferze naszego zainteresowania. Na samym dole wydrapała *KS* – łacińskie litery, inicjały jasne. Obraz jest taki: on przyjeżdża, łapią go. Ona za nim, łapią ją. Oboje są skrepowani... Aha, na ciężkim żelaznym fotelu, na oparciu są jego odciski, jakby był przywiązany do niego. Z tyłu, na szkielecie fotela jest wyraźne świeże cięcie i ślady krwi, zdaniem fachowca ktoś go uderzył nożem, ale ostrze zjechało po metalu mebla. Z badań antropometrycznych wynika, że ostrze uderzyło w okolice nerki, ale dokładnie nie wiadomo, a tu decydują milimetry. – Sapał chwilę, potem poderwał głowę i z wysiłkiem dokończył relację: – Czyli oboje są jeńcami, potem ona się uwalnia, Kamil zostaje ugodzony nożem, albo odwrotnie, tego nie wiemy, i dalej – pełny mrok. Co zrobiła, do kogo strzelała, albo kto strzelał do kogo... – Rozłożył ręce i trzymał je tak chwilę.

– No tak...

– Myślę... – W kieszeni Sukonina rozwarczała się komórka, kapitan zamilkł.

– Odbierz! – rzucił niecierpliwie generał.

Sukonin szybko wyszarpnął telefon, rzucił „Tak?” i słuchał dłuższą chwilę, potem zapytał: „To wszystko?” i rozłączył się.

– Ekipa znalazła taczkę, ukrytą pod budowlanym chłamem. Są w niej plamy krwi Zemfiry i NN. Stocharda nie ma.

Generał odchylił się w fotelu, zabębnił palcami o biurko.

– Cholera, z tymi Polakami tylko same kłopoty, ciągle coś się dzieje...

– Towarzyszu generale! – zaproponował oburzony Sukonin. – Co do jego uczciwości nie mamy najmniejszych wątpliwości, współdziałał na sto procent, powiedział nam więcej niż – chyba – swoim przełożonym.

– Wiem, wiem... Tylko tak gadam, żeby się wyładować...

Generał sapnął, popatrzył w sufit i nagle coś sobie przypomniał:

– A, powiedz mi, co się dzieje w domu?

– W domu? Moim? Czyim?

– Twoim, twoim! Irina Matwiejewna mówi mi: „Słuchaj, coś się dzieje z naszą córką! Przyszłam do niej, a ta mnie odsuwa od dziewczynek, coś gada od rzeczy, że grypa geriatryczna, jakiś nowy szczep, żeby nie zarazić dziewczynek... No to ja jej mówię, że nałożę maseczkę, ale nie – coś nie tak i tak. A potem, usiądź, bo spadniesz... znaczy, zwalisz się na podłogę... Daje mi pierścionek srebrny, wielki jak mutra kolejowa, bransoletkę i naszyjnik. Wszystko razem waży chyba siedemset gramów, i upiera się, żebym nałożyła. Ja? Srebro? O co chodzi?”. Ja się pytam: „A nałożyłaś?”, ona patrzy na mnie przebiegle i mówi: „Ty coś wiesz, Grigoriju Josifowiczu!” – i grozi mi palcem. „Może i masz Josifowicz w imieniu, ale to ja jestem córką czekisty. Gadaj!”.

Sukonin uśmiechnął się. Szybko i krótko, uśmiech poruszył jego usta na pół sekundy.

– Musiałem Wali powiedzieć co nieco, choćby dlatego, że ona chodzi na spacerzy do parków, gdzie szwenda się masa staruszków... Takich, którzy...

– Kostia! Co teraz? Do końca życia mam zakładać srebrne sygnety na odwiedziny do wnuczek? A Irina? Ona nie znosi srebra.

– No to będzie oglądała wnuczki przez Skype’a! – rzucił twardo Sukonin. – Grigoriju Josifowiczu, widzieliście, jak babcia oderwała nogę weterana Afganistanu i specnazu!

– Widziałem.

– No i jeszcze weźcie pod uwagę tę okoliczność, że te upiorne babcie i dziadkowie też może mają wnuki.

Generał rzucił Sukoninowi ponure spojrzenie, ale nie odezwał się. W gabinecie rozgościła się głęboka cisza.

– Dobrze, że nie każesz mi wymienić zębów na srebrne – mruknął w końcu generał. – Irinę przekonam, nie będzie trudno, bez wnuczek nie wyobraża sobie życia. – I nagle zapytał

cicho: – A to srebro... to pewne?

Sukonin pozwolił sobie na wzruszenie ramion. Wiedział, ile kosztuje generała to pytanie. Gdyby odpowiedział negatywnie, generał zabroniłby ubóstwianej od trzydziestu lat żonie zbliżać się do wielbionych od siedmiu lat, przez oboje dziadków, wnuczek.

– Jak na razie nic lepszego nie mamy. Alstern jest podobno nie do wytworzenia sztucznie, a naturalne zasoby pozwalają na produkcję sygnetów dla ekstermanów i na jakieś specjalne, pojedyncze sztuki broni. Powlekanie nim grotów strzał, bełtów, mieczy daje rezultat co najmniej marny. A czystego podobno jest kilkanaście gramów rocznie.

– Możemy zintensyfikować prace nad jego pozyskaniem?

– Nie bardzo. Co się dało pogonić – pogoniłem.

– Taaa... Nie wątpię.

Sukonin odetchnął głęboko, ale nie odezwał się. Generał pokiwał lekko głową.

– Idź już, budź o każdej porze. A co z tą sektą?

– Dość dziwnie. Zarejestrowany odłam Zgromadzenia Kosmy i Damiana niby powstał i zgasł. Członkowie założyciele rozjechali się po Rosji, sprawdzamy ich, ale ponad połowa kompletnie odeszła od tego, co chcieli propagować, z tej połowy jedenaście osób w ogóle odsunęło się od cerkwi, też badamy co było przyczyną. A ich zabudowania, wydreptane w urzędach, tę Korkutyę, przejęli wodni bracia Andrieja. Na razie nie wiemy, czy taki był plan, że podstawią gromadkę jakichś cudaków, czy przypadkowo tak się złożyło – jedni się wycofali, drudzy, nikogo nie powiadamiając, ani władz cerkiewnych, ani świeckich, po cichutku wsunęli się na ich prycze i korzystali na całego.

– Nikt niczego nie zauważył?

– Nie, bo niczego nie chcieli, ani funduszy, ani niczego innego. Teraz widzimy, że przede wszystkim chcieli, żeby nikt o nic nie pytał. Uprzedzając pytanie, wyłapujemy członków sekty, tych, którzy byli tam przedwczoraj. Mamy już trzydzieści siedem osób, ale to barany. W sensie, że dokoptowani do stada, żeby robili masę. Może dopiero potem zaczęliby ich przerabiać na swoją modłę, a może trzymali w odwodzie, nie wiem.

– Och, nie lubię, kiedy tak mówisz, nie przyzwyczaileś mnie, Kostia, do tego, to i na starość nie przyzwyczajaj.

Sukonin podniósł się.

– Towarzyszu generale, to jest najważniejsza sprawa mojego życia, nie zamierzam jej spieprzyć.

– *Amin*’.

Sukonin stuknął symbolicznie obcasami i wyszedł.

* * *

– Panie pułkowniku? Tu Majski.

– Tak? Stało się coś?

– Pewnie tak. Rosjanie nie potrafią znaleźć Stocharda. Zaginał, a jego krew jest na podłodze jakiejś piwnicy. Jest też krew milicjantki, więc raczej nie ściemniają. Tyle wiem na chwilę obecną.

– Ja pp!..

Tupolew odkaszlnął w słuchawkę, Majski z niesmakiem odsunął na chwilę telefon od ucha.

– No to ma pan problem – usłyszał. I po chwili: – Jak dalece służbowy to był wyjazd? Czy może urlop?

– Nie, służbowy, ale formalnie wszystko jest *lege artis*. W ramach programu współpracy naszych służb.

– No tak... Ale i tak współczuję.

Dupku! Zacierasz łapki? – pomyślał Majski.

– A na pana napierają Amerykanie? – zapytał tylko po to, żeby zepsuć i Tupolewowi humor.

– No.

– To też nie ma pan miodu... – stwierdził z częściowo fałszywym żalem. Tylko częściowo, bo w końcu obaj mieli przechłapanie.

– No nie.

Majski zastanawiał się chwilę.

– Może mi pan powiedzieć... Bo mam z tym ciągle problem – ta sprawa, którą prowadził Stochard u pana... To wszystko prawda? Nie muszę się szczypać, żeby się obudzić? Ta cała zawierucha z siłami nieczystymi?

Czekał długą chwilę.

– To nie jest na cholerny telefon, chce pan – proszę przyjechać do Warszawy, zastanowimy się razem, co było, co jest, i dlaczego będzie tak do dupy.

– Czy to jest odpowiedź twierdząca?

– Tak!

– Wie pan, jak trudno w to uwierzyć? Bo przecież dzieje się coś tak... niezwykłego... Jakbym oderwał się od ekranu telewizora z jakimś podrzędnym horrorem, a ktoś mi mówi, że oglądałem TVN 24.

– Jakoś nie mogę się zmusić do współczucia – roześmiał się z goryczą Tupolew. – Pan ma ten zgryz od kilku miesięcy, ja się z tym męczę od roku z hakiem. Wie pan, jak wyglądałem, relacjonując to przełożonym? Może nie jak wyglądałem, ale jak się czułem!

Przypomniawszy sobie miny słuchaczy, nie do końca, mimo dobrej prezentacji, przekonanych do tego, co im wyłożył. Niby rozumiał to, niby mówił sobie: „Sam bym nie uwierzył”, ale znacznie bardziej urządziłaby go pozycja słuchacza, wielkodusznie udającego, że rozumie i wierzy, niż prezentera bajek z piekła rodem, podpierającego się tylko trupami.

– We Wrocławiu, jak rozumiem, nic się nie działo?

– Nie, broń Boże!

– Właśnie, broń Boże... No, nie ma co bić piany. Na razie największy problem mają Rusczy... Do usłyszenia.

– Panie pułkowniku, myślę, że tu się pan myli – szybko powiedział Majski.

– Tak?

– Myślę, że tylko pozornie Rosjanie mają przesrane. Nie sądzi pan, że skoro on tam... zaginął, to problem, choćbyśmy go pozamiatali, istnieje? I skoro Amerykanie do nas dzwonią w jego sprawie, to też mają coś na myśli?

– Kurwa mać, że się tak wyrażę! Pułkowniku, chciałem mieć w miarę normalny weekend, jeden z nielicznych w ostatnim czasie. Musiał pan tak przejrzyć mi uświadomić to, co ukrywałem przed samym sobą?

Majski pozwolił sobie na krótki wyrazisty śmieszek.

– Dlaczego tylko ja mam się bać?

Chwilę obaj zastanawiali się nad jego słowami, słuchali ciszy wszechświata.

– Racja. Bójmy się wszyscy. Ale nie porzucajmy nadziei. Może się ten chłopak znajdzie.

– Może. Ale – Majski uparcie grał rolę upierdliwego adwokata diabła – on sam też cudów nie dokona, tak sądzę. Nie został namaszczonej przez Watykan.

– Jezu, uspokój się pan. Żegnam z przyjemnością, póki nie zepsuł mi pan humoru ostatecznie.

– Przepraszam, musiałem komuś przywalić, mam dziś wizytę koleżanek żony. Do widzenia.

Odczekał, aż rozmówca rzuci „do widzenia”, wduślił przycisk z czerwoną słuchaweczką, cisnął komórkę na biurko, wyprostował się i założywszy dłonie za kark, splótł je i trwał tak dobrą minutę, prostując przygarbione ze zmęczenia plecy. Potem zerknął na zegarek i poderwany nagłą myślą, wcisnął do kieszeni spodni portfel z gotówką i kartami i pognął do samochodu.

W centrum handlowym, o kilometr od jego mieszkania, stoisko ze srebrnymi precjozami zamykało za godzinę. Miał nadzieję kupić trochę biżuterii, jakieś spinki, łańcuszki na szyję dla siebie i żony. Może trafi się jakiś sztylet? – pomyślał.

Omali nie splunął na szybę samochodu, wściekły na siebie za debilne myśli. A, kurwa, co ja na to poradzę?! – wrzasnął w duchu.

Wywołał sensację w dwóch sklepach, wybulił niemal półtora tysiąca złotych.

W drodze powrotnej mówił do siebie w samochodzie. Właściwie nie mówił, kłął. A jedynym w całości cenzuralnym zdaniem było: „A jak ja przekonam Danusię do noszenia srebrnej biżuterii?”.

* * *

– Daj, wysmaruję ci plecy – burknęła Ksenia.

– Oj, stara – pokiwał z wyrzutem głową jej mąż. – Smarowałaś godzinę temu, nie pamiętasz?

– Pamiętam! – obruszyła się, męża jednak nie przekonała. – Idziesz na pół nocy, jak cię złapie na łodzi, to jak wrócisz?

Pamięć o ostrym paraliżującym bólu była silniejsza od chęci udowodnienia swojej racji. Osip Stiepanowicz potulnie podszedł do leżanki, postęgując, ułożył się na niej plecami do góry, podciągnął koszulę i gruby wełniany podkoszulek. Żona podeszła do niego z buteleczką po ćwiartce, wypełnionej białawomętną cieczą. Przysunęła taboret, usiadła, wylała na suchą pomarszczoną, spracowaną dłoń trochę cieczy i zaczęła pracowicie wcierać ją w dolną część pleców męża.

– Śmierdzi jak nie wiem co – stwierdziła nie wiadomo który raz.

Zawsze tak mówiła, jakby z wyrzutem, że Osip zmusza ją do nieprzyjemnej, choć koniecznej procedury leczniczej.

– A ja lubię – stęknął Stiepanycz.

– Dziwne, bo to dla koni, a z ciebie stary cap, nie koń. Powtarzali te same kwestie od wielu lat, nie nudziły ich, wręcz przeciwnie – były konieczne przy nacieraniu pleców do tego stopnia, że gdyby rozmawiali o czymś innym, maść dla koni nie działałaby na lumbago Stiepanyicza.

Powietrze w pokoju zdominował żywiczny zapach terpentyny, Ksenia Abramowna skrzywiła się, parsknęła kilka razy, zatkała butelkę i poszła do kuchni umyć ręce.

Stiepanycz wstał, starannie zapuścił podkoszulek w spodnie, pozapinał koszulę i poszedł do żony.

– Wiesz, co mi Wienia powiedział? – zapytał, stając w progu.

– Nie wiem, co takiego mądrego mógł ci powiedzieć twój Wienieczka. – Wzruszyła ramionami. Nalewając z ogromnego czajnika wrzątku do termosu, jakby obawiając się, że mąż ukarze ją milczeniem, zapytała.

– No, co?

– A taką bajeczkę: poszedł dziadek łowić ryby, zarzucił sieć, odczekał ile trzeba, wyciągnął sieć, ale ryb w niej nie było, tylko sama trawa. No to dziadek rozłożył trawkę, wysuszył, napalił się jej potem i zaczęło się: złota rybka, życzenia, młoda żona i pałace! – Roześmiał się serdecznie.

Ksenia Abramowna uśmiechnęła się, ale zaraz spróbowała się opanować, nie wytrzymała jednak i parsknęła.

– Oj, *durak staryj!* Pewnie dlatego tak na te ryby ciągle chodzisz, bo wierzysz w złotą, co? Pałac i młoda żona, to ci się marzy?

Stiepanycz podszedł do żony, objął ją, przytulił jej głowę z koroną z cienkich już i siwych

warkoczy do swojej piersi.

– Samaś durna – powiedział i odkaslnął. – Jaka młoda wytrzymałaby ze mną, nawet w pałacu? Ciebie się trzymam, już pół wieku, to i następne pół przetrzymam.

– Tak. Akurat, pół wieku!

Stiepanycz ucałował żonę w czoło.

– Albo i dłużej.

Odsunął się i rzeczowo rozejrzał po kuchni. Włożył pod pachę termos z herbatą, chwycił z wieszaka ciepłą pikowaną kurtkę i czapkę z daszkiem. Pociągnął za klamkę, drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem.

– A jazgarzy, jeśli będą, przynieś. Co ja gadam, jeśli będą?! Tylko one będą! – rzuciła za nim żona.

Stiepanycz pokiwał głową i nie odpowiedział. Wiadomo, ucha bez jazgarzy nie wchodzi w grę, ale że tylko jazgarzy przyniesie to nieprawda. Przynosił wszystko, co żyło w Ładodze: sumy, krasnopióry, leszcze, płocie, szczupaki, okonie, i łososie się zdarzały, i pstrągi, i miętusy, i – najlepsze w smaku – sieje i bolenie.

– Ty idź spać – nakazał żonie. – Zanim żerlice przejrzą i połowię trochę, świt będzie. Nie czekaj.

– A bo to ja kiedy na ciebie czekała! – prychnęła Ksenia i na dowód swojej gotowości do snu zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

Stiepanycz nie widział, że gdy przekraczał próg, szybko przeżegnała jego krępa sylwetkę. Nie widział, ale wiedział, że tak czyni.

Wyszedł przed domek. Sonia wysunęła łeb z budy, ale na pierwsze „spać!” posłusznie się schowała. Słaba piętnastowatowa żarówka oświetlała może trzy metry kwadratowe powierzchni, ale mogłaby w ogóle nie świecić – po omacku też bez problemów zebrałyby swój sprzęt. Dwie wędkę, blaszany sadz, w którym w ciągu życia przyniósł do domu chyba z tonę ryb, torbę ze sprzętem wędkarskim. Na piersi zawiesił mocną latarkę, najnowszy element wyposażenia, z dorobionym własnoręcznie „tulipanem”, osłaniającym światło, by nie świeciło na boki i nie zdradzało obecności właściciela.

W końcu nie wszystkie ryby przynoszone przez Stiepanycza do domu mogły na jego patelni ładować. Co najmniej kilka gatunków zapisanych było w Czerwonej Księdze, dlatego Stiepanycz starał się nie wzbudzać zainteresowania rzadkich, ale bolesnych w działaniu inspektorów nadzoru wodnego.

Klucz od kłódki do łodzi był w kieszeni, papierośnica i zapalniczka też, jak również do połowy wypełniona ćwiartka z klarowną tym razem ciecżą. Wyłączył żarówkę, odczekał chwilę aż wzrok przyzwyczai się do ciemności i ruszył ścieżką wydeptaną przez lata regularnego chodzenia nad brzeg jeziora.

Nie było jeszcze północy, ale Osip Stiepanycz miał dokładnie rozplanowany czas, precyzyjnie rozłożone działania: najpierw popłynie na północ, w jedynej w okolicy zatoce

niezarośniętej trzcina, z drzewami i krzewami na brzegu, z ośmio, dwunastometrową głębinią, sprawdzi swoje żerlice, uzupełni żywcę, zbierze okonie i szczupaki, jeśli będą, rzecz jasna. Potem, kiedy się trochę przejaśni, wypłynie dalej od brzegu, posiedzieć na dwóch ulubionych górkach. No i już będzie świt, pora do domu, nakarmi kury i cholerne chorowite indyki, których nie cierpiał, ale które uwielbiał jego pryncypał, sprawdzi wolierę dla bażantów, które – dla odmiany – lubił, ale nie jadał, bo nie były jego, tylko tegoż pryncypała; skosztował, bo dwa razy kuna zagryzła po sztuce, wynieść nie zdążyła, a szef mrożonek nie cierpiał.

Doszedł do brzegu, po mikroskopijnym pomoście dotarł do łodzi, włożył sprzęt, wsiadł i *odkluczył* łańcuch. Po chwili był już na wodzie. Nie odbijał od pomostu, wyciągnął paczkę papierosów i odwróciwszy się plecami do wody, osłonił starannie zapalniczkę i zapalił.

Gówno nie papierosy, pomyślał, zaciągając się serdecznie. Kiedyś... Mówią, że tamte, kazbeki albo huculskie, były z łydy tytoniu. No to co? Jak się człowiek zaciągnął, to w piętę szczypało. A teraz? Strongi nawymyślali. Fajki strong – do dupy; majtki strong – nie wiadomo za co płacisz, za gumę czy za sznurek, piwo też strong... A to piwo strong jest do kitu, zamiast wlewać spirt do kadzi, lepiej by wódeczkę tańszą zrobili. Choć i tak ona, kochana, droga nie jest. Ale gadają, że znowu będzie walka z alkoholizmem... Taa, już się jeden przejechał na walce z wódką, Gorbaczow mu było... Gdyby walczył z Ameryką, toby cały naród za nim po szedł, ale jak się za naszą ojczyzną wziął – poleeeciał! I nikt go nie żałuje.

Dopalił papierosa, zgasił starannie niedopałek i włożył do puszki z innymi. Stęknąwszy, rozprostował stare kości i chwycił za wiosła. Po godzinie zaczął sprawdzać swoje samolówki. Jak zwykle, na dziesięć proc, przy wiązanych do mocnych gałęzi przybrzeżnych drzew, z nawiniętymi na widelki linkami, osiem było pustych: albo ryba nie zainteresowała się robakiem czy żywcem, albo rozwinęła linkę, ale zerwała się z haka. Kilka żerlic zniknęło, porwało je coś dużego, może nawet jakaś durna kaczka. Stiepanycz nie rozpaczał, trudno, taki koszt. Nawet jeden szczupak czy – tym bardziej – boleń wart był kilkudziesięciu pułapek. Proce rosły na leszczynie i bukach, linka kosztowała grosze, a haków Stiepanycz miał setki. Przynętę – żaby, okonki, robaki – dawała przyroda, tylko robocizna zostawała, a co innego może robić osiemdziesięcioletni żwawy jeszcze chłop? Ogródkiem zajmowała się Ksenia Abramowna, pilnowanie posiadłości nie kosztowało go wysiłku w ogóle – miał tu być na wszelki wypadek. Co by to mogło być? Arkadij Samojłowicz nie wyglądał na człowieka, którego ośmieliłby się okraść byle miejscowy szmondak. A gdyby jednak do takiego wypadku doszło, ale poważniejszego, gdyby przybyli koledzy Arkaszki, to Osip Stiepanowicz nie zamierzał wystawiać się na ich kije bejsbolowe i pukawki. Już dawno temu wygrzebał w chaszczach za domem ziemiankę, do której, kryjąc się przed żoną, nataszczył zapasów, wody i koców. Jakby co – oni do ziemianki i niech się dzieje, co chce.

Na dwudziestej żerlicy zahaczył się sum, nie za duży, trzy kilo, nie walczył nawet, jakby pogodzony z losem – żabę zjadł, to i zapłacić musiał. Trochę drogo, własnym żywotem, ale

tak już to jest. Stiepanycz włożył go do sadza, starannie zamknął pokrywę i powiosłował dalej.

Dopływał do klinowatej zatoczki, w której zastawił kilka koszy na raki, gdy wyczulony, wcale nie starczy słuch wszczął alarm. Elektryczne silniki na Ładodze mieli tylko kłusownicy i *legawcy*, normalni ludzie mieli w dupie ciszę i przyrodę i hulali po tafli potężnymi motorówkami i skuterami. Stiepanycz szybko i cicho przytulił się do szuwarów i znieruchomiał. Mimo wpatrywania się w mrok nie widział, kto płynie, raczej jednak byli to kłusownicy: nie świecili latarkami, nawet nie palili papierosów, nie rozmawiali. Czyli swoi. Ale swoi też mogli przypierdolić wiosłem, żeby zabrać połów. Osip wpatrywał się w ciemność i nasłuchiwał. Silnik obcej łodzi mruczał cichutko. Niewidoczna jednostka przesuwiała się powoli. Może jednak psy? – pomyślał Osip. Wolno sobie płyną i ślepią... A może, jak mówił Wienieczka, dostali te... *nochtowizory* i widzą wszystko w nocy? *Job ich mat!* Wszystko robią, żeby tylko człowiekowi życie uprzykrzyć. Lepiej by wymyślili coś na łamanie w łokciach, a nie nocne widzenie! Po co to komu? Ludzie poczciwi w nocy śpią... Zachichotał bezgłośnie. A tacy jak ja albo ci, co kradną czy rabują, i tak się nie boją nocnych oczu, bo mają lepsze sposoby, żeby się i przed nimi ukryć... No, przepłynęli chyba...

Silnik niemal ucichł, potem ucichł całkowicie. Stiepanycz jednak siedział jeszcze długą chwilę nieruchomo. Gdy uznał, że niewidzialna łódź oddaliła się dostatecznie, wyprostował się ostrożnie i od razu zaklął w myślach – do jego łódki dotarła fala wzbudzona przepływającą nieopodal cudzą łodzią. Kiwnęło mocno, nadspodziewanie mocno, musiała być duża albo dobrze wyładowana. Ich sprawa.

Kosze były pełne raków, ale same malce. Stiepanycz wypuścił wszystkie, oprócz czterech porządnych sztuk dla Kseni. Zanim wypłynął z zatoki, długo nasłuchiwał; gdzieś plusnęło, pewnie sum wypłynął na powierzchnię i plasnął ogonem. Chociaż jak na sumę za cicho.

Osip Stiepanowicz pokręcił z niezadowoleniem głową, rozważał chwilę, czy nie przybić do brzegu, spokojnie wypalić papierosa albo dwa i dopiero wypłynąć, ale uspokoił się – cisza była kompletna. Gdzieś purknęła syrena barki, na drodze ciężko zgrzytnęła skrzynia biegów jakiejś dużej ciężarówki. Stiepanycz chwycił za wiosła i niemal bezszelestnie wypłynął na jezioro. Jeśli chciał sprawdzić resztę żerlic, musiał popłynąć za niewidzialną łodzią w lewo. Zostawić? Głupio. I szkoda. I żał ryb, co się złapały, męczą się, pozdychają. Będzie, co ma być, zdecydował w myślach i wolno popłynął wzdłuż tataraku. Po kwadransie, nie słysząc niczego podejrzanego, uspokoił się i skoncentrował na przeglądzie samolówek, nie zapominając jednak o czujności.

Nic nie zakłócało nocnej ciszy na Ładodze. Do sadza wpadło kilka ładnych okoni i trzy jazgarze, kłujące ścierwa, ale niezbędne do *uchy*. Na kolejnym haku żerlicy zaczepił się piękny szczupak, ponad cztery kilo, ale zawinął się na kępie szuwarów. Wyjęcie go trwało prawie pół godziny, bo musiało być wykonane cicho. Stiepanycz spocił się, zdjął kurtkę, podwinął rękawy. Udało się i warto było. Szczupak był już umęczony walką na lince, gdy

została odplątana, nie walczył wcale. Stiepanycz od razu zobaczył, że do sadza nie wejdzie, więc zręcznie, fachowo i szybko uśmiercił zdobycz, owinał w wielki lniany wór, zmoczony wodą i ułożył na dnie łodzi. Zadowolony, wyprostował się i od razu skulił.

Tuż obok, może piętnaście metrów od niego, rozległ się dziwny dźwięk – ni to szloch, ni to jęk, ni to zduszone przekleństwo. Wymknęło się z ludzkich ust. Osip poczuł, że włosy mu się jeżą na całym ciele. W końcu w jeziorze są i wodniki, i jakieś pieprzone syreny, przecież to jezioro jest większe od wielu innych akwenów, zwanych dumnie morzami! – Jezusie Chrys...

W tym momencie do uszu Stiepanycza dotarło coś uspokajającego – długie, przez zęby wycedzone pospolite i niezbyt wyszukane przekleństwo. I nagle rozległa się cała seria znajomych dźwięków – *rusalka* ani *wadianoj* nie mogli tak szeleścić czymś, brzęczeć łańcuchem, tak po swojsku przeklinać, niechlujnie i bez polotu, ale po ludzku przecież. Potem coś wpadło do wody, coś dużego, ciężkiego. Coś, co wpadało nie naraz – chlup i już; nie, to było chlup – bul, bul – chlups! Cicho wizgnął starter i silnik zamruczał. Łódź, teraz Stiepanycz zobaczył jakiś rozmazany kontur na tle jaśniejącego już nieba nad wschodnim brzegiem jeziora.

Siedział w niej jeden mężczyzna, nic więcej nie dało się zobaczyć, Osip i tak nie chciał więcej. Z oczu *won*, to i strach zejdzie! Nagle szaleńczo zachciało mu się palić, tak niemożliwie, że nie do wytrzymania. Stiepanycz zsunął się jeszcze niżej, opadł na dno łodzi, przykrył się kurtką i po chwili szamotania zapalił. Dym wpuszczał pod kurtkę, żeby kłób tytoniowego zapachu nie płynął nad wodą, ale po kilku rozpaczliwie głębokich sztachach rozsądek zwyciężył, zgasił papierosa na języku – stara sztuczka ostrożnego kłusownika – odłożył peta na dno i wolno wyprostował się, rozejrzał.

Szedł świt, wcześniejszy niż na innej szerokości geograficznej. Taflę wody czule zasnuwała cienka i w pasma ukształtowana *dymka*. Mgiełka ta rozświetlała dodatkowo otoczenie, rozpraszając jeszcze niewidoczne wprost, ale wyzierające zza horyzontu promienie słoneczne.

Osip Stiepanycz rozejrzał się uważnie. Ani śladu tajemniczej łodzi. Można było wracać do domu. Na pewno nie popłynie już do reszty żerlic. Zresztą co tam, dziesięć może zostało? Co najwyżej już blisko swojej siedziby połowi w dwóch podkarmionych zatoczkach. Tak, tam sobie poło...

A w wodzie...

Job twoju mat'! Boh ty mój?! – Stiepanycz w jednej myśli bluźnierczo połączył wezwanie do sił wyższych i wulgarny wyraz przerażenia. Siedział chwilę skamieniały. Po głowie szaleńczo goniły różne myśli, nakazujące ucieczkę, zakazujące ucieczki, nakazujące...

Osip Stiepanowicz przegonił te parszywe. Sztynnymi palcami ujął wiosła i delikatnie poruszywszy lewym, zmienił kierunek ustawienia dziobu łodzi.

ROZDZIAŁ 11

...pa...

...pet...

...ra..

Paparet... Paa...rape...t...

Uuu... boli... parapet... boooliiii...

Złota mgła, piecze... wlewa... do oczu... pali... para pet... ban... ba...

Ja... cały ja w głowie... pękabolibolipękapie cze...

Pęka... żar... żarliwy... palący... boli... Wyłączyć boli...

Płomień mniej... mniej... mniej, ale pali i żarzy. Co? Dłaczę?... Uuu... ulga...

Raptowny blask uderza i boli, znowu, bardzo. *Oczy. Patrzą. Palą i oczy.*

Coś wpada do oka, do drugiego, zapie...ka i po chwili przynosi ulgę. Mrugam.

Powieki, oczy. Biały blask.

W rozciągnięty przed oczami blask i biel wbija się coś ciemnego. Pomędzy mną i tym ciemnym czymś pojawia się coś innego, to coś dotyka moich powiek, zmusza mnie do zamknięcia oczu, przyciska, wierci się chwilę.

Coś słyszę, ale przez mękę płomienia nie przebija się nic sensownego. Nacisk na powieki słabnie, coś znowu słyszę. *Nie wiem, nie mogę, nie mogę!*

Otwieram oczy. Nic. Biała plama. Blask z boku. Całun z bólu. Znowu ciemna plama. Porusza się, zamykam oczy, otwieram. Kula... balon...

Och...

– Babau gusga... Dadabu... Gajga...

Bagu?... Coś eksploduje...

* * *

Parapet?!

Biała decha, wielokrotnie malowana białą farbą bez zdrapywania i wyrównywania poprzedniej warstwy. Od spodu pomalowana niechlujnie. Gdzieniedzie, na styku z pobieloną ścianą, wystaje goła deska. Wytrzeszczałem na nią oczy dłuższą chwilę, popłynęły łzy. *Łzy...*

otrzeć...

Otrzeć łzy, poruszyć ręką. Nie mogłem. Nie miałem ręki. Żadnej ręki. Co ja mam, co powinienem mieć? Nic nie mam. Leniwie napłynęła myśl, że nie ma mnie, to tylko głowa, reszta pogrążona jest we wrzącym, gęstym, płynnym betonie, szczelnie zagarniającym całe ciało.

Spróbowałem poruszyć choćby głową. Nie. Nie poruszyłem. Tylko powieki. A usta? Gdzieś musiały być, pod oczami, poniżej oczu, pod nosem. Nos mam, oddycham. Skoro nie mogę otworzyć ust, to albo mam je zamknięte, czyli oddycham przez nos, albo otwarte. Ale dlaczego tego nie czuję? Tylko tępy, dojmujący ból, jakby całego mnie otulał mocny, potwornie mocny nadmuchiwany skafander, do którego wtłoczono kilkanaście atmosfer powietrza, kilkadziesiąt ton bólu.

Postarałem się odzyskać, odczuć swoje mięśnie, poza tymi, które pozwalały poruszać gałkami oczu i powiekami. Nic nie działało. Ponura, tępa pustka. Sama głowa? Nie, same oczy!

Zamrugałem, poruszyłem oczami maksymalnie do góry, w dół, na boki. Poza parapetem widziałem tylko sufit i kątem oka coś na nim... Lampa? Nie, goła żarówka na drucie. Co to jest? Gdzie to jest? Gdzie ja jestem?

Nagle poczułem coś więcej niż mięśnie oczu – łomot w skroniach. Coś zaskrzypiało we mnie, odezwał się ból, niezbyt silny, zwłaszcza w porównaniu z całym bólem, który tworzył przestrzeń dookoła mnie. Bolały szczęki. Drogą logicznego procesu wydedukowałem, że mam je od dłuższego czasu zaciśnięte. Z bólu, ze strachu?

Na płaszczyznę ściany pod parapetem padł cień i zaraz potem w polu widzenia pojawiła głowa.

Starzec. Pobrużdżona głębokimi wązami twarz, ogorzała, od oczu zmarszczki rozchodzące się jak promyki słońca na rysunku dziecka. Oczy jasne, jasnyniebieskie, spłowiałe, krótko podcięty bury wąs. Wąski, lekko garbaty nos z długimi nozdrzami, z których wystawały dwie kępki włosów. Usta pod wąsami zrudziały ze starości i częstego kontaktu z dymem poruszyły się. Dotarły do mnie jakieś dźwięki, chropawe, syczące, jakby przepuszczone przez syntezyzator na potrzeby filmu o przybyłych z peryferii kosmosu obcych. Poruszyłem oczami na boki, że nie. Że nie – co? Że nie słyszę, nie rozumiem.

Stary potrząsnął głową i powiedział coś jeszcze, potem podsunął mi pod nos palec, spracowany, z grubym paznokciem, tak grubym, że chyba musiał go obrabiać pilnikiem do metalu. Poruszył nim w prawo i w lewo. Zrozumiałem, że chce sprawdzić, czy dobrze widzę. Śledziłem więc jego palec wzrokiem. Skinął głową zadowolony, potem zniknął z pola widzenia. Wrócił za chwilę, nawinął na koniec zapalki pasmo waty, pokazał mi to i – chyba – włożył czyścik do lewego ucha. Nic nie poczułem. Powtórzył tę czynność z prawym uchem, też nic nie poczu... Poczułem! Coś mlasnęło. Zmrużyłem oczy, żeby wiedział, że coś się dzieje, otworzyłem, uśmiechnął się zadowolony. Znowu coś powiedział. Powtórzył to

głośniej i zajął się lewym uchem. I tu coś mlasnęło, jakby majtał kijem w beczce pełnej gęstej mazi.

– *Słyszysz?*

Słyszałem. Jednocześnie zrozumiałem, że jakoś dziwnie mówi, słowo było... dobre... Znajome, ale wypowiedziane jakoś inaczej.

Powiedział coś jeszcze. Poruszyłem oczami na boki. Uśmiechnął się i zniknął znowu. Kiedy wrócił, pokazał mi jakąś szmatkę, potem zaczął nią manipulować chyba przy moich ustach. Po chwili poczułem zimno gdzieś na dole twarzy. Starzec pokazał mi kubek, uniósł go jakby w toaście i przesunął na sam skraj mojego pola widzenia.

Teraz, śledząc jego ruchy, zobaczyłem koniuszek własnego nosa. Może dolne powieki były zapuchnięte i dlatego przedtem go nie widziałem?

Włał mi jakiś płyn do ust, wciągnąłem go do płuc z oddechem. Świat eksplodował.

* * *

Nie wiem, po jakim czasie odzyskałem przytomność, ale już wiedziałem, że właśnie ją odzyskuję. Parapet, żarówka na czarnym drucie, szafa...

Aha, szafa, czyli udało mi się odwrócić głowę, bo poprzednio jej nie widziałem. A... ten staruszek? Był tu przecież jakiś starzec, czerstwy, wiejski, dobry. Przywrócił mi słuch. Słyszałem głosy: niski, przydymiony, do śpiewania bluesa, i wyższy, do opierdalania niezdarne go męża. Klócili się.

Poruszyłem ustami, bo miałem usta. Suchy, zdrewniały język przesunął się po wargach. Jeśli miał je zwilżyć, to mu się nie udało. Zamknąłem usta i zająłem się wydobywaniem z wyschniętych ślinianek wilgoci. Niewiele to dało. Prychnąłem najmocniej jak mogłem, klótnia ustała. Coś szurnęło, w polu widzenia pojawił się stary.

– *Nu i kak? Pit' chcesz?**

Nie udało mi się nic powiedzieć, zamrugałem więc.

Stary podszedł z tym samym kubkiem, przystawił mi go do ust. Siorbnałem ostrożnie, tak ustawiając mięśnie krtani, żeby skierowały ciecz do żołądka, a nie do płuc. Udało się połowicznie. Porcja była mała, bez większego trudu ją wykasłem, tylko gdzieś niżej, w plecach, rozszalało się tornado bólu. Zawylem, usłyszałem to.

– Ojjoj – zmartwił się stary. – Ostrożniutko! Powoluśku, odpocznij kapkę, zaraz dam jeszcze.

Piekło w plecach szalało, jakby wszyscy szatani chcieli nagle z niego wyskoczyć, spryskani święconą wodą. Nie chciałem tego, ale zawylem.

– Boli, boli, wiem, ale co robić. Pij, potem dam ci pyralginki, będzie ci lżej.

Zmusił mnie do przełknięcia odrobiny płynu – wypilem niemal bez problemów, może

* *Nu i kak? Pit' chcesz?* (ros.) – No i jak? Pić chcesz?

dlatego, że nic nie czułem poza szaleńczym bólem w dole ciała. Potem wypłem jeszcze trochę. Stary zniknął, po chwili wrócił z kieliszkiem, w którym majtała się mętnobiała ciecz.

– Teraz pyralgina i poczujesz ulgę.

Wlał mi coś w usta, nie poczułem smaku, mógł mi wlać benzynę albo wodę królewską. Przełknąłem odruchowo.

– Co... to... jest?...

Stary zdziwił się.

– A?

– Co tak boli? – wychrypiałem. – Pić jeszcze... daj...

– Ty Ukrainiec? – zapytał.

– Daj się napić, zimne, i żeby... nie bolało, auu...

Gapił się na mnie długą chwilę.

– *Jebbat' mienia dubowej doskoj!* – Podniósł rękę do głowy, zapomniał jednak, że chciał się podrapać. Odwrócił głowę w bok i zawołał: – *Ksiusza! Eta Palak!**

Zniknął mi z oczu, wykrzykując coś do kogoś nie widocznego. Udało mi się poruszyć głowę, tak że zobaczyłem całą szafę, drzwi, stół i cztery krzesła. W kącie stał mały telewizor w czerwonej plastikowej obudowie, z dwiema widełkowatymi antenami sterczącymi do góry i na boki. Na ścianie tykał zegar z ciężarkami na łańcuszku. Dwadzieścia lat temu front przedstawiał chyba jakąś scenę z bajki, dziś patyna kurzu pokrywała go szczelnie, tylko cyfry widać było dość dobrze, na tyle dobrze, żebym zauważył, że są to cyfry rzymskie, ale nie wszystkie – zamiast IV widniało IIII. Poza tym o wieku zegara świadczyły doczepione do szyszek ciężarków duża mutra i mała dusza od archaicznego żelazka; widać staremu mechanizmowi potrzebne były dodatkowe bodźce, żeby go ruszyć.

Oprócz zegara na ścianach wisiało kilka obrazków, takich z Empiku albo wyciętych z kolorowego pisma i oprawionych w zbywające ramki. Za telewizorem wisiały trzy fotografie. Czyje – nie wiadomo.

W drzwiach pojawił się stary, za nim stanęła w progu, lecz nie weszła dalej, wysoka, przygarbiona kobieta w jego wieku. Południowy typ, ciemna cera, orli nos, pełne, choć wyblakłe ze starości wargi. Coś powiedziała, ale za cicho, żebym usłyszał, i nie ruszyła się dalej. Staruszek przydreptał do mnie, skrzywił się dziwnie.

– *Palak? Polak?*

Milczałem. Niby czemu miałem być Polakiem? Dlaczego niby było to dziwne? A kim on był? Ach, przecież nie mówił po polsku! Milczałem.

– Kto ty jesteś?

Nagle zapomniałem o bólu, na chwilę. Zalała mnie fala oszołomienia: KIM JA JESTEM?

Przez jakiś czas, nie wiem jaki, po głowie buszowała burza skotłowanych myśli.

* *Jebbat' mienia dubowej doskoj! Ksiusza! Eta Palak!* (ros.) – Niech mnie chuj strzeli! (Żeby mnie dębową dechą wyjebali!). Ksiusza, to jest Polak!

Jęknąłem. Jak to jest? Skąd... kiedy człowiek wie, kim jest? Zastanawia się nad tym, czy to jest organiczne, przypisane, odruchowe, po prostu – wiadome? A ja?

Wyteżyłem siły i postarałem się ugasić harmider w głowie. Nie udawało się długą chwilę, potem jakby szumy ucichły i mogłem myśleć racjonalnie. No więc – każdy wie, kim jest. Nie tylko, że jest Polakiem. Polakiem, wiem, wiem, co to jest. A w ogóle – dlaczego wiem, co znaczy słowo „racjonalny”, „telewizor”, „bruzda”, dlaczego rozumiem tego Rosjani... O, wiem, że mówi po rosyjsku... Stop, skoro mówi po rosyjsku i dziwi go, że ja nie mówię, to znaczy, że nie jestem w Polsce, tylko w Rosji! Po co? Kiedy? Kiedy to jest – teraz? Nie! Kim jestem?! Gdybym wiedział, kim jestem, wiedziałbym, dlaczego tu jestem, po co, co tu robię... I – dlaczego TU jestem? Dlaczego NIE pamiętam KIM jestem? Dlaczego oni są zdziwieni? Przecież jakoś się tu znalazłem? Jak? Sam?

Nagle uprzytomniłem sobie, że ostatnie pytanie dziadek zadał nie po rosyjsku. Po polsku. To zamieszało jeszcze bardziej w mojej głowie. To kim on jest? Polakiem, który sądzi, że ma do czynienia z Rosjaninem, czy Rosjaninem, który nie wie, że ma przed sobą na łóżku Polaka? Dlaczego, kurwa, nie wie, że jestem Polakiem?! A jestem?

Może mi się tylko zdaje, że jestem Polakiem? Przecież nie pamiętam, nie wiem, kim jestem. Może znam dwa języki, może cztery, i w zależności od tego, w jakim bym się odezwał, uznano by mnie za Bułgara, Niemca, Islandczyka?

– Nie... wiem... – wydusiłem z siebie odpowiedź. I od razu chciałem wiedzieć więcej: – Gdzie ja jestem? Co tu robię? Kto ty jesteś? – I jeszcze: – Zawołaj kogoś!

– Kogo? – zapytał łagodnie, jak wobec kogoś, kto wysuwa idiotyczne żądanie, ale nie można go zirytować i odmówić.

– Kogoś... kto mnie zna.

– A kto?

– Nie wiem... – Usiłowałem znaleźć w szumiącej głowie odpowiedź, ale nie znajdowałem. – Kto ty jesteś?

Stary zerknął przez ramię na kobietę, pewnie żonę, coś sobie wzrokiem powiedzieli. On skinął głową, co zrobiła ona, nie zobaczyłem, bo gdy odwróciłem głowę, ze zgrzytem, piszczącym w trybach kręgów piachem i kolejną falą bólu, nie było jej już w progu.

– Ksenia da ci coś na spanie. To teraz ważne bardzo jest, żebyś spał, nabierał sił, zdrowiał.

Nie wiedziałem skąd, ale wiedziałem już, że polski nie był jego ojczystym językiem.

Samogłoski w jego ustach były głębokie, „zaokrąglone”, „ł” wymawiał jak Nina Andrycz, inaczej akcentował, nie „na sén”, ale „násen”. Czyli uporządkujmy... Auć! Rozzarzył się jakiś pręt gdzieś znowu w plecach. Z oczu popłynęły mi łzy, jęknąłem tylko przez zęby. Pomrugałem, pomrugałem... Powyłem w duchu.

Wróciłem do szarad umysłowych. Reasumujmy: myślę – chyba – po polsku, bo myślę gładko, nie wyszukuję słów ani określeń, ale gdy chcę znaleźć odpowiednik słowa, na

przykład, umysłowy, nie wiem, jak to jest po rosyjsku. Czyli to nie jest mój język ojczysty, zatem jestem Polakiem (jak jest po rosyjsku: zatem? Dobra, dość tych wahań, jestem Polakiem), jestem w Rosji, w domu jakiegoś rosyjskiego wieśniaka-kołchoźnika, znającego język polski. Czy to nas łączy? Język? Czy umyślnie tu jestem dlatego, że on zna polski, a ja rozumiem po rosyjsku? A może nie jestem w Rosji, tylko oni są w Polsce, a mnie zanosło gdzieś na Ścianę Wschodnią? A skąd? Z Wybrzeża? Gór? Torunia? Przez chwilę zastanawiałem się, usiłując nie zauważać, nie poddawać się napływającym i odpływającym z lekka falom męki. Czy Toruń, Wybrzeże – odbywają się jakimś specjalnym echem? Amnezja... Kazik śpiewa o amnezji... Dlaczego pamiętam, kto to Kazik i co śpiewa, a nie pamiętam, kim jestem? Kurrrrrwaa... mać...

Zaszurały stopy po podłodze, zbliżył się stary. Niósł tym razem grubościenną szklanę z brązową cieczą.

– To wypijesz – powiedział. – Śmierdzi walerianą, ale Ksenia mówi, że musisz spać, a nie być nieprzytomny z bólu. Boli? – Popatrzył mi w oczy i pokiwał głową. – Boli, widzę. No nic, pośpij. Ranek mądrzejszy od wieczora. Może zdarzy się, że pamięć jutro wróci. Pij i śpij.

Wlał we mnie porcjami ciecz, nie czułem ani smaku, ani zapachu, nawet jeśli była to czysta waleriana. Waleriana? Po co? Serce mnie nie boli... Nie wiem, co mnie boli. Wszystko. Wszystko jest jednym wielkim bólem. Leżałem chwilę, oddychając z trudem, nagła fala potu zalała mi oczy, zaszczypało. Zacząłem cicho skowyczeć, pojawił się stary, wytarł mi czoło, oczy. Potem położył dłoń na czole, poczułem chłód. Przymknął mi powieki i trzymał chwilę...

* * *

– Hej! Śpisz?

Ktoś pogłaskał mnie po głowie.

Nie spałem, leżałem pogrążony w walce z bólem, usiłowałem na różne sposoby odsunąć go, przesunąć, wyciszyć, wygasić... Nie udawało się, ale sama walka z nim pozwalała skoncentrować się na czymś innym niż tylko jęczeniem. Otworzyłem oczy.

– *Przepomniałeś* sobie? Wiesz, kim jesteś? – zapytał stary.

– Nie... – wyszeptałem.

– Nic, nic, jeszcze przypomnisz! – zapewnił mnie dziadek.

– A ty kto jesteś?

– Ja? Osip Stiepanowicz możesz do mnie mówić. Stiepanycz, jak mówią niektórzy. A *familia* moja Jemieljanin.

Musiałem chwilę się zastanawiać, żeby zrozumieć, że *familia* to nazwisko, a nie rodzina.

– Co ja tu robię? – zapytałem, wypiuwszy coś z kubka. Chyba dotarło do mnie, że to nie herbata ani zioła.

– Pij bulion, pij – zbył mnie Jemieljanin. – Lepszy, powiadają, z kury, ale kur nie ma, a z

ryby takiej jak... *szczuka*... też wspaniały. Jak wypijesz, dam ci kawałek, taki od głowy, mniej ości, więcej mięsa. Smak czujesz? – zapytał, jakby czekał na pochwałę.

– Trochę... czuję... – wystękałem. – Nie do końca...

– No i nie dziwne – skonstatował Osip Stiepanowicz.

– Cztery dni *nieprzytomnyj*, w *gariaczkie*, dużo krwi straciłeś... – Umilkł nagle i wyraźnie ugryzł się w język.

– Krwi? Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego... – burknął niezadowolony z własnej gadatliwości. – Dowiesz się...

– Myślał chwilę. – Jak się dowiesz.

– Ale...

– Możesz poruszać rękami? – przerwał obcesowo.

– Nie. – Nie musiałem się zastanawiać. Gdy tylko się obudziłem, czy tam odzyskałem przytomność, usiłowałem odzyskać swoje ciało. Czy byłem Polakiem, czy nie, powinienem mieć coś poza głową i jej osprzętem: oczami, ustami, uszami i trochę nosem, bo węch niemal całkowicie straciłem.

– Dobrze – stwierdził.

– Dobrze?

– *Nu*, niedobrze, ale zaraz będziemy coś robić, natrzemy cię *kamforoj*, będziesz prawie jak nowy.

Pojawiła się kobieta, niosła jakieś szmatki, dwie butle z ciemnego szkła ze szklanymi korkami, laboratoryjne? Nagle przemknęła mi myśl, że jestem w innych czasach, o kilkanaście, może kilkadziesiąt lat do tyłu. Do tyłu od czego? Ale nie – telewizor nie pozwalał za daleko cofnąć się w czasie. Ksenia, pewnie żona Osipa, podeszła i burknęła coś. Ten zaczął manipulować moim bezwładnym ciałem. Szalony ból jakby na to czekał. Zaciśnąłem zęby, jęknąłem.

– Nie czuję... go... ale boli... – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

Staruszkowie wymienili spojrzenia. Ona powiedziała coś szybko i cicho, żebym nie usłyszał, on przygryzł koniuszek wąsa, potrząsnął głową. Nie.

Zaczęli mnie przewracać, szalony ból ustąpił miejsca ekstrasuperszalonemu bólowi, ciemność nadleciała i zagarnęła mnie pod swoje...

Ocknąłem się w piekle. Wcześniej wydawało mi się, że znoszę ból nie do zniesienia, ale tamten był do zniesienia, a ten wykręcał mi członki, palił. Całą powierzchnią odzyskanego ciała przywarłem do żaru. Dodatkowo łomotało mi w skroniach tak, że czułem, jak mi pęka czerep. Usłyszałem swoje wycie. Przed oczami miotały się krwawe pasma, też bolały. Zawyłem.

Poczułem na twarzy coś mokrego i zimnego. Na chwilę łomot w skroniach ustał, udało mi się zobaczyć Osipa, miał zmartwioną twarz, odwrócił się gdzieś i jakby coś powiedział. Potem pojawiła się Ksenia, ale przesłoniły ją czerwone płachty.

Nie wiem, jak długo trwała ta podróż po piekle. Nagle coś jakby zafalowało, poczułem kołysanie i... błogie nicnieczucie. Na jakiś czas zapadłem się w nicość, ale dobrą, bez bólu, bez łomotu w skroniach. Z piekła do raju. Poczujęm, że mrugam, że wyciskam powiekami łzy...

Ktoś wytarł mi twarz czymś zimnym i mokrym. Osip.

– Lepiej, co?

– Taaa...

– *Morfinamatuszka.*

Kompletnie mnie nie interesowało, skąd taki wiejski staruszek ma morfinę. Dobrze, że miał. Może państwo rosyjskie dodaje każdemu do renty?

Zalała mnie fala bezbólu, upojna, piękna, łagodna... Kraina... Co to było: Kraina Łagodności?

Myślało mi się miękko, puszyście, przejrzysto... Myśli napływały spokojnie i spokojne, miękkie, gładkie i ciche, ale wyraziste. W niczym nie przypominały tego skowytu, tego wycia przeraźliwego, akustycznej manifestacji bólu. Och, jak dobrze...

Poruszyłem głowę, przemknąłem spojrzeniem po całym pokoju. Telewizor był włączony, ale wyciszony, widziałem tylko jakieś radosne dziewczęta w szortach, kusząco wprawiające w drgania silikonowe, a może tylko spacyfikowane pushupami biusty. Nędza, żal i żenada. Jak to powiedziała kiedyś pijana dziewczęta na ostrym dyżurze? Total żenada? Hej? Na jakim dyżurze?

Wyteżyłem pamięć. Choć ból nie przeszkadzał teraz w myśleniu, to i tak jakiś mur odgradzał mnie od sporego kawałka świadomości. Dlaczego dysponowałem tylko szczątkowymi danymi: narodowość, lokalizacja, język? Gdzie reszta? Dlaczego ukryta? Niebezpieczna? Niedobra? Kto ukrył – ja sam czy ktoś? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?!

– Daj, ponacieram. – Osip pojawił się w polu widzenia i nie pytając o przyzwolenie, dość bezceremonialnie przewalił mnie na prawy bok, a potem na brzuch.

W pokoju uniósł się silny zapach kamfory. Lewa ręka, przesunięta przez kogoś na wysokość mojej twarzy, znalazła się w polu widzenia. Miałem na niej duży opatrunek, jak biała buła.

– Osip?

– Tak?

– Co jest z lewą ręką? Moją lewą ręką? Milczał chwilę.

– Nie pamiętasz? – zapytał nie wiadomo po co.

– Pytałbym, gdybym wiedział? – mruknąłem.

Znowu chwila milczenia. Chyba wymieniali spojrzenia albo niemal bezgłośnie szeptali sobie do ucha.

– No? – ponagliłem go.

– Zaraz – zbył mnie. – Skończymy, to pogadamy.

Trwało to dość długo. Napracowali się przy mnie niezłe. Dziwne to było – nie czułem na przykład ud, zanim któreś ze staruszków nie zaczęło szczytać ich i nacierać, ale po chwili, kiedy przesuwali palce, znowu traciłem czucie. Generalnie – mogłem zrobić remanent niemal całego ciała. Miałem ręce, obie nogi, stopy, głowę też miałem, to wiedziałem już wcześniej.

W końcu przewalili mnie znowu na plecy, coś mnie tam dźgnęło, nieprzyjemnie przypomniało o tym, co będzie, gdy się skończy morfina.

Osip i Ksenia wyszli bez słowa, on wrócił po chwili z papierosem w kąciку ust. Podniósł mnie trochę na mięsistej poduszce, żebym lepiej widział pokój, sam odsunął się o dwa metry i usiadł na taborecie.

– No? To co chcesz wiedzieć?

– Wszystko: co tu robię, dlaczego tu jestem, kto wy jesteście? Kto mnie tu przywiózł? Wszystko...

– Wszystko... Cha, cha! – Uśmiechnął się czy może skrzywił. – Wszystko... – powtórzył.
– No to po kolei. Ja jestem Osip Stiepanowicz, a moja żona to Ksenia Abramowna. Mieszkamy tu, na brzegu Ładogi, pilnujemy pałacu jednego bogacza. Ja łowię ryby, popłynąłem... – Uniósł wzrok do góry, obliczając dni. – ...pięć dób temu w nocy, obok mnie przepłynęła jakaś elektryczna łódź, potem drugi raz się na nią napatoczyłem, wyrzucali coś za burtę. To coś to był ty. Żli ludzie dźgnęli cię kosą w plecy, ale nie trafili, odcięli ci dwa palce lewej ręki, no – nie całkiem, po dwa kawałki. Ja cię wyciągnąłem, przywiozłem do domu, a Ksenia cię opatrzyła.

Czegoś nie dopowiedział w tym momencie. Pewnie nie chciała opatrywać, to by było prawdopodobne przy jej stałej manifestacji niechęci do mnie.

– Ona była sanitariuszką podczas naszej Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Mówiła, że nie... eee... *pataniesz dolgo*... a tyś pociągnął i chyba wyciągnął. – Uśmiechnął się i zaciągnął mocno, długo. – No, to tyle, co wiem. – Wzruszył ramionami.

– A kto był w łódce? Co było w moich kieszeniach? Dokumenty? Coś?

– Nic. – Pokręcił głową. – Widzisz, kochany, ja się ludziom w łódkach z cichymi silnikami, a w nocy na dodatek, nie pcham w oczy, rozumiesz? Albo to nasza milicja wodna, albo rybacy tacy jak ja, ale zazdrośni, mają lepsze łodzie, silniki, harpuny... Oni chcą łowić dużo cennych ryb, tacy jak ja ich złoścą... Już kilka razy skonfiskowali mi ryby, ukradli znaczny. – Machnął z rezygnacją ręką. – To po co mnie próbować, czy te harpuny są ostre? – Strzepnął popiół w podstawioną, ułożoną w konchę dłoń. – A twoje ubranie leży w szafie. Nic w nim nie było. Nic zupełnie, postarali się.

– Kto? – zapytałem bezsensownie, co dotarło do mnie, gdy tylko dźwięk uleciał z ust.

– No ci, co nie chcieli, żebyś żył, wyczyścili ci kieszenie do zera, nic nie zostawili!

Milczeliśmy chwilę.

– Aj, kłamie! Została jedna jedyna rzecz! – Wyciągnął rękę z papierosem i wyprostowanym wskazującym palcem. Wycelował nim we mnie. – Został ci sygnet na palcu,

tym obciętym.

Przesunąłem gałki oczne i głowę tak mocno, że w końcu zobaczyłem swoją lewą rękę, opatrunek na niej. Skoncentrowałem się – udało mi się! Lewa dłoń drgnęła?!

– Może to bydlę chciało ci zabrać sygnet, choć nie jest piękny jakiś – powiedział Osip. – Albo i nie, bo w końcu nie zabrali, a przecież mogli... – Wstał i ruszył do drzwi, ale przed progiem zatrzymał się i odwrócił siwą, krótko i niezdarnie ostrzyżoną głowę. – Inna sprawa, że ten sygnet trzyma się ręki jak przyszyty, trzeba by było jeszcze raz palec... dziabnąć? Tak się mówi?

– Yhy – potwierdziłem machinalnie, niedbale. Zagarnęła mnie fala senności.

– *Wiency* powiem: Ksenia i tak chciała odciąć resztę palca. Gangrena, mówi, zakażenie, *bachterie*... Ale mi się rana czysta wydaje, dobre, mocne cięcie. No i lepszy kawałek palca niż nic, nie?

Wyszedł, chyba zgasić niedopałek. Niemrawo poruszyłem jedną ręką, drugą. Widziałem, że drgnęły – i jedna, i druga. Zastanawiałem się chwilę, ale podjąłem trud – spróbowałem poruszyć nogami, stopami, też drgnęły. Ale jakoś odechciało mi się gimnastyki.

Kto dźgnął mnie nożem? Dlaczego? Kim jestem, kimś ważnym czy może bandziorem? Czy to coś jak... co to było? A, *Tożsamość Bourne'a*? Ludlum, a w filmie Roger Moore i ten... Matt Damon? Nie, nie Moore, tylko Chamberlain! No to dlaczego pamiętam takie rzeczy, a nie pamiętam, jak się nazywam?

Dziwnie mało mnie to obchodziło, pławiłem się w błogości bez bólu. Ziewnąłem i zasnąłem.

* * *

Siedziałem od godziny, wygodnie oparty, ale siedziałem. Mogłem, bo sprawdziłem to, podkurczyć nogi, po kolei i powoli. Mogłem. Mogłem podnieść do twarzy prawą rękę i mogłem przenieść lewą z pościeli na własny brzuch, dalej już nie. Na moją prośbę Stiepanycz – mówiłem do niego Stiepanycz, bo tak chciał – przyniósł lusterko i podsunął mi przed oczy. Trochę drżała mu ręka, ale nie dlatego nie poznałem odbicia. Wpatrywał się we mnie ponuro zarośnięty, już nie szczecina nawet, posępny gość z przyklejonymi do czaszki włosami. Miał białka porysowane popękany naczynkami i oczy podkrążone tak, że gdyby to był element charakteryzacji, wykonawca wyleciałby z pracy nawet w osiedlowym amatorskim teatryku seniora.

– Dobra, nic mi to nie daje. Nie znam tego faceta.

– *Job twaju mat'*! – zdziwił się Stiepanycz. – Co to za ustrojstwo, ten ludzki mózg: pamiętasz mnie, pamiętasz film, gdzie gościa wyrzuciło morze i też nie wiedział, kim jest, a nie pamiętasz własnej gęby? No dobra, jedz. Dasz radę sam?

– Spróbuję.

Dało się, między jednym kęsem a drugim mijała minuta, część jajecznicy wylądowała na kocu, którym byłem przykryty, ale większość wpakowałem do ust, przeżułem i przełknąłem. Do tępego bólu w lewej części pleców, nad nerką, już przywykłem, bałem się tylko zmiany opatrunków, za każdym razem traciłem przy nich przytomność.

Może dlatego, że Ksenia nie cackała się ze mną, a może nawet umyślnie wsadzała paluchy w ranę, z zemsty.

– Jak ty z nią możesz wytrzymać... – wykrztusiłem, odzyskawszy przytomność za drugim razem. – Nie bije cię?

– Coś ty? – Napił się ze swojego kubka, dziwnie nowej rzeczy: chromowany termokubek z fioletową pokrywką. – To dobra kobieta... – Zamyślił się na chwilę. – Bardzo dobra. Ona ciebie wy... wykurzyła?

– Wykurowała – poprawiłem odruchowo.

– Wykurowała? Tak, ona. Ja tylko pomagałem, ja bym nie wiedział... – Rozłożył ręce i powachlował nimi powietrze. „Nie mam o tym pojęcia”. Pomilczał chwilę. – Ksenia nie musi kogoś lubić, żeby mu pomóc. A i to nieprawda, ona nie to, że ciebie nie lubi... – Machnął ręką, zmieniając temat: – My się poznali w Polsce, wiesz?

– A co wyście tam robili?

– Szliśmy na Berlin! – zdziwił się mojej ignorancji. – Ale doszliśmy tylko do Poznani. – W jego ustach Poznań zmienił rodzaj na żeński. *Ta* Poznań! – Mnie ranił odłamek artyleryjski, Ksenia była w sanbacie. I tak my się poznali. A potem ja zostałem pomagać w organizacji szpitala polskiego, z Ksenią. Byliśmy tam do czterdziestego szóstego. A potem *wrócilimy*, a tu nikogo z naszych nie ma. Ani matki nie znalazłem, ani ojca, ani dwóch braci, nawet nie wiem, kto ich zabił – frycy czy nasi... A Kseni cała rodzina do Persji wyjechała, pewnie myśleli, że ona nie przeżyła. Odnalazła potem, ale nie rodziców i nie rodzeństwo, tylko takie tam – ciotka, jej mąż, ich dzieci, jakiś odległy kuzyn. W Iranie. Ani tam pojechać, ani oni do nas. Listy raz na pół roku przychodziły, potem przestały, pewnie ciotka zmarła, a dzieci jej i tak nie znały... I *zostalimy* sami. I tak sobie *żyliśmy*. To jak może być niedobra, jak ja z nią... – Zmarszczył czoło i liczył coś – ...sześćdziesiąt trzy roki jestem!

– Ale na mnie jest wściekła – poskarżyłem się.

– Nie. Ona się boi.

– Mnie? – Zachichotałem cicho.

– Nie. Boi się tych, co cię zabili, czy nie będą szukali ciała. Boi się tych, którzy z bandziorami zadarli, bo przecież jesteś człowiek, którego ktoś chciał zabić. Może i słusznie, może jesteś bandyta jeszcze gorszy i słusznie cię zakatrupili, co? – Uważnie wpatrywał mi się w oczy, jakby wierzył, że złe z nich wylezie. – Nie – sapnął. – Nie jesteś z bandytów, ale możesz mieć niedobłą kompanię. I Ksiusza boi się, że przyjedzie nasz Arkadij Samojłowicz, zobaczy ciebie i wyrzuci nas... – Ostatnie słowa niemal wyszeptał.

Zimne ciarki przemaszerowały po moim karku. Zerknąłem na drzwi i zapytałem szeptem:

– On nie jest dobry?

– Nie jest. – Pokręcił głową. – Ale dla nas zbawca. Wiesz, my... Nas namówili, skołowali, zapisali do banku... *czastnyj bank... panimajesz?* Nie *gasudarstwiennyj* – to jaki?

– Jak nie *gasudarstwiennyj*, nie państwowy, to pry watnypewnie.

– No! *Prywatnyj*... A oni, *suki*, zgarnęli nasze *dieńgi* i zwiali na Kanaryjskie czy inne *astrawa!*

– No tak.. – bąknąłem.

– A tak, tak! Zostali my bez pieniędzy, z długami, które w innej firmie *zaciągnelimy*, bo tak nam kazali, żeby niby im dać, trzeba najpierw gdzie indziej wziąć, bo swoich nie ma. No i wyrzucili nas z mieszkania, nawet emerytury nie było gdzie odebrać, bo adresu już my nie mieli, a u nas, w Związku Radzieckim, jak nie masz *prapiski*^{*}, to nic nie masz, i człowiek nie jesteś. Tylko *bomż*. Wiesz co to, ty *poliskij pan?* *Biez opriedielonnowo miesta żytielstwa!*^{*}. Żyli my w parkach, pod mostami, w metrze... – Chwycił się za ucho i pociągnął mocno. – Ale potem w nocy Arkaszka pijany nas zdybał, wyrzucili go z samochodu w parku, my go trochę odczyścili, *adcucili*, on nas zabrał do siebie, zawołał taksy i przyjechali my tu. Dwa dni jeszcze zółcią rzygał, łeb obity miał mocno, ale wyżył, nas przesłuchał i powiedział, że tu możemy żyć. Pilnujemy jego pałacu, choć tam też *achrana* jest, ale my tu z boku, jakby ich trochę pilnujemy. No i żyjemy, do śmierci, powiedział. Już trzy lata. No to żyjemy, i lepiej niż w... *Pitierie abosrannom!* Kurki mamy, rybki – nie do przejedzenia – ogród swój. I już. Uśmiechnął się radośnie. Pochylił się. – No to czemu się dziwisz, że Ksenia trochę... *psichujet?*^{*} Arkasza nasz to nie taki sobie zwykły *nowyj Russkij*, o nieee! – Nagle przeszedł na rosyjski, widać polskiego z okresu powojennego nie starczało mu na opis współczesnej rzeczywistości. – *Eta balszozj czielowiek! A ja dumaju, szto daże nie balszozj, a w zakonie, wor, ili nie wor, chier jewo znajet. No legawyje mogut jewo w żopu pacelowat', i ja tak dumaju, szto możet ty i legawyj kakojto, a? Ili pasporił s Arkaszej i on tie bia zamaczył? Wot czewo Ksenia i baitsa – on pridiot, uwidit tiebia i skażet: Da ty, jobanyj w rot, Stiepanycz, majewo wraga wychażywajesz, pridurok staryj! Won at siuda!*^{*} – Sięgnął po swoje papierosy i lekko drżącymi palcami wyjął jednego, poczęstował mnie, ale odmówiłem. Chyba byłem niepalący, tak mi się wydawało.

– No nic. Jakoś sobie poradzimy. – Zerknął na mój talerz. – Kompotu wypijesz?

^{*} *Prapiska* (ros.) – zameldowanie.

^{*} *Biez opriedielonnowo miesta żytielstwa!* (ros.) – Bez określonego miejsca zamieszkania. Termin administracyjny stał się określeniem losu ludzkiego – menel.

^{*} *Psichujet* (ros.) – denerwuje się, świruje.

^{*} *Eta balszozj czielowiek! A ja dumaju, szto daże nie balszozj, a w zakonie, wor, ili nie wor, chier jewo znajet. No legawyje mo gut jewo w żopu pacelowat', i ja tak dumaju, szto możet ty i lega wyj kakojto, a? Ili pasporił s Arkaszej i on tiebia zamaczył? Wot czewo Ksenia i baitsa – on pridiot, uwidit tiebia i skażet: Da ty, jobanyj w rot, Stiepanycz, majewo wraga wychażywajesz, pridurok staryj! Won atsiuda!* (ros.) – To jest znaczny człowiek! A myślę, że nawet nie znaczny, tylko taki z szefów-autorytetów, złodziej albo i nie złodziej, chuj go wie. Ale gliny mogą go w dupę pocałować i tak myślę, że może i ty jesteś glina jakiś, co? Albo posprzeczałeś się z Arkaszą i on ci kosę sprzedał? Oto czego Ksenia się boi – przyjdzie on, zobaczy ciebie i powie: – A ty, w morde jebany, Stiepanycz, mojego wroga kurujesz, durniu stary! Won stąd!

– Tak – powiedziałem.

Naprawdę zaschło mi w gardle. I chciałem przez chwilę być sam. Stiepanycz kiwnął głową, wziął mój talerz, zgarnął nań okruchy z mojej piersi i wyszedł.

Zacząłem analizować swoje położenie: byłem polskim łącznikiem z rosyjskimi bandziorami? Czemu nie? Rosyjski jako tako rozumiałem i... I normalnym ludziom, takim przeciętnym obywatelom, rzadko kiedy obcinają palce i sprzedają kosę pod nerkę czy nad nerkę. Cholera, muszę coś wiedzieć! Muszę się odnaleźć, zlokalizować siebie, zidentyfikować. Cholera, kurwa, muszę!

Wrócił Stiepanycz ze szklanką kompotu i tabletkami.

– *Bieri!* Nie będzie boleć i pośpisz.

Zastanawiałem się chwilę.

– Dobrze. Wezmę. Jutro wstanę, dobrze? – Łyknąłem trzy tabletki i popiłem. – Muszę wstać, zadzwonimy gdzieś...

– Gdzie? – Stiepanycz wyraźnie się przestraszył.

– Nie wiem jeszcze. Do ambasady polskiej?

– Ty co, ochujałeś kompletnie?! Przyjadą tu, będzie grzmiało na całą okolicę, samochody, gliniarze, pogotowie! Nie, kochany, ty się kuruj, a potem pomyślimy, jak ciebie po cichutku i po kryjomu do miasta przetrzucić. I tam sobie zadzwonisz do swojej ambasady. Śpij!

Wydawało mi się, że jest jakiś urażony, jakby się zdziwił, że ja, niewdzięcznik, chcę mu krzywdę wyrządzić. A nie chciałem, na pewno nie.

Na pewno był przerażony, jakby dotarły do niego wszystkie konsekwencje jego nieprzemyślanego kroku.

Ktoś, pewnie Ksenia, wyłączył światło w pokoju. W półmroku biłem się z myślami niemal godzinę. Kukułka w zegarze nie działała, ale coś w nim chrypiało i brzęczało co godzina. Stąd wiem, jak długo jeszcze nie spałem, potem poczułem ból w lewej dłoni i przestraszony, że się nasili i nie da spać, szybko porzuciłem myślenie i oddałem się we władzę piguł.

ROZDZIAŁ 12

Po śniadaniu przypomniałem Stiepanyczowi o spacerze.

– *Nu*, gdzie ty pójdziesz? – Płasnął po babsku w dłonie. – I po co?

– Stiepanycz, im prędzej się wylizę, tym prędzej zniknę stąd, prawda? I ty odzyskasz spokój, i Ksenia będzie lepiej spała.

Sapał chwilę, potem podrapał się po karku.

– Czekać, ale trzeba to zrobić po mądrze. Z głową, żeby rany nie otworzyć. Chodzić to ty nie będziesz jeszcze trochę, i się nawet nie szarp, bo tylko gorzej sobie zrobisz. Zastanawiał się chwilę.

– Ja... – zacząłem.

– O! Już wiem! Czekać!

Wybiegł z pokoju. Doniosłem prawą ręką kubek z kompotem do ust, lewą udało mi się sięgnąć ucha, nogi podkurczałem na przemian, nie razem, ale jednak do brzucha. Jeszcze tylko żeby dało się usiąść! Może mózg będzie inaczej pracował? Podpowie imię, stan cywilny?

Stiepanycz wszedł do pokoju, ciągnąc za sobą mały czterokołowy wózek-platformę.

– Widzisz? – zawołał uradowany. – Tak zrobimy! Postawił na platformie krzesło, podjechał do łóżka. Włożył krzepką dłoń pod moje plecy, oparł ją między łopatkami i pomógł mi się unieść z posłania. Właściwie – sam mnie podniósł. Pokój zawirował, podparłem się prawą ręką.

– Uff... Dobra – powiedziałem. Chyba.

Albo chciałem powiedzieć. Rana z tyłu tylko czekała na sygnał, rozesłała apostołów bólu po całych plecach, przygryzłem wargi.

– *Pajechali!* – rzuciłem rzeško, po gagarinowsku. Stiepanycz zrobił sceptyczną minę, ale nie ułożył mnie z powrotem, posiedziałem chwilę, zawroty głowy ustały, bólowy łagier na plecach szalał. Spuściłem nogi na podłogę, podparłem się na siedzisku krzesła i – w dużej mierze przeniesiony przez Stiepanyczę – znalazłem się nagle na krześle. Chwilę trwało odzyskiwanie równowagi, głosu, determinacji, jakiej jeszcze chwilę temu, zanim się ruszyłem, miałem aż nadto. Stiepanycz zdjął przewieszony przez ramię szeroki pas, przypiął mnie nim do krzesła. Nie spodobało mi się to, nie wiem dlaczego, ale nie spodobało, a

jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że w tej chwili jestem mistrzem albo wicemistrzem świata w swobodnym spadaniu z krzesła na podłogę.

– Możesz kierować? – Stiepanycz podniósł z podłogi dyszel wózka i podał mi go. – Ja będę pchał.

Usiłowałem chwycić dyszel i udowodnić, że pokieruję swoim powozem, ale nic z tego nie wyszło.

– No to chuj z tobą, sam pociągnę! – burknął na niby urażony Osip.

Chwilę później byliśmy już w kuchni. Meble jakby z tej samej wytwórni co parapet – wiele warstw białej farby na kuchni, w połowie gazowej, w połowie na drewno. W tej drugiej części bulgotał i parował, pobrzękiwał pokrywką kolosalny czajnik, chyba piętnastolitrowy. Nie wiem, dlaczego zszokował mnie ten gigant.

– Stiepanycz, po cholere ci tyle wrzątku? Kapać się będziesz?

– Kapać też, a co! I niby jak, łazienki z kaloryferem tu nie ma. A czajnik to Kseni pupilek, jeszcze *trafiejny*, z wojny. Ona zawsze ma w nim przegotowaną wodę, *kipiatok*, bo niby czemu nie?

Dotarliśmy, nasz tandem, do progu, Osip wypchnął tyłkiem drzwi, podciągał mnie ostrożnie.

– Przecież taki *kipiatok*, to często był jedyny środek do przemywania ran, nieodkazający, ale i niezakażający, a dokoła wiesz, wojna, nie?

Pokonaliśmy próg. Pokonaliśmy? Ja tylko zaciskałem zęby i usiłowałem balansować ciałem, ale z powodu szalejącej w plecach symfonii bólu, mogłem tylko zaciskać zęby i balansować językiem. Przy drugim czy trzecim wstrząsie straciłem na sekundę przytomność. Kiedy ją odzyskałem, zobaczyłem przed sobą furię w osobie Kseni Abramownej. I naprawdę się przestraszyłem. Wyglądało, że jest gotowa dźgnąć mnie trzymanymi w ręku widłami.

Potem może by i opatrzyła dziury.

– Kseniu Abramowno – wychrypiałem. – To ja... Ja chciałem... Ja muszę szybko zdrowieć, muszę wracać... Nie wiem gdzie, ale gdzieś przecież jest moje miejsce. – Przejaśniło mi się we łbie. – A tu jest wasze i nie chcę wam niczego psuć. – Nawijałem szybko, zyskując czas, by Stiepanycz puścił dyszel i zwiął na drugą stronę mojego powozu. – Przecież my ostrożnie, a pani wie...

– Ja nie pani! – syknęła oburzona. Po raz pierwszy odezwała się bezpośrednio do mnie. – Tu panów nie *było* i nie ma!

– Przepraszam, ale tak się w Polsce mówi. Nie kłóćmy się, ja... – Gorączkowo myślałem i nagle olśniło mnie: starsi ludzie tak kochają światło i słońce! – Ja na słoneczko chciałem, żeby zdrowieć! Tu tak jasno i ciepło, od razu lepiej się czuję!

Ksenia Abramowna zacisnęła usta, ale widły jakby opadły nieco. Nie poruszając głową, rzuciła spojrzenie w lewo i prawo, jakby sprawdzała, czy ktoś nas nie podsłuchuje.

– Zdechniesz, to będziesz sam sobie winien, i nie skarż mi się!

Pogroziła mi palcem, odwróciła się i poszła gdzieś za dom.

Popatrzyłem na Stiepanycza. Zdjął czapkę i otarł w połowie białe, w połowie ogorzałe czoło rękawem.

– No, upiekło się!

Pojechaliśmy kawałek po podwórzu. Z budy wyszła rozespana psina, kłapoucha, długowłosa, przeciągnęła się.

– To Sonia. – Osip chwilę patrzył na nią. – Jakoś dziwnie cię lubi, nie szczeka ani nic.

Suka podeszła do mnie, wolno wyciągnęła ciało, szyję, dotknęła nosem lewej dłoni, opatrunku na niej. Chwilę węszyła.

Popatrzyłem na Osipa, za nim, w furtce do ogrodu, stała Ksenia Abramowna i uważnie kontrolowała zachowanie suki. Potem, nie zwracając na ludzi uwagi, coś chyba burknęła pod nosem i ponownie zeszła mi z oczu. Pies mnie lubi. Czy ja mam psa? Lubię psy?

Nic, ciemna dziura, mrok i mgła. Stiepanycz przyglądał mi się chwilę.

– Nie zwalisz się?

Pokręciłem głową i omal nie spadłem wraz z krzesłem z wózka. Rozstawiłem szerzej nogi, spróbowałem się zaprzeć. Metodycznie zabrałem się do gimnastyki, czegoś w rodzaju amatorskiego, wymyślonego *ad hoc* ograniczonego stretchingu – napinałem mięśnie ud, łydek, pleców, ramion, przedramion, palców. Najpierw tylko w umyśle mówiłem sobie: „Teraz udo prawej nogi, teraz lewej”, potem, nie wiem, po kwadransie, naprawdę poczułem, że napinam jakieś mięśnie. Poruszały się, przeżyły i wiotczały. Już nie przesuwałem bezwładnie stóp w mniej więcej pożądanym kierunku. Udało mi się lekko przytupywać i poruszać nimi jak w odmianie tańca Michaela Jacksona. Odpoczywałem kilka minut, po czym zabrałem się do rąk.

Stiepanycz przyglądał mi się chwilę, potem mruknął coś o ostrożności i poszedł do komórki. Szurgotał tam czymś, pobrząkiwał jakiś metal, potem przybijał coś, w końcu wyciągnął z szopy łożko polowe.

– Na łożku polowym będzie... lepiej – zaproponował.

– Nie. Muszę... Będę tu ćwiczył.

– Dobrze – zgodził się od razu.

Zniknął w komórce, wrócił po chwili z kłębem sznura, młotkiem i śledziami do namiotu, chwilę potem moje krzesło było solidnie zastopowane, pas z kolei trzymał mnie na krześle. Mogłem ćwiczyć. Ćwiczyłem.

Do obiadu, z przerwami. Na obiad pochłonałem z ogromnym smakiem smażone ziemniaki z przepysznyim jogurtem nie-jogurtem.

– Dawno nie jadłem tak dobrego obiadu – powiedziałem do Osipa.

Roześmiał się głośno i rechotał długo, aż Ksenia Abramowna wyszła przed dom, zrobiła z dłoni daszek nad oczami i wpatrywała się w nas.

– Słyszysz? Mówi, że dawno nie jadł tak dobrze! – zawołał Stiepanycz. Jego żona

pokręciła głową i zniknęła w domu.

– Zwyczajna *kartoszka* – poinformował mnie gospodarz. – Tylko wy w Polsce smażycie ugotowane kartofle, a my, *Russkije*, surowe. Ksenia dodaje cebulki. A to – wskazał kubek – nic innego jak *riażenka**.

– Niech będzie *riażenka*, jest pyszna.

Pomyślałem, że teraz zaczną się inne problemy, fizjologiczne.

– Stiepanycz, a gdzie macie WC? Toaletę?

– Aaa! *Kak gdzie?* W domu. A chcesz?

– Jeszcze nie, ale to – wskazałem brodą talerz i kubek – to już nie kisielek i kompocik.

– Powiesz mi, to będziemy się martwić.

Wróciłem do gimnastyki. Zaczęło mi się wydawać, że mógłbym wstać na nogi, przejść się kawałek, może dojechać autobusem do Petersburga, dotrzeć do ambasady... Przecież mogą mi tam zrobić zdjęcie, wysłać do Polski, znaleźć w listach zaginionych takiego jak ja, podać mi moje dane. Wtedy sobie wszystko przypomnę: kim jestem, gdzie pracuję, dlaczego jestem tutaj. Nagle przyszło mi do głowy, że mogę być pospolitym przestępcą, który uciekł do Rosji. A teraz sam, proszę bardzo, zgłaszam się do władz, żeby zaobrączkowały mnie i ciupasem odesłały do kraju. Ha, do kraju?! A jeśli mam poważne problemy z rosyjskim wymiarem sprawiedliwości? Wpakują mnie do jakiejś kolonii na Syberii, między doświadczonych aborygenów o wydłużonym życiorysie przestępczym? Otarłem pot z czoła. Z wysiłku czy ze strachu? Siedziałem chwilę bez ruchu, oddychając płytko, żeby nie wywołać większego bólu, za to szybko. Stiepanycz wyszedł z komórki z plikiem kolorowych pism, przestawił sobie taboret w cień, usiadł, zapalił i pogrążył się lekturze.

Po kilku minutach powiedział:

– *Riebiata z ochrony* Arkaszki czytają dużo, bo co mają innego do roboty? Czasem się biją na podwórku, tak na niby się biją, grają w tenisa... A potem mi dają całą paczkę z tygodnia, to se czytam. Tydzień wte czy wewte, co mi za różnica? Jak nawet się dowiem, że w Japonii była powódź, to co, pojedę ich ratować? – Pochichotał chwilę. – Tu piszą, że w Karagandzie po katastrofie kolejowej chirurg przyszył jednemu poszkodowanemu drugą lewą nogę, którą odciął trupowi. To możliwe?

Wzruszyłem ramionami. Cholera wie. Chyba tak.

– I wiesz, co jest problemem? Nie wiedzą, czy go sądzić za pomyłkę lekarską, bo przyszył lewą, a nie prawą, czy pochwalić, że uratował człowiekowi nogę. A poszkodowany mówi, że się cieszy, tylko jak chodzi, to go znosi w prawo. To ci numer! Ja pierdołę!

– A gdzie jest ten pałac Arkaszki? – zapytałem.

Z nudów zapytałem, gównu mnie obchodził dworek jakiegoś rosyjskiego mafioso.

– Za drzewami. – Pokazał lewą ręką. – Żebyś mi tam nie szedł, nawet w gorączce! Płot

* *Riażenka* (ros.) – napój mleczny, otrzymywany ze specyficznie pasteryzowanego mleka krowiego, następnie zakwaszany specjalnymi bakteriami. Nie występuje poza krajami słowiańskimi, bardzo popularny w Rosji i na Bałkanach.

tam wyższy niż nasz dach chyba, ale i tak nie chodź.

– Nie zamierzam. Po chuj?

– *Nu* właśnie – zgodził się i wrócił do lektury. Zreasumujmy, co wiem. Jestem Polakiem... A po wała reasumować? Już to robiłem: Polak, rosyjski, Petersburg, kosa w plecy, palce pod siekierę, sygnet... Sygnet?!

– Stiepanycz? Możesz zdjąć mi opatrunek?

– *Apatrunok*? Co to jest?

– No to, bandaże. – Podniosłem lewą rękę.

– Ksenia ci wieczorem będzie zmieniała.

– Proszę, teraz?

– Ja tego nie zrobię. Pójdę po Ksenię.

Ale nie poruszył się nawet, tylko dopalił papierosa i doczytał stronę, pomrukując coś czasem pod nosem. Pomyślałem, że może przesadziłem w żądaniach, zaniepokoiłem go gadaniem o ambasadzie, uświadomiłem mu, że nie ratował zwyczajnej ofiary wypadku na szosie, tylko pewnie ofiarę bandyckich porachunków, niewykluczone, że porachunków swojego dobrodzieja. Kurczę, muszę uważać co mówię, nie powinienem też za bardzo się zdradzać, odsłaniać. Jak odzyskam pamięć, kiedy odzyskam pamięć, nie powiem o tym. Jak będę mógł chodzić – ukryję to. Trudno, to podłe w stosunku do tych ludzi, którzy uratowali mi życie. Jakieś życie, nie wiem jeszcze jakie, ale jakieś, kurwa go mać, było! Tak, będę ostrożny. Ale jak się wygrzebię, to – niechby chuj na chuju stał i chujem poganiał! – odwdzięczę się im po królewsku. Nieważne, czy będzie to za złodziejskie pieniądze bandziora-mnie czy za wypłatę jakiegoś nauczyciela-mnie! Zapłacę hojnie. Jak za życie należy płacić!

Potem pomyślałem, że chyba jednak nauczycielem nie jestem. Bo niby czego – historii? Matematyki?

Z zapalem zabrałem się do penetrowania swojego umysłu, ale jakkolwiek dziedzinę nauki, sztuki brałem pod uwagę – nie znajdowałem w swoim umyśle wiedzy, która wskazywałaby, że znam ją dobrze. Nie wyglądało, bym był w poprzednim życiu naukowcem, muzykiem, politykiem, kucharzem czy inżynierem. Przypomniałem sobie tylko, że ludzie jak ja wyzbyci pamięci, życiorysu wstecz cierpią na amnezję dysocjacyjną. Ale nic poza tym o niej nie wiedziałem, nie byłem więc też lekarzem. Jezu, cholera, jak żyć?

Osip Stiepanowicz dokończył interesujący go artykuł, starannie odłożył pismo i stęknąwszy, wstał i poszedł do kuchni. Trwało to chwilę, zanim przekonał żonę. Wyszli oboje, on, niosąc miednicę, ona dużą reklamówkę i torbę na pasku. W miednicy, jak się domyśliłem, była przegotowana w ogromnym czajniku woda.

– Dawaj rękę – poleciła Ksenia.

Stiepanycz ustawił obok mojego boku taboret, na nim miednicę z fioletową od nadmanganianu potasu wodą. Ksenia przecięła węzeł i zaczęła wolno, ostrożnie odwijać

bandaż. Po kilku warstwach pojawiła się plama, nieprzyjemna, brunatna, bandaże były zabarwione czymś żółtym. Sprytnie zapytałem siebie, co to jest, i uzyskałem odpowiedź – rivanol. Ale nic więcej. Czyli po prostu dyletancka podstawowa wiedza.

Zabolało, bandaże przywarły do rany, odrywanie wzbudziło pulsujący ból, nie jakiś koszmarny, ale cholernie dotkliwy. Syknąłem, potem jęknąłem.

– Sam chciał – mruknęła Ksenia.

– A co, wieczorem by nie bolało? – zapytał Osip.

– *Durak!* Włożyła moją dłoń do miednicy. Ciepła woda. Odmakałem kilka minut. Potem nastąpił ciąg dalszy odwijania. W końcu zobaczyłem swoje palce. Zobaczyłem i szybko zamknąłem oczy. Amnezja nie pozbawiła mnie pamięci o liczbie palców, zresztą u drugiej dłoni miałem ich więcej, o czterdzieści procent więcej.

Dwa kikuty... Zszyta na końcach skóra, biała nić, biała kiedyś, końce sterczą na wszystkie strony.

„Trzeci palec, *digitus tertius*... O? Tyle wiem? Dla czego? Jak się nazywają po łacinie, bo to łacina, wiem, inne palce? Nie wiem, znowu mur niewiedzy, znowu rozpędzony wałę w niego zamulonym łbem”.

– *Balit?* – stwierdziła Ksenia.

– Dość mocno, ale przeżyję.

– A tamta rana?

O, to zupełnie inna sfera bólu, inna skala, inne piekło.

– Mocniej, ale przeżyję.

– Bez morfinki nie! – Skrzywiła się. – A już dużo nie mam.

– Przestań, on potrzebuje! – warknął Stiepanycz.

– A potem Arkaszka nas rozliczy, gdzie jest jego sekretna apteczka i przegoni na cztery wiatry! Chcesz tego? Pierdzielu stary!

– Kseniu Abramowno – powiedziałem cicho. – Jeśli to jest taki problem, to wytrzymam. Przysięgam, że jak się z tego wygrzebię, wszystko zwrócę, i lekarstwa, i... inne. Wszystko. Nie wie pani, jak wdzięczny jest człowiek za ocalenie życia, nawet jeśli nie pamięta, jak żył tydzień temu. Może jestem złodziejem, który się pokłócił z kolesiami o podział łupu, może nie. Ale moje życie już się zmieniło, na razie mam nowe, krótkie... Nieważne. Ważne, że...

Zabrakło mi słów. Po prostu chwyciłem jej drobną, twardą, żylastą dłoń i – zanim zdążyła ją wyszarpnąć ucałowałem. Szczerze. Nie dla picu, dla korzyści, morfiny.

Kobieta wyszarpnęła swoją dłoń, rozplakała się i zrobiła ruch, jakby chciała uciec, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. Ostrożnie wyjęła moją rękę z miednicy i położyła na moim kolanie, przykrytym płatem gazy. Piekło i bolało.

Ksenia Abramowna, pociągając nosem i wycierając łzy wierzchem dłoni, zajęła się składaniem gazy na opatrunek. Ja wpatrzyłem się w sygnet.

Nic szczególnego – wielki, pieczęć pokryta znakami. Nic mi nie mówiły. Jakieś

bandyckie godło? Szyfr? Posiadacz onego ma otrzymać wszelkie wsparcie w walce z Donem Pasqualem? Nie, sygnet nie mógł być wiele wart, nie mógł być jakimś znaczącym znakiem... Przecież gdyby był ważny, gdyby z jego powodu obcięto mi palce, to sprawcy zdjęliby go. A może ktoś im przeszkodził? Nie, raczej obcięto mi palce w ramach tortur. No, bo obcięcie palca przed sygnetem nie ma sensu, za sygnetem – owszem, spada do kubelka jak śliwka do koszyka...

Dotknąłem ostrożnie pierścienia palcem prawej dłoni. Nie zyskałem żadnej wiedzy, tylko trochę więcej bólu. Sygnet kręcił się na palcu, ale nie odważyłem się nawet próbować go zdjąć.

– Daj! – pisnęła Ksenia.

Posmarowała kikuty jakąś ostro pachnącą maścią, założyła opatrunek, pozbierała wszystko do torby i pomaszzerowała do domu. Stiepanycz chrząkał chwilę.

– Tego... wiesz... Nie myśl sobie, że to zła kobieta, nie. Ona nie płacze, że jej żal lekarstwa. Ona cierpi, bo chce pomóc, a przez to, że Arkaszka, i w ogóle, nie może. Płacze, bo się boi, że musi własne życie cenić więcej... No wiesz?

– Wiem, Stiepanycz. Nie będę ci mówił, co wam jestem winien, i że bardzo nie chcę sprawiać kłopotów. Dlatego muszę szybko stanąć na nogi i uciekać stąd. I wcale nie myślę o twojej żonie źle. Uratowała mi życie. No wiesz? – Umyślnie powtórzyłem jego słowa, żeby trochę rozładować atmosferę.

Osip zapalił, a z domu wyłoniła się Ksenia. Szybko zrobiła mi zastrzyk.

Potem niespodziewanie pogłaskała mnie po rękę i odwracając twarz, żebym nie widział jej oczu, uciekła z powrotem do domu.

– *Nu, charaszo. Pajechali damoj!*

Stiepanycz zawiózł mnie do łóżka. Ziewałem już po drodze, ledwo przykrył mnie kocem, zapadłem w lekki, bezbolesny i przyjemny sen.

* * *

Dwa dni później zacząłem chodzić. Kule sklecił Stiepanycz; powiedział: *swarganił*, a mnie spodobało się to słówko. Dokuśtykałem do wiklinowego fotela pod krzakiem bzu, jeszcze w zwartych pąkach, usiadłem z pomocą staruszka i oddałem się stretchingowi, swojemu, ale liftowanemu. Machałem już całkiem, całkiem rękami i nieźle nogami, tylko podnoszenie wyprostowanych odzywało się mocnym bólem w ranie. Na rękę bułę z metrów bandaży zastąpił zgrabniejszy opatrunek, niekrępujący palców.

W południe nagle uświadomiłem sobie, że chce mi się palić. Nie za mocno, ale wyraźnie. Ucieszyłem się, jak Boga kocham, ucieszyłem. Uznałem, że to jakiś cienki ślad powrotu do starych nawyków, do starej pamięci, do poprzedniego życia.

Nie poprosiłem o papierosa. Choćby dlatego, że Osip Stiepanowicz kilka razy pomstował

na ich jakość, a zwłaszcza na cenę.

Dobra okazja do rzucenia palenia, uznałem z pewnego rodzaju wisielczym humorem.

Po południu, kiedy drzemałem pod bzem, z domu rozległ się tryl telefonu. Drgnąłem, obudziłem się i wyprostowałem zdziwiony. Jakoś wcześniej uznałem, że nie ma tu kontaktu ze światem, nawet pomyślałem o tym, żeby – odzyskawszy, rzecz jasna, pełnię sił – zakraść się do domu wspomnianego wielokrotnie Arkaszki i stamtąd wezwać pomoc. Co prawda, nie wiedziałem, do kogo zadzwonić, nie pamiętałem żadnego telefonu: ani numeru swojej komórki, ani domowego, ani w pracy. Pamiętałem tylko alarmowe polskie telefony. Zresztą, moja komórka albo leżała w wodzie, albo mieli ją ci, którzy użyli noża. W każdym razie – telefon w bidnej chacie Stiepanycza?!

Kiedy pojawił się na podwórku, zapytałem go o telefon. Milczał chwilę, jakiś ponury.

– Telefon jest, ale można dzwonić tylko na trzy numery, zablokował go, *pridurok*. Jak bym ja miał do kogo dzwonić.

– Zablokował na trzy numery?

– Tak. Nie, na trzy numery można dzwonić: tylko na zera, jedyńki i trójki. Zerozerotrzy to pogotowie, a do niego numer jest też tylko z tych cyfr. Taki sobie wykupił za ciężkie pieniądze.

Kłapa. Pogotowie... Co mi to da? Nie widziałem nawet dojazdu z jakiejś drogi, w kącie podwórka zaczynała się wątła ścieżynka, ginąca w gęstych krzakach. Pewnie dojście do pałacu Arkaszki. Nie do użycia bez alarmu w jego posiadłości. Ale nic, telefon to telefon, lepszy taki niż żaden. Coś pomyślimy. Na razie wstałem i przespacerowałem się po podwórku. Sonia chodziła przede mną, za każdym razem, kiedy zawracałem, patrzyła z wyrzutem i chyba nawet uraża, że nie idziemy dalej. Chciałem skierować się nad wodę, ale Stiepanycz nagle zachrząkał, zakaszłał.

– Ty, czekaj! Nie idź tam. Tam jest błoto i te... korzenie... Nie dasz rady, poczekaj, aż będziesz chodził jak człowiek.

W pierwszej chwili zamierzałem się upierać, ale od razu uświadomiłem sobie, że nie chodzi o korzenie, tylko o to, że Stiepanycz boi się, że ktoś mnie z wody zobaczy.

– Dobra – zgodziłem się szybko. – Myślałem, że pójdziemy razem na ryby.

– *Sduriel* – machnął ręką Osip. – Ja sam nie chodzę. Cały czas... *sznyriajut*... szwendają się po wodzie, *lega wyje*, armia, inspekcja wodna... Nawet *pażarniki*!

– Straż pożarna? – zdziwiłem się. – A oni po co?

– A bo rano spaliła się osada rybacka, stara fińska porzucona wioska. Potem tam był rybacki kołchoz, ale... – Wskazał kciukiem ziemię. – Kaput! No i te pięć dni temu się spaliła. – Podrapał się po łokciu. – Jakie tam ryby! – Łypnął na mnie okiem. – A ty łowisz ryby?

Zastanawiałem się chwilę. Nie. Nic we mnie nie było z wędkarza. Moja wiedza skończyła się na przypomnieniu sobie wielkiej ilości sklepów i stoisk wędkarskich.

– Nie, nie pamiętam, żebym coś łowił.

– Nauczę, ale na razie nawet do łodzi byś nie wszedł.

Okej. Nie to nie. Czyli muszę się pozbierać i dopiero wtedy popłynąć łodzią do jakiejś przystani, a tam... A tam się zobaczy.

– Słuchaj. – Stiepanycz podrapał się po szczecinie na brodzie. – Arkaszka dziś przyjedzie, żeby go cholera...

– I co?

– I może tu zajść. Czasem popije i zbiera go na rozmowy z prostym ludem. – Uśmiechnął się. – No i wiesz...

– Wiem, nie może mnie zobaczyć. Do komórki?

– Nieee... – Skonfundował się jeszcze mocniej, co objawiło się tym, że lewą ręką orał szczecinę, a prawą drapał po karku. – Ja tu taką piwniczkę zrobiłem... Na wszelki wypadek. Tak, wiesz, jakby najechali Arkaszkę wrogowie. Rozumiesz? Nie będą pytali co i kto my jesteśmy, tylko dadzą w łeb łopata i do jeziora. Chodź, pokażę. Wszedł w krzaki, odgarnął przejście dla mnie.

– Nie łam gałęzi, żeby śladów nie było. Rzeczywiście, nie było ścieżki, krzewy rosły dość rzadko, ale bujnie, wystarczyło odgarnianie gałęzi, żeby gładko iść w zielonym tunelu. Gładko, znaczy, szedł Stiepanycz, ja odgarniałem gałęzie przeważnie twarzą, ale nie uświadczyłem tu głogu, nie było więc większego problemu. Po kilkunastu minutach wolnego marszu dotarliśmy do pagórka, który po odsunięciu sterty chrustu okazał się garbem ziemianki. Solidne, drewniane, od wewnątrz obite blachą drzwi, schody dopiero wewnątrz.

– Teraz nie wchodzi, bo po co, zobacz tylko, jak tu jest.

Osip zszedł, włączył światło, widać doprowadził kabel pod ziemią, i odsunął się. Zobaczyłem pobielone pomieszczenie z dwiema wąskimi kojami, przykrytymi szarymi wojskowymi kocami, regały z puszkami, pudełkami, pojemnikami. Stiepanycz z żoną mogli tu przeżyć niezłe oblężenie.

– Tylko palić nie wolno, żeby dymu nie było. Radio na słuchawki, antenę wyprowadziłem na drzewo. Telewizji nie ma. A wszystko inne jest – wiadra na... wiesz co, i tak dalej...

– Dobrze, kochany Stiepanyczu. Telewizji nie potrzebuję, palić nie będę. Będę grzecznie czekał na ciebie. Kiedy przeprowadzka?

– Co?

– Kiedy się przenieś? Już?

– Nie. To znaczy, Ksenia posprząta dom, a wieczorkiem, bo on wcześniej nie przyjedzie, zaprowadzę cię tu. A jakby...

– Jakby coś się działo wcześniej, to sam tu ucieknę. To jasne.

– No! – Ucieszył się, że nie musi brnąć w tłumaczenia. – Wracamy. Dasz radę?

– Dam. Doszedłem tu, to i wrócę. Słaby jestem, ale nie zdycham.

Ruszyłem pierwszy znaną już ścieżką. Za moimi plecami Stiepanycz zamknął drzwi,

zachrobotał maskującymi gałęziami, potem dogonił mnie.

– Słaby to człowiek jest nie z ciała, kochany, ale z ducha – powiedział. – W czterdziestym piątym gdzieś pod Łodzią, u was, moi dwaj koledzy poszli na wieżę kościoła zawiesić flagę. Na schodach spotkali starutkiego pastora czy księdza, nie wiem. Jeden kolega został na dole, bo nie chciał palić w kościele, drugi poszedł z pastorem na górę i nie ma go, i nie ma. Ten drugi poszedł po niego, patrzy – na schodach trup! Ten stary, suchy pastor wczepił się w gardło *sołdata* i go udusił! Młodego zdrowego *sołdata*! Ten drugi zatłukł go krzyżem, nawet nie strzelał, tylko zatłukł, na koniec wbił mu go w brzuch... – Milczał chwilę. – Wiesz, im bliżej końca wojny, tym bardziej było żal każdego zabitego. A tu jeszcze w taki głupi sposób...

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. W milczeniu dotarliśmy do mojego fotela. Usiadłem, nie bez pomocy.

– Herbatki się napijesz?

– A chętnie, tak. Mocnej zrobisz, Stiepanycz?

– Pewnie!

Zniknął w kuchni.

No dobrze, a co wiesz o broni, skoro ani o rybach, ani o muzyce, ani o medycynie czy elektronice nie wiesz nic? O broni... Cholera, wiem sporo...

Oddałem się powtórce z broni. Odkryłem tu znacznie więcej danych niż w innych szufladach, za dużo jak na przeciętnego obywatela, choć mogłem być zwyczajnym maniakiem. I chyba tak było, bo znałem tyle mało istotnych detali – naboje, łuski, warianty broni. Kto normalny przejmuje się porównaniem odmiany dwunasto strzałowej z dziewięciostrzałową?

– *Czaj* – oznajmił Osip. Przetawił bliżej mnie mały stolik i postawił na nim imbryk z porządną parzączą.

– Nadal bez cukru?

– Bez. – Powąchałem napar i łyknąłem. – Samowara już nie używasz?

– A idź ty! Zawracanie dupy. Co w tym takiego dobrego? Że niby smak inny? Akurat, woda dymem śmierdzi. Tyle, że można usiąść na trawie, pogadać, parę godzin zabawy.

Wypiłem herbatę do połowy i zmorzył mnie sen. Stiepanycz poszedł do komórki, coś tam sobie majstrował. Szczebotały ptaki, gdakały kury w ogrodzie. Sielanka...

W nocy, już w bunkrze Stiepanycza, obudził mnie koszmary sen. Klasyka, jak oceniłem, gdy serce przestało mi walić i wypłem dwa kubki zimnej wody, niby świeżej, ale z piwnicznym posmakiem. Sen miał standardowy przebieg: mroczny, zimny, wilgotny tunel, dudniący w uszach oddech kogoś niewidocznego, przeświadczenie, że jak czegoś nie zrobię, to stanie się coś złego. Poprzeczne tunele, z których czasem wyłaniała się czwórka okrutnie bezlitośnie roześmianych trzynastolatków, trzymających się za ramiona i wrzeszczących: „Hawajska osada bobslejowa!”. Za każdym razem uciekali przede mną i nie odpowiadali na

pytania. Potem stało się coś strasznego – za moimi plecami pojawił się Alien Gigera. Skamieniałem z przerażenia. Straciłem oddech, sparaliżowała mnie panika. I obudziłem się.

Teraz, po tym śnie, po tej zimnej wodzie, ze zwalniającym tętnem, pomyślałem, że to może być ślad, trop, wskazówka, ale co – podziemia? dzieciaki? Alien? Bobsleje?

Odrzuciłem nagle obudzoną ostrą chęć na papierosa. Tu nie było fajek i nie wolno było palić. Stop, papierosy na pewno są. Stiepanycz nie wytrzymałby długo, nie pozbawiłby siebie zapasu papierosów, ale wydało mi się podłe narażać go na niebezpieczeństwo, a nawet tylko go rozzłościć. Nie włączałem więc światła i nie robiłem przeszukania. Może zresztą Ksenia zrobiła to wcześniej i skuteczniej?

Siedziałem więc w kompletnych ciemnościach, w których nie widziałem swoich palców, choć wiedziałem, że niemal dotykają czubka nosa. I myślałem, myślałem, myślałem.

– No i dobrze zrobiliśmy – powiedział Stiepanycz rano, otworzywszy moją podziemną celę. – Przyszedł, *barin jobanyj, pjanyj w dosku*^{*}, gościńce przyniósł. Wódkę jakąś ze złotem... Na chuj mnie to, co ja zęby sobie złote będę robił? Ty lubisz takie?

– *Goldwasser*? Likier ziołowy. Nie, nie lubię.

– I ja nie. A on tak zawsze, co mu w pańskim chlewiku nie pasuje, przynosi nam. A to jakieś raczki małe, ledwo to gównu widać na talerzu, ale drogie niby, a to *limony mechate!* Ale co tu narzekać, przygarnął nas, i już choćby za to modlimy się za niego, a że dumny jest, to dumny. I już.

Wróciliśmy na podwórko. Zaszły tu pewne zmiany. Stiepanycz, biedak, musiał bardzo przeżywać, że swojego podopiecznego zesłał na noc do piwnicy – ustawił pod oknem pokoju stół z szopy chyba, na stole dumnie rozparł się duży telewizor, pewnie też stacjonujący normalnie w szopie. Nad stołem rozpiął daszek, żeby promienie słoneczne nie zakłócały odbioru. Kompletnie zwiślała mi telewizja, ale wzruszyła mnie jego chęć poprawienia mojego losu.

– *Job twaju mat'*, Stiepanycz – powiedziałem, już wiedząc, że w takim kontekście obrzydliwy trójczłonowy zwrot nie dotyczy obiektu, lecz jest wyrazem za chwytu. – Ty mnie rozpieszczasz.

– Dzisiaj ostatni mecz, *Zienit otchujarit moskowskoje Dinamo*^{*} i będzie czempionem Rosji. Popatrzmy sobie. Ksenia winka da, tobie też, nie bój się.

Zenit – futboliści z Pitra, to wiem, Dynamo Moskwa, jest jeszcze Dynamo Kijów, *Szachtior*, tam jakiś Polak grał czy gra... Dziwne, takie farfocle pętają mi się po głowie, a ważne dane nie.

To było dziwne uczucie – nie znałem siebie i zamiast panikować, miotać się, wrzeszczeć „Pomocy!”, spokojnie piję herbatę na dacy, w towarzystwie weterana drugiej wojny światowej. Jakbym przez cały czas myślał o kimś innym. A może to cwany mózg:

^{*} *Barin jobanyj, pjanyj w dosku* (ros.) – dziedzic jebany, pijany w dupę.

^{*} *Zienit otchujarit moskowskoje Dinamo* (ros.) – Zenit wpierdoli moskiewskiemu Dynamo.

„Wyłączyłem cię, bo byłeś w traumie, śmiertelnym zagrożeniu, na krawędzi życia i śmierci, musiałem, wybacz. Ale nie obawiaj się, spokojnie, jak trzeba będzie, podsunę ci to czy owo i znowu będziesz... No, kimś tam. Teraz ci nie podpowiem, za wcześnie, kochany. Wytrzymaj, złotko.”

Wzruszyłem w duchu ramionami, dodałem grymas powątpiewania, zakończyłem cmoknięciem. Mignęła mi myśl, że oszalały z bólu, może przerażenia mózg uprawia swoistą schizofrenię na własny użytek. Ja – tamten, nazwijmy go Antoni, zostałem przyśniony, wytłumiony, zepchnięty na drugi plan, a na jaw wyszedł drugi ja, zwany Bernardem, spokojny, opanowany, nieprzejmujący się poprzednim moim wcieleniem, Antonim, może nawet niewiedzący nic o jego istnieniu. W każdym razie teraz Bernard zawiadywał ciałem. A pytanie brzmi: jak długo Antoś będzie w piwnicy? Czy Benek w ogóle wypuści go, dopuści do ciała? Frapująca sytuacja. Niesamowita.

Jakież ja mam szczęście, że takie coś przeżywam, będę mógł wnukom opowiadać!

– Mój ręce, zjemy późne śniadanie. – Wskazał kciukiem za plecy.

Od chwili, kiedy zobaczyłem to ustrojstwo, ciekawiło mnie ono niezmiernie: cylindryczny pojemnik na słupku, z dołu wystaje pręt, Stiepanycz, powiedzmy, podchodzi, naciska ten pręcik i leci woda. Przystaje myć, przestaje płynąć woda. Żadnego zasilania, baterii, kurków... Pomaszerowałem we wskazanym kierunku.

– Jak to się nazywa? – zapytałem.

Odwrócił się i chwilę patrzył zdumiony, jakby nie potrafił sobie przypomnieć nazwy albo nie potrafił uwierzyć, że żyje ktoś, kto nie zna tego określenia.

– *Nu... rukomojnik!* – rzucił w końcu, trochę wstrząśnięty moją ignorancją. Aha, ładnie.

Zajrzałem od góry. No tak, ruchomy trzpień miał po prostu z grubsza kształt tłuczka do mózdzierza, podniesiony do góry rozszczelniał otwór w zbiorniku i płynęła woda, puszczone – układał się ciasno swoim „grzybkiem” w otworze i odcinał wodę. Zero baterii. Ale wodę trzeba było donieść ręcznie.

Umyłem ręce, wróciłem do stołu. W czasie gdy rozgryzałem budowę *rukomojnika*, na stole pojawiło się śniadanie. W stylu Ruś rustykalna: ogórki, pomidory, cebula, śmietana i *riażenka*, ser, kwas chlebowy, gruba sól, piekielnie ostra musztarda. I patelnia z pyrkającą i posyкуюcą jajecznicą. Nałożyłem sobie oszczędnie i nalałem *riażenki*.

– Co tak mało? – burknął Stiepanycz.

– Dołożę.

– A co ty, zły, że do komórki cię schowałem? – zapytał Stiepanycz, nie patrząc mi w oczy.

– Wcale. Niby czemu? Wypałem się tam całkiem dobrze.

– *Nu i charaszo*. Bo Ksenia cały czas kwasi, że ludzi po piwnicach kładziemy...

Omiał nie wymknęło mi się coś niewdzięcznego, ale wybawił mnie Osip, machnął ręką i powiedział:

– Nie dogodzisz ani tak, ani siak! Jedz!

Chwilę zmiataliśmy jajecznicę z talerzy, potem Stiepanycz, nakładając sobie gęstej śmietany, łypnął na mnie.

– Arkasza powiedział, że w telewizji usłyszał o tym, że wyłowili z Ładogi trupa jakiegoś zbira.

Mój widelec zawisł w powietrzu, chwilę przetrawiałem tę informację.

– Myślisz, że to się łączy ze mną?

Przyglądał mi się spod oka. Ogarnęła mnie pewność, że uważa moją amnezję za chytry wybieg: co ja? Ja nic nie pamiętam, ja niewinny, nic nikomu nie zrobiłem, a jak zrobiłem, to i tak nie pamiętam.

Ciało zbira. Może mojego kompana? Mojego wroga? Ale czy mógłbym go zabić, sam ugodzony o włos od nerki?

– Ja go zabić nie mogłem. Prędzej ktoś zabił nas obu – powiedziałem w końcu. Jajecznica nie wydała mi się już taka smaczna, za tłusta, za gorąca, wysuszona. Łyknąłem *riażenki*. – To z tej samej nocy, co ja?

Wzruszył ramionami.

– Może to być. Ja siedziałem w łodzi, przepłynęła w nocy inna, miała *elechtryczny* silnik, coś plusnęło. Potem było długo cicho, później plusnęło drugi raz i znalazłem ciebie. Tak sobie myślę... – Pokroił pomidora i zmieszał ze śmietaną, spokojnie i metodycznie, nie zauważając mojego zniecierpliwionego spojrzenia – ...że ten ktoś wyrzucił jedno ciało, potem ciebie. Więcej nic już nie słyszałem. – Włożył do ust ćwiartkę pomidora, przeżuł. – Łodzi na jeziorze nie ma, znaczy tak dużo. A tam, gdzie łowiłem, ciągle nurkują. Może ciebie szukają?

Znowu łypnął na mnie.

– Mógłbym wziąć łódkę i popłynąć tam... – bąknąłem. Tak czy owak, kiedyś i tak muszę zacząć działać.

– Nurkują *legawyje*, ale wcale nie muszą ciebie kochać. Nie boisz się?

– Boję... nie boję... Kiedyś będę musiał się stąd ruszyć...

Odsunąłem talerz i kubek, przysunąłem szklankę z mocną brązową herbatą.

– Kiedyś tak... Ale lepiej by było wydobrzeć do końca, nie? Czy do *tiurmy* trafisz, czy do pałacu, przydałoby się, żebyś tam wyżył, tak? A stąd nikt cię nie wypędza, ruszysz się, jak sam uznasz...

– Dobrze, dziękuję, Stiepanycz.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się lekko z pełnymi ustami. – Polubiłem cię, choć nawet nie wiem, jak do ciebie mówić. Nie wydaje mi się, żebyś był mordercą jakimś... – Zamyślił się głęboko, zmarszczył czoło.

– Chociaż teraz w telewizji i w filmach pokazują morderców takich gładkich, przystojnych, eleganckich, że już nie wiadomo, kogo się bać. – Odsunął talerz i westchnął, otarł usta wierzchem dłoni, zapalił. – Kiedyś życie było proste – bandzior był bandziorem,

inteligent inteligentem, milicja milicją. A teraz? Im kto miłszy i czystszy, tym bardziej z daleka się go trzymaj, *parień. Ech, żytucha**...

Zaczął sprzątać ze stołu. Wstałem i ja, i zacząłem przemierzać podwórko. Sonia obserwowała mnie chwilę, ale nie widząc zaproszenia do zabawy, ułożyła łeb na łapach i zagłębiła się w rozmyślaniach. Chodziłem godzinę o kulach, potem podszedłem do płotu, odstawiłem kule i chodziłem wzdłuż niego, od czasu do czasu chwytając się starych, poczerniałych sztachet. Spociłem się, mimo że trasa wiodła w cieniu. Ból w okolicy nerki odzywał się czasem, ale był to bardzo odległy krewny tego piekielnego bólu, jaki był moim udziałem wcześniej, kilka dni temu. Uznałem, że może nie powinienem wywoływać wilka z lasu, i wróciłem na fotel. Chwilę potem w ciszy i w cieniu zapadłem w sen.

Obudziło mnie szczeknięcie Soni. Jakiś łaciaty kot przymierzał się do skoku na jej pustą miskę. Obszczekany, zrezygnował i pięknym susem zapadł się w łopiany.

– Jak samopoczucie?

Odwróciłem się. Stiepanycz rozłożył mały warsztacik i wiązał właśnie ogromny hak do linki. Może wybierał się w nocy na ryby, uznawszy, że popłoch na jeziorze się skończył.

– Widzisz to? – Pokazał mi zwyczajną niedokończoną procę.

– Widzę, co to? – zapytałem, bo widocznie tego chciał.

– Żerlica. Najlepsze, co wymyślono. A to gotowa.

– Pokazał taką samą procę. Na widełkach miała równo owiniętą przemiennie linkę, koniec linki zakleszczony był w jednym z końców procy i kończył się dużym hakiem. Do rękojeści przywiązana była inna linka. – Przywiązujesz, bracie, żerlicę do gałęzi, wrzucasz do wody z żywcem albo robakiem i już. Okoń bierze robaka, szarpie, linka się odzepia i odpuszcza go, a gałąź działa jak wędka, amortyzuje szarpanie. Przychodzisz i wybierasz – zakończył z dumą.

– W Polsce tak nie wolno – powiedziałem. – To samołówka, kłusowanie.

– Kłusowanie... – powtórzył. – Nie rozumiem.

– No, nielegalne polowanie. Kto poluje bez zezwolenia, jest kłusownikiem.

– A! *Brakanjer! Paniatno*. U nas wolno, możesz w sklepie kupić żerlicę. Inną, gorszą i droższą.

– Co kraj, to obyczaj – powiedziałem, żeby coś powiedzieć. Ziewnąłem, przeciągnąłem się.

– Mogę zdjąć opatrunek na rękę? – zapytałem.

– Tak. – Zaczął zbierać swoje manele. Jakby się obraził za nazwanie go kłusownikiem. – Sam czy zawołać Ksenię?

I nagle zachichotał.

– Wiesz, że możesz kupić tylko osiem piw?

Uśmiechnąłem się uprzejmie. Śmieszne, tak. *Żart, szutka. Joke...*

* *Ech, żytucha* (ros.) – Ech, życie ty.

Otworzyłem usta i znieruchomiałem. *Szutka... żart... Ktoś kiedyś coś takiego powiedział. Ja? Do kogo?*

Wydawało mi się, że już chwyciłem koniuszek niteczki, którą dotrę do nici, a potem do szpagatu, linki, i – w końcu – do porządnego powrozu, na którego końcu będzie skrzynia ze skarbem. Trzymałem więc ten koniuszek w palcach, zacisnąłem oczy i usiłowałem pociągnąć ją, delikatnie, mięciutko, starannie.

– Skoro tak boli, to po co chcesz zdejmować bandaże? – usłyszałem.

Niteczka prysła. A może jej wcale nie było? Z trudem powstrzymałem się od przekleństwa.

– Nie, to w plecach boli – skłamałem.

– Aha.

Powędrował ze swoimi skarbami do szopy, a ja zacząłem odwijać bandaże. W końcu cała dłoń wyjrzała na światło dzienne. Widok nie był szczególnie miły. Kikuty i ich okolice, czyli niemal cała dłoń, pomalowane były na soczyście zielony kolor. Stiepanycz nazywał to zielonką, jakiś rosyjski środek antybakteryjny, lepszy podobno od jodyny. Na pewno nikt nie przegapiłby moich trzech palców, gdybym szedł ulicą. Nic to, będę szorował i zmywał. Ostrożnie obmacałem kikuty, niemal nie bolały. Zacząłem nimi ruszać, też nie wydarzyło się nic przykrego, ból odszedł. Chwilę ruszałem wszystkimi palcami, potem spróbowałem wiać do ręki kubek.

Dziwne, ale nietrudne. Przymierzyłem się do kilku innych czynności: chwyciłem ołówek, gazetę, solniczkę. Dało się. Wyglądało na to, że te palce lewej ręki nie odgrywają specjalnej roli w moim życiu. Poza *fuckiem* wszystko się udawało, ale co ze mnie za *fucker*, nigdy, nigdy... *Fucker?*

Znowu poczucie złapania niteczki. Znowu aż zapierające dech poczucie bliskości, możliwości rozwiązania, przewalenia się przez barykadę, po drugiej stronie wszystko jest jasne i proste. A przede wszystkim – znane. I moje.

Moje, moje... *fucker... szutka, żart, joke*. Co to jest? Gdzie związek? Jest związek? Dlaczego to ważne? Jezu, już to mam! Nie. Nie miałem.

Niteczka tylko mnie połaskotała i uciekła zwinnie. Mogłem się rozplakać ze złości.

Pomyślałem, że to dobry znak – coś do mnie wraca, coś kołacze w zablokowane strefy umysłu, stara pamięć puchnie, rozsadza ciemnicę, mury, chce się uwolnić, rozsiać wygodnie w mojej, pustej aktualnie puszczy mózgowej i...

– I jak?

Popatrzyłem na Stiepanycza, potem na dłoń, na którą popatrzył z kolei on.

– W porządku. Trzy piwa, osiem piw... – Pomachałem trzema palcami. – Tyle mi na razie wystarczy.

– Tego... – Pociągnął nosem. – Nie gniewaj się, głupio powiedziałem, stary *chrycz*...

– Przestań, Osipie Stiepanowiczu! Nie mam zamiaru się gniewać. To dobry dowcip i już.

Zawsze mnie śmieszył i teraz też. Co tam dwa palce, skoro zachowałem życie? No, powiedz?

– Taaa... No dobra. – Zerknął na zegarek i ruszył do domu, informując przez ramię: – Włączam telewizor, niech się rozgrzeje.

Włączył, nie musiał się rozgrzewać. Dobrych kilka minut spędził na regulowaniu obrazu, w końcu, usatysfakcjonowany, popatrzył na mnie.

– Dawaj, przeniosę twoje *kriesto*.

Do meczu było jeszcze dwadzieścia minut. Leciały jakieś reklamy, proszki, samochody, margaryny. Wyłączyłem się niemal całkowicie. Obmacywałem, jak umiałem, mury swojego umysłu, starając się znaleźć zamaskowane drzwi do pamięci. Niby patrzyłem na ekran, nie chcąc sprawić przykrości Stiepanyczowi, dumnie co jakiś czas zerkającemu na mnie. Uśmiechałem się wtedy i robiłem zadowoloną minę – wreszcie, jak cywilizowany człowiek, oglądałem telewizję. Do meczu zostało kilka minut, włączyła się jakaś młodzieżowa lista, poleciał klip jakiegoś disco kwartetu, melodyjny jazgot, rymy walące w łeb, choć w niezbyt znanym języku: *lublu – tierplu, s taboj – damoj, lubi mienia, kak ja tiebia...* Usiłowałem się wyłączyć i penetrować zakamarki mózgu, telewizor jednak walił dźwiękami. Na szczęście zmienił się wykonawca, typ muzyki, wściekle kolory klipu. Jakaś Zemfira ze swoją grupą, coś nostalgicznie i lirycznie szeptała, potem śpiewała, na końcu krzyczała.

– Nie lubię – przyznał się Stiepanycz. – Kiedyś piosenki były jak piosenki. Można było pośpiewać, potańczyć... Teraz tylko *żopami* kręć, dupami po waszemu. Z jednej spódnicy Kseni można by uszyć dziesięć dla takich jak one. Piszczą, miotają się... Tfu! – Splunął soczyście w trawę.

Właściwie podzielałem jego opinię niemal w całości. Wiadomo, kiedyś to były piosenki. Republika, Niemen, SBB, Perfect... No!

Zanim zdążyłem się rozczulić, ekran zajęła redakcja sportowa. Stiepanycz zatarł dłonie i śmiesznie podrygując, popędził do domu. Po chwili wrócił z litrową butlą wina i dwiema szklankami. Konspiracyjnym szeptem poinformował, że kolacja będzie w przerwie meczu. Nalał po szklance i rozsiadłszy się na krześle, zapomniał o mnie i reszcie bożego świata.

Mogłem udawać, że oglądałem zmagania dwóch futbolowych gigantów Rosji, a sam tłułem się z głową, w głowie, o głowę... Łyknąłem wina, mocna słodka berbelucha domowego autoramentu, ale kopna, już po minucie poczułem charakterystyczny syk w głowie. Trzeba się pogodzić z tym, że dziś już nic nie wygrzebię.

Oddałem się całej kontemplacji meczu. Grali chłopcy ambitnie i technicznie o niebo lepiej niż polskie orły. Dlaczego więc nie było ich na mistrzostwach świata? Pokrętnymi drogami chadza Nike...

* * *

W nocy dopadł mnie kolejny koszmar.

Leżałem na plecach, a nad głową kołowały ogromne łaciate, czerwonożółte liście z kolcami na brzegach. Przywalały mnie koszmarным stosem, nie zasłaniając tylko twarzy, stos jednak rósł szybko, zaczynał dusić, niebo widziałem tylko jak przez rurę. Nagle zrozumiałem, że to nie całun z liści, ale wilgotny piach, że leżę w mogile, zasypywanej nieustannie, rytmicznie, przez kogoś, kogo nawet słyszałem. W niewielkim otworze na górze pojawiła się czyjaś twarz. Uśmiechnęła się krzywo.

Rzuciłem się z całych sił, wrzasnąłem i od razu ziemia przygniotła mnie mocniej. Już nie mogłem się po ruszyć, zawylem...

– *Parień?! Ty szto?!*

Poderwałem się, omal nie uderzając czołem w nos Stiepanycza. Chrypiałem, chwytając powietrze przez zacopowaną spazmem krtań, z trudem i bólem. Serce łomotało, usiłując rozsadzić klatkę piersiową.

– Przyśniło się coś złego, tak? – Stiepanycz poklepał mnie po ramieniu, obejrzał się, sięgnął do stołu i podał mi szklanę z wodą. – Popij, ochłoniesz...

Wziąłem kilka oddechów, łyknąłem wody, obrzydliwej, cieplej, odstałej.

– Ale krzyczałeś! – Pokręcił głową gospodarz. – Chybaby cię Arkasza usłyszał, gdyby tu był. I wyłeś, i przeklinałeś kogoś. I po rosyjsku: *gawnianyj**, *gawnianyj!* I jeszcze coś, ale nie zrozumiałem. Myślałem, że za chwilę umrzesz na serce. Biegłem tu tak, że rozwalilem kolano o *taburietku*.

– Przepraszam – wychrypiałem. – Już dobrze. Już... I tak nie pamiętam, co mi się śniło.

– Dobra, no to idę spać. Dopiero czwarta z hakiem.

– Ja się przejdę na podwórko, uspokoję się.

Skinał głową i wyszedł. Chwilę potem przemaszerowałem przez oświetloną księżycem i elektronicznym zegarem kuchnię. Zgarnąłem po drodze papierosy Stiepanycza.

Przecież ja, Kamil Stochard, palę. Rzucam i walczę, nawet z pomocą epapierosów, ale z marnym skutkiem. Kamil Stochard. Trzydzieści trzy lata, chrystusowy wiek, pesel – 770322, zamieszkały we Wrocławiu... Lubię Martella, audycje Manna i nie umiem gwizdać bez palców w ustach. I nie *gawnianyj*, tylko *guimony!*

Bez najmniejszego wysiłku, bez efektów specjalnych, bez zawrotów głowy, jakie towarzyszyły Bourne'owi, odzyskałem całość swojej pamięci. *Guimony*, Petersburg, Sukonin. *Zemfira*...

Teraz, dopiero teraz dopadła mnie telepka. Z trudem wygarnąłem z paczki papierosa i zapaliłem. Dygotały mi palce i mrowiło. We wszystkich dziesięciu! Popatrzyłem na lewą rękę. Topór opadający na dłoń, wykrzywiona z nienawiści morda... *Igariochy?* Zrobiło mi się zimno i jednocześnie zlał mnie gorący pot. Wszystko, wszystko wróciło. Odetchnąłem kilka razy, otarłem pot z czoła. Odłożyłem papierosa i przetarłem całą twarz rękawami piżamy. Chwyciłem papierosa, ale okazało się, że lewa ręka mało się przydaje palaczowi – zamiast

* *Gawnianyj* (ros.) – gówniany.

utrzymać go między wskazującym i trzecim, zrzuciłem go na wilgotną trawę. Podniosłem, wzbudzając falę dość mocnego bólu w ranie na plecach, zaciągnąłem się, starając się nie zwracać uwagi na klucie. Dopaliłem go, wypaliłem jeszcze jego brata, kuzyna i dwóch bratanków.

Przegarnąłem się przez zwały uśpionych dotąd myśli. Rzuciły się na mnie ochoczo, jak stęsknione, wynudzone szczeniaki, kasały, przymilały się, skubały, piszczwały. Kotłowanina trwała tak długo, że zacząłem obawiać się, czy mózg znowu nie wyłączy pamięci. Wstałem i przespacerowałem się po podwórku. Niewiele pomogło.

Zapaliłem jeszcze jednego, skoncentrowałem się na obrzydliwie piekącym gardle, zmusiłem do myślenia o uciętych palcach i ranie na plecach.

Uświadomiłem sobie, że tak jak mnie Igariocha, Posoka dźgnął Jerzego. Tylko że on trafił.

Odrzuciłem wspomnienia. Skoncentrowałem się na dniu dzisiejszym. Co robić, jak to zrobić, kiedy... Teraz.

Posiedziałem długą chwilę, wpatrując się w ciemne okna kuchni i pokoju gospodarzy. Chyba zasnęli, przynajmniej nie sterczeli w oknie. Przespacerowałem się jeszcze kilka razy. Podczas kolejnej rundy, gdy okno ich sypialni zniknęło mi z oczu, cicho zakradłem się do kuchni i wyniosłem z niej telefon. Zwyczajny jakiś siemens. W szopie Stiepanycza włączyłem światło, znalazłem śrubokręt krzyżowy i rozkręciłem słuchawkę. Tak jak myślałem, słowiańska dusza i słowiańskie umysły – Arkaszka zrobił to samo, co pewien kierownik sklepu, by ograniczyć używanie służbowego telefonu: podłożył kawałki grubego papieru pod wszystkie cyfry poza wybranymi. Polak zostawił dziewiątkę, ósemkę i siódmkę, Arkasza – zero, jedynekę i trójkę. Wyłuskałem tekturki, skręciłem słuchawkę, nacisnąłem przycisk połączenia. W słuchawce rozległo się przeciągłe buczenie. Wystukałem numer do Sukonina. Czekałem chwilę.

– Tak? – Nie był za bardzo zaspany.

– To ja – powiedziałem po polsku. Na wszelki wypadek bez imion. Zapadła cisza, ale taka mięsista, taka wypełniająca przestrzeń i gotowa eksplodować przy najmniejszym dotknięciu. Ogromny balon wypełniony wrzącym kwasem. Pęknie przy pierwszym niedbałym dotknięciu.

– Nie mogłem wcześniej, chciałem, ale nie mogłem.

– Przyjechać po ciebie? – zapytał spokojnie. Spokojnie?! – Gdzie?

– Przyplłynąć.

Usłyszałem świst w słuchawce, wciągnął powietrze. Przez zęby?

– Tak? Gdzie?

Usłyszałem klikoty, wystukiwał drugą ręką jakieś numery w innym aparacie.

– Musisz wśród pałaców nad Ładogą znaleźć *usad'bę* niejakiego Arkaszy. Szemrany biznesmen, może nowy Ruski. Rozumiesz?

- Szemrany?
- Nie do końca legalny.
- Tak, coś jeszcze?
- Przy płyn bez hałasu. Płynąc, mrugaj latarką...
- Czeka! – przerwał mi. – Ty nie możesz?
- Mogę. A jak przy płynie kto inny?
- Dobrze... Poczeka. – Usłyszałem, że wydaje jakieś polecenia do drugiej słuchawki. –

Tak. Mrugam tyle razy, ile było pokoi w twoim mieszkaniu w Pitrze. Tak?

- Tak. Cztery.
- Czeka. A, czeka! Jesteś?
- Tak.
- Weź ze sobą pieniądze. Dużo. Ze cztery przeciętne emerytury.
- W rublach? – zapytał bezradnie.
- Tak.

Rozłączyłem się. Powkładałem tekturki na swoje miejsca. Chwyciłem kawałek papieru i ogryzek ołówka. Nabazgrałem „СПАСИБО! ДИЖКУЖЕ!”.

Słuchawkę włożyłem do kieszeni piżamy, razem z podziękowaniem, latarkę Stiepanycza włożyłem pod pachę i pokuśtykałem możliwie chyłkiem w kierunku domu. Papier zostawiłem na stole, przycisnąwszy go słuchawką, zabrałem papierosy i powędrowałem na brzeg.

Ścieżka nie była specjalnie trudna, latarka pomogła, ale i tak do jeziora dotarłem kompletnie mokry. Zwaliłem się na pomost, leżałem kwadrans. Złapałem oddech.

Potem wstałem i wróciłem w krzaki, usiadłem na mokrej od rosy trawie i zapaliłem. Już pamiętałem, żeby trzymać papierosa w palcach prawej dłoni.

Zrobiło się jaśniej, właściwie kompletnie jasno. No tak, białe noce coraz bliżej. Zimno. Przepocona piżama ziębiła ciało, ale już nie mogłem wracać po swoje ubranie. Więcej – nasłuchiwałem, czy Stiepanycz nie zacznie mnie szukać, wtedy musiałbym z nim rozmawiać, a nie chciałem. Nie chciałem, żeby się bali, że Arkaszka jakimś cudem dowie się o mnie, że zaczną się bać zemsty, zmiany w życiu. Nie powinni mieć z mojego powodu traumy. Obiecałem sobie, że nie będą mieli. Niechbym miał postawić na szali swoje życie.

Coś zaszeleściło w krzakach, zacisnąłem zęby, ukryłem papierosa w muszli dłoni, pożałowałem, że nie wziąłem z łodzi jakiegoś drąga, ale czy udźwignąłbym go? Szelest ustał, ale na ścieżce pojawiła się Sonia. Machała ogonem i majtała jęzorem: Aha, wreszcie idziemy na spacer, co?

Pocmokałem cicho, przytuliłem ją i zacząłem głaskać. Ucieszona, zwała się obok mnie i podstawiła brzuch. Głaskałem ją i czochrałem przez godzinę, potem usłyszałem plusk, wyłoniłem się z krzewów i patrzyłem na taflę jeziora. Płynął ponton, w perspektywie jeszcze cztery. Pierwszy mrugnął cztery razy mocnym reflektorem. Odczekałem chwilę. Jeśli ktoś nas podsłuchiwał i miał możliwości, mógł przy płynąć tu przed Sukoninem, ale czy zdołałby

zmobilizować cztery elektrycznie napędzane pontony? Łódź zbliżyła się do brzegu. Na dziobie stał wysoki mężczyzna, trzymał w ręku reflektor i co kilka sekund posyłał w stronę brzegu serię czterech błysków.

Konstanty Sukonin. Podniosłem swoją latarkę, błysnąłem cztery razy. Wszedłem na wąty pomost Stiepanycza. Pewnie jakiś przyuczajony snajper mógłby mnie zdmuchnąć bez trudu, ale ryzyko należało podjąć. Ponton gwałtownie skręcił, runął w moim kierunku. Napęd musiał mieć piekielną moc. Chwilę potem Sonia zaniepokoiła się, a jednostka zaczęła kontrować silnikiem, potem z oszałamiącą zręcznością przytuliła się do pomostu. Czekałem. Sukonin wyskoczył na pomost, zakołysali się, i konstrukcja, i on. Dopadł mnie i zamknął w twardym uścisku.

– Ostrożnie – burknąłem. – Plecy!

– *Idiom! Idiom na chuj atsiuda!**

– Nie, jest jeszcze jedna rzecz. Masz pieniądze?

– Trzeba zapłacić? Mam. Wyszarpnął z kieszeni nowiutki portfel.

– Zapłacić? – Pokręciłem głową. – Nie mamy tyle, ale trochę możemy. Daj to jednemu ze swoich, niech cicho podejdzie do domu. Na stole na podwórku leży słuchawka, niech położy obok i ucieka.

Sukonin machnął ręką. Krępy wążacz migiem pojawił się przy nas. Poinstruowany, bezszelestnie zniknął na krętej ścieżce. Trzymałem podenerwowaną Sonię i głaskałem ją dopóty, dopóki nie wrócił i skinął głową na znak, że wszystko w porządku. Ucałowałem Sonię w łeb, pchnąłem w kierunku domu.

– Teraz możemy iść.

Udało mi się wejść na pokład. Jeden z ludzi Sukonina narzucił na mnie koc, drugim otulił mi nogi. Silnik zabuczał i runęliśmy z zadartym dziobem przez taflę jeziora.

– Papierosa? – zapytałem. Miałem w paczce jeszcze trzy sztuki. Sukonin wziął jednego, zapaliliśmy. – Zemfira? – rzuciłem w przestrzeń przed sobą.

– Nie żyje. Znaleźliśmy ją, zastrzelona. I drugie ciało. – Popatrzył na moją lewą dłoń. – Tak myślałem... Myślałem, że odcięli ci całą dłoń.

– Tylko... zastrzelona? – zapytałem cicho.

Milczał chwilę, zbierał się do odpowiedzi, którą znałem.

– Złamany kręgosłup.

– Strzelał do niej już martwej.

Pokiwał głową. Długich kilka sekund zmagał się ze sobą. Nie wiem, czy chciał mi dać w pysk, czy huknąć pięścią w ławkę, czy rozpląkać się... Odetchnął głęboko.

– Już... – powiedział. – Na razie tyle. Dobrze, że tobie się udało.

– Tak, udało mi się... – Szukałem chwilę w głowie rosyjskiego słówka. Udało się znowu, pasmo fartu.

* *Idiom! Idiom na chuj atsiuda!* (ros.) – Idziemy. Spierdalamy stąd!

– *Pawiezło*. I dłoń zachowałem, i życie... Ale nie takim kosztem...

– Cicho. Pogadamy w domu.

Pół godziny później dygotałem (z zimna? emocji? strachu?) w pędzącej na syrenie karetce. Dwóch lekarzy podłączyło mnie do kilku kroplówek i teraz zabawiali się moją raną. Nie czułem bólu, zimna. Czułem tylko głęboką, pełną i dojmującą nienawiść. Postanowiłem postawić na nią. Nie na obowiązek, poczucie godności, męski honor... Nie. Nie nienawiść ale Nienawiść! Niezaspokojoną aż do zaspokojenia. Nie do zaspokojenia!

* * *

Kilka godzin w znanej mi już specklinice nieco mnie zmęczyło. Kręciło mi się w głowie, pościłem się, dzwoniło mi w uszach...

W moim pokoju nic się nie zmieniło, poprosiłem, żebym przez kwadrans mógł zostać sam. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu z notesem w rękę i papierosem w ustach. Piszemy:

1. *Komórka.*

2. *Stiepanycz.*

3. *Broń – już bez żadnych wykrętów!!!* Podkreśliłem „bez” i pisałem dalej:

4. *Wyniki śledztwa w sprawie Igariochy i kompana.*

5. *Wyniki śledztwa w sprawie sekty i jej przywódców, duchowomentalnych i rzeczywistych – guimonów i Fn'thala/Fn'thali?*

6. *Zasięg działania sekty; może w poszczególnych rejonach Rosji będą się od siebie różniły maskowaniem, ze względu na specyfikę okolicy.*

Odsunąłem notes i przyjrzałem się krytycznie zapiskom. Zamieniłem miejscami punkty trzeci i drugi. Stiepanycz był ważniejszy od broni, a moje punkty były wyraźnie zhierarchizowane, od najmniej ważnych do najważniejszych.

Wyrzuciłem niedopałek. Przeczekałem mrowienie w koniuszkach palców, uśmiechnąłem się, nie czując mrowienia w dwu odciętych. Może i lepiej, bez żadnych bólów fantomowych? Wziąłem szybki prysznic, przebrałem się w komplet czystego odzienia, wyszedłem z pokoju. Na korytarzu czekał, nie wiadomo od kiedy, Sukonin.

– Generał Jarcew już jest, idziemy? Dasz radę?

– Tak.

– Lekarze raczej nie pochwalają naszego optymizmu. – Ruszył pierwszy, mówił przez ramię. – Znasz sytuację, nie możemy sobie pozwolić na spokojne śledztwo. – Zabrzmiało to jak prośba. Niepotrzebnie.

– Nie mam zamiaru prowadzić spokojnego śledztwa. Musimy rozpierdolić to gniazdo guimonów. I nauczyć się, jak nie dopuszczać do ich odradzenia.

Dlaczego w swoim kraju nie mogłem zaproponować takiego działania? Dlaczego nie możemy my, Polacy, rozgniatać guimonów i ich szefów? – pomyślałem. Dlaczego tu wierzą

własnym oczom, a w ojczyźnie wszyscy rzną głupa?

– Tak! – potwierdził ochoczo. – W pokoju – rzucił, nie dochodząc do kuchni.

I dobrze. W kuchni od razu rzuciłbym okiem na krzesło, na którym zawsze siedziała Zemfira, krzesło gospodyni: blisko lodówka, kuchenka, zaparzarka, i ochroniarza – między mną i drzwiami, z widokiem na okno.

Nie tyle poczułem, ile usłyszałem zgrzyt szkliwa na zaciśniętych zębach.

W salonie, w którym nigdy wcześniej nie urzędowaliśmy, siedział przy stole generał Jarcew. Z prawej strony miał laptop z dużym, chyba siedemnastocalowym ekranem, przed sobą dwa notatniki, zwykłe biurowe, ze spiralami z drutu, niewymagające trzymania, żeby się nie zamykały po każdym zapisanym słowie. Generał popatrzył na mnie i skinął głową.

– *Zdrastwujtie!* – powiedziałem. Skinął ponownie głową, nie odzywając się. Obrażony?

Usiadłem, położyłem swoją kartkę na stole. Sukonin zamknął drzwi.

– *Wada? Czaj? Kofie?*

Pokręciliśmy zgodnie przecząco głowami,

Jarcew i ja. Kostia puścił klamkę i dosiadł się do stołu.

– Chcesz coś powiedzieć? – zapytał mnie, wzrokiem popychając kartkę.

– Tak. Mam kilka mało ważnych spraw, więc chcę je wyrzucić z pamięci, póki mogę, i potem możemy przejść do najważniejszych. Tak więc... Po pierwsze: moja komórka. Nie znaleźliście jej, jak się domyślam? Sukonin pokręcił głową.

– No to musi zostać zablokowana, i to migiem.

– Nie – odezwał się generał. – Nie masz racji. Ta komórka musi pozostać aktywna, a my będziemy czekać, aż zostanie użyta. To jeden z naszych tropów.

– Słusznie, dobrze. Idiota ze mnie. W takim razie poproszę o jakiś inny telefon.

Sukonin nawet nie zakonotował mojego żądania, jakby manifestował, że takie rzeczy „załatwia się u nas w ćwierć minuty i na szczeblu portiera”.

– Po drugie, Osip Stiepanowicz, mój zbawca, i jego żona. Zostali kilka lat temu wyrolowani przez jakiegoś skurwysyna z pomysłem na ograbianie biednych, zagubionych prostych ludzi. Stracili mieszkanie, emerytury i kilka lat życia...

– Rozumiem – przerwał mi Sukonin, skrobął coś w swoim notesie.

Chciałem jeszcze trochę pogadać o Stiepanyczu, ale skoro przerwał, to trudno. Ale jedno jeszcze musiało być wyjaśnione.

– Ten Arkaszka, który ich zatrudnił. Uratował ich od nędzy, ale nie wiem, co to za typ. Nie chciałbym, żeby przypadkiem teraz mu coś odbiło, że są niewdzięczni czy cokolwiek w tym stylu. Jeśli trzeba, to musi być świadomy, że oni są pod bardzo dobrą opieką. Czy go postraszyce, czy poprosicie – wasza sprawa. – Sukonin popatrzył na mnie chyba z politowaniem. Trudno.

– Trzy. Muszę mieć broń, oczywiście formalnie bezpieczną, żebym się nie musiał kłaść na asfalt przed każdym posterunkowym. Bez tego nie ruszymy dalej.

„Zresztą, wszystkie moje warunki MUSZĄ być spełnione!” – chciałem powiedzieć, ale uznałem, że postaram się zaliczyć egzamin z koncyliacji.

– Rozumiem. – Tym razem zerknął na przełożonego. Ten nie drgnął nawet, ale jakiś sygnał poszedł, bo Konstanty od razu oznajmił: – Nie widzę problemu.

– Cztery – muszę znać wyniki śledztwa w sprawie tego Igariochy i jego kumpla. Jeden z nich jest trupem, taki chudszy, jakby trawiony grzyźlicą... Sukonin pokiwał głową. – Wszystko o sekcje i jej organizatorach, o przywódcach formalnych i tych rzeczywistych...

– Jasne.

– ...i pączki naszej sekty – uzupełniłem z naciskiem.

– Co masz na myśli?

– Że odnogi i klony zapewne będą w całej Rosji, ale mogą się różnić nazwami, pozornie różnymi obrzędami i tak dalej. Po prostu trzeba wziąć pod lupę sekty, wszystkie, i wyłuskać te, które mogą być podatne albo założone w znanym celu.

Przypomniałem sobie coś.

– Informacje o pracach nad zamiennikiem albo ekwiwalentem alsternu – rzuciłem, patrząc na kartkę.

– Bez problemu – machnął ręką Sukonin. Widocznie nic się nie działo albo do niczego nie doszli.

– To tyle – powiedziałem, złożyłem kartkę i schowałem do kieszeni.

– Dobrze. Komórka za chwilę. Teraz Osip Stiepanowicz i jego sprawa – za kilka godzin już coś będzie wiadomo. Broń, jak powiedziałem, bez problemu. Co do Igariochy... Znaleźliśmy w jeziorze ciało chudzielca, to znany milicji drobny gnojek, Siergiej Wierieluchin. Jeśli chodzi o Igariochę, to pewnie jego kumpel Igor Sawrasow. Znalezione w rowie ciało, niemal oderwana, ukrecona głowa, w kieszeni nóż z twoją krwią i krwią Wierieluchina. Co tam się działo?

Boże, musieliśmy do tego wrócić. Wiedziałem o tym i szykowałem się do tego od kilku godzin, ale to nie poprawiło mi samopoczucia.

– Może łyżeczek jakiegoś koniaku? – poprosiłem. – I herbatę? Mocną?

Kostia odłożył długopis i wyszedł do kuchni. Musiał tam ktoś być, bo wrócił po minucie. Przez ten czas generał wpatrywał się na zmianę w podłogę i we mnie. Ja patrzyłem w okno. Gdy kapitan usiadł, odchrząknąłem, ale odczekałem jeszcze chwilę – do pokoju wszedł młody energiczny cywil z tacą, na której stały trzy koniakówki i butelka z czarnozłotą nalepką. Postawił tacę na stole, nalał do kieliszków złocistobrunatnego płynu i podał z szacunkiem generałowi, potem Sukoninowi i mnie. Łyknąłem. Chwilę potem mężczyzna zameldował się z drugą tacą, wziąłem sobie herbatę, generał też, Sukonin zrezygnował.

– W nocy obudziłem się z pomysłem, który chodził mi po głowie od naszej wycieczki do osady. Nie potrafiłem się przemóc, wziąłem twój samochód, kluczyki wisiały w przedpokoju. Zemfira je tam... No, wziąłem samochód i pojechałem. Zostawiłem go przed osadą, to

wszystko wiecie, kluczyki, jeśli nie zostały znalezione, przykleiłem gumą do żucia nad kołem.

– Znaleźliśmy, nie martw się.

– Było cicho i ciemno. Obszedłem te budynki, które wyglądały na używane, nie było w żadnym świątla, nic się nie ruszało, na pomoście też cisza. Miałem poczucie, że nasza wizyta naruszyła w jakiś sposób panujący tam układ.

– Układ? – zapytał generał.

– *Pałaženije* – szybko przetłumaczył Sukonin. – *Sistiema. Abstanowka.*

Generał skinął głową.

– Wszedłem najpierw do świątyni, była otwarta, paliło się kilka świec i kaganków, pusto. Tylko z głośników dochodził szum fal. Nie wiem, czy to było nagranie, czy jakieś mikrofony przenosiły dźwięk z jeziora, nieważne. Pokręciłem się chwilę, znalazłem drzwi niezamknięte na klucz, skorzystałem z nich. – Łyknąłem z kieliszka. Odetchnąłem. – Tam był korytarz, kilkoro drzwi, wszystkie otwarte. Cztery zwyczajne pokoje, jak w tanim hotelu, bez telewizorów. Piąty to było biuro, jakby biuro: stare metalowe szafy na segregatory, zamknięte na potężne kłódki, nie zmocowałem żadnej. Biurko, dwa telefony. Śmierdziało czymś, zgniłą wodą, szlamem? Przy biurku nie było krzesła, pamiętam, że mnie to zdziwiło. Wszystkie szuflady i komory biurka zamknięte na zamki drzwiowe, patentowane. Zrobiłem komórką zdjęcia. – Łyknąłem znowu, tym razem żeby ukryć, że coś ukrywam. – Odwróciłem się tyłem do drzwi i zostałem ukarany. Ktoś założył mi dźwignię na szyję, przytrzymał, aż straciłem przytomność. Ocknąłem się w piwnicy, przymocowany taśmą klejącą do fotela dentystycznego czy jakiegoś innego. Najpierw myślałem, że jestem sam, po chwili przekonałem się, że w piwnicy jest dwóch bandziorów, jakieś fiszki. Po kilku minutach pokazali mi przywiązaną do krzesła Zemfirę. Teraz myślę, że milczała, żeby nie zwracać na siebie uwagi, pracowała nad uwolnieniem rąk. Wyglądali żałośnie, gnojki... Obiecywali nam kiepskie życie, takie gadanie jak zwykle, ale... Zorientowałem się dopiero po chwili, że czekają na kogoś. Kogoś znaczącego, mówili o nim z szacunkiem i strachem. I ten ktoś przyszedł... może po półgodzinie... Ubrany w błazeńską sutannę, nos jak kalarepa, egzema na pysku...

– Co to kalarepa? – zapytał Sukonin. Generał też się poruszył, obaj nie znali tego warzywa, a ja nie wiedziałem, jak się ono nazywa po rosyjsku.

– Jak... rzepa? Bulwa?

– A! Skinęli jednocześnie głowami.

– Wiecie, że Zemfira przyklejała sobie tytanowe tipsy?

Wymienili spojrzenia. Nie zrozumiałem, o co im chodzi: nie chcą ujawniać sekretów rosyjskiej milicji czy nie wiedzieli, że pani porucznik ma ciągoty do bondowskich gadżetów.

– Udało jej się uwolnić. Nie wiem, czy nie mogła wcześniej, czy nie chciała, w każdym razie dopiero gdy pojawił się ten guimon, skoczyła na niego, przy okazji chlasnęła tytanowym

szponem po moich pętach na rękę, potem wydlubała mu oczy...

– *Stoj, stoj! Niczewo nie panimaju!* – przerwał mi Jarcew.

Sukonin szybko streścił mu po rosyjsku moją relację. Jarcew zacisnął usta.

– Mnie się udało zedrzeć taśmę z ręki, wyszarpnąłem toporek jednemu i trafiłem go w pierś, tego chudego, Gruzlika.

– Tak, jego ciało znaleźliśmy w wodzie, został trafiony w pierś, czyli to twoja robota, potem podejrzięto mu gardło.

– To już nie ja, to jego kompan. Taki z dużym brzuchem, Igariocha...

– Którego potem ktoś zdemolował i cisnął do rowu.

– Guimon. Ale nie taki zwyczajny, jakiś Fn'thal? Nie wiem! – Wzruszyłem ramionami. – Może jeszcze jakieś inne kurewstwo. W każdym razie jej atak nie przyniósł spodziewanego efektu, guimon w pewnej chwili oderwał ją od siebie jak kociaka i cisnął pod ścianę, i to było... – Musiałem chwilę odczekać, żeby móc łyknąć koniaku. – Strzelił do niej dwukrotnie, z jakiegoś dziwnego pistoletu, chyba to była jej broń...

– PSS. Specjalne pociski, zamykające się po strzale, stąd brak dźwięku. – Popatrzył na generała. – *Ja znał, szto u niejo jest' takoje aruźje, winowat...**

– *Da pust' by wzięła s saboj daże katiuszu, lisz by... prażyła...** – Generał huknął pięścią w stół i zaraz się opanował. – *Szto dalsze?* – zapytał głosem, z którego nietrudno było wyekstrahować wściekłość.

– Potem kazał załatwić mnie... A przedtem zabrać sygnet. – Odruchowo spojrzałem na lewą dłoń, drgnęła, gdy równie odruchowo chciałem ją ukryć i nie ukryłem. – Szamotaliśmy się chwilę, w ruch poszedł toporek, a niedługo potem ten z brzuchem dźgnął mnie z tyłu nożem. – Dopilem swój koniak, wstałem, ale wyprzedził mnie Sukonin, który nie wiadomo jak i kiedy, również dopił swój alkohol.

Generał podziękował przeczącym ruchem głowy. Usiadłem, Kostia nalał, podał mi i usiadł również.

– Ocknąłem się u Stiepanycza, z amnezją. Nic nie pamiętałem: ani jak się nazywam, ani skąd się tam wzięłem. Z tego, co mówił Osip, kłusował trochę w nocy, usłyszał cicho płynącą łódź, przyczaił się. Usłyszał plusk, potem drugi, ten drugi to byłem ja. Widać zimna woda nie zaszkodziła, a nawet pomogła, wyżyłem. Dzięki jego żonie, oczywiście. Wyżyłem, ale zresetowany, bez wiedzy o swoim poprzednim życiu. Po tygodniu coś mi zaczęło w głowie błyskać, pojawiały się urywki myśli, sugerujących, że coś jeszcze w głowie, w pamięci jest. Sny... Ostatniego dnia doszły jeszcze inne bodźce, w telewizji zobaczyłem piosenkarkę Zemfirę, coś jeszcze, nie pamiętam, może inną piosenkarkę, obwieszoną srebrem? W nocy obudziłem się przerażony i wyposażony w pełnię pamięci. Pamiętałem numer do ciebie – zerknąłem na Sukonina – adresy, wszystko. Także to, jak zginęła Zemfira... Reszta już była

* *Ja znał, szto u niejo jest' takoje aruźje, winowat...* (ros.) – Wiedziałem, że ma taką broń, moja wina...

* *Da pust' by wzięła s saboj daże katiuszu, lisz by... prażyła...* (ros.) – A niechby wzięła ze sobą nawet katiuszę, byle.. przeżyła...

banalnie prosta...

Zapadła cisza. Oddałem milicjantce hołd, milcząc ćwierć minuty.

– Osada spłonęła, tak?

Sukonin skinął głową.

– Osip mi powiedział – dodałem, manifestując pełnię współpracy – że kupa łodzi przeczesywała jezioro i że o świcie tego dnia, kiedy wyciągnął mnie z wody, spaliła się stara rybacka osada.

– Tak. Zanim odkryliśmy, gdzie was szukać, ktoś przejeżdżający drogą zobaczył ogień i zaalarmował straż pożarną.

– I potem?

– Potem... – Zatarł dłonie, jakby mu koniak je wyziębził. – Jak powiedziałaś: przeczesaliśmy jezioro. Znaleźliśmy Zemfirę i drugie ciało. Po ugaszeniu pożaru znaleziono w rowie trzecie zwłoki. Samochody, twój, znaczy mój, i Zemfiry odkryliśmy, rzecz jasna, wcześniej. Od razu zaczęliśmy działać dwutorowo: jedna grupa ruszyła na poszukiwania członków tej, powiedzmy, sekty, druga poszła tropem Wierieluchina i Sawrasowa. Co do sekty – nic na razie nie mamy, siedemdziesiąt kilka osób przesłuchanych, przetestowanych srebrem, nic. – Króciutka pauza, mikrowahanie w głosie dało mi do myślenia. – Druga grupa ma ciekawsze wyniki. Otóż rok temu ktoś dokonał rzeczy niemal nieprawdopodobnej: zabił jednego ze stu czterdziestu siedmiu... nie wiem, jak to po polsku... Znasz takie określenie: *wor w zakonie*?

– Najwyższe bandyckie autorytety?

– Tak – ucieszył się. – Mamy ich stu pięćdziesięciu, nietykalni. A jeden z nich, taki absurdalnie pilnujący swego życia, Musa Sasretdinow, mieszkający w kilku willach, zmienianych bezładnie, pilnowany przez cały pluton, został po prostu rozszarpany na strzępy. Tak samo jak jedenastu z jego żołnierzy. Teraz już jakby łatwo przypisać tę jatkę guimonowi, wtedy, rok temu, jeszcze nam takie coś do głowy nie przychodziło. Tak więc Sawrasow i Wierieluchin nie byli ochroniarzami Musy, tylko jego kurierami. *Gruppirowka* Musy jakby rozpadła się, jej członkowie w panice rzucili się do innych bandyckich formacji, szukając tam ochrony, albo niemal na oślep ruszyli we wszystkie strony Rosji i WNP. Przypominam sobie, że był jeden cichutki głosik, że ktoś przejął jądro grupy, ale ten głosik szybko stracił głos, gardło i głowę i wszystkie nici się zerwały.

Znowu rozgościł się w pokoju niezapraszany gość, cisza. Przypomniałem sobie wahanie w głosie Sukonina.

– Powiedziałeś, że siedemdziesięciu członków sekty zostało przesłuchanych. To wszyscy?

– Zuch! Trafia w dziesiątkę! – zachwycił się Kostia, wskazując mnie kciukiem i patrząc na generała. Odwrócił się do mnie. – Nie ma dwudziestu kilku osób, prawie trzydziestu, szczerze mówiąc. Połowa z nich już sprawdzona, zniknęli w ostatnich dniach. Wygląda to

różnie, w zależności od wielkości rodziny. W przypadku osób samotnych puste mieszkania, w dwóch nawet zwierzaki oszalałe z głodu, w innych przypadkach nie ma ojca od tygodnia i nikt nie wie, gdzie może być, albo matki nie ma, albo ojca i matki, a dzieci same zostały. Wszystkich ludzi, których mogłem, rzuciłem na poszukiwania tych zaginionych, i jedną grupę, żeby sprawdzała resztę adresów.

Generał Jarcew wydał z siebie jakieś chrząknięcie, znaczące przynajmniej dla Kostii.

– Więcej ludzi dać nie możemy, ciągle ten cholerny pociąg ma priorytety. – Przełożył na zrozumiały dla mnie język Sukonin. – Góra i tak nie wie, co tak na prawdę się u nas dzieje...

– *Pan Kamil, wy mienia ponimajecie?* – odezwał się nagle i dość ostro Jarcew. Jakby znudził go werbalny kontredans i postanowił przejść do rzeczy, sedna i kwintesencji. Mówił po rosyjsku, ale wolno i wyraźnie. Zresztą, może zawsze tak mówił, a nie tylko na mój użytek, nie odzywał się przy mnie wcześniej zbyt często. – *Waszy szefy* nie dlatego pana odsunęli i wysłali do Wrocławia, że negują pańskie osiągnięcia. Nie. Oni się po prostu boją powiedzieć *swoim* szefom prawdę. Bo ktoś, kto nie widział tego na własne oczy, nie uwierzy. Nigdy w życiu. Nieważne czy jest marksistą, niewierzącym, wierzącym, nieważne. Sądzę, że tym ostatnim jest trudniej nawet w to wszystko uwierzyć, no bo jak: jest Bóg, aniołowie, grzechy, odpuszczenie, raj, piekło, ale to wszystko potem. Kiedyś, po śmierci. Tu na ziemi, za żywota, nic takiego się nie dzieje i nie może dziać. To przecież byłoby na przekór dogmatom wiary. Na ziemi, za życia, nic niestandardowego nie może się wydarzyć! Nie zapowiedziano ingerencji aniołów, diabłów, objawień, tylko i wyłącznie Dzień Sądu Ostatecznego, Armagedon. Tymczasem – coś się dzieje! Piekło wypełzło z podziemi, bagna, szlamu, jest tu i teraz. Sięga ku nam swoimi mackami. Nie w przenośni, ale na jawie. Rozdziera ludzi, dusi, morduje i dąży do czegoś jeszcze gorszego i na wielką skalę, tak to interpretuję. – Zrobił pauzę, żeby dotarło do mnie, co mówi. Skinąłem głową. – Ja też bym w to nie uwierzył, gdybym nie widział nagrania. Serio, nie uwierzyłbym nawet Kostii. Powiem inaczej, chętnie bym uwierzył, że coś jest z nami nie tak, że po prostu trzeba się upić, pójść do psychiatry albo na emeryturę. Ale nie wierzę w takie przypadki, że dziesięć osób nagle wariuje na ten sam temat. Nalej!

Sukonin poderwał się i wlał do koniakówki generała tyle, że każdy znawca i amator tego szlachetnego trunku wyrzuciłby go za drzwi. Ruszył do mnie, ale pokręciłem głową. Miałem jeszcze sporo w kieliszku i – jak na swój stan – za dużo w instalacji. Jarcew wypił niemal połowę, Sukonin raczej zamarkował picie. Generał milczał chwilę.

– Jeszcze taka sprawa... Nie obraż się, ale... Twoje palce... Załatwimy Sklifasowskiego* w Moskwie albo u nas, w Pitrze, to nie będzie trudne. Robią takie operacje bez problemu. Bez obrazy, tak?

Popatrzyłem na swoją lewą dłoń. Zrobią! Pewnie od ręki! – zarząłem w duchu. Chyba się

* Moskiewski Miejski Naukowo Badawczy Instytut Medycyny Ratunkowej imienia N. Sklifasowskiego – jedna z wiodących rosyjskich placówek medycyny ratunkowej.

upiłem pięcioma łykami koniaku. Omal nie parsknąłem histerycznym śmiechem. Z kamienną – miałem nadzieję – twarzą odczekałem chwilę, żeby się uspokoić. Kamil, jesteś szurnięty bardziej niż Szalony Kapelusznik, porąbany lepiej niż sosna do kominka! Uspokój się!

– Nie wiem... Na razie nie przywykłem jeszcze do ich braku. Musiałbym się przyzwyczajać do obcych palców... Dziękuję. Jakoś muszę to uporządkować...

Nie powiedziałem, że największym problemem może być sygnet, który poruszał się na kikucie, ale nie dawał się zdjąć. I poza tym naprawdę brzydziła mnie myśl, że miałbym dwa palce jakiegoś pechowego motocyklisty. Zostawiłem sobie ten problem na potem. Przypomniałem sobie, że niedawno czytałem o przyszcyciu dwóch dłoni po dwóch latach od amputacji, czyli miałem czas na podjęcie decyzji. I nie to przecież było naszym największym zmartwieniem.

– Kamil, masz jakieś przemyślenia?

– Niestety, nie. Przez cały czas, aż do telefonu do ciebie, nie myślałem o sprawie, bo nie pamiętałem, kim jestem. Nie potrafiłem nawet określić swojej profesji, a skoro nie wiedziałem, kim jestem, nie mogłem zająć się swoimi zawodowymi sprawami. Przypomniałem sobie wszystko i od tej chwili nieustannie o tym myślę, ale... – Rozłożyłem rękę, by podkreślić swoją bezradność.

– Przypominam sobie, że ten guimon z piwnicy, o którym sędzę, że nie był zwyczajnym guimonem jak ta babcia na Thaelmanna, był inny niż Fn'thal z Wadowic. W każdym razie tamten był z grubsza opisując owadzi, modliszkowaty, a ten w chwili szału, kiedy Zemfira wczepiła mu się w pysk, zaczął wyglądać jak zdegenerowany ptak, człowiekptak, jak z obrazu Bosha. Wiesz: postać ludzka, głowa ogromnego kanarka, czy jakoś tak. Nie zmienił się do końca, za szybko to wszystko się działo...

– Czyli to nie był Fn'thal?

– Cholera wie. Nie wiem nic o hierarchii guimonów, dotychczas sam myślałem, że są guimony i Fn'thale, coś jak szeregowi i oficerowie. Może i szeregowi się różnią, i oficerów jest wiele rodzajów. Może w ogóle każdy akolita Cthulhu jest inny, może jego ludzka postać i cechy charakteru modelują guimona?

– A kto by decydował o wyglądzie i mocy? – zainteresował się Sukonin.

– Cthulhu? Najbliższy, powiedzmy, Fn'thal, czyli ktoś wyższy rangą. Naprawdę nie wiem, niczego się nie domyślam. Dywaguję. – Zobaczyłem uniesioną brew Sukonina; tak dawał znać, że mnie nie rozumie.

– Gadam, co mi ślina na język przyniesie, rozważam wszystkie warianty.

Kapitan Sukonin popukał paznokciem w pokrywę swojego netbooka, potem ujął twarz w dłonie i przetarł ją.

– O co im, kurwa, chodzi?

– Czytałeś Lovecrafta?

– Czytałem. Nudnawy.

– Ale określa cel: panowanie nad światem.

– Po co?

– Bóstwo, które nie ma konkurencji, nie powinno odczuwać przyjemności z panowania nad nikczemnymi ludzikami – wtrącił się generał.

– A czy my wiemy, jak rozumuje Cthulhu? – Przyszło mi coś do głowy. – I kto powiedział, że nie ma konkurencji?

Popatrzyli na mnie obaj z zainteresowaniem.

– Przecież sama instytucja ekstermana już coś sugeruje, że jest jakaś siła, jakaś moc przeciwna, niezgadająca się, opierająca. Co my wiemy o walce na poziomie bóstw? Może przez cały czas dwie potęgi ścierają się ze sobą, a nasze boje z guimonami to tylko jakieś niewiele, albo i wiele, znaczące potyczki sił najniższych?

– Myślisz tak, czy tylko... – Zmarszczył czoło z wysiłku.

– Dywagujesz, chciałeś powiedzieć? – Skinął głową. – Pewnie, że tylko dywaguję. Nie mam żadnych danych, żadnych podstaw do takiego postawienia sprawy. Po prostu głośno myślę, może komuś wpadnie do głowy jakiś inny pomysł.

Nikt nie zgłosił żadnego innego pomysłu. Mój wygrał, był najlepszy, czyli najgorszy, bo jak my, ludzie, możemy wpływać na starcia bogów?

Popatrzyłem na paczkę papierosów, ale powstrzymałem się. Umoczyłem usta w herbacie. Nie chciało mi się pić. Nie chciało mi się gadać. Byłem upiornie zmęczony, do dłoni i stóp spłynął ołów i nie wyglądało, by chciał z nich zniknąć. W głowie pęczniała szara wata. Żeby myśleć, musiałem sobie mówić: „myśl!”. Sukonin chyba to zrozumiał.

– Zaraz. – Wstał i wyszedł.

Wrócił po minucie. Podał mi fiolkę z czterema pigułkami.

– Jedna na sześć godzin, nie częściej. Nie dlatego, że zaszkodzi, tylko działanie się nie kumuluje. – Wrócił na swój fotel, ale nie zdążył usiąść, bo generał Jarcew wstał i zgarnął swój notes do kieszeni.

– Za trzy dni mamy rocznicę ślubu – oświadczył nagle. Zaskoczony wstałem, zastanawiając się, co powinienem powiedzieć. – Zapraszamy do nas, na daczę. Nie będzie nikogo poza moją żoną, moją córką z mężem – spojrzeniem na Sukonina sprecyzował, kim jest ów mąż – i wnuczkami. Nie będziemy gadać o guimonach, tylko jeść *bliny*, *szczy*, *zarkoje*, pić lodowatą wódkę i gorącą herbatę. Kostia was dostarczy. Godzinę uzgodnimy później.

– Ja... Dziękuję. Nie odmówię sobie tej przyjemności. Dziękuję.

Generał uścisnął mi dłoń i wyszedł. Kostia Sukonin podszedł z dziwną miną, wyciągnął dłoń, ale nagle zgarnął mnie i zderzyliśmy się torsami. Mocno poklepał mnie po plecach, odsunął się.

– Nie podaruję im Zemfiry – powiedział dziwnym głosem.

Nie daruję, chciałem go poprawić. Nie: „podaruję”. Przemilczałem. Nie było trudno, gardło i tak miałem ściśnięte spazmem.

– Możesz na mnie liczyć – wychrypiałem w końcu.

– Wiem. Ja cię znam, Kamil. Ty jesteś dobry przyjaciel. Dobrze, że tu jesteś. Z kim innym byłoby zupełnie inaczej, do niczego nie doszlibyśmy.

Klepnął mnie jeszcze raz w ramię i wyszedł. W prostokącie drzwi mignął mi młody milicjant, który przyniósł nam koniak i herbatę, i jeszcze dwóch. W progu stanął jeszcze jeden, duży i umięśniony.

Pokazał stół i zrobił wielkim palcem ruch, że niby on się tym zajmie. Zgodziłem się od razu. Tabletki jeszcze nie zażyłem i nie wiedziałem, czy chcę. Może lepiej... Zerknąłem na zegarek, wpół do siódmej. Ach, lepiej już się nie szamotać, po co mi energia i *power*... Poleżę w wannie, odmoczę się, podumam, walnę się w bety i spokojnie prześpię dwanaście godzin. Już jako Kamil Stochard, Moherfucker, as ABWery as, głupek, dupek i gej. Wyrzutek, zesłaniec, przyjaciel Kostii Sukonina... Ekspert i eksterman...

Powlokłem się do swojego pokoju. Ten duży zaczął zbierać naczynia. Ciekawe, ilu ich tu jest? W bramie i na dole? A co mnie to obchodzi!

W pokoju czekała mnie niespodzianka. Bystrzak Sukonin wyprzedził moje żądania o krok: na stoliku leżał desert eagle, cztery magazynki, szelki. Walizeczka z resztą oprzyrządowania stała obok stolika. Podeszedłem i gapilem się na pistolet, nawet wyciągnąłem rękę, ale nie dotknąłem go. Używany, zarekwirowali szpanerskiemu oprychowi? Wyjęli z magazynu? Nieważne. Jest.

Zostawiłem go w pokoju i w spokoju.

Moczyłem się chyba dwie godziny.

Zapadałem w drzemki, budził mnie albo chłód wody albo jej chlupot. Za każdym razem płytkie sny były proste i efektywne aż do zimnego potu: leżę w Ładodze, a wujek Osip ciągnie mnie do swojej łodzi bosakiem, wbijając go w plecy. Albo coś łagodnie, ale uporczywie wciąga mnie pod wodę. Po czterech wariantach topienia się dokończyłem ablucji, wyszedłem z wanny; wodoodporny opatrunek ze srebrem trzymał się dobrze, przelotnie pomyślałem, że można i ten środek zaprząć do namierzania guimonów.

Zmarzłem. Otuliłem się puszystym frotowym szlafrokiem, ale nie położyłem się. Usiadłem w fotelu obok stolika z bratem Gnata i myślałem, myślałem. Po jakimś czasie ktoś zapukał do drzwi.

– *Da!*

Ten duży. W rękę trzymał komórkę, identyczny *no name*, jaki otrzymałem dziesięć dni temu.

– *Nomier drugoj** – powiedział przeprasząco. – *Tut zapisan, i kod PIN.*

– *Spasiba.*

– *Możet kofie ili czaj? Ili koniak?*

– *Czaj, pażalujsta.*

* *Nomier drugoj* (ros.) – Numer jest inny.

Podał mi komórkę i kartonik z wydrukowanym numerem i PINem. Z braku lepszego zajęcia przepisałem z pamięci swojej polskiej, nieużywanej tu komórki kilkanaście numerów, uruchomiłem telefon. Oczywiście, nikt do mnie nie dzwonił i nie pisał. Niby jak, polski i przydzielony tu numer zostały u guimona, jeśli ktoś dzwonił czy wysłał „esesmana” to odbierał go biskup Cthulhu. To ja mogłem dzwonić. Do kogo? Po co? Do kogo, cholera! Znowu pukanie, znowu *da*. Herbata.

Pogłaskałem kolbę pistoletu. Popatrzyłem na pocisk, na pewno niestandardowy, na pewno milicja może w kilka dni uruchomić produkcję srebrnych kul, cokolwiek by o tym sądziła prochownia, chłe, chłe!

Potem usiłowałem znaleźć dla siebie jakiś temat zastępczy, byle nie myśleć o Zemfirze, o guimona, o sekcje, o dwudziestu czy trzydziestu tych, co wymknęli się z obławy, rozpiezchli po ogromnym kraju, z nieszczelnymi i nie do końca określonymi, ale na pewno skorumpowanymi granicami. Potem wypilem ciepłą herbatę. I zapadłem w mięką drzemkę.

Potem ktoś zapukał do drzwi, a ja poderwałem się i zawołałem:

– Proszę! – i szybko poprawiłem się: – *Da!*

Wszedł Jerzy, zatrzymał się zaraz za progiem. Uśmiechnął przepaszająco.

– Wreszcie dotarłem – powiedział.

– Pierdolę takie sny – odparłem i potrząsnąłem głową. – Najpierw się śnią, potem się kończą.

– Jaki tam ze mnie sen – mruknął Jerzy. – Nie słyszałem, żeby komuś się śnił.

Poczułem, że zbliża się atak histerycznego chichotu.

– Jak mnie robisz w konia, to cię zabiję – wykrztusiłem.

– Nie będzie potrzeby.

Zrobił kilka kroków i usiadł na łóżku. Mogłem go już dotknąć, ale bałem się. Ten sen mi się podobał, niechby trwał.

Jerzy wyciągnął rękę i delikatnie musnął palcami moją lewą dłoń.

– Boli?

– Już nie – wyszeptałem. To nie mógł być Jerzy. I nie mógł to być sen. Przecież czułem jego dotyk. Dobra. Zwinąłem lewą dłoń w pięść, zawsze skutkowało to kłującym bólem w koniuszkach uciętych palców. Tym razem też. I nie obudziłem się.

– Nie jestem snem – zapewnił mnie Jerzy. – Ani zjawą, ani duchem. Żyję. Jestem tu. Spokojnie.

– Jestem spokojny.

Po raz pierwszy skłamałem Jerzemu. Ale byłem pewien, że kłamię zjawie sennej. Myliłem się. To był Jerzy.

* * *

– Jak mi powiedziano, mamy niemal identyczne rany.

Leżałem na plecach, mając pod głową biceps Jerry'ego.

– Tak. Celem były lewe nerki, cudem omijają je ostrza. Święte organy. – Jerzy zachichotał bezgłośnie. Wiedziałem o tym tylko dlatego, że czułem drgania przepony. Uniosłem rękę, ustawiłem ją dokładnie pionowo i rozluźniłem mięśnie. Stara zabawa z dzieciństwa: ręka niemal bezwładna, ale stercząca w górę. Mówiłem wtedy, że opiera się na kościach. – W moim przypadku spudłował, bo trafił ostrzem w metalowy szkielet fotela, do którego byłem przytroczony. W twoim nie wiem, może Posoka się potknął?

Poczułem, że wzruszył ramionami.

– Czy to ważne? – mruknął. – Wisiałem na włosku, o który opierała się kosa kostuchy. Lekarze twierdzą, że nie mają pojęcia, dlaczego nie kopnąłem w piach.

– Kopie się w kalendarz, do piachu się idzie.

– Och! Pieprzony purysta językowy... – Jęknął.

– Pewnie słuchasz trójkowych audycji o języku?

– Nie tylko słucham. Piszę do nich pod kilkoma nickami!

Musnął ustami moje ucho. Już dawno tak miłe dreszcze nie anektowały mojego ciała. Na tak długo.

– Opowiadał mi kiedyś jeden nurek głębinowy, ekstremalny, i himalaista z drugiej strony... Może mnie zrobił w konia, ale powiedział coś takiego, że jak któryś z nich wykonuje jakieś niebezpieczne nurkowanie, z powodu głębokości czy z innego powodu, to bierze ze sobą jakiś bardzo cenny przedmiot: platynowy zegarek, łańcuch z brylantami... No, coś bardzo wartościowego. Że niby, wiesz, jak się coś stanie, ktoś inny, łasy na gadżet za dwadzieścia tysięcy dolarów, zejdzie i przynajmniej wyciągnie ciało.

– To zwyczajne kurewstwo! – mruknąłem, słuchając go „kątem ucha”. Resztą ucha słuchałem swojej radości w duchu, w sercu, w mózgu. – Gdzie solidarność ludzi głębinowych? Kupować sobie pogrzeb?

– Nie wszyscy to robią. Niektórzy wręcz każą w razie... *lethalu*... zostawić ciało na dnie. Widziałem taki argentyński film o nurkowaniu w Blue Hole, wiesz – skalna ściana z tabliczkami tych, którzy nie wypłynęli... Cała masa wołała tam zostać... Ale nie o tym chciałem... Chciałem... chcę ci powiedzieć, że ja, w malignie, albo już nawet przez chwilę po drugiej stronie, pamiętałem, że mam coś takiego drogiego, co zostawiłem, i po co muszę wrócić, czego nie mogę zostawić.

Zamilkł. Czekałem, ale widocznie to już był koniec wypowiedzi.

– Oceniasz mnie na dwadzieścia kawałków? – burknąłem, pokonując dławik w gardle.

– Można wziąć dwa zegarki, albo dwa zegarki i łańcuch.

– Yhy. A najlepiej jakiegoś małego Picassa.

– Idiota! W co byś sobie go wsadził?

Powiedziałem mu, w co. Jęknął i wzniósł oczy do sufitu.

– Albo jajo Faberge! – ciągnąłem kretyński kabaret. Bałem się, że jeśli nie rozbiję nastroju, jakkolwiek, nawet idiotycznymi dowcipami, rozryczę się jak mała dzidzia na kolanach kochanego wujka. Nawet jeśli śmiech był na poziomie poniżej poziomu, pozwolił mi wyrwać się najpierw z rozpacz, potem ze skrepowania, poczucia sztuczności, niepewności...

– Czy to już histeria? – zapytał Jerry.

– Blisko, chi, chi!

– No to zakończmy, bo ci szwy puszcza.

– Nie ma takiej opcji. Ksenia Abramowna zaciągnęła tak, że chirurg cmokał, cmokał i w końcu powiedział, że poczekamy jeszcze kilka dni na zdjęcie pod znieczuleniem.

– Kurczę, Mister Moherfucker, przeżyłeś coś nieprawdopodobnego!

– Tak. Zwłaszcza że przeżyłem. – Znalazłem jego dłoń, zacisnąłem na niej palce. – Dlaczego się nie odzywałeś?

– Zakaz przełożonych. Nie tłumaczyli się. Przypuszczam, że nie byli pewni reakcji twoich przełożonych. Na wszelki wypadek zostawili sprawy w Polsce swojemu biegowi. Już nie wspomnę o tym, że najpierw wprowadzili mnie w śpiączkę farmakologiczną, a potem kilka tygodni nie mogli mnie wybudzić.

– A ja wiedziałem, że żyjesz...

– Skąd?

Właśnie. Skąd? Czuję to?

– Pamiętasz ten dowcip o Angliku, który postanowił codziennie uczyć się „trzy polska słowka”?

– Noo...

Tak. Zaskoczyłem go kompletnie pozorną zmianą tematu.

– No więc, gdy kończyliśmy rozmowę z kapitanem Guilmorem, on, na pewno zgrywający się na słabo znającego polski, nagle wypalił coś bliskiego poincie tego dowcipu. Może to był przypadek, nie wiem, ale ja uznałem, że to taki kurewsko subtelny sygnał, sygnalik, sygnaliczek... Że wiesz, ty znasz ten dowcip, Jerry zna ten dowcip, ja wiem, że wy znacie, a skoro to mówię, to po to, żebyś wiedział, że można dowcipkować. Bo Jerry żyje. – Westchnąłem. – Może to za bardzo pokręcone, ale tak mi wyszło, i tego się uczerpiłem. I trzymałem.

– Guilmor? Hm... To być może. On ma te swoje zwoje mózgowe, jak mówisz, pozawijane jak pieprzące się korkociągi.

– No dobra. A co jeszcze poza tym, że odsypiałeś za wszystkie czasy, działo się w gronie tych uświadomionych ludzi?

– Chcesz teraz rozmawiać o robocie?

Zastanawiałem się chwilę.

– Nie. Tylko jedno: czy jest coś, co powinienem wiedzieć, a czego nie powinni wiedzieć

Rosjanie?

– Nie – odpowiedział zdecydowanie.

Nie powiedział tego na użytek ewentualnego podsłuchu, którego nawet nie szukaliśmy. Nie postępuje się tak w stosunku do ludzi z tego samego okopu.

– Nie mamy sekretów.

– To dobrze. – Milczałem chwilę. – Czuję się tu cholernie dobrze. Potrzebny, partnerski. Na pierwszej linii, ale tak serio, bo chcę, bo tak trzeba. W Polsce wydawało mi się, że większość zainteresowanych wolałaby nie wiedzieć, w czym się babczemy.

– Na początku zawsze tak jest...

– Gównu równo! – Podniósł głowę i popatrzył na mnie.

– Taka gra półsłówki. Dlaczego tu dzieje się to inaczej?

– Bo od razu odpowiedni ludzie zobaczyli na własne oczy to, w co powinni uwierzyć. Nie mogli robić uników, więc się, przekładać odkładać, byle do emerytury. I, na szczęście, zachowali się po męsku: diabeł nie diabeł, Cthulhu nie Cthulhu, widmo, upiór, nieważne – trzeba się bić. Więc będziemy się bić.

– Ale teraz nie?

– Teraz nie. Na pewno.

* * *

Niemal o świcie, przed ósmą pojawił się Kostia, uściśnął nam dłonie, zrobił sobie kawy, śniadania odmówił. Jedliśmy z Jerzym jajecznicę z pomidorami, upitraszoną przez innego milicjanta w cywilu. Nikt się nie dziwił obecności Jerzego. Sukonin – rozumiałem, musieli się poznać wcześniej, w końcu, jakim cudem Jerzy znalazłby się w moim mieszkaniu?

– Jadłem już, dzisiaj moje bliźniaczki mają akademię z okazji rocznicy śmierci patrona szkoły. Zjedliśmy, co się nam rzadko zdarza, śniadanie całą rodziną. – Uśmiechnął się szeroko. Błysnęły białe, wypucowane do błysku zęby. Ciekawe, ile czasu poświęca na ich pielęgnację? Na pewno więcej niż ja. Muszę się poprawić, białe zęby miła rzecz. – Jak będziecie gotowi, pojedziemy do kliniki. Kamil, ty tam poleżysz sobie pod... eee... jak to po polsku – kapielnica? kapliczka? Nie wiem!

– Kroplówka?

– *Da, da!* – ucieszył się. – Musimy trochę ciebie podciągnąć, już to znasz. Będzie dobrze.

– Zgoda. Jestem gotów.

Sukonin zerknął na Jerzego, ten wzruszył ramionami: „Jeśli o mnie chodzi...”.

Dwie godziny później znaleźliśmy się w piwnicy budynku na Czajkowskiego, jakiś pokój sztabowy, centrala dowodzenia... Piwnica, owalny stół z dwudziestoma miejscami, do każdego przypisany laptop. Nawet więcej niż przypisany – przykuty stalową linką. Jak sztucce w barze z *Misia*. Sukonin szybko ruszył do pulpitu pod ścianą, chwilę palcował

przyciski, stół nagle się rozjechał: większa część odjechała pod przeciwległą ścianę, został czubek owalu z sześcioma miejscami. Sukonin podszedł do stołu i uśmiechnął się na całego.

– Pewnie myślicie, że te linki po to, żeby kadra nie zrobiła *capcarap*? Nie, po jakiejś zacieklej dyskusji, kiedy jeden pułkownik walnął pięścią w ekran, a drugi cisnął laptopem o ścianę, wprowadzono to zabezpieczenie. Siadajcie, generał zaraz będzie.

Pierwszy jednak wszedł zuchowaty milicjant w połowym mundurze. Wprowadził przed sobą stolik z zestawem sztabowym: niklowane termosy z kawą i herbatą, baterię wód mineralnych, piwo, galerię soków i tuzin glinianach miseczek z chrupkami i orzeszkami. Wódki nie było.

Zanim zdążyłem nalać sobie herbaty, wszedł Jarcew i przywitał się ze mną i Jerzym, nie okazując przy tym zdziwienia na widok amerykańskiego kolegi po fachu. No bo niby czemu miałby być zdziwiony? Przecież współpraca i przyjazd Jerry'ego musiały być uzgodnione na bardzo wysokim szczeblu. Za Jarcewem wszedł major i dwaj kapitanowie. Generał ustawił się za swoim fotelem.

– *Zdrastwujtie, gaspada*. Przedstawiam obecnych: major Konowalenko, kapitan Orszakow, kapitan Gariadze. Porucznik Stochard i pułkownik Wilmowski. Siadajmy.

Usiedli wszyscy.

– Major i kapitanowie mieli noc na zapoznanie się z wynikami dochodzenia, zarówno polskiego, jak i naszego. Widzieli nagrania, są przekonani o dobrym stanie swojego zdrowia psychicznego, zatem nie będziemy ich przekonywać, że to im się nie śni i że nie siedzą w kinie na seansie miernego horroru. Już nie przekonujemy nikogo, że białe jest białe.

A czarne – czarne! – pomyślałem, ale nie wypowiedziałem tego na głos. I byłem z tego powodu z siebie dumny.

– Zacznijmy od tego, że pułkownik Wilmowski i nasi oficerowie mogą teraz rozwiać swoje wątpliwości i pytać o co chcą, bo potem nie będziemy już marnować czasu na wracanie do przeszłości i uzupełnianie danych. Chciałbym, żebyśmy stąd wyszli każdy z taką samą wiedzą, jak pozostali. Czyli proszę pytać.

– *Ja farmalno, tawariszcz gienierał* – odezwał się natychmiast major Konowalenko. – Jak mamy się do siebie zwracać, kto dowodzi... Bo różne stopnie...

– Grupą specjalną dowodzi kapitan Sukonin. Specnazem major Konowalenko – oświadczył Jarcew. – Nie będziemy powoływać dowódców grupy polskiej i amerykańskiej, bo... – uśmiechnął się – ...członkowie tych grup są jednocześnie ich szefami.

Wszyscy się lekko uśmiechnęli. Kapitan, chyba ten Gariadze, wyprostował się.

– Pytanie do pana pułkownika Wilmowskiego: skąd w ogóle się wzięły i biorą guimony? Co dokładnie jest dla nich zabójcze? Czy ewoluują, mam na myśli: czy uodparniają się na to, co wcześniej je zabijało? Czy może być tak, że trafimy któregoś srebrnym pociskiem, a on nic sobie z tego nie będzie robił?

Jerry podziękował ruchem głowy.

– Po polsku czy po angielsku? – zapytał.

– Jak panu wygodniej – powiedział Jarcew.

– No to po polsku. – Zdziwił się swoim słowom i ciszej dodał: – Dlaczego wygodniej mi po polsku? No, nic. Odpowiadam. Skąd się wzięły – nie wiemy. Nie wiemy, czy od wieków, czy od kilkunastu albo kilkudziesięciu lat wkręcają się między ludzi, udają ludzi. I czekają. Jeśli opierać się na tym, co pisał Lovecraft, a czy tego chcemy, czy nie jest naszym jedynym autorytetem, dzieje się to od tysiącleci. Teksty Samotnika z Providence zostały poddane analizie literaturoznawców, historyków, teoretyków kilku religii. Prosiliśmy ich, żeby wyszli z założenia, że Lovecraft coś wiedział, nie kłamał, nie konfabulował. Opinie, diagnozy i hipotezy są dziwne. Większość stwierdziła, że guimony istniały zawsze, no, powiedzmy, od kilku tysięcy lat, czego dowodem są choćby smoki, istniejące w przekazach ustnych i spisanych na wszystkich kontynentach. Oraz inne potwory. Zadziwiająca albo zastanawiająca jest spora zbieżność opinii, że istnienie Cthulhu i jego wysłanników na ziemi zaprzecza dogmatom wszystkich religii, przynajmniej tych popularniejszych. Skoro więc uznamy, że Przedwieczny jednak istnieje, to grozi nam zawalenie się wszystkich religii. To jest jedno z niebezpieczeństw, które spędza sen z powiek naszym analitykom. Proszę sobie wyobrazić dzisiejszy świat bez religii. – Odczekał kilka sekund. – Jestem agnostykiem, powinienem się cieszyć, że religia przestanie istnieć, ale to nie jest takie proste. Świat bez religii to jedno, a świat nagle pozbawiony religii to kompletnie inna rzecz. Tak więc to jest jedno z niebezpieczeństw związanych z Cthulhu i jego apologetami. Dalej – guimony mogą na różne sposoby dręczyć zwyczajnych ludzi, całe narody i kraje nawet. Łatwo sobie wyobrazić grupkę rzeńskich, aktywnych staruszków, uprawiających sabotaż, dywersję i terroryzm w jakimś kraju. Pomijam, że będą ostatni na liście podejrzanych, to ich zakotwiczenie w danym kraju, nieposzlakowana opinia i zasługi dla ojczyzny będą swoistą czapką-niewidką. Policja będzie się uganiała za brunetami, za imigrantami, za innowiercami, a oni będą wysadzali szkoły, banki, mosty, zatrawali wodociągi. I takie działania w sferze realnej, codziennej, że tak powiem, można by mnożyć. Mamy tamy, elektrownie jądrowe, magazyny amunicji, gazociągi i ropociągi, zbiorniki ropy... – Sięgnął po oszroniony pojemnik z sokiem, nalał sobie i upił kilka łyków. – Przechodzimy do trzeciego zagrożenia, metafizycznego, tego, w które najtrudniej uwierzyć: nadejście Cthulhu. Nastanie mroczne, przerażające królestwo, domena Zła, Występku, Niegodziwości. Krwawe bóstwo – choć pytamy ciągle: po cholere mu to? – zacznie rządzić Ziemią i ludzkością, rozszarpywać ludzi, upajać się krwią i łzami, mordować całe narody, topić całe kontynenty albo obracać w popiół wedle swojej chorej woli. I proszę mnie nie pytać po co. Nie wiem. Nie wiemy. To tyle, w pewnym skrócie, o tym aspekcie sprawy. Co do sposobów walki z guimonami i ich biskupami, a Fn'thale do nich należą, o innych na razie wiemy niewiele, to najskuteczniejszy jest alstern, metal z pokrywy grobowca Cthulhu.

– Gdzie to jest? – szybko wskoczył mu w słowo Sukonin.

– Nie wiem. Serio – równie szybko, ewidentnie spodziewając się tego pytania, odparł Jerzy. – W Nowym Orleanie. Tyle wiem. W grupie osób zajmujących się tym zagadnieniem są trzy mające wiedzę o tym miejscu. Nikt poza nimi nie wie nawet, kim są. Teoretycznie każdy z tej czwórki nie wie, kim są pozostali trzej. Musicie mi uwierzyć. Oni pozyskują alstern. Podobno pancerz na pokrywie grobowca narasta piekielnie wolno. Zdrapują ostrożnie, żeby nie naruszyć jego zwartości, szczelności, odporności.

– Czy fakt, że ten metal samoistnie narasta – zapytałem – nie jest dowodem na istnienie jakiejś mocy wrogiej Cthulhu, usiłującej utrzymać demona w jego piekle?

– Tak to interpretujemy. – Jerzy pokiwał głową. Wydawało mi się, że mrugnął do mnie. Chyba podziękował za pytanie, które materialistycznym milicjantom nie mogło przejść przez gardło.

Rosjanie poruszyli się, wymienili serię pełnych rozterki i zdumienia spojrzeń. Żaden się nie odezwał.

– Na co dzień, mając bardzo mało alsternu, korzystamy ze srebra, pod każdą możliwą postacią. Ja mam srebrny miecz z cienkimi pasmami alsternu. Poszedł na to niemal całoroczny pozysk. Produkuje srebne pociski...

– My też – wtrącił Jarcew.

– Wiem, to dobrze, to działa. Jeśli nie zabija, to przynajmniej oszałamia. Mamy niewiele, ale amunicji trochę jest. Srebrny pocisk z mikroskopijnymi wkropieniami alsternu. Od razu powiem, że żadna święcona woda, modlitwy, krzyże, kadzidła, relikwie, runy i ryty nie działają. Nie odkryliśmy żadnego rytuału, który choćby odrzucił guimona. Inna sprawa, że kontakty z nimi są krótkotrwałe: albo one nas, albo my ich. Nigdy nie udało nam się wziąć jeńca, przesłuchać...

– Srebrna sieć? – szybko zapytał Sukonin.

– Nie udało nam się zastosować. Po prostu nikt nie miał jej pod ręką, gdy spotkał guimona. Ale jest bardzo wysoko notowana na liście potencjalnego wyposażenia pomocniczego. Jeśli uda się ją zastosować, będziemy bardzo zadowoleni. I miejmy nadzieję, że zadziała. Co do ostatniej części pytania, czy guimony uodparniają się na srebro, czy alstern – nie wiemy. Po prostu nigdy nie udało się postrzelić guimona i potraktować go ponownie srebrem za jakiś czas. Albo one zabijają i znikają, i nie jesteśmy w stanie zidentyfikować ich w przyszłości, albo my je zabijamy. Wtedy nie wiemy, czy to pierwsza ich porcja srebra, czy kolejna. Rozsypują się migiem na pył i już.

– A pył? – zapytał Jarcew.

– Zmielony szkielet. Osseomukoid i osteoalbuminoid, cokolwiek to znaczy, i mieszanka soli wapniowych. Po prostu puder, mączka kostna. Nic z niej nie da się wyciągnąć. Pożywka dla ziemi ogrodniczej.

– Z moich obserwacji, jeśli mogę się wtrącić, wynika, że srebro nie zawsze jest skuteczne natychmiast. Kilka razy wydawało mi się, że poszczególne osobniki wymagają jakby...

dłuższego kontaktu z tym metalem.

– Tak, tak, przepraszam, to słuszna obserwacja.

– Ja mam *geom*, taką broń sieczną. – Wstałem i wyszarpnąłem pasek ze szlufek. Kciukiem i palcem wskazującym napiąłem blokady, strzepnąłem paskiem, zeszytniał w powietrzu i ujawnił trzymilimetrowe płytki-ostrza, wystające spomiędzy dwóch warstw skóry.

– To nie jest najlepsza broń, ale ma tę zaletę, że jest zawsze przy mnie. Nawet tu, kiedy nie miałem broni palnej, nie byłem tak do końca bezbronny.

Zwolniłem blokady, wsunąłem pasek w szlufki. Jarcew wyciągnął rękę i potrząsnął palcem wskazującym.

– Pan Kamil, ja bardzo *praszu*, *sztoby pan pokazał eto ustrojstwa naszym ludiam, charaszo?*

– Nie ma sprawy, nie chciałbym tylko, żeby to wyszło poza służby specjalne. Świat przestępczy ma aż za dużo krwawych zabawek do dyspozycji.

Jarcew cmoknął kącikiem ust. Jak Nikita Michalkow.

– Nie dam gwarancji, pan rozumie, takie rzeczy wypływają.

Miał rację. Trudno.

– Dobrze. Jak tylko będzie można...

– *Kak gawarit szef: „Kuj żelezo, nie atchadia ot kassy!”**

Jarcew wduśli przycisk na swoim laptopie, drzwi po dwóch sekundach otworzyły się. Wmaszerował znany nam już milicjant.

– *Bieri, pokaży w mastierskoj i srazu abratno!**

Podąłem milicjantowi pasek, wyciągając go drugi raz w ciągu dwóch minut ze spodni.

Goniec wyszedł.

– Jeszcze jakieś pytania? – Generał popatrzył na podwładnych. Niemal jednocześnie zaprzeczyli. – W takim razie... – Podniosłem rękę. – *Da?* – Odwrócił się do mnie.

– Ja mam pytanie, co zostało zrobione w sprawie ludzi, którzy uratowali mi życie? Bo jeśli nie da się...

– *Kapitán?* – Generał uniósł brew i popatrzył na Sukonina.

– Po pierwsze, Arkadij Kostoriecki prowadzi klub loteryjny, będący tak naprawdę kasynem bez licencji. Odbyłem z nim wczoraj rozmowę, jest gotów do wszelkiej współpracy i na pewno nie odważy się w jakikolwiek sposób naruszyć spokoju małżeństwa Jemieljaninów.

– Patrzył na mnie, więc skinałem głową. – Po drugie, wiemy kto ograbiał staruszków z mieszkań. Nie rozmawiałem z tym gościem, bo był w śpiączce, pobili go jacyś nieznani sprawcy, ale przed narkozą podpisał kilka papierków. – Nie musiał akcentować tej informacji, wszyscy zrozumieli jej sedno. – Ludzie zajmujący to mieszkanie już się przenoszą do innego lokalu, w mieszkaniu Jemieljaninów trwa remont, pojutrze mogą odwiedzić swoje kąty. –

* *Kak gawarit szef: „Kuj żelezo, nie atchadia ot kassy!”* (ros.) – Jak mawia szef: „Kuj żelazo, nie odchodząc od kasy!” (pancernej). To kwestia z kultowej komedii radzieckiej *Brylantowa ręka*

* *Bieri, pokaży w mastierskoj i srazu abratno!* (ros.) – Bierz, pokaż w warsztacie i zaraz wracaj!

Skinałem głową. – Po trzecie, okazało się, że z powodu niekompetencji i niefrasobliwości urzędników oboje nie zostali odznaczeni medalami Za Zasługi w Wojnie Ojczyźnianej i innymi, a na dodatek kompletnie bez powodu pozbawiono ich emerytury i renty. Do tych uchyleń przyznały się odpowiednie urzędy, więc dziś albo najpóźniej jutro przelane zostaną na ich konto w banku *państwowym* wszystkie zaległe kwoty z kilku lat wraz z karnymi odsetkami. – Skinałem głową z aprobatą. – Po czwarte, MSW Rosji w uznaniu zasług odznaczyło ich medalem i premią pieniężną w wysokości... Nie pamiętam, przepraszam, ale chyba w wysokości dwuletniej emerytury Osipa Stiepanowicza i dwuletniej renty Kseni Abramownej.

Skinałem głową z ogromnym zadowoleniem. Sukonin uśmiechnął się.

– Po piąte, Stiepanycz otrzymał nową dwusilnikową łódź oraz dozgonną kartę wędkarską na cały akwen Ładogi z wyłączeniem, niestety, przedstawicieli fauny chronionej.

– Jestem całkowicie usatysfakcjonowany – powiedziałem.

– Mogą więc ciepłe miesiące spędzać u Arkaszki, a na zimę przenosić się do miasta...

– Nie mam więcej pytań.

– Czyli ten temat skreślamy? – upewnił się Sukonin.

– Tak.

– Dobrze, to ja mam do ciebie pytanie. Przypomnij sobie, przyjeżdżasz pod Korkutyę, jest noc, cisza... Kompletna cisza? Nic jej nie zakłóca?

– Nnic... Chyba zabuczała jakaś okrętowa syrena. Od strony zabudowań... Nic. – Usiłowałem przenieść się w tę noc, zjeżyły mi się włosy na karku. – Od szosy usłyszałem jedną ciężarówkę... I więcej nic. Krakanie wron, gawronów czy kruków, nie znam się.

– Krakąły?

– Tak. Najpierw chyba jeden ptak, jakby obudzony, zły, potem dołączył drugi, przez chwilę darły się na siebie.

Sukonin, najwyraźniej zadowolony z tego, co usłyszał, opadł na oparcie fotela.

– Na razie wszystko.

Znowu generał przejął inicjatywę.

– Czy padły już wszystkie pytania? Chciałbym przejść do wniosków.

Nikt się nie odezwał. Jarcew popatrzył na zięcia.

– Kapitanie, proszę.

Sukonin wstał, podszedł do centralnego ekranu, wziął do ręki przenośny pulpit sterujący, ale nie dotykał klawiszy.

– Kilka spraw, pozornie do siebie nieprzystających, splata się, naszym zdaniem, w co najmniej ciekawą hipotezę albo coś więcej. Przy pierwszej rozmowie o dziwnych geriatrycznych morderstwach, czyli tych popełnianych na starcach i przez starych ludzi, przypadkiem wspomniano o dziwnym zachowaniu kruków. Ornitologowie odnotowali obecność populacji wielokrotnie przewyższającej normalną. Niedawno, dokładnie mówiąc, po

zaginięciu pana Kamila, kiedy nasze patrole gorączkowo i metodycznie przeczesywały jezioro, zauważyły wzmożone przeloty tych ptaków nad wodą, na wyspy i z powrotem. Wiem: kruki, ponure ptaszyska, mięsożerne, drapieżne, powinny wywołać uśmiechy na naszych racjonalnych ustach, ale powstrzymajmy się. Tak więc – dziwne zachowanie kruków. Zwróciłem się do czterech niezależnych ośrodków z prośbą o pilną ekspertyzę, zaraz powiem, co im wyszło. Przypadkiem dotarłem do innej informacji, choć przypadek był wymuszony, bo od dziesięciu dni Ładoga jest moim oczkiem w głowie. Tak więc, gromadząc wiedzę o naszym słodkowodnym morzu, dowiedziałem się, że na wszystkich wyspach są węże. Poza jedną. Na wyspie Koniewiec nie ma węży. Od dwóch lat. Herpetologów również zaprzęgliśmy do roboty. Po połączeniu ekspertyz ornitologów i herpetologów wyszło niezbitcie, że na wyspie rozmnożyły się kruki, wyzarły węże, wytrzebiły inne ptaki. I inne drobne gryzonie: myszy, nieliczne susły, jaszczurki, nornice, szczury. Słowem wszystko, co mięsne, co żyło i dawało się upolować. Może to głupie, że docieramy do sedna przez faunę i florę, ale tak jest.

Kliknął w kilka przycisków, na ekranie pojawił się satelitarny obraz wyspy Koniewiec – wydłużone coś, jak kawał mięsa na grill, z licznymi wypustkami cypli i półwyspów na wschodnim brzegu.

– Wyspa ma pięć kilometrów na mniej więcej dwa. Dawniej była tu baza marynarki wojennej i poligon do testowania rakiet na paliwo stałe. Zostało po nich sporo bunkrów, tranzei, schronów, przystani, nawet pasy startowe w niezłym stanie. I mamy tu monastyr, podobnie jak na największym zespole wysp, Warłamie. O, tu! – wskazał laserowym wskaźnikiem. – Na południowo-zachodnim brzegu. Poza tym są tam dwie pustelnie, dwie góry Swiataja i Zmieinaja*, przy czym góra za dużo powiedziane. Jedna ma bodaj siedem metrów, druga trzydzieści wysokości, i największa atrakcja wyspy – Koń-Kamień, siedemsettonowy głaz, przypominający głowę konia, choć ja tego nie widzę. Z małą kapliczką na szczycie, podobno miejscem składania pogańskich ofiar.

Zmienił coś w ustawieniu, wyspa zaczęła rosnąć w obiektywie, obraz łagodnie przeszedł w rzeczywistą projekcję, widzieliśmy drzewa, drogi, ścieżki, budynki, łodzie. Tych ostatnich niewiele, kilka, choć przystani i pomostów było około dziesięciu.

– Co poza węzami i krukami intryguje w tej wyspie? Opuszczony monastyr. Opuszczony niecałe dwa lata temu. Cerkiew, jak to się po rosyjsku mówi, *biez szuma i pyli** ewakuowała mnichów i całą resztę populacji wyspy. Kilku pustelników, kilku z lekka porąbanych nawiedzonych nowoczesnych *pseudojurodiwych**. Pewnego dnia o świcie zaczęło się wycofywanie sił cerkwi z Koniewca i zakończyło tego samego dnia. Nikt nie stawiał oporu, nikt nie chciał pozostać. I nikt o tym nie wiedział. Władze cerkwi nie powiadomiły o tym nikogo. Zgoda, nie musiały, obowiązku nie ma, ale powinny były. Nie zrobiły tego. Jakby nie

* Swiataja i Zmieinaja (ros.) – Święta i Wężowa.

* *Biez szuma i pyli* (ros.) – (dosł.) bez hałasu i kurzu, bez wzbudzania niczyjzego zainteresowania, skrycie.

* *Jurodiwyj* (ros.) – na Rusi święty szaleniec, szanowany na wiedzony.

chciały wzbudzać za interesowania wyspą i swoimi działaniami. I przez dwa lata udawało się to trzymać zamiecione pod dywan. Jaki można wysnuć z tego wszystkiego wniosek?

– Na wyspie pojawiło się coś, co przeraziło monachów, i to coś wiąże się z krukami – powiedział Jerzy.

– Tak. A kruków było mnóstwo w pobliżu osady Korkutya. Widziałem na własne oczy, słyszał je pan Kamil. A po pożarze zniknęły wszystkie, co do sztuki. Dla mnie to niemal pewne – kruki i guimony jakoś się wiążą.

– Pamiętasz... – przypomniałem sobie – ...jak szliśmy do mieszkania na Thaelmanna? Na podwórku też były kruki.

– A tak! – ucieszył się. – Słusznie! A skoro jesteśmy przy tej babci: pamiętasz kalendarz w małym pokoju?

Sięgnąłem pamięcią wstecz, do mieszkania, sypialni, łóżko z piramidą poduszek, od największej do najmniejszej, kalendarz... Tak! Jakiś klasztor! Sukonin właściwie zinterpretował mój uśmiech.

– Na kalendarzu był klasztor, prawda?

– Tak.

– No więc to był *Koniewskij Roźdiestwo Bogorodicznij Monastyr*, nie wiem, jak to będzie po polsku.

Nie miało znaczenia, jak to będzie po polsku.

– Czy to może być zbieg okoliczności? – zadał pytanie wszystkim obecnym Sukonin.

– A czy to nie za bardzo... – strzelił palcami major Konowalenko – ...operetkowe? Koniecznie kruki? Węże?

– Węże to nie atrybut guimonów, to ofiary kruków, w jakiś sposób powiązanych z guimonami.

Rosjanie wymienili powątpiewające spojrzenia.

– Dalej, Kostia. Nie przeciągaj – polecił Jarcew.

– Tak jest. Z trzydziestu osób, których nam brakuje z członków, powiedzmy, sekty z Korkutyi, pięć było widzianych na przystaniach Ładogi, cztery inne wypożyczyły łodzie.

Teraz ożywili się wszyscy. Ja też.

– Chcesz powiedzieć, że są na Koniewcu? – odezwał się po raz pierwszy kapitan Orszakow.

– Tak sądzę. Będziemy coś wiedzieli już dziś. Przez całą noc wyspa była obserwowana, aktualnie nagrania są analizowane, ekstrahowane ciekawe momenty, o ile takie będą... Dzisiejszej nocy będą na niskiej wysokości penetrowały ją szybowce bezpilotowe, dwie sztuki.

Generał Jarcew zaklikał klawiszami.

– Czyli co, wyspę zamykamy na kwarantannę, niewidoczną, rzecz jasna? – zapytał, podnosząc wzrok znad klawiatury.

– Jak najszybciej, tak.

– Co jeszcze?

– Rozmowa z władzami cerkiewnymi – powiedział Jerzy. – Może zdradzą powody, dla których uciekli z wyspy?

Generał skrzywił się lekko.

– Mnie się wydaje – wtrąciłem swoje trzy grosze – że należy koniecznie dopaść wszystkich z tej sekty. Oni mogą roznieść zarazę po całej Rosji. I nie tylko.

– Tak. Słusznie.

Jarcew znowu postukał w klawisze. W jego laptopie coś pisnęło. Uniósł palec, żeby zwrócić uwagę Sukonina, pokazał mu, żeby odebrał telefon. Kapitan szybko wyciągnął słuchawkę z gniazda w panelu i odwrócił się bokiem do nas.

– To może być ważne – powiedział półgłosem generał. – Schwytano jednego z sekciarzy, wiał na Ukrainę.

Sukonin skończył rozmowę, rozłączył się.

– Mamy go. Jadą do nas, ale podobno muszą wstąpić po lekarza, bo ten człowiek wpadł w histerię. Pół godziny, czterdzieści minut. Czy mam go przesłuchać? – zapytał Jarcewa.

– Tak. Podział zadań będzie taki: ja... – zerknął na zegarek – ...za piętnaście minut jadę do archimandryty. Pan Kamil, nie pojechałby pan ze mną? Niemal podskoczyłem, zaskoczony.

– Nie. Bardzo proszę, mam... Nie, nie mam nic lepszego do roboty, ale wo...

– Dobrze. W takim razie...

– Przepraszam, ja pojedę z panem, generale – odezwał się Jerzy.

Generał uśmiechnął się dziwnie.

– Dobrze, oczywiście. Dzielimy się tak: my do archimandryty, kapitan Sukonin z kapitanem Gariadze biorą się za uciekiniera i wyduszą z niego wszystko, co się da. Nie zamierzam przypominać o ostrożności i testach srebrem. – Sukonin ładnie skinął głową, jakby właśnie sobie uświadomił, że musi mieć gwarancję, że ten człowiek guimonom nie jest. – Major Konowalenko z kapitanem Orszakowem i porucznikiem Stochardem odbędą instruktaż z dowódcami dwóch plutonów OMONu i specnazu, które wezmą udział w akcji na wyspie Koniewiec. Wracamy do tego gabinetu za trzy godziny, czyli o czternastej. Dowódcy plutonów operacyjnych niech będą w pogotowiu, muszą być obecni przy planowaniu samej akcji, to oczywiste. Czy o czymś zapomniałem?

Jeśli nawet, to nikt lepszej pamięci nie miał. Jerzy odciągnął mnie na bok.

– Co jest?

– Nic.

– Boisz się mnichów? Pierwsze widz...

– Nie boję się. Ale prowadziłem raz dochodzenie w pewnym klasztorze. To jedno wielkie bagno. Obluda, hipokryzja, sporo lekkich i cięższych dewiacji. Zakłamanie do potęgi. Kochanki i kochankowie, i to bez większego ukrywania się nawet przed mężami tych kobiet.

Pycha, wykorzystywanie tajemnicy spowiedzi do celów... wiadomych. Permanentna ruja. Ohyda i obrzyda z pedofilią na czubku. Nie chcę.

Jerzy pochylił się do mojego ucha.

– My też... Nie powinniśmy rzucać kamieniami? Co?

– My nikogo nie oszukujemy. Nie zasłaniamy się pracą, wizją, powołaniem. Nie żądamy od innych, by byli tacy, jakimi sami nie jesteśmy i nie chcemy być. Kawa na łąwę.

Jerzy uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To ja jestem kawa, a ty – łąwa.

Udało mu się wytrącić mnie z głupiego frustrypodniecenia. Trącił mnie pięścią w ramię i ruszył za wychodzącym już z centrali generałem. Popatrzyłem na Konowalenkę.

– *Idiom?* – zapytałem. – *Paszli!*

* * *

– Igor Wardajkis. Czterdziestoletni technik poligraf. Samotny – zaczął szybko Sukonin, gdy zasiedliśmy ponownie w centrali. – Zawoził matkę na spotkania grupy odnowy moralnej, sam w nich nie uczestniczył, szedł do kina albo na spacer, ale po kilku takich seansach dobry humor matki zaczął go zastanawiać. W kolejnym seansie uczestniczył już z nią. Niczego dziwnego nie zauważył. Przy trzecim spotkaniu dotarło do niego, że niemal wszyscy biorą udział w jakiejś parodii komunii, a on i kilka innych osób nie. I dokładnie te osoby wyglądały na normalne, a pozostali ewidentnie przeżywali barwne halucynacje. Przystąpił więc i on do tego obrządku i po paru godzinach już wiedział, że został im podany narkotyk. Nie dało się wziąć tego do analizy, bo podawano go w postaci wina, ale dociekliwy drukarz dokonał na własną rękę przeszukania w pomieszczeniach sekty, nie w osadzie, w mieście, i znalazł obok zapasu wina pojemnik z dziwnymi tabletkami. Odważył się jedną ukraść. Potem, po kilku wizytach w Korkuty, kiedy upewnił się, że matce i kilkudziesięciu innym osobom podaje się narkotyki, matkę siłą wysłał do siostry na Ukrainę. A potem przeżył coś, co go wprawiło w panikę i histerię. Spakował się z grubsza i wsiadł do pociągu do Doniecka. Stamtąd go wyjęliśmy. Nie chce albo nie potrafi powiedzieć, co go tak przeraziło, czeka go seans hipnozy, ale za kilka godzin. Natomiast to, co im podawano, to taren. – Wyjął z kieszeni okrągłe plastikowe pudełeczko z białą wyściółką. We wgłębieniu spoczywała nieładnie uformowana biała tabletki z nierównymi brzegami. – To taren. Wchodzi w skład wojskowej apteczki AII jako antidotum na zatrucia związkami fosforoorganicznymi. Nie powoduje uzależnienia, ponieważ nie wzbudza stanów euforycznych, ale daje silne, barwne i przekonujące wizje. Taren nietrudno zdobyć, nie cieszy się szczególnym wzięciem. Halucynacje halucynacjami, ale nie ma się poczucia szczęścia. Przywódcy sekty poprzez inne zabiegi wzmacniali działanie tarenu i jakby sterowali wizjami: wspólne modły, śpiewy, przekonywanie się, podpowiadanie wizji czy wręcz w pewnym stopniu wywoływanie ich.

– Możemy się domyślać – odezwał się Orszakow, niski napakowany blondyn – że zobaczył guimona, prawda?

– Pewnie tak. Może odkryli brak tabletki. Udało mu się, miał szczęście.

Wpatrywałem się w wyspę Koniewiec na ekranie. Dziwnie niebieskie dachy klasztoru, kilka dużych cypli, w północnej części, oddalonej od monastynu i pustelni, szary klin, ostra litera „v” z jednym ramieniem dłuższym i węższymi odnogami, pewnie wspomniane zapomniane pasy startowe.

– *Charaszo*. Teraz ja zrelacjonuję to, co udało nam się wycisnąć z archimandryty. Dosłownie wycisnąć. Wił się jak piskorz, wykręcał i mataczył. Formalnie nie jest w porządku, że cerkiew opuszcza budynki i nie powiadamia o tym władzy świeckiej. Tym go przygwoździłem, ale dopiero delikatne przypomnienie o pewnych sekrecikach alkowy z jego najbliższego otoczenia spowodowało, że wyrwał z siebie garść informacji. Otóż klasztor został opuszczony blisko dwa lata temu. O powodach nie było mowy, musiały jednak być poważne, skoro cała załoga monastynu związała w nocy i nie puszcza na ten temat pary. W końcu, przyparty do muru, niemal fizycznie przyduszony archimandryta przyznał, że ewakuację przyspieszyły dwa zgony. Jeden – serce. *Infarkt*. Drugi – makabryczny mord. Jedno ciało, przyznał, zgłoszono do reanimacji, drugie pochowano bez hałasu na przyklasztornym cmentarzu, ale nie na Koniewcu, tylko na łądzie stałym. W każdym razie cerkiew nie jest w tej chwili na wyspie obecna, cerkiew z wdzięcznością przyjmie każde nasze działanie mające na celu, cytując: „oczyszczenie tej ziemi z wszystkiego co nieludzkie”. A na końcu archimandryta powiedział mi w starocerkiewnosłowiańskim, że osiedlił się tam szatan. – Popatrzyl na Jerzego. – To był ten niezręczny moment, kiedy pociągnął mnie pod okno, żeby pan nie słyszał. Jerry objął się ramionami i westchnął.

– Słyszeć to ja słyszałem, ale nie zrozumiałem za dużo. Tylko tyle, że osiedlił się tam szatan. Jarcew zachichotał.

– Przyznam, że jako zagorzały materialista miałem dużą przyjemność, słysząc, że przywódcy dusz rozkładają bezradnie ręce i godzą się na przysługi niewierzących, a nawet ich łakną. Co najśmieszniejsze, potrzebują pomocy z naszej strony do rozwikłania sprawy z ich parafii. Znaczący, oni tak sądzą, że to z ich parafii. Trochę to rozumiem, zawiodły ich sposoby, a wcześniej głośno zawłaszczali sobie prawo do skutecznego działania, wszystkim innym tego odmawiając. No nic, i tak to robimy, nie dla cerkwi i jej nieskalanego obrazu w świadomości wiernych, tylko dla... tych wiernych właśnie. – Zamilkł i chwilę układał równo względem siebie: dwa długopisy, laptop, futerał na okulary, jeszcze raz długopisy. Podniósł wzrok i dość markotnym spojrzeniem zmierzył obecnych. Wrócił spojrzeniem do Sukonina. – Czyli co, wiemy, jak zdobywają nowych akolitów, wiemy mniej więcej, kto to robi. Ale obawiam się, że nadal nie wiemy jednej ważnej rzeczy – powiedział. – Mianowicie: po co? Proces, że tak powiem, guimonizacji przebiega wolno, za wolno, żeby sądzić, że w ten sposób zagarnie się ludzkość.

– Cthulhu może inaczej pojmować czas – wyjaśnił Jerzy. – Mówi się o eonach czasu, a eon to, o ile dobrze pamiętam ze szkoły, największa formalna jednostka geochronologiczna. Dzieli się na ery i wynosi około pięciuset milionów lat. W całej historii geologicznej Ziemi ustanowiono trzy eony: archaik, proterozoik i fanerozoik.

Kapitan Orszakow parsknął śmiechem, ale od razu go zdławił. Uniósł ręce.

– *Praszu praszczenijsza*, ale czy my mówimy o tym, że za kilka takich eonów Cthulhu może zawładnąć Ziemią? Będzie jeszcze czym władać?

– Może tak. Tak? – Jarcew popatrzył na Jerzego, ten z kamienną twarzą wzruszył ramionami. – A to was śmieszy, kapitanie? – Wrócił wzrokiem do Orszakowa.

– *Niet, tawariszcz gienierał*, stary dowcip mi się skojarzył...

– No to dawaj, trochę śmiechu nam nie zaszkodzi. Na razie nie bardzo, jest się z czego śmiać.

– Dowcip jest taki, że na pewnym wykładzie z astronomii prelegent mówi: „Nasze Słońce, jak już dokładnie obliczono, zgaśnie za osiemset czterdzieści milionów lat”. A z sali przerażony głos: „Za ile?” „Za osiemset czterdzieści milionów lat”. Na to słuchacz, ocierając pot z czoła: „Uff, a ja usłyszałem, że za czterdzieści...”

Zapłata były wątłe uśmiechy. Uśmiechnąłem się pierwszy, chyba tylko po to, żeby zamaskować prawdziwe myśli. A myślałem zupełnie o czymś innym, nie o wygasającym Słońcu i poczuciu humoru kapitana Orszakowa, dowódcy kompanii OMON, ale o pytaniu generała Jarcewa.

I o tym, że zadał cholernie istotne pytanie. Nawet pewnie sam nie wiedział, jak ważne. Jakaś żyłka na mojej skroni zapulsowała mocno i niemal jednocześnie fantomowo zaswędziały mnie koniuszki uciętych palców. Powstrzymałem się od pocierania skroni, tym bardziej od drapania powietrza. Sukonin popukał palcem w stół i powiedział: – Uruchomiłem szukanie kanałów wycieku tarenu z wojskowych magazynów i od producenta, ale mamy mało ludzi. To potrwa.

– To trop, którego nie powinniśmy lekceważyć – odezwał się Jerzy.

Wyglądało, przynajmniej na razie, że nikt nie ma nic do powiedzenia.

– No to kiedy uderzamy na Koniewiec? – zadał wreszcie pytanie Jarcew.

– Możemy dzisiaj? – Szybko zareagował Konowalenko. W końcu dowódca sił szybkiego reagowania.

– A co myślą pozostali?

Postanowiłem się nie odzywać.

– Jutro – powiedział Jerzy.

– Jutro. W nocy, o świcie – zgodził się Sukonin.

– Też tak myślę – podsumował Jarcew. – A dlaczego dziś?

Konowalenko wyprostował się w fotelu.

– *Kuj żelezo, nie atchadia ot kassy*. Jeśli nie ma mocnych argumentów za dniem

jutrzejszym, to po co zwlekać? Nasi ludzie są gotowi, sprzęt gotowy, ani posiłków nie dostaniemy, ani ich nie trzeba.

– Pułkowniku, widział pan, co zrobił z dwoma naprawdę dobrymi ludźmi jeden guimon?
– zapytałem cicho.

– Tak. Wiem, że mamy do czynienia ze straszliwym przeciwnikiem, ale tamci byli zaskoczeni. Teraz, po projekcji nagrania, nikt nie będzie się cackał z wychodzącą z lasu babunią. Opracowaliśmy taktykę atakowania we trzech jednego celu, z maksymalnym ubezpieczeniem. Będziemy ich... je likwidowali metodycznie i bez pośpiechu.

– Nie muszą się godzić na pańską taktykę – powiedział Jerzy. – Mogą mieć swoją.

– Nie sądzę... – zaczął Konowalenko, ale Jerzy potrząsnął głową i kontynuował:

– Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z grupą guimonów. Dwa razy mieliśmy do czynienia z parą. Trzy razy był to inny guimon, szczególnie, silniejszy od szeregowych. Nie mamy pojęcia, ile ich tam jest i ilu jest oficerów.

Konowalenko sapnął ze złością, ale pokiwał głową, dając do zrozumienia, że powaga sytuacji dociera do niego. Gariadze strzelił stawami palców.

– Aż się prosi poleć tę wyspę napalmem – powiedział smętnie.

Wydawało mi się, że uważa ten sposób za najlepszy, ale wiedząc, że nie przejdzie, godzi się na inne rozwiązanie. Jednocześnie nie może sobie odmówić przyjemności wspomnienia o nim, bo a nuż się spodoba i wejdzie do realizacji.

– Nie, to nie wchodzi w grę. – Jarcew chyba też chętnie posłałby dwa szturmowce i wydał potem oświadczenie, że para pijanych pilotów urządziła sobie ćwiczenia polowe. Oczywiście, nikt by nie zginął. Albo inaczej: bohaterscy piloci, świadomi śmiertelnie niebezpiecznej awarii urządzeń pokładowych, opróżnili zbiorniki z paliwem nad bezludną wyspą, na której nikogo przecież nie było. Poświęcenie, medale, pochwały. I skuteczne wytrzebiecie guimonów. Kuszące. Jak cholera.

– Wykosimy dwa tuziny guimonów i spalimy wszystkie tropy, ślady, poszlaki, dowody, nie wypróbujemy jednak efektywności metod walki z nimi – wyliczyłem.

Odpowiedziały mi trzy ciężkie westchnienia i krzywe miny.

– Wspominałeś coś o dwóch staruszkach, które pobiły milicjantów – powiedziałem do Sukonina. – Stosunkowo stara sprawa, pamiętasz?

– A, te... – Machnął ręką. – Przegrana sprawa. Zwariowały, gigantyczna psychoza, neuroza, cholera wie, co jeszcze. Na silnych lekach i w pasach. Na razie nic z nich nie da się wyciągnąć, ani razu nie padło słowo guimon czy Cthulhu ani nic z tego zakresu. Szkoda.

Jarcew wstał i obciągnął poły bluzy.

– Kapitanie – popatrzył na Sukonina – od tej chwili aż do ataku i podczas akcji pan odpowiada za kordon wokół Koniewca i obserwację wyspy. Ma pan dość środków?

– Tak, towarzyszu generale. Jeden bezzałogowy szybowiec wisi nad wyspą, wieczorem dołączy drugi. W pogotowiu są cztery poduszkowce i pięć ślizgaczy, kilkunastu milicjantów

za państwowe pieniądze łowi ryby, blokując dojskie do lądu od zachodu i południowego zachodu, czyli od strony najbliższej lądowi. Jeśli nie mają łodzi podwodnych, nie przemkną się.

– A jak z pływaniem guimonów? – zapytał Gariadze.

Wszyscy odwrócili się do Jerzego. Wytrzeszczył oczy i uniósł ramiona.

– Nie wiem – powiedział zdziwiony. – Nigdy nie widziałem guimona w wodzie. Nie widziałem płetw ani rybich ogonów. Stawiałbym na to, że nie jest to ich ulubione środowisko, ale to tylko moje przypuszczenie. Gariadze uniósł brwi.

– Jak pamiętam z filmu *Alien*, to one sobie świetnie pływały i nurkowały.

– Błąd. Guimony to nie są istoty z innego świata, tylko raczej z tamtego świata. Nie sądzę, byśmy mogli porównać guimony z czymkolwiek niezemskim. – Zrobił przeproszącą minę. – Ale to też tylko przypuszczenie.

Jarcew energicznie trzasnął pokrywą swojego laptopa.

– Skoro zaczynamy analizować horrory i science fiction, to chyba czas na relaks. – Popatrzył na mnie i Jerzego. – Panowie macie wolne, jeden człowiek będzie się kręcił w pobliżu, proszę mu nie uciekać. W mieszkaniu jest ochrona. Do zobaczenia jutro.

Pożegnaliśmy się i rozeszliśmy. W holu Sukonin pokazał nam młodą dziewczynę w czarnych martensach do ażurowych pończoch, ze sporą brezentową torbą fotograficzną na ramieniu.

– Przed południem do was wpadnę. Macie jakieś plany?

Jerzy jakby na to czekał.

– Ja chcę zobaczyć „Aurorę”!

Popatrzyłem na niego zdziwiony.

– Muzea już zamknięte, do knajpy jeszcze nie chcę. Parki są nudne.

– Stąd macie blisko, chociaż prawdziwi leningradczycy nie są zachwyceni zainteresowaniem tym obiektem, uważają, że znacznie ciekawszych jest aż za dużo. – Uścisnął nam ręce. – Po wyjściu stąd w prawo, prawie do końca, w lewo Gagarinśką, przetniecie Ogród Letni, do którego wyprowadzano na spacerzy młodego Oniegina, możecie też przespacerować się po Polu Marsowym – ciągnął. Pewnie, co mają w Petersburgu lepszego do roboty dwaj geje? Nic tylko spacerzy po ogrodach i parkach, za rączkę. – Potem przez most Troicki na drugą stronę Newy. I znowu w prawo, po Pietrowskim nabrzeżu do zakrętu w nabrzeże Piotrogrodzkie, bardzo blisko. I już będzie okręt numer jeden floty rosyjskiej.

– Trafimy – zapewniłem go. Ruszyliśmy zdobywać nieśmiertelny krążownik. Było to rzeczywiście blisko, miły spacer, dziewczyna robiła nam i okolicy kupę zdjęć.

Śmieszyło mnie to, ale nie komentowałem głośno. Inna sprawa, że Petersburg już wkraczał w okres wzmożonego parcia turystycznego, swoistego *Drang nacht Piter*. Nie wiadomo dlaczego germanojęzyczni turyści dominowali na ulicach.

Przekroczyliśmy Nową, ruszyliśmy nadbrzeżem w prawo. Po kilku minutach stanęliśmy przed zacumowaną przy brzegu „Aurorą”, krążownikiem-muzeum, symbolem, dumie i przekleństwie. Przyglądaliśmy się chwilę. Zerknąłem na Jerzego, miał dziwną minę. Zobaczył, że mu się przyglądam.

– Nie śmieję się, ale... – Wrócił do pochłaniania widoku szarej smukłej bryły na wodzie. – To jest jakiś symbol!

– Daj spokój. – Machnąłem ręką. – Co to za symbol? Wiesz przecież, że strzeliła ślepakiem?

– Tak, każdy wie.

– No to na co to komu i po co potrzebne? – wyrzuciłem z siebie z zaskakującą mnie samego złością.

– Skoro nie trafiła w żadnego wroga? Z założenia nie miała w nic trafić!

– Ale to sygnał! Symbol!

– Blabla! Równie dobrze Lenin mógłby czknać na sygnał albo jakiś politruk zwyczajnie pierdnąć.

– Fuj! Jesteś obscyniczny! – roześmiał się Jerzy. Potem szturchnął mnie pięścią w ramię.

– Widzę, że się denerwujesz – powiedział cicho.

– Jak cholera – przyznałem się. Też cicho. – Nie chciałbym ani stracić ciebie, ani ciebie pozbawić siebie, cholera...

– Nie zanoszę się na to.

– Skąd wiesz?

– Mam dobrą internetową wróżkę. Dam ci linkę.

Parsknąłem pogardliwym śmiechem.

– Weź się na niej powieś! Albo chodź, strzelisz sobie w łeb z dziobowego działa!

Weszliśmy na pokład.

Japończycy, choć w niewielkiej liczbie, zawzięcie przepikselowywali na dyski każdy metr „Aurory”. Dziewczę w martensach i koronkowych pończochach też pstrykało ostro.

Ruszyliśmy na zwiedzanie najśłynniejszego krążownika w historii Ziemi.

* * *

– Niestety, to blamaż. – Jarcew miał wyraźną ochotę walnąć pięścią w stół. – Albo haniebnie zawiódł sprzęt, albo ludzie.

Wiszące nad wyspą Koniewiec bezzałogowe mini szybowce z aparaturą rejestrującą nie zdołały zlokalizować żywych obiektów. W kilkogodzinnych nagraniach pojawiły się dwa razy rozmyte plamy, które mogły być równie dobrze zakłóceniami lub fantomami źle zestrojonej lub źle zaprojektowanej i zbudowanej aparatury.

– Może guimony nie odbijają światła? – rzuciłem w przestrzeń pytanie. Jerzy pokręcił

głową.

– Raczej przyczaiły się w zabudowaniach.

– Przekonamy się na miejscu – rzucił energicznie Konowalenko. – Towarzyszu generale, czy mam przedstawić plan?

– Tak.

Major wstał i podszedł do ekranu. Wskazał laserem długi kilometrowy cypel na południowym zachodzie.

– Półwysep Striełka. Dwa śmigłowce lądują tu, u jego nasady. Hałasują, więc zwrócą na siebie uwagę. Ci ludzie otaczają klasztor od południa, wschodu i północy. Grupa druga, kapitan Sukonin, aspirant Stochard, pułkownik Wilimowski i dwie moje drużyny lądują na przeciwległym, południowym końcu wyspy, przy wyspie Kamiennaja. Wyprzedzają śmigłowce o godzinę, po drodze penetrują Pustelnię Koniewską. – Wskazał czerwonym punkcikiem zabudowania na południowym brzegu, w połowie drogi od wyspy Kamiennej do półwyspu Striełka. – Po lądowaniu i zajęciu pozycji, po szczelnym zamknięciu klasztoru, wchodzimy i penetrujemy jego wnętrze. Wy – popatrzył na nas z Jerzym – macie za zadanie wspierać informacyjnie naszych ludzi. Nie chcę, byście wchodzili do piwnic, to ich zadanie, ale gdy trafią na coś niezwykłego, kontaktują się z wami, ekspertami, i wy podejmujecie decyzję, co z tym czymś robić. Zostaje przy was dwóch ludzi, obaj znają bardzo dobrze angielski, jeden nieźle polski. Badamy klasztor jak długo trzeba, metodycznie i dokładnie. Dwie godziny później na pasach na północnym końcu wyspy – wskazał wyraźną runę w zieleni na drugim końcu wyspy: nierówna litera V z odnogami i prostokątnymi czarnymi i czerwonymi obiektami wzdłuż obu ramion – lądują dwa szybowce transportowe i zajmują się obiektami pozostałymi po bazie wojskowej. My w tym czasie powinniśmy skończyć z monastylem i zaczniemy posuwać się w ich kierunku.

– Skończymy z monastylem opuszczonym – sprecyzował Jerzy. – Zakłada pan, że tam nic nie ma?

Konowalenko sapał chwilę. Przygryzł dolną wargę i skinął głową. Jerzy wzruszył ramionami.

– A jak coś będzie? – zapytał Jarcew.

– To oni skończą wcześniej i przyjdą nam z pomocą. W każdym przypadku łączymy się rano, czy nawiążemy kontakt bojowy, czy nie, rozpoczynamy przeczesywanie wyspy w sile kompanii piechoty, z psami. Uniosłem rękę:

– Psy na nic. Będą skowyczały, wyły, uciekały, tylko zaalarmują guimony. Szkoda zwierząt. Major skrzywił się.

– Mnie bardziej żal ludzi, ale skoro psy się nie przydadzą, to odwołujemy drużynę z przewodnikami.

Przeczesują tylko ludzie, ale dokładnie, budynek po budynku, dziura po dziurze. Musimy mieć pewność, że nic tam nie ma albo że nic tam nie pozostało.

Plan raczej nie zachwycał wyrafinowaniem, ale kunsztowne plany można konstruować, gdy się wie cokolwiek o przeciwniku, jego dyslokacji, sile, stylu walki, a my, niestety, nawet nie mieliśmy pewności, czy przeciwnik tam jest. To znaczy – ja miałem pewność, ale nie dało się na niej zbudować innego planu. Wszystko musiało się rozstrzygnąć na miejscu.

– Uwagi? – zapytał Jarcew.

Nie było. Jarcew uściśnął wszystkim dłonie. Miał pozostać na brzegu, w wiosce najbliższej cypla Strielka.

Wsiedliśmy do *concorde'a* Sukonina i bez słowa dotarliśmy do zatoki, gdzie przycupnęły na brzegu dwa poduszkowce, a na wodzie kołysały się cztery smukłe kutry. W połowej zbrojowni pobraliśmy kamizelki, kaski, radiostacje, chwilę trwało zapoznanie się z radiem, potem Sukonin przywołał naszych ochroniarzy. Widziałem, jak pozostali omonowcy wloką do łodzi skrzynie z sieciami na guimony i wyrzutnie jakiejś naprędce wymyślonej mikstury.

– Wiesz, że to Kolargol? – zapytałem Jerzego.

– Ten miś z dobranocek? – zdziwił się.

– Yhy. Srebro koloidalne. Będą tym spryskiwać guimony.

– Wiem. Jeśli nie uda się inaczej, czyli unieruchomić i wziąć do niewoli. Bo tego Rosjanie chcą najbardziej.

– Chcesz powiedzieć, że wierzą w przesłuchania? – skrzywiłem się.

– Ha! Ja też bym chętnie pogadał z takim jednym – prychnął Jerzy. – Ale nie wierzę w taką opcję. Jeszcze raz szybko sprawdziłem oporządzenie, podciągnąłem jedną szelkę, poprawiłem dwa rzepy. Wsiedliśmy do poduszkowca, dwudziesta druga dwadzieścia trzy. Jasno, lekki wietrzyk, spokojna fala, ciemna krecha wyspy na wprost naszej przystani. Poduszkowce ruszyły pierwsze, w prawo, żeby dużym łukiem okrążyć wyspę i zgodnie z planem dostarczyć nas w pobliże

Pustelni Koniewskiej. Pół godziny później gładko wsunęły się na kamienisty brzeg. Specnaz wyładował się i po minucie wtopił w las szpilkowy. Sukonin wyjął paczkę papierosów i poczęstował nas. Jerzy odmówił, ja zapaliłem.

– Najdziwniejsza akcja w moim życiu – powiedział cicho Sukonin. Zaciągnął się głęboko i zatrzymał na długą chwilę dym w płucach. W wydechu, po kilku sekundach, dymu niemal nie było. Jakby chciał się napalić na całą resztę życia, jakby to miał być jego ostatni papieros. W dupie rak i obturacyjna choroba płuc! – *I śmieszno, i straszno...*

– One nie są nieśmiertelne – przypomniałem.

– W razie spotkania – powiedział z naciskiem Jerzy – migiem rozdzielamy się i atakami ze wszystkich stron dekoncentrujemy je, są głupawe, odwracają się w stronę najbliższego zagrożenia, wtedy ktoś inny powinien uderzyć, i tak w kółko.

– *Takto, anó tak...* – powiedział enigmatycznie Sukonin. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to było po rosyjsku, jakiś idiom, nie znałem go, ale intonacja była wyrazista: „Wiadomo, ale czy się da?”.

W słuchawkach rozległ się głos, drgnąłem, Sukonin cisnął niedopałek i ruszył pierwszy. Zaciągnąłem się mocno i jeszcze raz i wyrzuciłem peta do wody.

Droga do pustelni była szeroka, nawet wyjeżdżona, przed nami szła czwórka specnazowców, pozostali zniknęli w lesie. Gdzieś z przodu rozległ się hurkot silników śmigłowców. Zaczął się atak cywilizowanych sił na nieczystą wyspę.

Po kilkuset metrach Sukonin odebrał jakiś komunikat, wskazał kierunek i cicho powiedział, że mamy wejść do lasu i iść pod osłoną drzew. Trwało to piętnaście minut. Dotarliśmy do skraju. Przed sobą mieliśmy mały kompleks budynków, jeden większy i tworzące podkowę dwa inne. Kilka starych, oklapłych i spłowiłych stogów siana dobitnie wskazywało, że gospodarskie działania zakończyły się tu dawno, co najmniej w ubiegłym roku. Specnazowcy, osłaniani przez kolegów, penetrowali gospodarskie budynki. Po chwili ruszyliśmy w ich kierunku, w szopach nie było nikogo i nic podejrzanego. Piątka milicjantów ustawiła się pod ścianą głównego wejścia. Jeden skoczył przed drzwi i wymierzył potężnego kopa, drzwi trzasnęły i otworzyły się, z hukiem waląc skrzydłami o ściany. Trójka specnazowców wpadła przez nie, usłyszeliśmy kilka komend, dołączyli do nich dwaj pozostali, potem niemal cała reszta. Na zewnątrz byliśmy tylko my, nasze wsparcie i ochrona w liczbie dwóch i jeszcze dwóch w narożnikach budynków. Czekaliśmy kilka minut.

– Pusto – usłyszeliśmy w słuchawkach.

– Jakies ślady? – zapytał Kostia.

– Nic. Kurz i nieład jak po szybkiej wyprowadzce.

Sukonin popatrzył na nas pytająco. Jerzy popatrzył na mnie. A mnie coś podniosło włoski na ramionach.

– Jeśli mamy czas, to zobaczmy – zaproponowałem. Weszliśmy. Jerzy i Kostia przepuścili mnie przodem. Dolna kondygnacja – ogromne pomieszczenie, z wielką komodą po lewej, może to był fragment ołtarza, na pewno wisiał nad nią dwumetrowy krzyż. Po prawej pod ścianą stały zakurzone ławki, część tworzyła stos, część stała w beładzie. Dwie pary drzwi, otwarte, zapraszały, ale jakoś mnie nie pociągały. Na wprost – schody, za nimi jakieś małe drzwi, sugerujące komórkę, skład, spiżarnię. Też mnie nie zainteresowały. Zacząłem wchodzić po zakręconych schodach. Na szczycie stał jeden z milicjantów. Na mój widok wzruszył ramionami, że niby nic tu nie ma. Schody wyprowadziły na prosty korytarz z niesymetrycznie rozmieszczonymi drzwiami, wszystkie były otwarte, w niektórych stali specnazowcy. Korytarz zamykała ściana z jaśniejszym na tle przykurzonej farby odbiciem prawosławnego krzyża.

Szedłem wolno wzdłuż korytarza, zaglądając do wszystkich pokoi. Uciekający stąd mnisi zostawili meble, na niektórych półkach stały nawet książki, rozdziawione prostokątne pyski szaf ukazywały wieszaki, nie zawsze puste. Jakies drobiazgi – świecznik, miska, but, czyjeś spodnie na oparciu krzesła, łyżka na podłodze, niemal wszędzie gazety, nie sprawdzałem daty.

Przedostatnie drzwi po prawej były otwarte, ale wisiały krzywo, zerwane z górnego zawiasu. Może spowodował to kopniak ciężkiego buta albo... Wszedłem do pokoju. Jeden milicjant stał przy oknie i kręcąc głową, przeglądał dziedziniec. Wyglądało, że mieszkał tu ktoś znaczniejszy w hierarchii, dywan na podłodze, kilim na ścianie, wywrócony na plecy drewniany fotel. Kredens i szafa, proste, solidne, prezentowały swoje wnętrza wypełnione pudełkami zawierającymi chyba lekarstwa, bo na wszystkich dorysowano grubym mazakiem czerwone krzyże. Nikt nie otwierał tu od dawna okna, panował zapach suchego, lekko ziołowego kurzu. I – wydawało mi się – jeszcze czegoś.

Rozejrzałem się ponownie. Jaśniejszy od reszty ściany ślad po krzyżu, słowiańskim, o ośmiu końcach. Górna poprzeczka, którą kazał przybić Piłat na napis INRI, środkowa na ręce i dolna na stopy Chrystusa. Kiedyś, zaintrygowany tym, że jest krzywo przybita, dowiedziałem się, że jeden koniec wskazuje niebo, do którego wraz z Chrystusem poszedł Dyzma, dobry łotr. Skierowany w dół koniec wskazuje piekło, gdzie trafił drugi łotr, ten zły.

Już miałem wyjść, ale zatrzymałem się przy drzwiach. W dolnej części miały cienką pojedynczą rysę. Chyba nie najświeższą. Wychyliłem się i zerknąłem na drugą stronę drzwi. Uff!

– Zobaczcie – powiedziałem do Sukonina i Jerzego. Milicjant spod okna był pierwszy, przymknął drzwi gdy tylko obaj weszli do pokoju. Na wewnętrznej stronie ktoś ścierał swoje szpony. Wszystkie rysy przebiegały jednakowo: od góry, od samej górnej krawędzi pionowo w dół i pół metra nad podłogą odchylały się symetrycznie – połowa w lewo, połowa z prawo. Sukonin syknął przez zęby. Wyszarpnął z gniazda mikrofon i szybko zameldował Jarcewowi, że mamy dowód na wizytę guimona. Spłynęło na mnie natchnienie, pokazałem gestem, żeby się odsunęli, i szarpnąłem do góry róg dywanu. Cała podłoga pod nim była pochlastana szponami, jak skrzynie w mieszkaniu na Thaelmanna. Sukonin od razu przekazał wiadomość o tym odkryciu. Jego podwładny, ten spod okna, odwrócił się i pośpiesznie zdawał relację chyba Konowalence.

– No to mamy, czego chcieliśmy – powiedział Jerzy. – Dzięki.

– Cała zasrana przyjemność!

Przejrzeliśmy jeszcze inne pomieszczenia. W dużej łazience Sukonin nagle prychnął:

– Gdybyś nie znalazł tych śladów, to teraz ja bym powiedział, że tu siedzi lichy.

– Bo?

– Bo nasi ludzie, Rosjanie, wyrwaliby ze ścian rury, nie mówiąc już o muszlach czy pisuarach. Skoro tego nie zrobili, musiał być baaardzo poważny powód.

– Kto wie, czy ktoś nie przypłacił swojej pazerności życiem – rzucił Jerzy.

Wydawało mi się, że Sukonin chce powiedzieć coś o słusznej karze, ale skrzywił się tylko i pierwszy opuścił łazienkę. Na dziedzińcu zapytał podwładnych, czy któryś zauważył ślady pazurów na czymkolwiek. Zgodnie pokręcili głowami.

– *Paszli!* – rzucił.

Ruszyliśmy w takim samym orydyku: siły główne przodem, my za nimi, za nami dwaj nasi ochroniarze. Po kilku krokach Kostia uniósł palec.

– Skoro tu są kruki, to czemu piórkowanych skurwysynów nie słyhać? – zapytał.

Racja. Podobno było ich tu od cholery. A panowała kompletna cisza. Dobra, inne ptaki zostały upolowane jak jaszczurki i węże, ale kruki? Dlaczego milczą? Nie wszczynają alarmu, nie fruują, nie kraczą. Śpią?

– Zgłoś to – powiedział Jerzy do Kostii. Tak zrobił.

Szliśmy lasem jeszcze pół godziny. Co kilka minut Sukonin odbierał meldunki ze śmigłowców. Widać nie działo się nic szczególnego, bo nie przekazywał nam żadnych danych. Od czasu do czasu patrzył tylko na nas i kręcił głową: nadal nic. Potem między drzewami rozjaśniło się, wychodziliśmy z lasu. Kostia powiadomił o tym Konowalenkę. Stanęliśmy na skraju. Specnaz właśnie wnikał przez otwartą szeroko bramę w murze na dziedziniec monasteru. Na wprost nas znajdowała się świątynia z niebieskimi kopułami. Nie pasował mi ten kolor do dachu cerkwi, ale nikt mnie o zdanie nie pytał. Mocny ultramarynowy odcień. Cisza.

Wydawało mi się, że w oknie na szczycie dzwonnicy coś się poruszyło, ale gdy skierowałem tam lornetkę, nie zobaczyłem niczego poza dzwonem. Nie kryjąc się, pomaszzerowaliśmy brukowaną tu drogą do bramy. Minęła północ, ale światło sugerowało, że była raczej dwudziesta. Tylko cisza była bardzo przekonująco nocna. Po przekroczeniu bramy Sukonin wysłuchał meldunku i uniósł rękę.

– Poczekajmy tu. Kończą przegląd budynków, z cerkwią czek...

Z prawej rozległa się seria splunąć pestkami czereśni. Były tam, jeśli dobrze zapamiętałem, cele mnichów. Nie było komendy, ale ruszyliśmy biegiem, jednocześnie, w tym samym kierunku. Przydzieleni nam ochroniarze byli szybsi, po kilkunastu krokach osłaniali już nas z boków, a po kilku kolejnych wyprzedzali, choć nie zasłaniali drogi. Sukonin, prowadzący chyba najbardziej biurowy tryb życia, zostawał nieubłaganie z tyłu. Ale nie poddawał się.

Dopadliśmy drzwi, przez które chwilę temu wpadło do budynku sześciu milicjantów. Usłyszeliśmy nad głowami łoskot ich butów, pognaliśmy za nimi. Pierwsze piętro, drugie. Rozległy się pojedyncze strzały.

– *Żыwjom jewo, job waszu mat'!** – ryknął Sukonin.

– Medal za żywego!

Huknęło coś większego niż pocisk z PMu. Seria, długa, dołączyła do niej druga, chłopcy szyli jakby złapał ich skurcz w palcach. Sukonin ryknął coś z rozpaczą i pobiegł w kierunku strzałów. Chciałem ruszyć za nim, ale przekłęci ochroniarze akurat teraz postanowili się przegrupować, zderzyli ze sobą, odskoczyli, ale tak niezgrabnie, że niemal przewrócili mnie i Jerzego.

* *Żыwjom jewo, job waszu mat'!* (ros.) – Żywcem go, kurwa wasza mać!

– Bez sztuczek! – wrzasnął wściekły Jerry. Pobiegli, wyprzedzając nas i hamując nasz bieg. Za zakrętem coś głośno pyrknęło, syknęło, jeszcze jedna seria i wizg. Czyj – wiedziałem. Takiego dźwięku nie wydaje broń automatyczna ani człowiek, ani rozstrojona radiostacja.

Dopadliśmy zakrętu, pokonaliśmy go i wyhamowaliśmy.

Leżał w poprzek korytarza. W połowie puciołowaty facet z wałęsowskimi wąsami i językiem siwych włosów. Jedną ręką zdążyła się przepoczwarzyć. Chyba dlatego dwaj specnazowcy pochylali się nad kolegą i z niewiarygodną szybkością owijali mu prawe ramię wstęgą bandaża. Powalony, przykryty metalicznie opalizującą siecią człowiek miał przeorany kulami tors, nogi pogruchotane pociskami. Lewa ręka była ludzka, prawa wyglądała jak wypożyczona z teatralnej rekwizytorni: pokryte siną żabią skórą kości ramienia i przedramienia, zamiast dłoni widniało coś, co do szczętu zgrali scenografowie marnych filmów spod znaku *Mój Alien i ja*. Zawsze, dopóki nie poznałem co to guimon, wydawało mi się, że za długie szpony utrudniają sprawne z nich korzystanie, ale nie zauważyłem, by guimony miały jakieś z tym problemy.

Jeden z milicjantów szybko meldował Sukoninowi, co się stało.

Wypadł, strzeliliśmy siecią, uchylił się, seria po nogach, nie poskutkowała, seria po klacie, nie poskutkowała, druga sieć, kolega z tyłu usiłował go podduścić, ale został z irytującą łatwością odrzucony, strzały w serce, nie poskutkowały, dwie serie w tors... Wreszcie skuteczne.

– Skąd wyszedł? – zapytał Jerzy.

Sukonin przetłumaczył pytanie, milicjant ruszył pierwszy, my za nim. Guimon już zaczął się rozsypywać; proces dekompozycji guimona był mi znany i nieciekawym.

– Stąd.

Weszliśmy do pokoju. Tu nie mieszkał guimon. Nawet nie śmierdziało guimonem. On tu się krył albo zaczął. Przez chwilę. Nic ciekawego.

– Strych? – zapytał Sukonin.

– Zrobione.

– Cały budynek?

– Tak. Wszystkie. Czekamy na was za cerkwią.

– No to idziemy. Rany?

– Nieciekawe, ale nic tragicznego. Śmigłowiec już tu leci.

– Dobra. Wyszedł na korytarz, my za nim.

Na dziedzińcu czekało dwudziestu ludzi Konowalenki, on sam stał na uboczu i gapił się w ekran, pewnie oglądał, jak rozpada się jedyny czynny tu guimon. Potem trzasnął pokrywą netbooka i popatrzył na nas pytająco. Sukonin skinął głową. Konowalenko gwizdnął i wskazał palcem masywne cerkiewne drzwi. Pomyślałem, że po akcji poproszę go, żeby nauczył mnie tak gwizdać; od zawsze chciałem i nikt mnie nie potrafił nauczyć. Dwa osiłki

chwyciły taran szturmowy i rozkołysawszy go, huknęły w drzwi, które ustąpiły po trzecim uderzeniu. Wpadli przez nie czterej najbliżsi milicjanci, potem kolejna czwórka. Położyłem rękę na kolbie pistoletu. Cisza, w mrocznym, ale nie kompletnie ciemnym wnętrzu zamigotały smugi reflektorów, rozległy się komendy. Nic się nie działo. Trzask jakiegoś drewna. Do świątyni wpadła kolejna czwórka specnazowców.

Cisza. Cholerna beznadziejna, nierokująca dobrze cisza...

Wynurzył się jeden milicjant, pokręcił głową. Weszliśmy i my. Któryś z nabuzowanych adrenaliną funkcjonariuszy OMONu chwycił ławkę i cisnął nią w okno, bryznęło szkło, rozdzwoiły się odłamki na podłodze i na bruku podwórka. Zdziwiony popatrzyłem na Jerzego, ale on patrzył na coś innego. Spojrzałem i ja.

Przed ikonostasem ktoś porozsuwał wszystkie ławki, zwalniając miejsce na koszmarną instalację.

Światło ze wszystkich reflektorów, a także to sączące się przez witraże i z rozbitego okna padało na podłogę.

Ktoś, wiedziałem kto, wiedzieliśmy wszyscy, z kilku tysięcy pogruchotanych odłamków kości, tak białych, że wyglądały jak sparzone czy wyługowane, ułożył na kamiennej posadzce kunsztownego węża. Nie, nie węża – smoka. Nie, nie smoka, gad nie miał skrzydeł. Wił się na długości pięciu-sześciu metrów, kończąc się nieproporcjonalnym, zwróconym w kierunku wejścia łbem. W miejscu oczu osadzono dwie ludzkie czaszki. Było to... piękne. Ale przerażające. Koszarne. Obrzydliwe. Jak plastynaty Von Hagensa. Kości, mimo że połamane na kilkucentymetrowe kawałki, musiały pochodzić z kilku, może nawet dziesięciu szkieletów. Miałem nadzieję, że nie były to tylko ludzkie kości.

Gigantyczne, wyrafinowane, spłodzone przez chory, perwersyjny umysł. Jakaś piekielna hekatomba w prawosławnej cerkwi.

– Sfilmować mi to, zabezpieczyć! – ryknął na całe gardło Konowalenko.

Byłem przekonany, że to, co ujrzał – ten gad – było najgorszą rzeczą, jaką major widział w swoim życiu.

Byłem też przekonany, że nieraz ten widok wyrwie mnie, spoconego i z łomocącym sercem ze snu. Plugawy, plugawe, plugawi... Skurwysyny z dna piekła... z piekła rodem... Wyszedłem szybko z cerkwi, żeby móc spokojnie splunąć, wykrztusić z płuc i gardła odrażający fetor.

Nie było zapachu. Było tylko przekonanie, że tam śmierdzi.

Naszła mnie myśl, czy aby nie miał racji Gariadze, czy kto to powiedział, że może lepiej spalić w pizdu tę wyspę. Od razu urodziły się inne, kontrujące, racjonalne pomysły. Oczywiście, jeśli chcieliśmy zadać ciężki cios pociotkom Cthulhu, to musiał to być cios nie w kilku szeregowych guimonów, ale w jakiś ośrodek decyzyjny. Plan minimum wymagał poznania sposobów rozmnażania, dowiedzenie się czegoś o sposobach komunikacji, taktyce...

Usłyszałem, jak przed wejściem do katakumb w cerkwi Konowalenko każe swoim

ludziom wrzucić tam granaty hukowe. Przygotowałem się na hałas, przetrzymałem.

Wyszedł Sukonin, od razu podszedł do mnie z paczką papierosów w wyciągniętej ręce. Zapaliliśmy.

– Nic nie rozumiem – wycedził kapitan. – To znaczy, rozumiem, ale nie wiem, co robić, jak robić, w kogo celować. Ciemno.

– Ciemność widzę – rzuciłem odruchowo.

– Co?

– Ciemność widzę, to z takiej jednej polskiej kome...

– *Seksmisja*, widziałem. – Zaciągnął się chciwie i strzelił niedopałkiem w bok. – Kurwa mać!

Nie wiedziałem, czy przytoczył jeszcze jedną cytata z filmu, czy po prostu zaklął, nie zapytałem, bo nie było kogo. Wrócił do cerkwi i zaczął besztuć podwładnych. Wyszedł z niej Jerzy i bokiem ominął grupę, jak by pokazując, że nie poczuwa się do zbierania besztów i rugów, jak mawiał dziadek.

– Coś tu jeszcze musi być – powiedział. – Jeden guimon nie spacyfikowałby wyspy.

– Oczywiście, że spacyfikowałby – zaoponowałem.

– Kto niby miał mu stawić czoło? Mnisi z krzyżami czy turyści z kosturami? Ale trwałoby to długo i rozniosło się po okolicy.

– Na jedno wychodzi, i tak, i tak jest tu coś jeszcze.

– Przeczucie czy przypuszczenie?

– Jedno i drugie. Tu *musi* być coś jeszcze.

– Myślisz, że to – zatoczyłem palcem koło nad głową – jest jakiś rodzaj przyczółku?

Z cerkwi wyszedł bladej ze złości Kostia.

– *Placdarm*? – zapytał. – Przyczółek? Czego? Czyj? Guimonów?

– Pewnie tak – wolno, jakby niechętnie powiedział Jerzy.

– Guimonów? – wczepił się w niego z zajadłością pitbula Sukonin. – Co masz na myśli?

– Nic nie mam na...

– Myślisz, że ktoś je wykorzystuje do czegoś? Jakiś pan guimonów? Człowiek?

– Człowiek... – Jerzy nagle sięgnął i wyjął mi wypalony do połowy papierosa z palców.

– Człowieku, nie wiem! Zastanawiam się tylko. To coś nowego, one nie działają strategicznie, tylko taktycznie, teraz, dziś, kropka. A tu mamy zaplanowane, realizowane długofalowo, na dużą skalę działania. Zastanawiam się więc, czym się różnią znane mi wypadki od tego. Musi przyjść do głowy współdziałanie ludzi i guimonów, prawda?

– Ale nie mnichów i guimonów? Jerzy pokręcił głową: – Nie. Mnisi zostali eksmitowani, i to brutalnie, bezwzględnie i szybko. – Myślał chwilę. – Widzę tu przemyślane działanie, cholera.

Sukonin strzelił niedopałkiem i natychmiast zapalił nowego papierosa. Zaciągnął się dwa razy i zaczął mówić, wypuszczając jednocześnie dym ustami i nosem.

– Tak. Postraszone ich, potem dwa mordy. Nie więcej, bo więcej nie dałoby się pozamiatać pod dywan. Seria zgonów musiałaby zwrócić czyjąś uwagę, same cerkiewne władze musiałby to zgłosić.

Z cerkwi wyszedł Konowalenko, za nim sznurem specnazowcy. Major zbliżył się do nas, pozostali odsunęli się, rozprysli po dziedzińcu. Jeszcze kilku opuściło budynek.

– Zastanawiam się – rzucił w przestrzeń Sukonin – gdzie są kruki? Ani jednego skurwysyna nie widać, nie słysząc...

– A ja się zastanawiam... – zacząłem, ale kapitan kontynuował:

– ...i ten stary wojskowy kompleks. – Popatrzył na nas. – Towarzyszu generale – powiedział w przestrzeń. – Wiemy, co tam oni kleili? – Słuchał chwilę. – Tak, to wiemy, rakietystry, ale czy tylko?

Wysłuchał odpowiedzi.

– Dobrze by było – skwitował słowa Jarcewa.

– A jeśli broń chemiczna? – zapytałem. – Nie zostało tam coś do wykorzystania? Blisko duże miasto.

– Nawet o tym nie myśl. – Odwrócił się do Konowalenki. – Co z szybowcami? Po cholere je braliśmy, trzeba było śmigłowce...

– Miało być cicho, tu głośno, żeby odwrócić uwagę. – Zerknął na zegarek. – Już podchodzą do lądowania.

– No to ruszamy. My w centrum, przez te zaszranie wzgórki.

Zgasił połówkę papierosa i ruszył, nie oglądając się na nas. Podążyliśmy za nim. Wyszliśmy z kompleksu monastynu i gruntową drogą, poprzedzani przez czterech milicjantów, pomaszerowaliśmy na północ. Reszta oddziału wtopiła się w las. Druga w nocy, niebo pociemniało jak przed deszczem, ale chmur nie było. Maszerowaliśmy dziesięć minut w ciszy, skupieni. Potem nagle Sukonin przystanął, ruszył, potknął się i niemal wywrócił, ale nawet nie zaklął, dotknął swojej radiostacji i w naszych uszach rozległ się głos. Zrozumiałem, że to pilot szybowca, bo powiedział coś o skrzydłach, potem o przyziemieniu, a potem, wyraźnie bardziej zdenerwowany powtórzył kilka razy coś o *woronach*. Kruki, które miały tu być, a do tej chwili nie ujawniły się.

W eterze zapanował gwar, krzyżowały się okrzyki i pytania, wykrzykiwane w pośpiechu i zdenerwowaniu. Kilka osób mówiło jednocześnie, szybko, nie byłem w stanie zrozumieć, o co chodzi. Jerzy rozumiał jeszcze mniej. Pociągnął mnie za łokieć.

– Kruki – rzuciłem szybko. – Jeśli dobrze rozumiem, kruki zaatakowały szybowce.

Sukonin popatrzył na mnie. Z cerkwi wyszedł blady, potem odzyskał kolory, teraz był niemal siny.

– Jeden szybowiec zwałił się w las, drugi odlatuje nad wodę i będzie wodował. Gazem!

Wskazał kierunek i pobiegł. Zatruchtaliśmy za nim. Mieliśmy do przebycia cztery kilometry, może trochę więcej, Zależy zresztą do czego. Do przylądka Wargosy było pięć, do

dolnej części litery V, gdzie znajdowały się jakieś zabudowania, może trzy. Wbiegliśmy na przestronną polanę, zabudowania podobne do poprzednich. Pustelnia Kazańska, przypomniałem sobie. Sukonin obejrzał się. Hełm, jak i nam wszystkim, obijał mu się o tyłek. Przed akcją z dumą wręczył nam nowe hełmy, skonstruowane do walki bez użycia broni palnej. Przypominały kaski rowerowe, ze szczelinami na całej powierzchni. Gdy zapytałem, przed czym mają chronić, Sukonin mruknął, że przed wszystkim, poza pociskiem z broni palnej. Nie mogłem się powstrzymać i rzuciłem, że na pewno przydadzą się, jakbyśmy mieli napierdalać się z guimonami pompkami od rowerów. Nie roześmiał się.

– Teren pobieżnie przejrany, olewamy na razie.

– Dobrze! – zawołał Jerzy. – Chyba najważniejsze to kompleks wojskowy.

Sukonin nie odpowiedział, biegł dalej, dyktując tempo. Jak na biurowego analityka szło mu nieźle. Gorzej było ze mną. Już łomotało mi w skroniach, odezwał się tępy ból w gojącej się ranie na plecach. Nie zwalniałem jeszcze, miałem nadzieję, że złapię jakiś rytm i nie odstanę od grupy. A jeśli nawet, to przynajmniej będę bliżej celu. Po lewej mieliśmy górę Swiataja, pagórek niewart uwagi. Ból, jakby ucieszony z uwolnienia, rozhasał się na całego. Zaczynał promieniować do lewej nogi. Musiałem zwolnić, ale zanim to zrobiłem, Jerzy chwycił mnie za łokieć i zatrzymał.

– Zwalniamy. Nie możesz ganiać jak głupi, puszczać szwy i tak dalej.

Musiałem mu przyznać rację, ale nie chciałem zwalniać. Jerzy mocniej chwycił mnie za łokieć. Pokręcił głową. Sukonin obejrzał się, w lot zrozumiał co się dzieje, pomachał ręką na znak, że mamy zostać, i po biegł dalej.

Jeden z obstawy nagle rzucił się w kierunku zabudowań, uwolniłem łokieć z uchwytu Jerzego, wyszarpnąłem pistolet, ale Jerzy zastąpił mi drogę.

– Poczekaj! – wrzasnął. – On ma dobry pomysł. Dopiero teraz zobaczyłem to, co oni dojrżeli wcześniej. Pod murem otaczającym centralny budynek stał drewniany wózek, coś jak mała drabiniasta fura. Drugi ochroniarz rozejrzał się i – uznawszy, że na razie nic nam nie grozi – pognął do kolegi. Razem migiem przytaszczyli wózek. Nie dyskutowałem, wgramoliłem się na pokład, milicjanci chwycili poprzeczkę dyszla i pognali za Sukoninem. Postanowiłem wykorzystać do maksimum zafundowany mi wypoczynek, położyłem się na plecach i oddychałem głęboko. Ból, jakby zrezygnowany, przestał się panoszyć, trwał jednak przyczajony. Jerry w biegu sięgnął po fiolkę z kilkoma pigułkami.

– Dwie! – rzucił.

Łyknałem posłusznie, włożyłem fiolkę do kieszeni na piersi, pod kamizelkę kuloodporną. Koła wózka skrzypiały niemiłosiernie, każde miało swoje specyficzne zawirowania, odchylenia od osi. Wózkiem rzucało, ale ciągle jeszcze trzymał się kupy i łykaliśmy metry. Poprawiłem cholerny hełm, uwierał mnie w ranę.

Dotarliśmy do rozwidlenia dróg. Jedna prowadziła na przylądek Roduszka, ta w prawo. Lewa – do głazu Koń-Kamień, obie porządnie oznakowane. Nasza prowadziła do góry

Zmieinój, a potem do kompleksu. Góra też była oznakowana drogowskazem.

Jerzy wyprzedził wózek i zmienił jednego z dyszlowych. Nad drzewami z lewej pojawił się kruk, potem drugi i trzeci. Na nasz widok kreśliły w powietrzu esy-floresy, jakby nie chciały się zbliżyć, a jednocześnie nie stracić wysokości i nas z oczu.

– Kruki! – zawołałem. – *Wórony!*

Tylko ja je zobaczyłem, bo pozostali skoncentrowali się na drodze. Milicjant, ten zwolniony z dyszla, nie przystając, posłał serię w stronę ptaków. Zareagowały z reflekssem: zapikowały w dół, rozpierzchły się i zniknęły wśród jodeł. Wyjąłem pistolet i przekręciłem się na bok, żeby mieć ten kawałek lasu pod ostrzałem, ale ptaki już się nie pokazały. Strzelec dogonił kolegę, zmienił go. Odzyskałem normalny oddech, ból ucichł, ale Jerzy odgadł moje myśli, odwrócił się.

– Nie próbuj złazić! – zagroził. – Nie po to się tyle męczymy, żebyś za chwilę się rozłożył. Do końca bądź pasażerem.

Nie byłem idiotą, nie zamierzałem niczego udowadniać. Przekręciłem się tylko, usiadłem ze zwieszonymi nogami i pilnowałem naszych tyłów. Kruków nie było, ludzi nie było, guimonów nie było. Minęliśmy kolejne skrzyżowanie, drogowskaz i tablica informowała, że górę mamy na wyciągnięcie ręki. Tekstu z tablicy nie zaliczyłem, obejrzałem się, żeby zobaczyć drogę z przodu. Przegradzał ją szlaban, kiedyś. Teraz, po przejściu ludzi Konowalenki, udawał pokręcony drogowskaz, wskazujący to, do czego dostępu do niedawna bronił. Na glinianopiaszczystej zapuszczonej drodze widniały głębokie odbicia kilkudziesięciu stóp, odzianych w mocno bieżnikowane buty. Droga biegła łagodnie w prawo, wózek skręcił i nagle jedno koło trzasnęło i po sekundzie odpadło. Ostrzeżony trzaskiem, zeskoczyłem i ominałem zwalniający wózek. Kulisi cisnęli dyszel, pobiegliśmy.

Z przodu, za drzewami, rozległa się seria, długa, soczysta, do niej dołączyła druga, i te dwie, niemal na cały magazynek, pruły do jakiegoś wrażego celu. Minęliśmy kolejny szlaban, ze śladów sądząc, częściej omijany niż otwierany. Przemknęliśmy przez szpaler umyślnie posadzonych gęsto, w kilka rzędów świerków i brzoź, i wypadliśmy na otwartą przestrzeń.

Przed nami rozsiadły się, czy może przycupnęły, bo niskie były i pokraczne, ni to budynki, ni to schrony, przysadziste, betonowe, z małymi okratowanymi i zasiatkowanymi okienkami. Wyglądały na magazyny jakichś niebezpiecznych substancji lub po prostu amunicji. Było ich sześć, przy czterech widniały sylwetki specnazowców. Wszystkie ściany nosiły ślady działalności sprayerów, jakieś wyznania, groźby, komunikaty, na skrajnym widniał krzyż z połamanymi końcami, tworzącymi nieregularną swastykę. Odszukałem wzrokiem Sukonina, Konowalenki nie widziałem, musiał być już za linią bunkrów-magazynów. On też nas zauważył, w słuchawce usłyszałem jego głos:

– Kamil! Konowalenko napotkał dwie staruszki, jedną rozwalili, drugą zalali kolargolem, zdechła od razu. Kazałem im wstrzymać ogień i próbować użyć sieci. Masz inny pomysł? – Ze zdenerwowania pomyliły mu się liczba mnoga z pojedynczą. – Ogłuszyć? Jak?

– Nie wiem. – Zerknąłem na Jerzego. Zrobił wyrazistą minę. – Cholera wie, czy walenie w łeb je ogłuszy, można tak rozwalić czerep.

– Na wszelki wypadek nie pchajcie się za bunkry.

Specnazowcy usłyszeli jakiś rozkaz, bo ruszyli dokoła betonowych klocków, zniknęli za rogiem. Kłusem dopadliśmy budynków, ominęliśmy je ostrożnie i wyszliśmy na obszerny asfaltowy plac, który jednym bokiem przechodził w betonowy pas.

– Co z tymi z szybowców? – zapytał Jerzy.

– Żyją wszyscy, kilku poturbowanych zostało w lesie, reszta idzie do nas, a ci, co wodowali, dopłynęli do brzegu. Zamykają wyloty obu pasów i czekają na rozkazy.

Konowalenko rzucił do mikrofonu kilka słów, jego ludzie podzielili się migiem na trzy grupy. Dwie ruszyły do pierwszego i drugiego bunkra, trzecia grupa ich osłaniała. Podeszliśmy do Sukonina, chciałem zapytać, skąd wyszły guimony, ale nagle z lasu na zachodzie wyleciała horda kruków. Takiego stada jeszcze w życiu nie widziałem. Nie, widziałem w Afryce, kiedy o świcie kilka tysięcy ptaków jednocześnie, jak na rozkaz, ruszyło do wodopoju. Tu niestety nie mieliśmy do czynienia z pokojowo nastawionymi roślinożercami. Kruki nie rzuciły się na nas, ale niemal całkowicie przesłoniły niebo i w kompletnej ciszy kołowały nad nami, zręcznie unikając zderzeń. Zapanował złowrogi, czarnopierzasty mrok.

Sukonin wstrzymał przeszukania bunkrów, staliśmy z bronią gotową do strzału i czekaliśmy na pierwszy ruch przeciwnika.

Kruki kołowały i kołowały, jakby niezdecydowane, może pozbawione przywództwa, może w ogóle niezdolne do wykonania rozkazu.

– Przydałyby się te... *ogniemioty*. Zgodziłem się z Sukoninem.

Kruki nagle zaczęły jakby wychodzić z wiru – pojedyncze sztuki nie wchodziły już w wiraż, tylko poleciały w kierunku północnowschodnim. Za nimi nagle w bardzo sprawnym synchronie ruszyła reszta. Odprowadzałem je wzrokiem, przeleciały nad ponurym budynkiem, znacznie większym od klocków, przy których ciągle staliśmy, bo trzykondygnacyjnym. Wydawało mi się, że kruki, przelatując nad nim, jakoś inaczej uderzają powietrze skrzydłami. Jakby zwalniały, a na pewno na chwilę przestawały machać skrzydłami, szybowały nad dachem.

– To śmierdzi – powiedziałem i wskazałem budynek Sukoninowi.

Konowalenko uruchomił przeszukanie. Kostia sięgnął po lornetkę i długo przypatrywał się wskazanemu budynkowi.

– *Ni chuja nie wiżu* – zameldował.

– Ja też, ale patrz na kruki.

Patrzył długo i uważnie.

– No – powiedział w końcu. – Inaczej lecą.

– Może skieruj tam tych z szybowca – zaproponowałem, poddając się przecuciu. – Po

cholere mają blokować pas startowy? Widzisz tu jakiś samolot?

Uśmiechnął się i wywołał dowódcę grupy. Po chwili skinął głową w stronę trefnego budynku i otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. We wszystkich słuchawkach rozległ się głośny krzyk, potem kilka strzałów. Wyszarpnąłem słuchawkę z ucha. Strzały dochodziły z lasu na zachodzie. Tam zostali ci poturbowani po zderzeniu szybowca z drzewami, stamtąd nadleciała kruzca horda.

– Meldować! – ryknął Sukonin.

Radiostacja eksplodowała okrzykami, ale nie zrozumiałem nic, słuchawka dyndała na szelce, słuchałem strzałów, usiłując wyobrazić sobie sytuację. Jasne było, że ranni zostali zaatakowani. Przez kogo? Ilu jest napastników? Jacy oni?

Konowalenko wysłał sześciu na odsiecz, reszta beznamiętnie ruszyła do przeszukania. Poszło sprawnie.

Strzały ucichły. Głosy w słuchawkach również. Odsiecz docierała do pierwszej linii drzew, zniknęli pomiędzy pniami i gałęziami. W pierwszym bunkrze nie było nic ciekawego.

W lesie rozległy się serie z automatycznej broni. Były jakieś lepiej zorganizowane. Odsiecz pruć do czegoś, kogoś. Wypruć kilkaset pocisków. Terkot broni ucichł. W drugim bunkrze też nie ciekawego. Na pasie startowym coś się poruszyło, trąciłem Sukonina i pokazałem mu to, przyłożył do oczu lornetkę, skinął głową.

– To nasi. Przemoczeni.

W lesie nic się nie działo. Potem zgłosił się jeden z odsieczy, z czterech rannych dwaj nie żyli, dwaj zostali poranieni przez trzy guimony, dwie staruszki i dziadka. Cała trójka guimonów nie żyła i już się dematerializowała.

– Kurwa, tak nic nie załatwimy! – zgrzytnął zębami Sukonin.

Mówiąc załatwimy, miał na myśli wzięcie języka. Od samego początku źle wróżyłem temu planowi, choć bardzo serdecznie mu kibicowałem i dobrze życzyłem wykonawcom.

– Idźmy tam – zaproponowałem.

Trzecia kostka okazała się szczelnie zamknięta. Jeden z milicjantów szybko założył ładunek, wszyscy wycofali się za róg, my odsunęliśmy się o dwadzieścia metrów. Huknęło, brzęknęły żelazne drzwi, dwaj specnazowcy wpadli do wnętrza. Nie wydawało mi się, by coś tam było.

– Idziemy? – powiłem sugestię.

Sukonin odczekał chwilę, milicjanci pojawili się w progu, pokręcili głowami.

– Poczekajmy na nich i chodźmy.

W czwartym bunkrze też nie było nikogo i nic ciekawego. Ruszyliśmy w kierunku największego budynku. Załoga szybowca też tam skręciła. Sukonin podszedł do Konowalenki i zamienił z nim kilka zdań. Do celu zostało nam może dwieście metrów. Przemoczeni specnazowcy czekali z bronią wymierzoną w budynek. Sto pięćdziesiąt metrów, sto.

Zatrzymałem się, uniosłem rękę, wszyscy znieruchomieli. Dokoła gęsta, niemal

namacalna cisza. Szurnęła czyjaś podeszwa na betonie pasa startowego. Nasłuchiwałem, inni poszli za moim przykładem. Cisza.

– Idźmy tam – mruknął w końcu Sukonin. – Szybko!

– Szybko to facet w szpitalu umarł! – syknąłem. – Coś mi tam nie gra...

– Grasra! – rzucił w swoim stylu, stylu zdenerwowanego Sukonina. – To, kurwa, nie sala koncertowa. Mamy już straty. Idziemy!

Runął do przodu. Omonowcy-specnazowcy ruszyli za nim, my także. Nie biegliśmy, ale sto metrów pokonuje się szybko. Tu i w tym momencie, jak dla mnie, za szybko. Całe moje to, co nazywam umysłem, wspomagane intuicją i chyba niechęcią do śmierci, sprzeciwiało się pośpiesznemu podejmowaniu walki. A walka się szykowała. Zostało nam pięćdziesiąt metrów. Specnazowcy rozwijali się w tyralierę, skrzydłami już zachodząc na rogi budynku. Strach, choć wołałbym nazwać to przecuciem, nasilał się i już byłem gotowy zawołać, by zatrzymali się, by przygotowali, gdy w ciemnym otworze dużych drzwi pojawiła się postać... i nie mogłem, nie, nie chciałem powstrzymać już nikogo. Nie musiałem – wszyscy w stuporze wpatrywali się w drzwi budynku.

To coś, co wyszło i od razu usunęło się w bok, zatrzymało pod ścianą, wyglądało jak wysoka, dwuipółmetrowa wysuszona do cna mumia.

Ciembrazowy stwór, kościsty i żyłasty, przypominałby ogromny kąsek dla stada psów, gdyby nie miał niemal krokodylego pyska, na którego widok zwiąłaby każda psia horda. Długie, pająkowate górne kończyny zakończone były niemal krabimi szczypcami, odbierając każdemu patrzącemu ochotę do zbliżania się. Chciałem podnieść lornetkę, żeby przyjrzeć się stworowi, póki jeszcze był na to czas, ale w drzwiach pojawił się drugi, znacząco inny. On również usunął się w bok, stanął po drugiej stronie drzwi. Oba przepoczwarzone ostatecznie guimony trwały nieruchomo, jakby chciały przykuć do siebie naszą uwagę. Wolno sięgnąłem do radiostacji.

– Kapitanie, one chcą, byśmy na nie patrzyli, chcą nas zaskoczyć. Uwaga!

Usłyszałem, że Sukonin szybko tłumaczy moje słowa na rosyjski. Nie było dużo tego tłumaczenia, ale i tak nie zdążył ze wszystkim.

Z drzwi runęła wataha stworów, które odegrałyby czołową rolę w każdym pandemonium. W różnym stadium przeistaczania, o czym nie miałem wcześniej pojęcia. Nie wiedziałem: zaskoczyliśmy je i nie dokończyły przepoczwarzania, czy tym razem proces, może specyficzny, został przerwany naszym wtargnięciem, czy może na tej wyspie, od dawna opanowanej czy opanowywanej przez piekielnych emisariuszy Cthulhu, miało się dokonać coś innego, czego wcześniej ludzie nie doświadczyli.

Wypadło kilkoro starych ludzi niemal niezmiennych, poza tym, że byli nadzy i wychudzeni, odessani z ludzkiej normalnej tkanki. Wyskoczyło kilka „klasycznych” guimonów – szponiastych, kolczastych, ścięgniętych, żyły i ogromna chęć mordy. Następnie pięć czy sześć ze sterczącymi z pleców wyrostkami, zapowiedziami – nie daj Boże! – skrzydeł. I

jeszcze jakieś, ale już nie było czasu na przypatrywanie się i selekcję. Wszystkie bardziej lub mniej ochoczo runęły na nas. Konowalenko i Sukonin, przekrzykując się – katastrofalny brak synchronizacji albo przejaw równie fatalnej gorączki bitewnej – przez chwilę zajmowali jednocześnie eter, potem Kostia umilkł. Konowalenko wykrzyczał kilka słów. Specnaz otworzył ogień, skomasowany na tych największych, na oko najgroźniejszych. Skutki były znakomite. Kilka najgorliwszych guimonów padło z rozwalonymi czerepami, nie miałem wątpliwości, że kule nie były wzięte z pierwszej lepszej skrzyni magazynu amunicji. Potem zobaczyłem, jak Sukonin i kilku z jego ludzi rzuca się na skrzydło, rozpoczynając polowanie na języka. Pobiegłem za nimi. Wydawało mi się – nie, byłem pewien – że popełniają duży błąd, chcąc przejąć naprawdę okazowy egzemplarz – tę mumię, która pierwsza nam się pokazała. I miała – moim zdaniem – ten właśnie cel: odciągnąć uwagę od czegoś innego.

Mumia przesuwiała się wolno, zastanawiająco wolno, wzdłuż ściany. Jeden z ludzi Konowalenki wypalił do niej z jakiegoś cholernego kartacza, świsnęło coś w powietrzu, kłęb połyskującej sieci rozwinął się w powietrzu, odrzut niemal wywrócił strzelca. Sieć trafiła znakomicie, mumia, pokryta nią, runęła na beton bezgłośnie. Szamotała się szaleńczo, dopadli ją trzej specnazowcy, rozległy się dziwne głuche puknięcia. Dobiegłem i zobaczyłem, że jakimiś rodzajami tuckerów przyszpilili brzegi sieci do betonu.

– Odpierdolicie się od niego, Kostia! To zmyłka!

– Nie odwrócił się nawet, dopadłem go, szarpnąłem za ramię. Zobaczyłem, że ma na twarzy szeroki szczęśliwy uśmiech. – To mylny trop! – wrzasnąłem, sądząc, że nie zna słowa zmyłka.

– Mamy go! – krzyknął w odpowiedzi, nie zwracając uwagi na kanonadę z boku, gdzie specnaz dziesiątkował guimony.

Wyszarpnąłem pistolet i zanim zdążył cokolwiek zrobić, podskoczyłem do wijącego się niemrawo pod siecią stwora i wypaliłem mu w czaszkę.

– Gównu z niego będziesz miał! – wrzasnąłem do skamieniałego Sukonina. – Jest już po drugiej stronie życia, nie myśli jak ty, nie działa jak ty, nie pobierzesz tkanek, nie przesłuchasz. Program autodestrukcji działa bez pudła! Skoncentruj się na tym! – ryknąłem, wskazując budynek. Myślałem przez chwilę, że położy mnie jednym strzałem albo każe rozstrzelać swoim ludziom, ale opanował się, nawet odwrócił we wskazanym kierunku. – Bierz tych najmniej przeobrażonych! – wrzeszczałem, zlodowaciały z przerażenia. Przed chwilą otarłem się o śmierć, i to z ręki towarzysza broni. – Może oni jeszcze mogą mówić, może jeszcze trochę myślą po ludzku. Ale najważniejsze jest coś innego. Coś się szykuje. Naprawdę ważnego!!!

Znad dachu budynku bezszelestnie wysączyła się czarna chmura. A raczej chmara znanych nam już kruków, leciały tym razem zwartym szykiem i nie krakały, nie łopotwały skrzydłami, zachowywały całkowitą, zdyscyplinowaną ciszę, i to było naprawdę nieprzyjemne, ta myśl, że są inteligentne i że jest ich tyle. Pomyślałem, że teraz rozegrają się

sceny jak z *Ptaków* Hitchcocka, że nas zaatakują. Podziękowałem w duchu Rosjanom za ich „rowerowe” hełmy, teraz, gdyby co, przydałyby się niezmiernie. Pomyślałem też, że kruki może nie zaatakują, ale odciągną uwagę od czegoś innego, ważniejszego, ale myliłem się – czarna chmura, owszem, pokryła niebo nad naszymi głowami, ale tylko pojedyncze sztuki runęły w dół; nie było trudno się od nich opędzić. Kilka zostało zestrzelonych, kilkanaście wzbiło się wyżej i zlało z resztą chmary. Guimony zostały niemal całkowicie wybite, kilka rzucało się w sieciach, wiło i wyło, dwa uciekały: nagi chudy dziad sadił kangurzymi susami, a gruba babuszka jazgotała przenikliwie, przechodząc czasami na wizg, i szybko przebierając nogami, wymykała się goniącym ją specnazowcom, którzy najwyraźniej byli w stu procentach przekonani o jej nieszkodliwości. Sukonin wyrzesał kilka słów, specnaz niemal całkowicie wstrzymał ogień. Zobaczyłem, że skoncentrowali się zgodnie z moją sugestią na kilku niemrawo poruszających się, cudem ocalałych (chyba dlatego, że niegroźnie się prezentowali) starszuchach. Poleciały w ich kierunku dodatkowe sieci, dopadali ich ludzie Konowalenki i „dobijali” z jakiejś specyficznej broni. Na pewno chodziło o jakieś paralizatory, ale wyglądało to dość makabrycznie. Sześciu bojowników biegiem odnosiło rannych kolegów na środek pasa, dwa ciała specnazowców leżały tam, gdzie udało się guimonom użyć swoich łap, szponów, kłów.

Potyczka trwała krótko i była właściwie masakrą guimonego oddziału, ale... Ludzie zapłacili swoją cenę... Pomyślałem, że gdyby nie obecność Sukonina, chłopcy Konowalenki postaraliby się stosunek zabitych ludzi i guimonów przechylić jeszcze bardziej na korzyść ludzi.

Wydawało mi się, że słyszę w tym całym rejwach dźwięk śmigłowca, ale kruki nadal krążyły bez celu nad polem krótkiej bitwy. Nie zapomniałem, że to one strąciły oba szybowce. Może śmigłowiec dysponował miotaczem ognia albo czymś odpowiedniejszym od raket powietrze-ziemia? Kto jednak przewidziałby bój z ptakami?

W sumie guimony, kruki i całe zamieszanie, starannie wyreżyserowane i dobrze, ofiarnie odegrane, wszystko to spełniło swoją rolę. Niemal do końca.

Poczułem w palcu lewej dłoni szarpnięcie, potem zaszczypały mnie oczy, zapiekło, jakby ktoś sypnął mi w twarz pieprzem, ale krótko, wypłynęły łzy i niemal odzyskałem wzrok. Akurat żeby zobaczyć, że na tyle budynku, gdzie gęsty czarny bez i jakieś inne krzaczory tworzyły niemal zwarty gąszcz, chwieją się gałęzie. Coś się wolno i bezgłośnie, bezczelnie i po kurewsku chamsko wymyka.

Przechwyciłem zaniepokojone spojrzenie Jerzego, ruchem głowy wskazałem kierunek i – starając się nie wzbudzać niczyjego zainteresowania – niemal na palcach pobiegłem za róg budynku. Jerzy gnał za mną.

Od okna, na którego parapecie lśniła jakaś galareta, ciągnął się wyraźny, mocno cuchnący acetonem i chyba kwasem mrówkowym trop. Trawa była przymięta, nie – przywalona, wbita w ziemię ciężkimi łapami, gałęzie krzewów już się nie chwiały, ale niektóre dopiero się

prostowały, wracały do poprzedniego położenia. Nie były złamane. Przechodzący tędy starali się nie zwracać na siebie uwagi, nie hałasować. Wymieniliśmy z Jerzym porozumiewawcze spojrzenia.

Tu było to coś, co było najważniejsze. Tędy uciekało to coś, co było monarchą na Koniewcu, dla kogo, być może, powstało to małe, krótko w sumie trwające królestwo.

Jerzy położył palec na ustach i pokręcił głową. Też sądziłem, że powiadomienie Sukonina może spłoszyć to coś. Zapiąłem mocniej sprzączkę hełmu pod brodą. Teraz, musiałem przyznać, miałem do niego inny stosunek. Już mieliśmy ruszyć, gdy nagle zza krzewów, pomiędzy drzew, wyprysnął czarny kształt i runął w naszym kierunku. Jerzy przykucnął i wypalił dwukrotnie. Czarnoczerwony łachman, ze sterzącymi we wszystkie strony zdruzgotanymi pociskami i zakrwawionymi piórami, zwałił się mu do stóp. Nie musieliśmy nic mówić: to był albo zwiadowca, albo członek tylnej straży oberguimona, superguimona, hiperekstraguimona. Huk wystrzałów mógł powiadomić uciekiniera, że ktoś idzie jego tropem, ale niekoniecznie. Zza budynku, z rzadka co prawda, ale raz na minutę, dwie, rozlegały się inne strzały. Miałem nadzieję, mimo wszystko miałem nadzieję, że ofiarami pocisków padają nieostrożne albo nadmiernie agresywne ptaki, a nie... byli ludzie.

Szliśmy tropem. Prowadził dokładnie na wschód, ale tylko przez sto, sto-pięćdziesiąt metrów, potem odchylił się na południe. Najwyraźniej coś omijało dużym łukiem siły Sukonina, ale dokąd się kierowało? Może po prostu do wody, żeby odpłynąć w postaci, nie wiem, miejscowej Nessie? Nie mogliśmy dopuścić, żeby najważniejsza, najgroźniejsza na wyspie istota zwała i zaczęła działać w innym miejscu ogromnego kraju. Pokazałem na migi, że chcę użyć radiostacji. Jerzy skinął głową.

– Tu Kamil – powiedziałem półgłosem do mikrofonu. – Pilne! Do Sukonina. – Odczekałem chwilę. Odezwał się po dwóch sekundach:

– Tak? Gdzie jesteście?

– Coś ważnego wymknęło się z tyłu budynku i kieruje się teraz na południe. Pół kilometra od brzegu. Myślimy, że trzeba pohłasować na brzegu, odstraszyć od wody, żeby nie uciekło. My idziemy tropem.

– Dobrze, helikopter zabrał rannych, drugi poleci nad wodę i postrzela tam trochę. Poczekaj... – Pół minuty milczenia. – Dobra, mam was na lokacji. Może poszukać z góry?

Zrozumiałem, że ma na myśli namierzenie obiektu przed nami.

– Może nie? Może nie wie, że idziemy za nim? Raczej odetnijcie go od reszty wyspy, żeby nie dotarł do pustelni.

Jerzy uniósł palec i szepnął:

– Bunkry?

Skinałem głową.

– Czy na wyspie są jakieś bunkry? Tunele? Podziemne instalacje?

– Nie ma, jakieś piwnice na terenie bazy, nic więcej nie ma.

– No to może to coś po prostu ucieka. My idziemy za nim, wy odcinajcie od wody i rozstawcie się przed Pustelnią Kazańską, tak?

– Tak. Rozumiem. Powodzenia.

Sprawdziliśmy broń. Za drzewami ryknął silnik śmigłowca, przeleciał sto metrów za nami, po minucie rozległy się strzały, potem huknęły granaty. Hałas był przekonujący, powinien zadziałać. Ruszyliśmy szybkim krokiem, krzaki stopniowo rzedyły, weszliśmy w zwykły las szpilkowy, ładne stare jodły i sosny, widoczność sięgała już nie dwóch, ale dziesięciu metrów. Igliwie zalegało grubą rudą warstwą, trop był widoczny znakomicie. Odległość między poszczególnymi odciskami wydłużyła się. Ścigany biegł, my też przyspieszyliśmy.

– Myślisz, że to Fn'thal? – zapytałem.

– Nie, myślę, że coś gorszego – odparł szczerze. Tak. Ja też tak myślałem. Fn'thal, którego poznaliśmy w Wadowicach, był cholernie groźny, ale głupawy. Może nie do pokonania w pojedynkę. Tu ślady wskazywały na coś znacznie cięższego, musiało to być odpowiednio potężniej uzbrojone. Po raz pierwszy zwątpiłem w siłę ognia swojego pistoletu. Dziś chętnie niósłbym na plecach ckm i bez sprzeciwu przewiesiłbym przez pierś wiązkę granatów. A jak czule pieściłbym stingera!

– Widzę was – rozległo się w słuchawkach. – Chyba mam też obiekt, a na pewno co jakiś czas mam coś przed wami, dystans się wydłużył. Od pustelni jest odcięty, ale tam jest... *słabo...*

– Co tam jest? – zapytał Jerzy. – Co jest słabe?

– Nie, nie słabo, tylko słabó, z akcentem na „o”, czyli mizernie, kiepsko. Jasne, mogą tam rozstawić ludzi tylko pojedynczo, przejdzie przez nich jak kosa przez gówno.

– Kostia? Niech hałasują, ale granaty oszczędzajcie. To coś jest jak czołg.

– Jasne. Rozumiem. – Odkasznął. – Kamil? Nie pchajcie się sami, macie tylko pistolety.

– Nie będziemy, ale nie zamierzamy też popuszczać – rzuciłem zuchowato. – Bez odbioru.

Jerzy przyspieszył, gnałem za nim lasem, cichym i pustym. Przekroczyliśmy gruntową drogę, którą uciekający pokonał jednym susem. Dobre pięć metrów. No dobrze, może i ładnie ucieka, ale to on ucieka, nie my. Z lewej widniała góra Zmeinaja, ale stwór omijał pagór. Jeśli dobrze pamiętałem topografię wyspy, zmierzał do końskiego głazu. A od niego do wody był rzut blinem. Powiedziałem to Sukoninowi. Zaklął i rozłączył się. Strzały ze śmigłowca za nami umilkły, silnik ryknął i zaczął nas doganiać, niemal jednocześnie rozległy się pojedyncze strzały z lewej, od strony pozycji broniących pustelni. Uciekający biegł wzdłuż drogi prowadzącej do Koń-Kamienia, my gnaliśmy drogą, wygodniej.

Dwie minuty później las rozstał się, pokazała się polanka, z lekka zagospodarowana: ławki, daszki nad stołami, drewniane kubły na śmieci.

I Koń-Kamień. Ogromny głaz z małym domkiem na szczycie, do którego prowadziły

drewniane, od dawna niekonserwowane schody, żółto-brązowa farba łuszczyła się i odpadała płatami. Trop prowadził przez polanę do głazu, omijał go z lewej. Rozdzieliliśmy się, poszedłem w prawo z pistoletem w zdrowej dłoni. Głaz był rzeczywiście duży, ważył z siedemset ton, ale podobieństwo do głowy konia wątpliwe. Zresztą, kogo w tej chwili obchodziły kształty kamienia? Coś się za nim kryło i na tym należało się skoncentrować... A może to coś pognało dalej, do wody? Przyspieszyłem, odsuwając się jednocześnie od kamienia na sam skraj polanki.

Nie, to coś nie uciekło do wody. To coś, ponuro kiwając się na potężnych słupowatych nogach, opierało się zadem o głaz. Stwór miał ogromną głowę typu golemowego, zlewającą się z korpusem. Na mordzie, poza pyskiem z wyszczerzonymi kłami typu paleozoicznego, dominował ogromny, znany mi już kalafiorowaty nos. Purpurowy jak na socrealistycznej karykaturze pijusa. Batuszka Andriej! W brakujących palcach odezwało się mrowienie. Batuszka kiwnął się mocniej do przodu, ale zaraz się cofnął. Poruszył łapskami, właściwie łokciami, jak bokser przed starciem, rzuciłem okiem na zakończenie grab: dziwnie krótkie palce z mało imponującymi pazurami. Zaraz okazało się, że to jego pięści. Ryknął ponuro, nisko i wyciągnął do mnie już wyprostowane szpony. Zrobiłem kilka kroków w tył, żeby odciągnąć uwagę batuszki od Jerzego, ale nie dał się sprowokować, trwał przy swoim głazie, jakby ssał z niego moc. Złożyłem się do strzału. Mierzyłem najpierw w pysk, w ponuro wpijające się we mnie obrzydliwe gały, w końcu wystrzeliłem w kolano. Unieruchomiony albo przynajmniej ograniczony ruchowo guimon, to niemal martwy guimon. One nie mają broni, nie strzelają, nawet nie chwytają palic. Spudłowałem, poprawiłem, trafiłem.

Nic. Pocisk zrykoszetował na pancerzu nogi. Andriej zachrypiał głośno, chrypienie przeszło w niski bulgot, a ten trwał, trwał, trwał...

Póki w okolicy ucha guimona nie trafił pocisk Jerzego. Głowa zabójcy Zemfiry drgnęła, kiwnęła się, ale nawet jej nie odwrócił. Wypakowałem cały magazynek: pysk-pysk-brzech-krocze-krocze-krocze... Gdzieś musiały być czułe punkty stwora.

Golem machnął bezładnie łapskami, potrząsnął głową. Zza głazu wyłonił się Jerzy i wystrzelił oszczędnie, dwa razy.

W głowie nagle pojawiła się dziwna myśl, nie dziwna sama w sobie, tylko dziwna w tej sytuacji. Powinienem koncentrować się na walce, a myślałem tylko, że wiem, jak zwie się ten stwór. Instynktownie myślałem o nim golem, i byłem blisko, to był, nie wiem, kto mi to podpowiedział, ale wiedziałem już, że to Guilem. Najwyższy reprezentant Cthulhu na ziemi.

Migiem zmieniłem magazynek, wystrzeliłem cały, wymieniłem. Kolejny poszedł w pysk, w purpurową teraz mordę, w gały jarzące się ponurym nieziemskim karminem. Załadowałem następny magazynek. Wbiłem pistolet w kaburę na biodrze, wyszarpnąłem pasek, usztywniłem. Poszedłem w lewo, bliżej kamienia. Chciałem, by odsłonił plecy. Trochę odsłonił. Jerzy przesunął się jeszcze kawałek i wywalił swoich osiem pocisków w czaszkę i kark. Guilem kwitował trafienia poruszeniami głowy, ale była to jedyna reakcja. Ruszyłem w

jego kierunku z *geomem* w ręku. Potwór zachrypiał. Wytrzeszczył gały i kły.

Zwalił się na mnie nagle potworny ból głowy.

Jakby wszystkie naczynia krwionośne wypełniły się nagle wrzącym żelem, przed oczami zadrgała czarnofioletowa kurtyna. Przez migotliwe szczeliny w niej zobaczyłem, że Guilem, kiwając się na mocarnych nogach, zmierza w moim kierunku. Zmusiłem się do poruszenia, zrobiłem chyba dwa kroki w lewo, uderzyłem barkiem w drzewo, dotykając je łokciem, cofnąłem się i ukryłem za pniem. Ból na sekundę opadł. Wyszarpnąłem pistolet i opierając się o drzewo, wystrzeliłem cztery razy, mierząc w nogi. Bałem się, że strzelając niemal na oślep, trafię Jerzego. Jak się okazało, nie miałem szans – dopadł Guilema, kryjąc się za jego korpusem, i ciął w lewy łokieć. Stwór zaburczał, machnął łapą do tyłu, ale nie odwrócił się. Maszerował na mnie, wystrzeliłem jeszcze trzy razy. Trafiłem dwa razy w podbrzusze, nie wiem dlaczego, lecz wydawało mi się, że tam może być czuły punkt potwora. Jerzy zrobił dwa długie kroki, odbił się i z obu nóg strzelił Guilema w plecy.

Złamałby tym sposobem pień brzozy, ale Guilema nie. Poleciał jednak do przodu, prosto na pień, uderzył pyskiem w drzewo, aż posypały się szyszki. Niemal po omacku wpakowałem mu lufę w oczodół i wystrzeliłem ostatnie dwa pociski. Jerzy dwukrotnie ciął w kark, ale to wszystko służyło Guilemowi jak mocz po kafelkach. Wyciągnął łapy i prawie udało mu się mnie dosięgnąć i przycisnąć do pnia. Nie miałem wątpliwości, że trwale zespoliłby mnie z sosną. Odskokczyłem w ostatniej chwili, zostawiając tylko strzępy bluzy w szponach potwora.

W sumie nasza akcja jakiś skutek odniosła – ból głowy, którego źródłem była jakaś potworna emanacja, ustał. Otarłszy łzy, mogłem znowu działać. Spróbowałem swoim, mizernym w tej sytuacji, *geomem* ciąć w bok, ale... Na Guilemie nie widać było pancerza, jednak żabia na oko skóra była twardsza od skóry hipopotama. Wycofałem się kilka kroków, zmieniłem magazynek, korzystając z tego, że stwór, może przynajmniej oślepiiony, szarpie pazurami korę drzewa. Zobaczyłem, że Jerzy też się odsuwa.

– Wycofajmy się! – krzyknął.

Machnąłem ręką, że jeszcze nie. Podskoczyłem do drzewa i z drugiej strony wpakowałem w łeb Guilema pięć pocisków. Owszem, wypłynęła jakaś brunatna jucha, ale srebrne kule nawet nie przechodziły przez czaszkę stwora, grzęzły gdzieś we wnętrzu, w którym – co już było pewne niezbitcie – nie było centrum nerwowego, jak u każdej ziemskiej istoty.

Guilem odwrócił się i trochę na oślep skoczył na Jerzego, ten jednak stał za daleko i za bardzo w bok od trasy arcyguimona, ale skorzystał z zamieszania, jednym susem dopadł boku i ciął po łapie. Tym razem było to skuteczniejsze: zestrugał dwa szponiaste paluchy.

I niemal przyplącił to życiem. Nawet nie ryknąwszy, Guilem zwinął się dziwnie, jak przeor z Shaolin, w nieuchwytnym ułamku sekundy dopadł Jerzego i uderzył z całej siły lewą łapą. Jerzy upadł na plecy, fiknął kozła, przeturlał się i – o milimetry uniknąwszy szponów – z mściwym uśmiechem poderwał się na równe nogi.

– Na konia! – wrzasnął. – Czekamy na posiłki!

– Dobra!

Wystrzeliłem resztę magazynku w kark stwora i pobiegłem do schodów. Jerzy obiegnął głaz z drugiej strony, spotkaliśmy się u podnóża drewnianych stopni. Niewidoczny teraz Guilem zachrypiał, potem ryknął wściekle. Pobiegliśmy do góry, po kilku schodkach Jerzy zatrzymał się, stanąłem i ja.

– Tu Kamil! Mamy go przy Koń-Kamieniu. Kule nie działają, przygotujcie się na ciężki ostrzał. Wszystko, co macie – wydyszałem do mikrofonu.

– Dobra, zaraz będę!

Guilem wykuśtykał zza głazu, rozejrzał się. Jeszcze przez chwilę nas nie widział.

– Wywołał u mnie potworny ból głowy. Jerzy, uważaj na skurwysyna, bo może jeszcze mieć w zanadru niespodzianki! – powiedziałem cicho.

Skinał głową. Mruknął pod nosem „ja też!”, poszperał w kieszeni na piersi, wyszarpnął dwa małe cylindry, w jednym przekręcił inicjator, zamachnął się i cisnął w gadzinę. Trafił ją w bark, błysnęło i po plecach stwora rozlała się błękitna poświata. Teraz okazało się, jaką potęgą płuc (czy co tam miał zamiast nich) dysponuje Guilem. Ryk, wydawało się, wstrząsnął jodłowymi gałęziami. Serce poderwało mi się do lotu, wykonało kilka szaleńczych skurczów i zaczęło tłuc się szybko-szybko, płytko, wymuszając głębokie, paniczne oddechy. Zobaczyłem, że Jerzy odczuwa to samo.

– Wstrzymaj oddech! – krzyknął. – Inaczej się zhiperwentylujemy. Może mu o to chodzi!

– Dopierdol mu jeszcze – wycharczałem. – Nie lubi tego!

Usiłował przekręcić „zapalnik”, ale dygotały mu ręce, był blady i siny, pot zalewał mu oczy.

– Daj!

Z dużym trudem wyłuskałem granat z jego dłoni, przekręciłem z wysiłkiem inicjator. Odetchnąłem dwa razy, przymierzyłem i... spudłowałem. Cylinder bezużytecznie poturlał się obok łapy ryczącego ciągle Guilema. Odwrócił się do nas. Dopiero teraz dotarło do mnie, co znaczy „nienawistne spojrzenie”. Było bolesne. Ściągną skręciły się, kości poszły za nimi. Gdybyśmy nie stali na platformie i nie trzymali się poręczy, runęlibyśmy po schodach w dół, poturlali prosto pod stopy potwora. Objąłem Jerzego i pchnąłem do tyłu.

Zwaliliśmy się na schody, Guilem ruszył w naszą stronę. W słuchawkach coś ryczał Sukonin, ale bębniaki uszu i sam mózg odmawiały odbioru jakichkolwiek innych dźwięków poza ciągnącym się w nieskończoność paraliżującym rykiem bestii.

Ciągle atakując nas piekielnym namacalnym dźwiękiem, kuśtykał w stronę schodów. Przed nimi opadł na kolana i zaczął na czworaka wspinać się po wątej konstrukcji do góry. Jerzy szarpnął się, wywinął spode mnie i pokazał na górę. Poczłgaliśmy się, wyprzedzając o pięć kroków, o trzy metry, o osiem schodków Guilema. W słuchawkach, mimo koszmarnego, oszałamiającego, paraliżującego wizgoryku, słyszałem jakieś piskliwe krzyki, mogłem się domyślić, że Sukonin pyta, co się dzieje, ale nie miałem sił na wyjaśnianie sytuacji. Zresztą,

kurwa mać, mieli tu być lada moment! Kilka schodków wyżej cała konstrukcja zadygotała przerażająco: albo osiadała pod ogromnym ciężarem Guilema, albo ten rozwalał ją umyślnie, chcąc strącić nas i siebie na ziemię i tam dokończyć wreszcie roboty z nadruchliwymi, ciągle żyjącymi ludzikami.

– Granat? – wykrzychałem w twarz Jerzego. Pokręcił głową, zwałem się na stopnie obok niego, przymierzyłem, trzymając pistolet oburącz, i z dwóch metrów wywaliłem wszystko, co jeszcze miałem, w prawą dłoń, tę sprawniejszą. Prysnęły szpony i trzy palce. Jerzy wystrzelił raz i cisnął bezużyteczną już bronią w łeb szkarady. Poczłógaliśmy się wyżej. Guilem tracił jednak siły, miał pokancerowane łapy, ileś pocisków ze srebra w sobie, był cięty kilkakrotnie.

Ale chyba najwięcej kosztowało go paraliżujące ryczenie. Zawarte w nim hipnotyczne pęta pochłaniały jego siły, ryk słabł wyraźnie i po kilku sekundach ustał.

Kiepski reżyser, którego marny trzeciorzędny scenariusz odgrywaliśmy, na tę właśnie chwilę zaplanował wejście Sukonina.

On sam i jego ludzie wypadli z lasu, jednocześnie z lewej i prawej pojawili się zdyszani specnazowcy. Sukonin wrzasnął coś, machnął do nas ręką. Spierdalać! Odzyskiwaliśmy siły z każdą milisekundą ciszy, na kolanach, podciągając się, szarpiąc wzajemnie i tarmosząc, wdarliśmy się na szczyt schodów, niemal pod drzwi małej pierdolonej chatki, idiotycznej w tym miejscu, ni to kapliczki, ni to budki z hotdogami. Na dole rozpętało się piekło.

Wycharkiwało swoje pociski, zapalające, posrebrzane, profilowane i wszelkie inne, dwa tuziny pistoletów, pistoletów maszynowych i jeszcze kilka rodzajów broni palnej. Smugi kończyły się w garbie Guilema, w jego bokach, cmokając, zagłębiały się w hipopotamiej skórze, wyszarpywały kawały tkanki. A ten niezmordowanie pełził do góry. Ale niedługo.

Pierwsza wystrzelona sieć przeleciała nad potworem, niemal trafiła w nas, druga nakryła go, otuliła, spętała.

Widziałem, jak ocalałe szpony lewej łapy wczepiają się w oczka sieci, jak Guilem usiłuje się z niej wyplątać, ale pogłębiał tylko kryzys. Potknął się na stopniu, łapa pociągnęła sieć, ta szarpnęła w dół jego kikut i głowę.

Już nie mógł się utrzymać na schodach, ale nie ustawał – rozpaczliwie szarpnął się raz jeszcze, wybił w powietrze, zaczepiając łapami i siecią o poręczę. Żeby sięgnąć, zabić, rozszarpać!

Sekundę potem runął w dół, wrywając kawał drewnianej konstrukcji, i z obrzydliwym rżeniem i łoskotem spadł, zagarniając za sobą schody wraz ze znajdującą się w połowie ich długości platformą.

Teraz z ostrzeliwanego Guilema leciały bryzgi juchy, tkanka i drzazgi nieszczęsnych schodów.

– *Granaty, job ich mat'!* – ryknął Konowalenko. Pół sekundy później eksplodował pierwszy.

Szturmowy, o ograniczonej przestrzeni penetracji. Fala uderzeniowa, dużo huku, zero,

niemal zero, odłamków. Zwaliło się ich na wijącego w wywołującym wymioty kłębie Guilema osiem.

Pół minuty później kanonada ustała. Sterta posiekanego na niewarte ogniska drewna znieruchomiała.

– *Padźygaj!* – krzyknął Sukonin.

Podskoczyli dwaj specnazowcy i z wyraźną satysfakcją strzelili smugami parującej w powietrzu cieczy ze zbiorników na plecach. Chwilę potem jeden z nich cisnął w stertę mały czerwony kłębuszek. Eksplodował płomień sięgający od razu kilku metrów.

Siedzieliśmy z Jerzym na ostatnim stopniu, oszołomieni, skatowani hipnorykiem, wycieńczeni biegami, skokami, unikami... Skatowani adrenaliną. Obrzydzeniem... I szczęśliwi ponad miarę.

Sukonin obszedł ognicho i osłaniając oczy od dymu, popatrzył na nas.

– A jak wy, w *dupu* i nożem, zejdziecie? – zapytał. Ogarnął mnie głupi, histeryczny chichot. Popatrzyłem, dygocąc ze śmiechu, na Jerzego.

– No co? – wychrypiał.

– *Granaty... job ich mat'...* Co za zbitka... językowa... Patrzył na mnie chwilę, najpierw z niepokojem, potem... potem inaczej.

– Opanuj się. – Jego dłoń znalazła moją za plecami i mocno ścisnęła. – Bo jak nie, to cię tu przytulę, na oczach wszystkich. Chyba tego nie chcesz?

Chciałem. Ale nie tu i nie na oczach wszystkich. Opanowałem się

EPILOG

Kostia, kapitan Sukonin, zaraz po cudownym obiedzie odciągnął mnie w kąt werandy, pod pozorem wypalenia papierosa z dala od kobiet, a widząc, że Osip Stiepanowicz chyżo ku nam zdąża z zadowoloną miną, rzucił tylko:

– Jeden z jeńców *atkinuł kapyta*. Mówi się strześlił kopytami, tak? Dwaj pozostali są... zahibernowani, na razie nikt ich nie rusza.

– Dobrze, oni się chyba rozpadną przy najmniejszym dotknięciu.

– Uch, smacznie gotuje wasza teściowa, Konsantynie Aleksandrowiczu. Taki barszcz! – powiedział Stiepanycz. Popatrzył na mnie. – Dobrze wyglądasz!

– Wymoczyłem się w waszym jeziorze, leczniczo – uśmiechnąłem się. Dotarło do mnie, że tak naprawdę to nigdy jak należy nie podziękowałem Stiepanowiczowi. Zagarnąłem go w objęcia. – Dziękuję ci, Stiepanycz.

– Dobra tam. – Klepnął mnie między łopatki, pociągnął nosem i szybko odsunawszy się, wyciągnął swoje papierosy, zapalił. – Każdy by tak...

Za jego plecami Walentina zrobiła jakąś minę do męża. Sukonin skinął głową.

– Teraz będzie popisowy numer naszych córek. – Westchnął. – A ja muszę kilka słów wyjaśnienia. Babcia Irina jest sinologiem, one bobrowały po Sieci i znalazły takie coś, czym zadręczają wszystkich znajomych. Musicie przez to przejść. – Zgasił papierosa. – Ale uwaga: robią to tylko dla tych, którzy przypadną im do gustu.

Irina Matwiejewna popatrzyła w głąb pokoju i plasnęła w dłoń.

– Znowu będziecie mnie dręczyły?... – Przesadnie przewróciła oczami, ale każdy widział, że zbliżający się występ wnuczek cieszy ją ogromnie.

Ich matka, Walentina Igorowna, uśmiechała się szeroko, nie kryjąc dumy.

Inka i Lena wyszły na werandę w słomkowych, stożkowych chińskich kapeluszach, różniących się od siebie tylko kolorem wzorów. Ich ciemne włosy zostały jakoś upięte i znakomicie naśladowały fryzurki małych Chinek. Przetupały na środek, ukłoniły się i Inka zaczęła:

– Usłyszycie teraz żartobliwą parodię poematu napisanego przez Zhao Yuanrena, chińskiego poetę i lingwistę. Utwór składa się z dziesięciu wersów i dziewięćdziesięciu dwóch znaków, wymawianych w standardowym chińskim mandaryńskim niemal identycznie.

– To brzmi mniej więcej tak. – Lena ukloniła się przed babcią która modlitewnie złożyła dłonie i nawet klasnęła dwa razy. – Wybacz, babciu, niedobrą prononsjację. Zaczęły „deklamować” chórem:

Shî Shé shi shî shi
Shîshé shîshé Shî Shé, shé shî, shé shî shî shî. Shě shîshî shě shě shě shî.
Shî shî, shě shî shî shě shě.
Shě shî, shě Shî Shě shě
shě.
Shě shě shě shî shî, shě shi shě, shi shě shî shî
shěshě. Shě shî shě shî shî shî, shě shîshě.
Shîshě shî, Shě shi shě shě shîshě.
Shîshě shě, Shě shi shě shî shě shî
shî.
Shî shî, shi shî shě shî shî, shî shî shî shî
shî. Shě shě shě shě.

– Oczywiście każdy wykształcony człowiek – szybko wypaliła Inka – widząc napisany tekst, potrafi zrozumieć treść. My jednak po prostu powiemy wam, o czym jest poemat – dokończyła wspaniałomyślnym tonem.

Obie dygnęły i idealnie zsynchronizowane, przetłumaczyły poemat:

O Shi Shi, który jadał lwy
Poeta Shi Shi z kamiennej komnaty przepadał za lwami i obiecał sobie zjeść
dziesięć sztuk.
Często chadzał na targ, żeby rozglądać się za lwami.
O godzinie dziesiątej właśnie dostarczono dziesięć lwów.
W tym czasie Shi Shi również dotarł na targ.
Widząc dziesięć lwów, Shi Shi skorzystał ze strzał i posłał lwy na tamten
świat.
Wziął cielska dziesięciu martwych lwów i zaniósł je do kamiennej komnaty.
Komnata podeszła wodą, więc Shi Shi kazał sługom ją osuszyć.
Kiedy komnata była już sucha, Shi Shi spróbował zjeść dziesięć lwów.
Kiedy jadł, zrozumiał, że dziesięć lwów to w rzeczywistości kamienne zwłoki
lwów.
Spróbujcie to wyjaśnić.

Pierwszy roześmiał się Jerzy. Chyba jednak roześmieszło go nie powtórzenie sto razy

sylaby „sz”, ale mina Kseni Abramowny, która z otwartymi ustami gapiła się na dziewczynki.

– To być nie może – jęknęła. – Jaki dziwny język!

Dziewczynki ukłoniły się i z trudem utrzymując powagę, podreptały do pokoju. Pozornie nie przejmując się otrzymanymi oklaskami. Ich babcia ukradkiem otarła łezkę. Sukonin i Walentyna wymienili spojrzenia pod tytułem „Ach, co robić!”. Ale i ich rozpieła duma. Kostia pochylił się do mnie i szepnął:

– No, czy one nie są wspaniałe? – Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową. – Nie ma rzeczy, z której był bym bardziej dumny. Nawet akcja na Koniewcu błędnie. – Znowu pokiwałem głową. – Lena i Inka. A jak chcę dokuczyć dziadkowi, mówię o nich: Leninki.

Generał Jarcew, wspomniany przed chwilą dziadek, odchrząknął i zatarł dłonie:

– No! To należy oblać!

Nie tylko to należało oblać.

– Stiepanycz, wszystko w porządku? – zapytałem cicho Osipa, korzystając z tego, że wszyscy zainteresowali się stosem rumowych babeczek, wniesionym przez Irinę Matwiejewnę. Osip uściśnął mi dłoń.

– Nie myślałem, że na starość stanę się bogaczem. Ksenia przez kilka dni zalewała się łzami. – Zerknął na żonę, pochylił się do mnie i ściszył głos do szeptu:

– Wyżebrała od kapitana Sukonina twoje zdjęcie. Wisi na honorowym miejscu w stołowym.

– Napijmy się – zaproponowałem, żeby jakoś stonować emocje.

– To zawsze można. – Otarł wąsy i rzeczowo wlał w usta pół kieliszka wódki. – Więcej nie mogę, Ksenia zakazała – wyjaśnił swoją wstrzeźliwość. Jarcew chyba to usłyszał.

– Drodzy przyjaciele, szczególnie nasi zagraniczni przyjaciele. – Wziął do ręki swój kieliszek. – Nie będę przemawiał. Po prostu wykonaliśmy tu kawał bardzo potrzebnej, ważnej i niebezpiecznej roboty. Kosztowała życie kilku naszych przyjaciół – uczcijmy ich pamięć. A wam jeszcze raz dziękuję.

Siedem ofiar. Zemfira i sześciu milicjantów. Na pewno zachowamy ich w pamięci.

I trzydziestu czterech staruszków, przemienionych w guimony. O tylu wiedzieliśmy, ale ile żywotów naprawdę pochłonał piekielny Cthulhu? Ilu zostało i pod maską wątych seniorów i senierek prowadzi normalny żywot, być może w oczekiwaniu na zew, hasło, surmy bojowe? Gdzie są, jak się mnożą? Dlaczego?

I czy są w jakiś sposób winni temu, co się z nimi dzieje? Tego nie wiedzieliśmy nadal.

Nie wierzyłem w skuteczność badań przeprowadzonych na guimonach, wziętych do niewoli za pomocą jakichś paralizatorów. Obawiałem się, że stali się czymś tak obcym, że potrzebowalibyśmy lat, by zrozumieć wrogą, obcą, nieludzką strukturę. Ciała i ducha. A nie mogliśmy nawet pobrać próbek tkanek, nie ryzykując całkowitego i nieodwracalnego rozkładu. Ale to i tak było to coś więcej niż zwyczajne tępienie: okazjonalne, nieskuteczne

albo skuteczne tylko doraźnie.

Miałem nadzieję, że kapitanowi Sukoninowi się uda. Szczerze mu tego życzyłem.

Osip Stiepanowicz, widocznie jednak wypiłszy więcej niż dwa razy po pół kieliszka, trochę się rozluźnił.

– ...a on, ten znajomy, był archeoarchnologiem! – Uniósł palec do góry, wymawiając karkołomne słowo. – I jak jechali na poszukiwania tych swoich skamieniałych pajaków, to dostawali przydział na dwa kanistry spirtu. Bo jak znajdą taki wapień z pajakiem, to robią jakiś preparat ze spirytusu i innych świństw. Polewają ten kamień, on się jakoś rozpuszcza i zostaje ten pajak. I oczywiście popijają też ten spirt. Jak kiedyś siedzieli przy ognisku i popijali, to inny z ekspedycji wypił i mówi: „My mamy dwa kanistry na pajaki. A ile dostają ci, co szukają dinozaurów?!”.

To było śmieszne, takie... rosyjskie.

Wróciły Leninki. Ubrane i uczesane identycznie były nie do odróżnienia. Niemal. I bawiło je to ogromnie, chyba z premedytacją kręciły się, wierciły i zamieniały miejscami, z przyjemnością poprawiając babcię albo Stiepanycza. Ja jednak zauważyłem, że identyczne tenisówki mają sznurówki w delikatnie różniącym się odcieniu. Zdziwiły się mocno, gdy po czwartej rozsadzie nadal nie udawało im się zbić mnie z pantałyku. W końcu zaniechały zmyłek i – widziałem to – wiele zyskałem w ich oczach.

– *A kak pa polski budiet diewoczka?* – zapytała Inka.

– Dziewczynka.

– *A blizniacy?* – to Lenka.

– Bliźnięta.

Powtórzyły obie trudne słowo. Poprawiły się wzajemnie, poprosiły o rozstrzygnięcie, która powiedziała lepiej. Umknąłem z oceną, nie nalegały.

– *A solnce?*

– Słońce.

– *A szkala?*

– Szkoła.

– A! – Ucieszyły się. – *Kak i u nas! A kak...*

Sukonin pojawił się zza węgła i ruszył na odsiecz:

– A jak będzie po polsku dobranoc? – zapytał niedźwiedzim głosem.

– *Paapa!* – jęknęły. – *Tiepier' spat'?*

– *Spat'* – potwierdził. – Jeszcze się zobaczycie z wujkiem Kamilem.

– *A kak pa polski budiet Kamil?* – przekornie za pytała Lenka.

Nie czekając na odpowiedź, szybko obie ucałowały mnie w policzki i uciekły do sypialni. To było też takie rosyjskie. I miłe.

Nikt mi nie proponował, żebym odwiedził grób Łomonosowa czy Siergieja Witte, potężnego i wszechmocnego ministra skarbu dynastii Romanowów. Szczerze mówiąc, Kostia Sukonin nie proponował mi też odwiedzenia miejsca pochówku porucznik Zemfiry Warakanowej, może to polskie skrzywienie, które nazwałbym... Ach, nie wiem jak. Musiałem w myślach podziękować Zemfirze, która mnie nie znała i której ja nie znałem, bo przecież przez jej poświęcenie moje życie mogło toczyć się dalej, mogłem oddychać, spać, jeść, pić, mogłem kochać i nienawidzić, mogłem być podły i szlachetny, potrzebny i zużyty jak stary kapeć, ale – byłem! A jej już nie było.

Nie musiała jechać za mną nie musiała samotnie wcinać się w moją idiotyczną akcję, mogła poczekać, przywołać odsiecz, wkroczyć w szeregu, już tylko po to, by zgarnąć ciało Polaka, który nawet nie poleciał na jej urodę. Nie zrobiła tego. Czy to kobieca czy milicyjna intuicja powiedziała jej, że trzeba już, że nie można czekać, że musi położyć na szali własne życie? Czy miałem innych takich oddanych przyjaciół? Ilu?

Była samotna. Nie miała męża, dzieci, nie miała nawet rodziców. Kostia Sukonin powiedział, że na pogrzebie był jej przyrodni brat, szczere, poczciwe chłopisko. Dowiedziawszy się, że stał się właścicielem jej mieszkania, rozryczał się jak bóbr i powiedział, że nie chce go, bo cena jest za wysoka. Cena była najwyższa.

Szliśmy po cmentarzu Łazariewskim centralną aleją, długo. Turyści wybierają konkurencyjną nekropolię – cmentarz Tichwiński, na którym leżą znani z historii, szkoły, książek, telewizji: Rubinstein, Czajkowski, Dostojewski, Glinka, Szyszkina – od nieśmiertelnych niedźwiadków... Tu było pustawo, cieniście, z rzadka pojawiała się jakaś babunia z konewką w ręku, szmatką, miotełką czy wiązką suchego kwiecia. Nie spuszczałem ich z oczu, póki nie zniknęły za krzewami i pomnikami. Taka pierdolona skaza. Milczeliśmy. O czym było gadać?

– Już będzie cieplej – bąknął Sukonin. – Tak zapowiadają.

– Jest mi wystarczająco ciepło – burknąłem. – Przepraszam, nie o tym myślałem.

– Ja też, dlatego wyskoczyłem z pogodą. – Westchnął. – Wiesz, szedłem do milicji, bo tam był mój przybrany i jedyny ojciec, chciałem być blisko, żeby jakby co... Żeby ludzie nie byli pozostawieni sobie, gdy spotkają zapitego gnoja, który myśli, że jest panem życia, że wolno mu więcej, bo ma w sobie taką jebaną, chamską odwagę i lekceważenie dla życia innych. Nie myślałem, że będę bronił dobrego imienia *legawych* i nikt, prawie nikt o tym wiedzieć nie będzie. A tam, w dupie to mam! Tylko, Kamil, wojna nieskończona, co? Wygraliśmy bitwę? Powiedz, że ważną, a?

– Skąd mogę wiedzieć? – Kilka kroków odmierzyło gęstą cmentarną ciszę. – Myślę, że tu, w Rosji, narobiliśmy im trochę szkody. Ale globalnie? – Pokręciłem głową. – Nie wiem. Może takich biskupów Cthulhu jest bez liku, może tylko kilku... Co za francowaty rym!

– Może należałoby uderzyć na... centralę?

– Pewnie tak. Ale jak? Gdzie ona jest? Jakimi siłami?

– Tak... Wiem, znaczy – rozumiem. Jak przekonać władzę, czy tu, czy tam, czy gdzie indziej, że ważniejszy od terrorystów i atomowych bomb w Azji jest to, co było uważa... jest uważane za wytwór neurotycznej wyobraźni niszowego pisarza... – Westchnął. – Tu w lewo.

Nad naszymi głowami nagle coś poruszyło gałęzią, rozległo się kraknięcie. Obaj znieruchomieliśmy, siłą woli powstrzymałem się od sięgnięcia po broń. Jakiś cementarny gawron odleciał, kołując między gęsto rosnącymi drzewami. Sukonin poruszył ustami, jakby chciał splunąć.

– Ornitologdy zgłosili kompletnie niezrozumiałą migrację kruków. Wyniosły się całkowicie. I Koniewicz przeczesany...

– Yhy...

Po kilkudziesięciu metrach doszliśmy do świeżej mogiły. Różniła się od pobliskich zagospodarowaniem, tuje były tu jednakowego wzrostu, ziemia wyrównana z zegarmistrzowską precyzją. Grobowiec był... nijaki, mało jaki, bazalt i mosiężne litery: Zemfira Warakanowa. Poległa na służbie dla dobra nas wszystkich. Daty...

Świeże kwiaty. Dzisiejsze lub wczorajsze.

Logiczne. Skoro jest ciemna siła, to może jest i jasna? Ale czy trzeba bukietami wskazywać, gdzie ona spoczywa? Nie mnie rozstrzygać.

Położyłem na płycie trzy tuziny bordowych, niemal czarnych róż.

Odsunąłem się i zrobiłem to... Tylko to, co potrafię robić na grobach. Pomyślałem ciepło o zmarłej. Odmalowałem sobie ją na peronie, ostrzelaną spojrzeniami kilkudziesięciu załamanych jej obojętnością mężczyzn. Odmalowałem w kuchni, przyklejając tytanowe tipsy. I dokładnie, kadr po kadrze pokazałem ją sobie – tylko sobie? – gdy z furją, zawziętością i rozpaczą, z zawziętością nieugiętego wojownika, zamiast rzucić się do ucieczki, sprowadzić pomoc, rzuciła się na guimona. Zemfiro... Ech...

Wróciliśmy do samochodu, nie zamieniając ani jednego słowa. Nie napatoczyła się żadna babcia z łopatką w rękę. Dobrze się stało. Dla niej i dla mnie...

Sukonin myślał dokładnie o tym samym:

– Kamil, wiesz, że od kilku tygodni co najmniej podejrzliwie patrzę na wszystkich starszków? Dużo mnie kosztuje, żeby nie patrzeć z nienawiścią. Jak z tym żyć?

Nie chciało mi się tłumaczyć, że opętani, zniewoleni starszkowie, to tylko jeden z przejawów ekspansji piekła. Przecież widzieliśmy, co tam – widzieliśmy: walczyliśmy i zabijaliśmy guimony w ciele niemal dzieci! I jak z *tym* żyć?

A co, jak się okaże, że nie tylko niedorośli i zniedołężniali starcy mogą być emisariuszami Cthulhu? Da się w ogóle żyć?

* * *

– Kamil, czy tego chcesz, czy nie, my wyślemy do twoich szefów bardzo dokładny raport. Poprzemy w nim twoje podanie o urlop.

– Nie składałem podania – powiedziałem, patrząc przez okno na majestatycznie odcumowujący od rękawa samolot. Mój i Jerzego, odlatujący do Nowego Jorku, wypełniał się już pasażerami, ale VIPy mają swoje prawa, sączyliśmy jeszcze koniak w barze. Już nie zapalałem papierosa. – Po prostu złożyłem dymisję, nie wdając się w detale.

– Zrobiłeś, jak chciałeś. My zrobimy to, co powinniśmy zrobić.

– Raczej nie wrócę do Polski. A na pewno nie wrócę do służby.

– Twoja sprawa. Tu masz zawsze dom, nas i nawet służbę. – Klepnął mnie w ramię. – I przeschczep palców na koszt państwa, w każdej chwili.

Jerzy odkaszlnął.

– My też mamy niezłą transplantologię – powiedział.

– Dobrze, nie kłóćcie się. Jeden palec zrobię tam, drugi tu.

Wstałem od stolika, przerzuciłem torbę przez ramię. Sukonin wbił mi się w ramiona i długo trzymał. Potem mocno uściśnął dłoń Jerzego.

– Powiem wam, że sram na politykę, ochłodzenia, ocieplenia i te wszystkie międzyimperialne gówna. Jesteście moimi braćmi i to jest ważne.

– Ach, przestań, bo się poryczę! – warknąłem. Trąciłem go w ramię. Głośniki w barze ciepłym, modulowanym głosem poprosiły mistera Wilmowskiego i Stocharda o udanie się na pokład samolotu.

Kostia nagle klepnął się w czoło, szybko sięgnął do kieszeni.

– Moje Leninki proszą przekazać. – Podał mi sztywną kopertę.

W środku były dwa portrety małych Chinek. Na odwrocie, trochę koślawo, ale po polsku, napisane było:

„Następnym razem pszy spotkaniu porozmawiamy już pa polsku”. Chyba pierwszy raz w życiu wrzucił mnie ortograficzny kiks. Schowałem zdjęcia i już nie przeciągając łzawego pożegnania, ruszyłem pierwszy.

W samolocie zebraliśmy porcję niechętnych spojrzeń pasażerów, którzy zrozumieli, dlaczego jeszcze nie odbijamy.

Usiedliśmy w swoich fotelach. Wyjąłem komórkę i, nie czekając na polecenia stewardessy, wyłączyłem ją. Jerzy prychnął pod nosem.

– Nie wyłączam nigdy.

– Jak się rozpierdolimy przez ciebie, to cię zabiję!

– Mało szans...

Odpuściłem sobie wysłuchanie standardowego dwujęzycznego paternostra o wyjściach, pasach, paleniu. Gapiłem się w okno i usiłowałem nie myśleć o tym, co zrobiłem i czy dobrze postąpiłem. Został w Polsce Pixel. Mieszkanie. Coś jeszcze? Jeśli tak, to to coś nie było warte...

Samolot płynnie ruszył, kiwnął się o ciężale, opity paliwem, z trzewiami wypełnionymi ludźmi i bagażami. Zaczęliśmy kołować, skręciliśmy dwa razy, ustawiliśmy się na pasie. Silniki ryknęły marszowo i basowo, podwozie zadrzało i chwilę dygotało, niczym powstrzymywany przed szaleńczym cwałem bojowy rumak. Wyciągnąłem rękę, by z siatki przed sobą wyjąć dzisiejszą gazetę, gdy ryk silników umilkł nagle.

– Oho! – powiedziała głośno jakaś kobieta za nami. W kieszeni Jerzego rozcwierkał się telefon. W przeraźliwej ciszy panującej w salonie *bussines class*, zabrzmiało to jak dzwony katedralne. Odwróciły się ku nam pełne oburzenia i wręcz wściekłości twarze.

Jerzy spokojnie sięgnął do kieszeni, wyjął trylującą na całego komórkę i wdusił połączenie.

– Tak?

Słuchał chwilę. I kamieniał. Tężał.

Drzwi do kabiny pilotów otworzyły się, szpakowaty pilot w białej koszuli z krótkimi rękawami i przepisowej czapce z daszkiem przemierzył dzielącą go od nas odległość, pochylił się i powiedział po angielsku:

– Za chwilę podjadą schody. Panowie proszeni jesteście do wyjścia.

Jerzy odsunął komórkę od ucha, popatrzył na pilota i skinął głową. Ten odwrócił się i odszedł. Jerzy wstał i skinął na mnie.

– Idziemy – powiedział cicho po polsku.

– Bo?

Jakieś przekłete, nienaturalne i nieprzyjemne drzenie ogarnęło dwa nieistniejące palce u mojej lewej dłoni.

– Dzwonił Sukonin. Do ciebie, ale ty wyłączyłeś komórkę... I do mnie – powiedział zupełnie niepotrzebnie. Przecież widziałem, że dzwonił. I słyszałem. Słyszał to cały salon. – Żona Kostii... i jego córki... Porwane...